

**THRILLER PSYCHOLOGICZNY**

*Książka, o której będzie głośno.  
Tego nie wolno przegapić!*

LISA SCOTTOLINE



**MATKA  
WIE  
NAJLEPIEJ**

**KIRA PEIKOFF**

CZARNA OWCA

**MATKA  
WIE  
NAJLEPIEJ**

**KIRA PEIKOFF**

Przełożyła Aga Zano

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

# Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

CZĘŚĆ PIERWSZA

CLAIRE

ABBY

CLAIRE

ABBY

CLAIRE

ABBY

CLAIRE

JILLIAN

ABBY

CLAIRE

ABBY

CLAIRE

JILLIAN

ABBY

CLAIRE

JILLIAN

ABBY

CZĘŚĆ DRUGA

CLAIRE

JILLIAN

CLAIRE

JILLIAN

ABBY

CLAIRE

JILLIAN

ABBY

CLAIRE

JILLIAN

ABBY

CLAIRE

JILLIAN

ABBY

CLAIRE

ABBY

JILLIAN

CLAIRE

ABBY

JILLIAN

CLAIRE

CZĘŚĆ TRZECIA

ABBY

CLAIRE

ABBY

CLAIRE

ABBY

## CZEŚĆ CZWARTA

JILLIAN

ABBY

CLAIRE

JILLIAN

ABBY

CLAIRE

JILLIAN

ABBY

CLAIRE

JILLIAN

ABBY

CLAIRE

JILLIAN

CLAIRE

JILLIAN

CLAIRE

ABBY

CLAIRE

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału: *Mother Knows Best*

Redakcja: Jacek Ring

Korekta: Słowne babki, Monika Łobodzińska-Pietruś

Projekt okładki: Melanie Sun

Zdjęcie na okładce: © GrishaL / iStockphoto.com

Adaptacja okładki: Pola Rusiłowicz Kav Studio

Copyright © by Kira Peikoff

Copyright © for Polish translation by Aga Zano, 2020

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 9788381433471

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl  
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl  
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Zachary'emu,  
który uczynił mnie matką*

*Teraz jesteś moja cała  
Twoje stópki, złota główka mała  
Paluszki pomarszczone, wszystko moje zupełnie  
Tak cudownie i nierozdzielnie;  
Będę cię zawsze całować i pieścić  
Bo tylko w matce ta miłość się mieści!  
Inni usłyszq tve piękne słowa  
Lecz tve milczenie to czas mej radości.  
Kiedy cię trzymam mocno w ramionach,  
Z dala od świata, co chciwie spogląda,  
Ty krew z mojej krwi i kość z mojej kości!*

— Lucy Maud Montgomery, *Matka*



# CZĘŚĆ PIERWSZA

## CLAIRE

Po godzinie jazdy Abby zaskakuje nas wyznaniem:

– Mamusiu, mam dla ciebie niespodziankę.

– Oho? – Wyciągam szyję i widzę, jak uśmiecha się szeroko na tylnym siedzeniu. Ma taki sam nieśmiały dołeczek w policzku jak Colton. Brat, którego nigdy nie poznała. – Jaką niespodziankę?

– Taką wielką. – W tej samej chwili wibruje jej komórka i uwaga Abby natychmiast wpada w elektroniczne sidła. Przynajmniej raz mnie to cieszy; córka nie zauważyła, jak ostro wciągam powietrze.

Mąż jednak od razu to dostrzega. Zdejmuje jedną dłoń z kierownicy i kładzie mi na udzie. Pędzimy po autostradzie West Highway, a ja patrzę przez okno na ponurą, szarą rzekę Hudson. Nie ma dla mnie niczego bardziej znienawidzonego od niespodzianek, ale moja córka jest czarną skrzynką wybryków, zawsze kipi pomysłami.

Kiedy siedzi zajęta telefonem, znów zerkam na jej twarz. Ma zimnobłękitne oczy, przypominające dwa odłamki lodowca,znaczony piegami nos i kremową skórę jeszcze niezeepsutą przez pierwsze nastoletnie pryszcze. Nikt by się nie domyślił, że moja śliczna dziewczynka jest pierwsza i jedyna w swoim rodzaju.

Nawet ona sama nie ma o tym pojęcia.

Jedynym, co rozprasza zadowolenie, jakim napawa mnie jej wygląd, są jej włosy. Mają barwę błyszczącego miedzianego pieniążka, choć nikt w rodzinie nie jest rudy. Nigdy nie zapomnę uwagi rzuconej żartem przez jakąś nieznajomą: „Jesteście pewni, że to wasze?”.

Abby dostrzega, że się jej przyglądam, i zamyka telefon.

– Ile jeszcze?

– Pięć minut – mówi Michael, skręcając na skrzyżowaniu Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Riverside Drive.

Wymieniamy zdziwione spojrzenia. Ta wycieczka do Muzeum Historii Naturalnej, coroczny rytuał w dniu urodzin jej brata, niewiele dla niej znaczy. Zmarł kilka lat przed jej przyjściem na świat.

Michael też nigdy nie poznał Coltona, ale bierze udział w mojej tradycji, bo to jedyny dzień w roku, kiedy zachowujemy się jak zwyczajna rodzina, którą nigdy nie byliśmy. Raz w roku podejmuję to minimalne ryzyko, że dojdzie do katastrofy.

Przez resztę czasu unikamy miasta. Broń Boże, żeby złapała nas kamera. Zdjęcia rozeszłyby się od razu po mediach społecznościowych. Świat zewnętrzny jest dla mnie tym, czym dla innych ludzi zamiecie śnieżne – to niebezpieczne wystawiać się na łaskę i niełaskę żywiołów, więc należy szukać schronienia. Najlepiej się schować i nie rzucać w oczy.

Jest jednak ktoś, kto nigdy nie przestanie szukać. Ktoś, kto już dawno wyszedł z więzienia, a ja nadal nie mogę się zmusić, żeby wymówić albo choć pomyśleć imię tej osoby.

Cień J unosi się nad każdym dniem, kiedy odwożę Abby do szkoły i ją odbieram. Zostaję za kółkiem swojej hondy accord i unikam pogaduszek z innymi matkami. Jeśli któraś mnie rozpozna i sprawę zwęszy prasa, policja natychmiast zapuka do moich drzwi.

A wtedy J będzie deptać mi po piętach.

Przejeżdżamy przez Broadway, zbliżamy się do muzeum. J kryje się w zakamarkach mojego umysłu jak zakrwawiony nóż zagrzebany głęboko pod ziemią.

Abby nic nie wie o J. Kiedyś będę musiała z nią porozmawiać. Wyznać prawdę. Ale nie w dniu urodzin Coltona. Dziś kończyłby dwadzieścia jeden lat.

Michael parkuje równolegle w bocznej uliczce niedaleko muzeum. Czuję ucisk w gardle. Wizyta w ulubionym miejscu syna przybliżyła mnie do niego o wiele bardziej niż odwiedziny na cmentarzu.

Kiedy tylko silnik gaśnie, Abby wyskakuje na chodnik.

– Czekaj! – wołam, ale ona już pędzi obok rzędów żółtych tulipanów rosnących wzdłuż chodnika.

– Pospieszcie się! – poganiam nas niecierpliwie. – Już prawie czas!

– Na co? – zwracam się do Michaela, ale on wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Wysiadamy z auta i owiewa nas chłód wiosennego poranka. Naciągam bejsbolówkę nisko na oczu. Zamówiłam czapkę z logo Jankeśów przez internet, żeby wtopić się w miejski tłum, choć nie potrafiłabym wymienić z nazwiska ani jednego członka tej drużyny.

Energia metropolii szokuje w porównaniu z naszym cichym podmiejskim zakątkiem. Piesi, biegacze i spacerowicze z psami na smyczach rywalizują o miejsce na chodniku między rzędami na wpół огоłoconych drzew. Po drugiej stronie ulicy widzę grupkę protestujących, zebranych przed sklepem spożywczym. Ściskają transparenty z napisami GMO MÓWIMY NIE I RĘCE PRECZ OD NASZYCH GENÓW. Kilka metrów przed nami Abby przystaje w miejscu, żeby się na nich pogapić – w naszym sennym miasteczku rzadko można spotkać aktywistów – a Michael pospiesznie prowadzi mnie dalej.

– Nie przejmuj się – mamrocze. – Nikt nie patrzy.

Niespokojne zerkanie na boki już przybrało u mnie formę tików nerwowego, ale mąż ma rację. Nikt nas nie widzi, nikogo nie interesujemy. Czy ludzie pamiętają skandale sprzed dekady? Na wszelki wypadek idziemy prędzej i wpatrujemy się przed siebie jak normalni ludzie, którzy nie żyją w strachu.

Dzisiaj jest dzień Coltona, upominam się w duchu.

Zastanawiam się, czy niespodzianka Abby ma być jakimś hołdem dla brata. Może wreszcie po tylu latach marudzenia – że musimy jeździć taki kawał do miasta i łązić po „nudnym” muzeum – postanowiła w końcu wziąć udział w uczczeniu jego pamięci. Ale nie mam pojęcia, co wymyśliła i dlaczego to wymaga przyjscia gdzieś o konkretnej porze.

Co ona tam pisała na telefonie?

Kiedy wreszcie ją doganiam i pytam, córka tylko się uśmiecha.

– Zobaczysz – mówi i znów biegnie przodem.

Potężny gmach już na nas czeka, wspianała konstrukcja ze stali i szkła dominuje nad całą przecznicą. Droga do niego przypomina mi o końcu życia Coltona, kiedy po raz ostatni pchałam jego wózek z naszego mieszkania do muzeum. Staram się stłumić wyrzuty sumienia, ale poczucie winy wiązuje mi żołądek w ciasny supeł.

Michael ściska mnie za rękę, przekazując komunikat bez słów: To nie była twoja wina.

Docieramy do legendarnych schodów muzeum, a mnie już pieką oczy. Opieram się o poręcz.

– Muszę chwilę odetchnąć.

Abby podskakuje obok mnie.

– Mamo, pamiętasz, jak kilka miesięcy temu robiliśmy na biologii test śliny?  
– pyta, stając na palcach. Jest dziwnie podekscytowana.

– Nie teraz, kochanie.

– Okej, ale pamiętasz?

Wzdycham.

– Oczywiście.

Cała klasa uczestniczyła w eksperymencie genetycznym, prowadzonym przez firmę MapMyDNA. Każdy musiał splunąć do fiolki, a po jakimś czasie otrzymywał raport z listą cech dziedzicznych, takich jak odstające płatki uszu albo zdolność rozpoznawania gorzkich smaków. Czuliśmy się postawieni pod ścianą, więc zgodziliśmy się, żeby Abby w tym uczestniczyła. Łatwiej było dać pozwolenie, niż odpowiadać na pytania, które niechybnie pojawiłyby się w przeciwnym razie, ale wszystko poszło bardzo gładko.

– No i co w związku z tym? – chcę wiedzieć.

– Razem z koleżankami założyłyśmy sobie profile na stronie, żeby porównać nasze wyniki.

– Nic mi o tym nie mówiłaś!

Moja ostra reakcja sprawia, że Abby się krzywi.

– Rany, przecież to nic takiego. Ale słuchaj, mam dwustu trzynastu dalekich kuzynów!

Plecy mi sztywnieją. Kątem oka zauważam, że Michael marszczy brwi.

– I słuchaj tego – ciągnie córka, nieświadoma powagi sytuacji – dostałam wiadomość od kogoś, kto ma trzydzieści siedem takich samych genów jak ja. Zaczęłyśmy rozmawiać i okazało się, że to kuzynka, z którą straciłaś kontakt!

Zaciskam dłoń na poręczy, żeby się nie przewrócić.

– Słucham? Trzydzieści siedem?

– Mama nie ma żadnych zaginionych kuzynek – ucina Michael. – I od kiedy to niby wolno ci rozmawiać z nieznajomymi w internecie?

– Właśnie że masz – informuje mnie Abby, ignorując ojca. Zeskakuje z poręczy i patrzy mi prosto w oczy. – Wiem, że to prawda, bo DNA nie kłamie!

Miękną mi kolana. Michael natychmiast obejmuje mnie ramieniem i podpira od tyłu.

– Mama nie czuje się zbyt dobrze – mówi. – Może powinniśmy wracać do domu.

– Ale ja jej obiecałam, że się z nią dzisiaj spotkamy! To miał być taki zjazd rodzinny ku czci Coltona.

Mimowolnie wciągam ostro powietrze.

– Co? Gdzie?

Abby wskazuje na dziesiątki stopni biegnących aż do szklanych drzwi muzeum. Odwrócenie głowy zajmuje mi więcej czasu niż trwało całe dotychczasowe życie mojej córki. Całe jedenaście lat rozciągnięte w jednym nieodwracalnym spojrzeniu.

Na ostatnim schodku stoi młoda kobieta o gładkich, rudych włosach, i nam się przygląda. Ma na sobie obcisłą czarną sukienkę podkreślającą jej dekolt i pewność siebie. Każdy inny człowiek powiedziałby, że jest piękna, ale ja widzę tylko jej ostre spojrzenie i uśmiech, triumfalny i mrozący krew w żyłach jednocześnie.

To J.

Uliczny hałas cichnie. Kilka sekund rozlewa się w długie godziny.

Przez jakiś nieokreślony czas tylko się na nią gapię. Nie jestem zdolna zrobić nic więcej. Mój umysł się zaciął, reakcje są zawieszona. Trwam uwięziona w jej spojrzeniu, jakby chwyciła mnie za kark. Jest ode mnie oddalona co najmniej o pięćdziesiąt schodów, a mimo to dostrzegam w jej uśmiechu zwycięski błysk:

„Mam cię”.

Otępienie odgradza mnie od czasu i przestrzeni. Staczam się wiele lat w przeszłość, do tej chwili, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni, w winiarni zaledwie kilka przecznic stąd. Tamto spotkanie sprawiło, że nasze życia weszły na nowe tory i podążyły ku kolizji. Wtedy jej uroda przywodziła na myśl malarstwo Renoira – miedziane loki spływające na krągłe piersi, jasna skóra, pełne usta. Ale w przeciwieństwie do miękkoookich kobiet z obrazów, jej spojrzenie było jak broń. Kryła się w nim inteligencja, która rozcinała człowieka jak ostry nóż, przemocą wdzierając się prosto w duszę.

Teraz znów mnie dopadła. To właśnie po oczach ją poznaję, bo wszystko inne się zmieniło. Zniknęły jej długie, kręcone włosy, miękkie policzki, pełne kształty. Nadal jest młoda, ma piętnaście lat mniej ode mnie, ale jej ciało stało się twarde i szczupłe. Włosy ma przycięte tuż przy linii żuchwy, a z twarzy mimo uśmiechu bije przerażająca gorycz.

Przez wiele lat fantazjowałam, jak walczyłabym z nią, gdyby zbliżyła się do Abby: wyobrażałam sobie, że zepchnęłabym ją z klifu albo utopiła w naszym basenie. Teraz widzę, że to mrzonka. Ma tak twarde brzuch, że gdybym ją uderzyła, pewnie posiniaczyłabym sobie pięść.

– Mamo! – woła Abby, wyrywający mnie z transu. – Dobrze się czujesz?

Instynktownie przyciskam ją do piersi, tak jak to robiłam, kiedy była niemowlęciem, a cały świat niestrudzenie nas poszukiwał.

Michael bierze nas obie w ramiona. Osłania nas przed jej spojrzeniem, próbuje chronić tak, jak tylko potrafi. Oczy ma szeroko otwarte. Jego szok miesza się z moim.

Abby wyślizguje się z naszego uścisku.

– Co się dzieje?

Nigdy dotąd nie czułam się tak nieprzygotowana do udzielenia jej odpowiedzi na pytanie. Już mam otworzyć usta, kiedy zauważam coś kątem oka.

U szczytu schodów, wśród turystów czekających w kolejce, bawi się mały chłopiec. Robię krok, żeby lepiej mu się przyjrzeć, i natychmiast opadam na zimny beton. Krzyk sam wyrywa mi się z gardła.

To dziecko wygląda zupełnie jak Colton.

Panika i tęsknota ściskają mnie za serce tak mocno, że nie mogę się ruszyć. Michael próbuje podnieść mnie z ziemi, Abby mówi kilka słów, których nawet nie słyszę.

Colton znów ma osiem lat, tyle co w dniu, kiedy umarł, ale teraz uśmiecha się i podskakuje w grupce innych dzieci – wszędzie poznałabym te słomkowe włosy, zadarty nos, migdałowy kształt oczu, takich samych jak moje. Tęskniłam za nim, śniłam, miotałam się przez trzynaście lat, próbowałam zawierać układy z Bogiem, w którego przecież nie wierzę. Jeśli tylko dasz mi go jeszcze raz zobaczyć...

Obraz rozmywa mi się ze ścianą łez i już, chłopiec znika. Przecieram oczy pięściami, ale to na nic. Już go nie ma. Rzucam się ku schodom, znajdę go – pieprzyć J – ale Michael chwyta mnie za ramię, powstrzymuje.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczy.

– Puszczaj! – Tłukę go otwartą dłońią w pierś, ale on jest silniejszy, trzyma mnie mocno. Z nagłym szarpnięciem znów cofam się w czasie do tych mrocznych dni, kiedy sylwetka synka zwodniczo majaczyła w każdym cieniu.

Głos Michaela zagłusza to wspomnienie.

– Hiperwentylujesz. Oddychaj.

Głowa mi pulsuje. Kwaśny płyn podchodzi do gardła.

– Widziałeś go? – udaje mi się wykrztusić. – Tam?

– Kogo? – Zaskoczony Michael podnosi głowę. J nadal stoi pod kamienną kolumną i przygląda się nam z uśmiechem, ale ignoruję ją i rozglądam się za



synkiem.

– Coltona. – Kiedy tylko wymawiam to imię, wiem, że zaczynam wariować. Przerazenie na twarzy Michaela tylko to potwierdza. – Ale przecież dopiero co tam był... – zaczynam i urywam, wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą biegał i śmiał się jak najzdrowszy chłopiec na świecie. Oczywiście tak naprawdę to wcale nie był on. Colton nigdy nie mógł biegać. Colton nie żyje. Do dziś zawsze jestem zdruzgotana, gdy słyszę w myślach to słowo.

Abby odsuwa się ode mnie.

– Mamo, odbija ci.

– Przysięgam, że go widziałam. – Łzy coraz szybciej płyną mi po twarzy. – Tamten chłopiec...

– Skarbie – odzywa się łagodnie Michael – to atak paniki. Chodźmy stąd.

Prowadzi mnie i Abby w przeciwną stronę, jak najdalej od muzeum i przeszywającego spojrzenia J. Chcę się z nim kłócić, negocjować, błagać go, żeby mi uwierzył, ale wiem, że to bezcelowe. A najgorsze, że sama zdaję sobie sprawę z tego, że nie powinien.

– Przecież dopiero co przyszliśmy! – protestuje Abby. – Mamo, a co z twoją kuzynką?

– Nie ma żadnej kuzynki – ucina Michael. – Wracamy do domu. Mama musi się położyć.

– Ale ja z nią rozmawiałam i ona zna mamę.

– Rozmawiałaś z obcą osobą, która cię oszukała, żeby się z tobą spotkać – przerywa jej Michael. Maszerujemy po chodniku w stronę samochodu. Moje nogi jakimś cudem posłusznie mnie niosą, ale myślami nadal jestem przy schodach muzeum, wpatrzona w tego chłopca, w mojego synka.

– Od tej pory masz zakaz rozmawiania z kimkolwiek na tej stronie. Kasuję ci konto, kiedy tylko wrócimy do domu.

– Ale ja mam z nią wspólny DNA!

– No i? Sama powiedziałaś, że masz jeszcze dwustu takich „krewnych”.

– No, ale...

– To nic nie znaczy. Zrozumiano? – Tę ostatnią uwagę Michael kieruje w równym stopniu do niej, jak do mnie. Zawiodły mnie własne oczy. I to nie po raz pierwszy.

– To nic nie znaczy – powtarza Michael, patrząc na mnie.

– Słyszałam – mamrocze Abby.

– Więc daj już spokój.

Już widzę nasz samochód, stoi zaparkowany przecnicę dalej. Michael odwraca się, zerka przez ramię, idzie szybkim krokiem, choć nikt nas nie śledzi. Też się upewniam. Nie ma jej. Michael otwiera auto pilotem. Samochód pika, światła migają. Uciekniemy stąd bez szwanku. Jakby nic się nigdy nie wydarzyło.

Michael bierze mnie za rękę.

– Dobrze się czujesz?

Oszołomiona siadam w fotelu pasażera. Abby zajmuje miejsce z tyłu. Michael zatrzaskuje swoje drzwi i zjeżdża z krawężnika, gwałtownie rusza ulicą. Udziela mi się jego nerwowa energia.

Przyciskam nos do okna, jakby mój zmarły syn mógł w każdej chwili wyłonić się zza zakrętu. Michael kładzie mi rękę na udzie.

– Masz przy sobie xanax?

To pytanie retoryczne; zawsze noszę fiolkę w torebce na wszelki wypadek. Wydłubuję palcem maleńką białą pigułkę i wkładam pod język, czekając na ulgę. Już po kilku minutach czuję, jak zwalnia mi puls.

Michael odkasłuje.

– Nikogo tam nie było, prawda?

Po chwili wahania kiwam głową.

A więc wszystko jasne: pogodziłam się z rzeczywistością i nie powiemy Abby o J.

Jest jeszcze na to za młoda, a jej świat zbyt niewinny. Nie zna żadnego niebezpieczeństwa większego niż upadek z końskiego grzbietu.

Po półtorej godzinie jazdy parkujemy przed naszym domkiem w lesie i próbujemy z powrotem zagrzebać się w niepozornym życiu, w którym Michael robi co niedziela naleśniki z jagodami, Abby jeździ rowerem po pustej ulicy, a ja codziennie liczę swoje szczęśliwe gwiazdy, które pozwoliły mi przetrwać jeszcze jeden dzień, miesiąc, rok, w spokoju i z dala od świata.

Ale po dzisiejszym dniu wiem jedno: nic nigdy nie będzie takie jak dawniej.

# ABBY

## *Miesiąc później*

Mama ostatnio strasznie dziwnie się zachowuje. To znaczy, okej, zawsze była dziwna. Prawie nigdy nie wychodzi z domu, tylko żeby mnie odwieźć do szkoły i zabrać z powrotem, i nigdy nie przychodzi na pikniki charytatywne ani na mecze piłki nożnej jak inne mamy. Zawsze muszę się tłumaczyć, kiedy ktoś mnie pyta, gdzie ona jest. Najczęściej mówię, że się rozchorowała albo że musiała wyjechać z miasta. W tym roku zaczęłam wszystkim opowiadać, że ma taką rzadką chorobę, przez którą jest uczulona na promienie słoneczne. Ale wiem, że nikt mi nie wierzy. Gadają o mnie za plecami, zwłaszcza taka wredna Sydney. Według mojej najlepszej przyjaciółki Riley każdy ma własną teorię – że mama jest czarownicą albo tajną agentką. Chciałabym, żeby rzeczywistość była taka interesująca.

Prawda jest trochę żenująca: ona po prostu ma poważne stany lękowe. Tata powiedział mi, że to się nazywa agorafobia i bardzo trudno się to leczy. Nie rozumiem, co ją tak przeraża w wychodzeniu na dwór. Strasznie mi przykro, kiedy nie przychodzi na żaden mój mecz, chociaż co roku ciągnie nas do miasta na urodziny Coltona. Tylko dla niego robi wyjątek. Dla mnie nigdy. Ale w tym roku odstawiła taką akcję, że nie wiem, czy jeszcze w ogóle kiedyś pojedziemy do miasta. Od tamtego dnia, kiedy dostała histerii przed muzeum, zachowuje się jeszcze dziwniej niż zwykle.

Dawniej, kiedy byłam w szkole, a tata w pracy, mama zajmowała się domem. Pływała w basenie na podwórku i pielęła ogród, który przypomina taką wielką łąkę otoczoną drzewami. Mamy warzywnik, w którym rosną jarmuż, cukinia, czerwona papryka, groszek cukrowy, ogórki i pomidorki koktajlowe. Codziennie po szkole wychodziłyśmy razem do ogrodu, żeby zebrać warzywa na sałatkę. A potem odrabiałam pracę domową przy blacie w kuchni, a ona przygotowywała

obiad – lazanie, tacosy, czasami zupę kokosową z kurczakiem. Kiedy tata wracał z pracy, wszyscy jedliśmy razem. Życie w domu wyglądało całkiem normalnie poza tym, że mama nigdy nigdzie nie wychodziła.

Od tamtego dnia w muzeum zaczęła się zachowywać inaczej. Teraz jemy mrożonki albo zamawiamy jedzenie na wynos, bo mama nie czuje się na siłach, żeby gotować. Kwiaty więdną, a warzywnik wysycha na pieprz. Kiedy odbiera mnie ze szkoły, ma potargane włosy i jest ubrana w dres i bluzę z kapturem naciągniętym na głowę. Jest maj, piękna pogoda, a ona nie wyciągnęła z szafy ani jednej ładnej sukienki.

Ciągle ją pytam, czy wszystko w porządku, a ona zawsze na to, że tak, jest tylko zmęczona, albo że chyba łapie ją przeziębienie. Dużo czasu spędza w łóżku i to już zaczyna mnie poważnie niepokoić. Nie wiem, co z nią nie tak, ale to nie wygląda na katar.

Dziś wieczorem, kiedy siadamy całą rodziną przy stole w jadalni, próbuję udawać, że wszystko jest normalnie. Nasza pizza właśnie przyjechała, więc sięgam po wielki kawałek z pepperoni i zaczynam opowiadać o nocowaniu, na które zaprosiła mnie Riley w przyszły weekend.

– Będziemy oglądać film dla dorosłych – oznajmiam z dumą. – Ten straszny, z klaunem.

Czekam, aż się wkurzą, ale oni chyba nawet mnie nie słyszeli.

Mama dłubie widelcem w sałatce z białej sałaty lodowej, której nigdy nie jada, bo „nie ma żadnej wartości odżywczej”. Tata obserwuje ją w milczeniu.

– Ten klaun zjada dzieci – dodaję. – Kiedy brat Riley to obejrzał, przez tydzień spał na podłodze u rodziców.

– Abby – wzdycha tata. – Doskonale wiesz, że nie wolno ci oglądać takich rzeczy.

– Ale Riley ogląda! – Wpycham sobie pizzę do ust, gorący serowy tłuszcz ścieka mi po brodzie. – Jej rodzice są fajni.

– No niestety, jesteś skazana na takich sztywniaków jak my. – Tata podaje mi serwetkę. Wycieram usta.

- Sztywniaków?
- Starzy ludzie tak mówią na nerdów.
- Tylko sztywniaki tak mówią – oznajmiam z przewrotnym uśmiechem.
- *Touché.*

Tata i ja często tak się przekomarzamy, a mama jest naszą publicznością. Ale dzisiaj tylko wpatruje się w swój talerz i je tę ohydłą sałatę. Nie ma sensu pytać, czy dobrze się czuje. Zawsze ma tę samą odpowiedź.

Tata odkasłuje. Zauważa, że się jej przyglądam. Wymieniamy się spojrzeniami, tak żeby mama nie zauważyła. Jego usta układają się tak, jakby chciał mnie przeprosić.

– Mam pomysł – mówi nagle. – Może niech każdy opowie jedną miłą rzecz, jaka mu się dziś przytrafiła. Skarbie – zwraca się do mamy – może ty zaczniesz?

Jej twarz jest strasznie blada.

– No... Ucięłam sobie dzisiaj przyjemną drzemkę.

– Coś jeszcze?

– A, tylko kręciłam się po domu. – Wzrusza ramionami, jakbyśmy nie widzieli, co się dzieje. – To samo co zwykle.

– W porządku.

– Chyba dopada mnie angina – dodaje, kładąc sobie dłoń na gardle.

Przewracam oczami, ale ona nie zauważa. Jakby w ogóle mnie nie widziała. Opieram łokieć na stole i sięgam nad talerzem mamy po kolejny kawałek pizzy z kartonowego pudełka. Ona nawet nie próbuje mnie skarcić za brak manier.

– Moja kolej – oznajmiam.

Tata patrzy na mnie z uwagą.

– Opowiedz.

– Mam nową nauczycielkę plastyki. – Mama i ja uwielbiamy sztukę i różne artystyczne projekty, więc spodziewam się, że to wzbudzi jej zainteresowanie.

– To miło – mówi, spoglądając jednocześnie na mnie i przeze mnie. Dreszcze mnie od tego przechodzą.

– Nad czym pracujecie? – chce wiedzieć tata.

– Pani pokaże nam, jak się robi mandale. – Z nadzieją odwracam się w stronę mamy. – Mogłabym przynieść jedną do domu, żebyśmy zrobiły ją razem.

Jej wargi drżą lekko w kąciku. Widzę, jak stara się okazać radość.

– To świetny pomysł.

– Pamiętam, że też kiedyś zrobiłem coś takiego – dodaje pośpiesznie ojciec. – Tata mi pokazał.

On już od dawna nie żyje, podobnie jak reszta moich dziadków. Nigdy nie poznałam żadnego z nich. Drzewo genealogiczne rodziny Burke'ów kończy się na mnie. Czasami zazdroszczę innym dzieciom, że mogą jeździć na wakacje do cioci albo babci i bawić się z kuzynami. Według Riley to dziwne, że jestem tylko ja i rodzice. Coś w tym jest. Nie znam nikogo innego z tak małą rodziną. Najbardziej na świecie chciałabym mieć brata albo siostrę, ale mama nie chce mieć więcej dzieci bez względu na to, ile bym błagała.

Przyglądam się jej spod zmrużonych powiek.

– Czemu nagle zmieniłaś się w takie tępe zombie?

– Abigail! – Tata pstryka palcami. – Jak ty się odzywasz do matki!

Spodziewam się, że mama też mnie ochrzani, ale ona tylko wzdycha, jakby nawet nie chciało jej się reagować. To jeszcze bardziej mnie wkurza.

– Co się z tobą dzieje? – drążę. – Jesteś martwa w środku czy co?

Tata zrywa się od stołu, wskazuje palcem na schody.

– Do pokoju, natychmiast!

Odgryzam wielki kęs pizzy.

– Jeszcze nie skończyłam.

– O, jak najbardziej skończyłaś. – Tata podchodzi i szarpie za moje krzesło.

– Ale tylko ja tutaj jestem szczerą! – Posyłam matce oburzone spojrzenie. –

Od tamtego dnia w mieście zachowujesz się zupełnie inaczej. Mam już tego serdecznie dosyć.

Ona znowu wzdycha.

– Już ci mówiłam, często mam ataki paniki, kiedy zbliżają się urodziny Coltona. To dla mnie trudny czas w roku.

– Przecież minął już prawie miesiąc – protestuję.  
– Wystarczy. – Tata kładzie mi dłoń na ramieniu i prowadzi mnie do schodów.  
– Idź do swojego pokoju.

– Zaczekajcie! – woła mama. Oboje się odwracamy.

– Przepraszam, kochanie. Wiem, że ostatnio nie jestem sobą.

Oczy zachodzą jej łzami i aż ściska mnie coś w sercu. Mam ochotę do niej podbiec i ją przytulić, ale tego nie robię. Kiedy zbliżają się urodziny Coltona, zwykle robi się smutna na kilka dni, czasami na tydzień. Ale nie na tak długo. Poza tym ostatnio wszystkiego się boi – aż podskakuje, kiedy szczeka pies albo otwieram drzwi do jej sypialni. Czuję, że chodzi tu o coś poważniejszego, do czego mama nie chce się przyznać.

Wiem za to, co dręczy mnie. Nie mogę o tym zapomnieć.

– A co z twoją kuzynką? Była tam wtedy czy nie?

Mama natychmiast pochmurnieje.

– Ile razy mam ci powtarzać? Nie mam żadnych kuzynek.

– Ale...

– Żadnych „ale”! – przerywa mi tata. – Zaczepiła cię jakaś wariatka. Obca osoba. Właśnie dlatego masz zakaz siedzenia na portalach społecznościowych!

– Twoja rodzina nigdy nie straciła z nikim kontaktu? – zwracam się do mamy, ignorując ojca.

– Nie! – krzyczy mama. – Nie będę znów z tobą o tym dyskutować.

– Rany, dobra. – Widzę, że nic tu nie wskóram, więc idę na górę, tupiąc głośno, i zatrzaskuję za sobą drzwi. Dałam jej już dosyć szans, a wszystkie odrzuciła.

Rodzice skasowali mi profil na stronie MapMyDNA, uniemożliwiając dalszy kontakt z tą tajemniczą kobietą, z którą łączą mnie geny. Ale nadal pamiętam nasze wiadomości, bo zrobiłam zrzut ekranu z całej rozmowy i wysłałam go Riley z podpisem: „OMG, obczaj to...”.

Kilka tygodni przed wyjazdem do muzeum zobaczyłam na profilu niespodziewane powiadomienie od kogoś o nicku JH0502: „Hej, jesteśmy blisko



spokrewnione. Chcesz nawiązać kontakt?”.

Przyjęłam zaproszenie z ciekawości, a następnie wymieniliśmy się mapami DNA, żeby sprawdzić stopień pokrewieństwa. Według strony miałyśmy trzydzieści siedem wspólnych genów i łączyły nas „haplogrupy od strony matki” czy coś w tym rodzaju. Przez jakiś czas rozmawiałyśmy na czacie. Ona powiedziała, że jest daleką kuzynką mojej mamy i że straciły kontakt. Spytała, czy mam brata. Wyjaśniłam, że Colton nie żyje, i wspomniałam o naszym wyjeździe z Garrison do miasta, żeby uczcić jego nadchodzące urodziny. Kiedy ona odparła, że mieszka w Nowym Jorku, zaprosiłam ją na spotkanie z nami. Uznałyśmy, że zrobimy rodzicom niespodziankę.

Ale mama miała napad paniki, który wszystko popsuł. Nie udało nam się spotkać, a teraz nawet nie mogę już do niej napisać.

Siadam przy biurku, wciąż rozmyślając o jednym zdaniu z naszej rozmowy, które nie daje mi spokoju: „Czy ty czasem nie masz brata?”.

Skąd zupełnie obca osoba mogłaby o tym wiedzieć, jeśli nie jest spokrewniona z mamą? Serce bije mi jak oszalałe, otwieram laptopa.

Wiem, że moja matka kłamie. I nie pozwolę, żeby uszło jej to na sucho.

PRZEDTEM

**CLAIRE**

*Jeszcze dziesięć miesięcy*

Samotna różowa kreska. Tylko tyle, zawsze to samo.

To już dwunasty test. Wiem na pewno, bo Ethan i ja zaczęliśmy się starać dokładnie rok temu, kiedy zrezygnowaliśmy z wyjścia na mecz Jankesów, żeby cały dzień zostać w domu. Przynajmniej on wierzy, że nadal się staramy. Nie mam serca mówić mu, że to nieprawda, że nie ma takiej siły w niebie i na ziemi, która zmusiłaby mnie, żebym znów rzuciła wyzwanie losowi. Ale jemu na niczym tak nie zależy jak na tym. Jest zdesperowany.

„Proszę cię – powtarzał błagalnie. – Zasługujemy na jeszcze jedną szansę”.

To właśnie ta jego brutalna mieszanka bólu i pragnienia, napędzana fantazją o czymś, czego nigdy nie było, sprawiła, że się ugięłam. W chwili słabości skinęłam głową. Dopiero później do mnie dotarło, że to proste ustępstwo było bardziej okrutne niż uderzenie w twarz. Teraz co miesiąc przyłapuję się na tym samym teatrzyku, marnuję pieniądze na testy ciążowe, udaję najpierw nadzieję, a potem rozczarowanie.

Słyszę, jak on chodzi tam i z powrotem przed łazienką, a ja siedzę na toalecie z majtkami wokół kostek i najnowszym testem w dłoni. On może jeszcze trwać w niepewności, ale ja już znam rozwiązanie.

Mimo to odprawiam comiesięczny rytuał: rozpakowuję różowy plastik i umieszczam świeży wkład w plastikowej obudowie testu. Niezręcznie zawisam nad miniaturowym kubeczkim. Ostrożnie siusiam do środka tak, żeby nic nie prysnęło na boki – jestem już w tym ekspertką.

Następnie wkładam patyczek do kubeczka i czekam. Zaczyna się trzyminutowe odliczanie.

Chciałabym, żeby nadal oczarowywał mnie odgłos jego niespokojnych kroków za drzwiami. Kiedy się pobraliśmy, to pragnienie posiadania dziecka wydawało mi się czymś bardzo atrakcyjnym. Większość moich ówczesnych koleżanek odwlekała myśl o dzieciach, ale dla mnie macierzyństwo zawsze było największym marzeniem. Uważałam się za wielką szczęściarę, że poznałam starszego mężczyznę, który był gotowy na poważną relację. Gdy zaczęliśmy się spotykać, on był cenionym czterdziestoletnim profesorem w katedrze zdrowia publicznego i bioetyki – zdążył już zostać dyrektorem wydziału na Uniwersytecie Columbia – a ja entuzjastyczną dwudziestopięciolatką, kończącą właśnie studia magisterskie na dziennikarstwie. Dosłownie wpadłam na niego na stacji metra przy Sto Szesnastej Ulicy i tak się zaczęło.

Pamiętam, jak urodził się nasz synek, rozdygotany i z żółtaczką, skowycząc tak, jakby chciał swoim płaczem zagłuszyć największe ludzkie cierpienie. A następnie przez osiem lat Colton walczył z chorobą mitochondrialną, choć przez swoje wadliwe geny nigdy nie miał szans w tej walce.

Przez moje wadliwe geny. Zbyt późno odkryłam, że najważniejsze fragmenty mojego DNA, odpowiadające za produkcję energii, mają uszkodzony kod. Ta niewidzialna wada stała się moim nienaruszalnym dziedzictwem, powiększonym i trwale wyrytym w każdej komórce organizmu Coltona.

Teraz, trzy lata po jego śmierci, Ethan pragnie następnego dziecka. Drugiej szansy. Jakby moje popieprzone geny miały nagle zmienić zdanie, uszanować nasze cierpienie i tym razem się naprawić. Dla mnie fakty są boleśnie jasne: każde moje przyszłe dziecko z całą pewnością odziedziczy moje zmutowane DNA mitochondrialne. Ten rodzaj DNA zawsze jest przekazywany z matki na dziecko, praktycznie bez żadnych zmian.

Ale Ethan jest zawziętym optymistą i nie traci nadziei, bo stan zdrowia dziecka może przecież znaleźć się na zupełnie różnych skrajach spektrum, od zupełnie braku objawów jak u mnie, aż po nieuleczalne zaburzenia jak

u Coltona, nie wspominając o wszystkich możliwych kombinacjach pomiędzy. Moja babcia była zdrowa, ale matka cierpiała na napady tajemniczej niewydolności mięśni i miała kłopoty z oddychaniem aż do śmierci na zapalenie płuc w wieku czterdziestu ośmiu lat, kiedy ja byłam dopiero w drugiej klasie liceum. Skutki genetycznych uszkodzeń mitochondrialnego DNA są przypadkowe i niemożliwe do przewidzenia.

– Warto spróbować – przekonywał mnie Ethan. – Przecież zawsze możesz zrobić barania prenatalne, a jeśli okaże się, że jest źle...

Ja jednak nie mogę znieść myśli, że miałabym się szykować na kolejną stratę.

A przy tym nie potrafię odebrać mężowi nadziei, że jeszcze kiedyś zostanie ojcem. Był wspaniałym tatą, kochającym i pogodnym. Nigdy nie okazywał Coltonowi strachu, jaki gryzł nas coraz dotkliwiej w miarę postępowania jego choroby. Nie sądziłam, że dam radę przetrwać śmierć synka. Nawet teraz mój umysł ucieka jak najdalej od czarnej dziury tych wspomnień. Zostało we mnie zbyt wiele ciemności. Takie rzeczy, do których nigdy nie przyznałabym się nawet przed najbliższymi przyjaciółmi.

Ethan nigdy nie zdradził moich sekretów i wstydu. Wyciągnął nas oboje z otchłani wbrew magnetycznej sile przyciągania żałoby.

– Nie dam rady do tego wrócić – powiedziałam, kiedy zaczął sugerować, że powinniśmy znów zacząć się starać o dziecko. – Przecież wiesz, że nie mogę.

– Nie będziesz musiała – obiecywał. – Przeżyłaś taką długą drogę. Ja wierzę, że tym razem wszystko będzie inaczej. Zobaczysz.

Rok temu w nagłym przypływie nadziei Ethan przemałował dawny pokój Coltona na jasnożółto, z pasem przedstawiającym różne zwierzęta z zoo, jakby ta urocza ściana mogła zachęcić zdrowe dziecko do przyjścia na świat. Ochrzciliśmy nasz „nowy początek”, kochając się na pluszowym dywanie. Teraz wchodzi tam tylko nasza pani sprzątająca. W ogóle nie zapuszczamy się w tamtą część korytarza.

– Claire? – Ethan puka do drzwi łazienki. – Już minęły trzy minuty.

Z trudem przęłykam ślinę. Ethan mówi do mnie po imieniu tylko wtedy, kiedy jest już na granicy wytrzymałości.

– Poczekaj jeszcze chwilę! – wołam, choć wiem, że ma rację. Czas upłynął, a na patyczku nadal widnieje tylko jedna kreska.

Staram się kupić sobie jeszcze trochę czasu, zanim będę zmuszona znów go rozczarować.

Mam też do wykonania pewne niewiarygodne zadanie. Jest dokładnie szesnasta. Podciągam majtki i sięgam pod szafkę. Wyciągam pudełko na tampony, które nigdy nie jest puste. Tampony skończyły się w nim rok temu, ale nie wyrzuciłam opakowania. Wiem, że Ethan nie będzie zaglądać do środka.

Wyciągam różowy krążek z pigułkami antykoncepcyjnymi, wkładam sobie jedną białą tabletkę pod język i zatraskuję pudełko. Potem chowam wszystko z powrotem pod szafkę i otwieram drzwi łazienki.

Kiedy tylko Ethan widzi moją twarz, zmarszczka między jego brwiami się pogłębia. Mój mąż odgarnia z czoła kosmyk siwiejących blond włosów i wzdycha, nie zdobywając się nawet na pocieszające wzruszenie ramionami.

Już dawno przestaliśmy się bawić w zapewnienia w rodzaju: „Może następnym razem będziemy mieli więcej szczęścia”.

Chciałabym poczuć, jak obejmuje mnie mocnymi ramionami. Ale to też już się skończyło. Nie jestem pewna, czy w ogóle zostały w nim jakiegokolwiek zasoby energii, żeby mnie pocieszyć. Wpatruje się w podłogę. Nigdy wcześniej nie było aż tak źle, żeby nie mógł nawet na mnie spojrzeć.

Już kiedyś sugerowałam adopcję, choć bez przekonania. Ethan jednak upiera się, żebyśmy w pierwszej kolejności spróbowali zapłodnienia in vitro, bez względu na to, z jak gigantycznym kosztem albo z jak wielkim dyskomfortem mogłoby się to wiązać. Nie możemy tak żyć wiecznie. Droga naturalnego zapłodnienia – śledzenie cyklu, badanie temperatury ciała, pilnowanie czasu uprawiania seksu co do godziny – nie działa. Pozwalam mu wierzyć, że to przez mój wiek. Mam trzydzieści dziewięć lat, więc to nie byłoby niemożliwe. Myślę sobie, że prędzej czy później się podda i zdecyduje na adopcję. Ale w głębi serca

– choć wiem, jakie to samolubne – ja też nie chcę wychowywać cudzego dziecka, dopóki istnieje choć cień szansy, że moglibyśmy mieć własne zdrowe maleństwo.

Takie, które dożyje ósmego roku życia, wejdzie w wiek dwucyfrowy, będzie nas zadrećcać nastoletnimi huśtawkami nastroju i stanie się kiedyś dorosłe – i będzie nosić w sobie jakąś iskierkę Coltona. Nie wyobrażam sobie większego daru, niż móc wydać na świat brata albo siostrę Coltona. Ale nie zrobię tego, jeśli dziecko miałooby od urodzenia być skazane na chorobę.

Zrobiłabym wszystko, by uchronić swoje dziecko przed chorobą mitochondrialną. Nawet jeśli to wymagałoby zwodzenia własnego męża. Widzę dystans w jego spojrzeniu, rozczarowanie oddalające go ode mnie. Serce tłucze mi w piersi, bo zamierzam powiedzieć coś, co zmieni wszystko. Po tych słowach już nie będzie powrotu.

Wyobrażam sobie, jak w przyszłości wrócę do tej chwili, by wytłumaczyć, że musiałam skłamać, aby ocalić nasze małżeństwo – że należało utrzymać sprawę w absolutnym sekrecie, by chronić nas oboje. Wtedy Ethan będzie miał w ramionach zdrowe dziecko i będzie czuł niewyobrażalną wdzięczność. Zrozumie, jak bolesny był to dla mnie wybór, i podziękuje, że miałam dość odwagi, by samotnie dążyć do celu. Oboje zapatrzymy się na nasze śpiące dziecko, nie posiadając się z zachwytem nad tym życiem, które sprowadził na świat geniusz jednego lekarza. Jak on wtedy mógłby się na mnie gniewać?

– Postanowiłam dać szansę zabiegowi in vitro – wyrzucam z siebie.

Ethan natychmiast podnosi głowę.

– Zrobisz to?

– Wiem, jak wiele to dla ciebie znaczy, żebyśmy mogli mieć własne dziecko.

Z zaskoczeniem dostrzegam, że szklą mu się oczy. Przecież Ethan nigdy nie płacze. Musiał być bliższy załamania, niż mi się wydawało. Reakcja męża tylko umacnia mnie w postanowieniu.

– Nie mogę w to uwierzyć – wzdycha. – Myślałem już, że się poddasz.

– Zgodzę się na jedną próbę. Pod warunkiem... – Zawieszam głos, by podkreślić wagę swojej prośby.

– Pod jakim warunkiem?

– Że pozwolisz mi wybrać lekarza.

– A co to za różnica?

Patrzę mu prosto w oczy.

– Chcę iść do Roberta Nasha.

Ethan przewraca oczami.

– Bardzo śmieszne.

– Mówię poważnie. Należy do najskuteczniej leczących niepłodność w kraju.

Nie wspominam o drugiej przyczynie, dlaczego wybrałam akurat jego. Tej prawdziwej. Niepokorny doktor Robert Nash swoimi przełomowymi badaniami sprawił, że pacjentki go pokochały, ale przysporzył sobie też wielu krytyków. Ethan – który zasiada w prezydenckiej komisji doradczej do spraw bioetyki, z którą rząd konsultuje się w sprawie nowych technologii medycznych – kilka lat temu postawił Nashowi bardzo poważne zarzuty w prasie. Gdy Nash ogłosił swój sukces w wytłumianiu genu powiązanego z rozwojem zaburzeń słuchu w okresie zarodkowym, Ethan napisał pogardliwy artykuł na ten temat. Komentarz natychmiast zajął pierwsze miejsce na liście najczęściej czytanych tekstów „New York Timesa”. Mój mąż z wielkim zaangażowaniem rozwodził się nad zagrożeniami, jakie wiążą się z manipulowaniem ludzkim życiem: wspomniał o niebezpieczeństwie projektowania dzieci, nieznanym jeszcze skutkach ubocznych i arogancji wymazywania różnorodności z puli genetycznej. „Czy to możliwe, by niepełnosprawność jednego człowieka była stanem pożądanym przez drugiego? – napisał. – Powinniśmy być bardzo podejrzliwi wobec wszelkich medycznych interwencji, które marginalizują różne sposoby pełnoprawnego istnienia na świecie”. Kilka miesięcy później amerykańska Agencja Żywności i Leków – FDA – wprowadziła nowe rygorystyczne obostrzenia, zapobiegające modyfikowaniu genów ludzkich zarodków, a Nash odmówił dalszej publikacji jakichkolwiek wyników swojej pracy.

Ale jeśli plotki, na które natknęłam się w internecie, kryją w sobie choć ziarno prawdy...

– Poważnie? – Ethan kręci głową. – Przecież to pajac.

Tłumię wzbierającą irytację. Wpływowe przekonania Ethana o ryzyku, jakie niesie biotechnologia, stanowią kość niezgody między nami. To doprowadziło już do niejednej kłótni przy stole, choć do tej pory wszystkie nasze sprzeczki na ten temat miały charakter czysto teoretyczny.

– Wiesz co – mówię – tak się składa, że w środowisku pacjentów walczących z niepłodnością on jest wielkim autorytetem.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że on mnie na pewno nienawidzi? Przecież to oczywiste.

Macham lekceważąco dłonią.

– Przecież cię nie pozna. – Ethan nie lubi blasku fleszy. Po tym, jak jego artykuł zyskał wiralową popularność w internecie, proponowano mu udział w talk-show o krajowym zasięgu, ale odmówił. W efekcie to tylko jego imię i nazwisko coś znaczy, a nie twarz. A tożsamość przecież łatwo można zmienić.

Mimo to Ethan nie próbuje ukrywać dyskomfortu.

– Nie możemy iść do nikogo innego? Do kogokolwiek?

– Miałam przeczucie, że w tym cyklu i tak nie wyjdzie, więc już umówiłam się na wizytę. – Biorę go za rękę, splatam nasze palce. – No i to chyba jednak jest nasz szczęśliwy dzień, bo zazwyczaj ma pełny grafik na sześć tygodni do przodu, ale ktoś odwołał wizytę.

Ethan się waha.

– Na kiedy?

– Jutro. Widzimy się z nim równo o dziewiątej.



TERAZ

**ABBY**

Już mam zamknąć się w pokoju, kiedy słyszę głosy kłócących się rodziców. Wciąż są w jadalni. Ostrożnie uchylam drzwi i nadstawiam ucha.

Z parteru dobiega głos taty.

– Ale przecież ona nie może nic zrobić. Bo niby jak?

Potem chyba zaczynają szeptać, bo już nic więcej nie słyszę.

Na pewno rozmawiają o mnie. Nie chcą, żebym poznała prawdę o kuzynce mamy. Wydaje im się, że odpuszczę, bo nie mam innego wyjścia.

No to się jeszcze zdziwią. Jest coś, co mogę zrobić, i nie cofnę się przed tym. To strasznie niesprawiedliwe, że dalej traktują mnie jak małe dziecko. Przecież już ze sto lat temu przestałam wierzyć w Świętego Mikołaja, ale mama dalej upiera się, by udawać, że to on mi co roku wkłada prezenty do skarpety, a tata tylko wzrusza ramionami, bo przecież nie może jej powstrzymać. Ona sądzi też, że nigdy nie widziałam filmu dla dorosłych i że nie korzystam z żadnych mediów społecznościowych, bo „to niebezpieczne rozmawiać z ludźmi przez internet”, chociaż Riley założyła mi konto na Instagramie i mam już pięćdziesięciu sześciu obserwatorów – to prawie wszyscy z piątej klasy w mojej szkole. Mogę sprawdzać swoje konto tylko na laptopie, bo mama nie zgadza się, żebym miała smartfona jak wszyscy. Wiem, że ona ma poważne problemy nerwowe, ale jestem już za duża na takie pilnowanie na każdym kroku.

Korzystając z tego, że rodzice wciąż są na dole, uruchamiam swój plan.

Nie mogę się już zalogować na MapMyDNA, bo skasowali mi konto i zainstalowali na komputerze ten debilny filtr rodzicielski.

Ale przecież Riley może się zalogować.

Piszę do najlepszej przyjaciółki na tym wieśniackim telefonie z klapką.

„Hej, zamówisz mi nowy zestaw MapMyDNA i przyniesiesz do szkoły. Oddam ci kasę. Tylko nikomu nie mów!!”

Riley odpisuje i wysyła mi linijkę zaskoczonych emotikonek.

„Co tam wymyśliłaś?!”

„Jutro ci powiem ;)”

Zestaw zawiera specjalny patyczek z wacikiem do zebrania śliny z wewnętrznej strony policzka. Trzeba go odesłać z powrotem, żeby w laboratorium mogli zbadać twoje DNA. Potem za dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów plus koszt wysyłki możesz dostać pełne wyniki. Na szczęście mam odłożone sto czterdzieści pięć dolarów z kieszonkowego.

Jutro wyjaśnię Riley, że zamierzam zbadać DNA mamy, żeby sprawdzić, w jakim stopniu dokładnie jest spokrewniona z tą kobietą, bo przecież geny nie kłamią. Jeśli rzeczywiście są kuzynkami, będzie musiała powiedzieć mi prawdę. A wtedy może do niej dotrze, że nie może mnie dłużej traktować jak małego dziecka.

Pozostaje tylko jeden kłopot: jak mam zdobyć próbkę jej śliny?

## PRZEDTEM

# CLAIRE

Kiedy Ethan i ja docieramy do kliniki i wchodzimy do budynku z czerwonej cegły na Central Park West, mąż zatrzymuje mnie przed drzwiami.

Na ścianie wisi plakietka ze złotym napisem: ROBERT NASH, DR N. MED.

– Sam nie wiem – mamrocze Ethan. – Mam złe przeczucia.

– Nie stresuj się – uspokajam, gładząc go po plecach. – Nie powiemy mu, kim jesteś.

Bo wtedy w życiu mi nie zaufa, dodaję w myślach.

Przypominam Ethanowi, że umówiłam wizytę pod panińskim nazwiskiem – Glasser zamiast Abrams – więc lekarz nie będzie miał żadnych powodów do niechęci.

– Powinnaś była pozwolić mi wybrać lekarza – odpowiada mąż z irytacją. – Mogłem nam załatwić wizytę u najlepszego specjalisty na Uniwersytecie Columbia.

– Tak jest okej.

– Ale przecież wiesz, że się w tym specjalizuję.

– Będziesz mógł wybrać lekarza, kiedy wyhodujesz sobie własną macicę – prychem, otwierając drzwi.

Poczekalnia wygląda bardziej jak spa niż przychodnia lekarska: białe skórzane kanapy, szklany dzbanek z wodą i plasterkami cytryny, koncert fortepianowy plumkający z głośników. Zastajemy jeszcze jedną pacjentkę – kobietę po czterdziestce. Nie jest w widocznej ciąży. Co chwilę podnosi wzrok znad telefonu i zerkna na drzwi gabinetu.

Udaję, że zaczynam czytać czasopismo „Zdrowa ciąża”, choć tak naprawdę aż dygoczę z podniecenia. Odpływam w wyobraźni tak daleko, że nawet nie zauważam, jak Ethan posyła mi ugodowy uśmiech.

– Może już niedługo to będziesz ty – mówi, wskazując na artykuł „Czego nie jeść w pierwszym trymestrze”.

– Mam nadzieję.

Kilka minut później w drzwiach pojawia się pielęgniarka i wywołuje mnie po nazwisku, którego nie używam od ponad dekady.

– Pani Glasser? Zapraszam tędy.

Ruszamy za nią przez korytarz, mijamy szereg pustych gabinetów i wchodzimy do pustego pokoju z drewnianą boazerią. Przed szerokim dębowym biurkiem wiśniowej barwy czekają na nas dwa fotele klubowe obite skórzaną tapicerką.

– Pan doktor przyjdzie do państwa za chwilę – dodaje pielęgniarka, zamykając drzwi. Moja ciekawość bierze górę nad grzecznością, więc zaczynam się kręcić po gabinecie. Ethan tymczasem zapada się w fotelu i ucieka przed rzeczywistością w telefon. Na ścianach wisi kilka dyplomów z Uniwersytetu Nowojorskiego i Harvardu, wszystkie oprawione w lśniące czarne ramki.

– Najlepsze uczelnie – zauważam.

Ethan rzuca obojętne spojrzenie w stronę certyfikatów.

– Super.

Omiotam wzrokiem lśniący blat biurka, patrzę na nowego maca z podwójnym monitorem, potem na regały z takiego samego wiśniowego dębu. Półki są zastawione ciężkimi medycznymi tomiszczami, takimi jak *Kliniczna endokrynologia ginekologiczna* i *Rozwój zarodków w fazie preimplantacyjnej*.

– Nie ma tu żadnych zdjęć rodzinnych – zauważam.

Jako dziennikarka czasopisma popularnonaukowego „Mindset” jestem zafascynowana ludźmi, których zajęcie wymaga od nich wyznaczania jasnych granic. Moja praca polega na tym, żeby je przełamywać, zagłębiać, odkopywać każdą istotną informację i naświetlać ją na potrzeby ogółu.

Tajemnica dobrego wywiadu kryje się w tym, żeby pozyskać zaufanie osoby ukrytej za profesjonalną fasadą – nieważne, czy to lekarz, naukowiec czy dyrektor – poprzez znalezienie z nią jakiejś naturalnej więzi. Niektórzy jednak są o wiele bardziej nieprzystępni niż inni. Szczególnie jeśli mają coś do ukrycia.

– Claire – wzdycha Ethan. – Siadaj, zanim przyłapią cię na węszeniu po kątach.

Opadam na sztywny skórzany fotel kilka sekund przed tym, jak otwierają się drzwi gabinetu.

Doktor Nash okazuje się wyższy i młodszy, niż się spodziewałam – jest mniej więcej w moim wieku, lecz robi zdecydowanie większe wrażenie. Ma ostre, symetryczne rysy, nadające mu pewną surowość pomimo neutralnego wyrazu twarzy. Jego niesforna czarna czupryna sugeruje jednak coś zupełnie przeciwnego, zupełnie jakby ten lekarz wymykał się regułom, może nawet miał skłonność do zabawy.

Kiedy Ethan i ja wstajemy, żeby podać mu rękę, okazuje się, że Nash znacznie przewyższa posturą mojego męża, który przy swoim metrze siedemdziesięciu siedmiu nie ma się czego wstydić. Widząc wąski uśmiech Ethana, natychmiast się orientuję, że wcale nie cieszy go konieczność patrzenia z dołu na człowieka, którego kiedyś poniżył.

Wymieniamy uprzejmości, przedstawiamy się. W przeciwieństwie do innych lekarzy, którzy słuchając pacjentów, przeskakują wzrokiem między papierami a komputerem, Nash spleta dłonie na biurku i uśmiecha się do nas uprzejmie. Jego szare oczy wydają się prześwietlać moją udawaną tożsamość na wylot, choć wiem, że to niemożliwe.

– A więc jak mogę państwu pomóc? – pyta.

Zerkam na Ethana, zauważając ślady, jakie nasza tragedia odcisnęła na jego pomarszczonym czole i cofniętej linii włosów. Mąż kiwa głową, zachęcając, żebym to ja wyjaśniła sytuację.

– No cóż. – Odkasłuję nerwowo. – Chcielibyśmy mieć dziecko, ale potrzebujemy dawczyni jajeczka. – Przy słowie „jajeczka” zaczynam zwalniać.

Jeśli nawet Nash to zauważył, to nie daje tego po sobie poznać.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś – przerywa mi Ethan. – Sądziłem, że chcesz spróbować sama. – Ton jego głosu zdradza nutę oburzenia, choć ze względu na obecność lekarza zdołał je nieco stłumić.

– Myślałam nad tym i... Uważam, że to zbyt ryzykowne.

– To znaczy? – dopytuje Nash.

Opowiadam mu pokrótce o Coltonie. Im szybciej przez to przebrniemy, tym niższe ryzyko, że się rozsypię. Czuję się tak, jakbym wpadła w poślizg na jeziorze skutym kruchym lodem.

Nash poważnieje.

– Bardzo mi przykro. – Spogląda na Ethana. – Uważam, że pańska żona podejmuje bardzo mądrą decyzję, by nie ryzykować znów z własnymi komórkami jajowymi. Nie ma żadnego sposobu na przewidzenie przed narodzinami, jak poważnie będzie obciążone dziecko.

No właśnie, myślę.

Ethan marszczy brwi.

– Ale sądziłem, że zależy ci na naszym własnym dziecku?

Tak! – krzyczę w duchu. – Oczywiście, że mi zależy!

Postanawiam jednak nie mówić tego na głos.

– Bardziej mi zależy na zdrowym. Musimy wybrać między jednym a drugim – odpowiadam zamiast tego. Niewinnie spoglądam na Nasha. – Prawda?

Nie ściąga lekko warg, nie podnosi powiek. Po latach przeprowadzania wywiadów jestem wyczulona nawet na delikatne zmiany mimiki, ale Nash wygląda na doskonale wyćwiczonego w zachowywaniu neutralności. Jego twarz jest całkowicie spokojna.

– Niestety, obawiam się, że tak.

Ethan wychyla się z fotela.

– A co z diagnostyką preimplantacyjną blastocysty? Przecież można przeprowadzić biopsję węzła zarodkowego, żeby wskazać nieprawidłowości genetyczne i odsiać te najbardziej obciążone, prawda?

Cała sztywnieję. Czyli to Ethan będzie prowadził negocjacje, nawet jeśli miałyby przy tym mimowolnie odsłonić swoją prawdziwą tożsamość.

– Mówi pan jak prawdziwy ekspert. – Nash przygląda mu się z zaciekawieniem. – Czym się pan zajmuje, panie Glasser?

Wiem, że Ethan pewnie myśli sobie: Doktor Abrams, dyrektor programu bioetyki na Uniwersytecie Columbia.

– A, jestem nauczycielem – wyjaśnia zamiast tego. Milknie na chwilę. – Uczę biologii w liceum.

Wypuszczam powietrze z płuc. Trzymałam oddech jak zakładnika.

– A ja zajmuję się pisaniem – wtrącam. Nie żeby to miało jakieś znaczenie, ale czuję potrzebę odciągnąć uwagę od potknięcia męża. Bawię się złotym kółeczkiem w uchu.

– Pańskie pytanie jest ze wszech miar uzasadnione – przytakuje Nash. – Ale zaburzenia mitochondrialne to nie jest jakiś prosty problem genetyczny. Poziom mutacji nie zawsze jest powiązany ze stopniem zaawansowania choroby, więc nawet gdybyśmy spróbowali wybrać zarodki z najniższym wskaźnikiem wadliwego DNA, wciąż nie mamy gwarancji, że dziecko będzie dzięki temu zdrowsze. Ani w ogóle zdrowe.

Muszę kontrolować się z całych sił, żeby nie wyrzucić z siebie następnej myśli: „Ale przecież wie pan, jak to obejść, prawda?”.

Nash wstaje, wygląda biały fartuch i zaprasza gestem, żebyśmy poszli za nim.

– Przyjrzyjmy się pani, dobrze?

– Oczywiście. – Kiwam głową. Kiedy lekarz i Ethan wychodzą pierwsi z gabinetu, wpadam na pewien pomysł. Odpinam kolczyk i upuszczam go cichutko na podłogę.

Następnie drepczę za nimi do gabinetu badań i wskakuję na fotel, pokryty szorstkim papierowym prześcieradłem. Ethan zajmuje miejsce na stołku, a Nash czyta kwestionariusz z moją historią medyczną, który wypełniłam zawczasu.

Kiedy zaczyna omawiać proces wyboru dawczyni jajeczek, dotykam płatka ucha i gwałtownie wciągam powietrze.

– Szlag, mój kolczyk – przerywam mu. – Bardzo przepraszam, musiał mi wypaść z ucha w gabinecie. Zaraz wracam.

Pędzę z powrotem przez korytarz, wpadam do jego biura i zamykam za sobą drzwi. Otwieram szufladę w jego biurku i znajduję w środku kilka długopisów i karteczki samoprzylepne. Pospiesznie bazgrzę wiadomość na neonowożółtym bloczku:

*Znam pański sekret. Proszę pozwolić mi wyznać mój. Spotkajmy się o 21.00 w Stone Rose Lounge. Wydaje mi się, że możemy sobie pomóc.*

*(Za sprawą Jillian.) Claire Glasser*

Zostawiam bloczek przy klawiaturze i wracam do gabinetu, gdzie Ethan z całych sił próbuje ignorować Nasha, odpisując na maila na telefonie. Teatralnym gestem wkładam kolczyk z powrotem do ucha.

– Znalazłam! – ćwierkam. – No to na czym skończyliśmy?



TERAZ

**ABBY**

Tydzień później Riley pojawia się na pierwszej lekcji z plecakiem bardziej wypchanym niż zazwyczaj. Posyła mi szeroki uśmiech z drugiego końca sali i unosi kciuk.

Kiedyś siedziałyśmy obok siebie, ale bez przerwy gadałyśmy, więc wychowawczynie rozsadziła nas tak daleko, jak to tylko możliwe. Teraz mamy jeszcze więcej zabawy, bo przez cały dzień możemy sobie podawać karteczki. Co jakiś czas jedna przechodzi obok drugiej i upuszcza jej na kolana złożony kawałek papieru, kiedy nauczyciel nie patrzy. Przez cały dzień mamy lekcje w tej samej klasie, tylko nauczyciele się zmieniają. Ale jeśli chcemy być bardzo ostrożne, podchodzimy do półki na plecaki i wkładamy liścik do kieszonki. Cała piąta klasa używa tego sposobu do wymiany korespondencji, bo w ten sposób istnieje mniejsze ryzyko, że zostaniemy przyłapanie, niż gdybyśmy przekazywały sobie karteczki bardziej otwarcie. (Właśnie tak Tyler, w którym się podkochuję, powiedział, że mu się podobam: włożył mi do plecaka karteczkę, na której były dwa kwadraciki i pytanie: „Lubisz mnie? Zaznacz tak albo nie”. Zaznaczyłam „tak” i teraz czasami jemy razem lunch).

Dzisiaj Riley już na początku lekcji odsuwa krzesło. Zaczynają się poranne ogłoszenia: pozwolenia od rodziców na nadchodzącą wycieczkę, księgi pamiątkowe do przygotowania w przyszłym tygodniu. Riley tymczasem rusza do szafki, mijając mnie po drodze.

Udaję, że skupiam się na zeszycie. Pani Miller, nauczycielka plastyki, rysuje coś flamastrem na białej tablicy, stojąc plecami do klasy, więc nie widzi, jak

pięć Riley otwiera się nad moją ławką. Chwytam złożony kwadracik i otwieram pod ławką.

*Mam zestaw! Spotkajmy się w łazience na długiej przerwie.*

„Jesteś super”, mówię bezgłośnie, gdy odchodzi.

W tej samej chwili zauważam, że Sydney po mojej lewej posyła mi niechętnie spojrzenie. Uch. Nie lubimy się z Sydney. Zaczęło się w zeszłym roku – obraziła się, bo nie zaprosiłam jej na urodziny po tym, jak dowiedziałam się, że mówi na mnie „mysza” za plecami. A potem rozpuściła wstrętną plotkę o mojej mamie, że niby chowa się w domu, bo zakaziła się bakterią, która zjada skórę. Dyrektor kazał jej przeprosić, ale dalej nie jest między nami spoko. Ostatnio zapytała Tylera, czy chciałby się z nią spotkać po szkole, ale on powiedział, że nie, bo idzie na mój mecz piłki nożnej. Od tamtej pory jest na mnie wkurzona.

No dobra, mam teraz ważniejsze sprawy na głowie. Na przykład – jak przekonać mamę, żeby napluła do fiolki? Przypomina mi się, co nasz nauczyciel przyrody, pan Harrison, mówił o metodzie badawczej: zadaj pytanie, zapoznaj się z materiałami źródłowymi, stwórz hipotezę, przetestuj ją, przeanalizuj dane i wyciągnij wnioski. Ale co, jeśli cały eksperyment jest przeprowadzany w sekrecie? Jak wtedy w ogóle się do tego wszystkiego zabrać?

Następna jest lekcja przyrody. Postanawiam się zgłosić i zapytać.

Pan Harrison wygląda jak wielki, futrzasty niedźwiedź. Widząc moją podniesioną rękę, przerywa wywód o teorii heliocentrycznej.

– Tak, Abigail?

Próbuję zadać pytanie tak, żeby nie wzbudzić jego podejrzeń.

– No więc tak, kiedyś wszyscy myśleli, że Ziemia jest centrum wszechświata?

– No i?

– To jak Kopernik i inni astronomowie udowodnili, że tak nie jest?

Pan Harrison unosi krzaczaste brwi.

– Chodzi ci o to, z jakich teleskopów korzystali?

– Nie, jak im się udało przepchnąć ten pomysł?

– Najprościej powiedzieć, że im się nie udało. Czy ktoś wie na przykład, co się stało z Galileuszem?

Chłopak obok mnie podnosi rękę.

– Chyba go aresztowali?

– Gorzej. – Pan Harrison poważnieje. – Został oskarżony przez Kościół o herezję i skazany na areszt domowy na ostatnie dziewięć lat życia. – Znow patrzy na mnie. – Czy wystarczy ci taka odpowiedź?

No to mnie zachęcił.

– Eee... Chyba tak.

Teraz zgłasza się Riley. Dostrzegam w jej oku znajomy błysk.

– Ale było warto, prawda? Mimo że miał przez to takie kłopoty?

– O tak. – Nauczyciel powoli, mądrze kiwa głową. – Co więcej, powiedziałbym, że poszukiwanie prawdy nawet kosztem wielkich osobistych poświęceń stanowi definicję heroizmu.

Przyjaciółka posyła mi uśmiech. Okej – myślę. – To już bardziej mi się podoba.

## PRZEDTEM

# CLAIRE

Stone Rose Lounge to elegancki bar na trzecim piętrze. Są tu okrągłe skórzane boksy, a za przeszkloną ścianą roztacza się widok na południową stronę Central Parku. Kelnerzy w muszkach suną po marmurowej posadzce, podając drinki za dziewiętnaście dolarów tytanom mody i finansów, których wizja idealnego wieczoru z pewnością nie ma nic wspólnego z maleńkimi rączkami i bezzębnymi uśmiechami.

Nie pasuję tu. Ethan i ja w ogóle rzadko już wychodzimy na randki. Koncentracja na wyborze filmu i ładne ubranie wymaga za wiele wysiłku, nie wspominając nawet, jakie to wszystko puste. Siedząc między grupkami beztroskich nieznajomych, czuję się tak, jakbym zdradzała Coltona – jak gdyby ich wesołość podkopywała moją stratę.

Ale to spotkanie – jeżeli Nash w ogóle się pojawi – będzie bardzo dalekie od rozrywki. Siadam prościej, gładzę palcami diamentowe sztyfty w uszach, które wykopałam z pudełka na biżuterię. Zamierzam sprawiać wrażenie osoby racjonalnej i godnej zaufania, mimo że nadal czuję się jak oszustka, która tylko przebiera się za dawną Claire.

Już osiemnaście miesięcy temu odstawiłam antydepresanty, a mimo to każdego ranka się ubieram, wciąż co miesiąc piszę artykuły do czasopisma. Znajomi z pracy uważają, że wspaniale sobie poradziłam. Nie mają pojęcia, jak to wygląda od środka.

Popijam wściekle drogiego merlota i krzywię się w duchu na myśl, że oszukałam Ethana. Mój mąż sądzi, że wyszłam na drinka z redaktorką. Dzięki temu, jeśli postanowi zlokalizować mnie przez Find Friends, nie zdziwi się,

widząc, że jestem w barze. Mamy wspólne konto na aplikacji lokalizacyjnej z GPS-em. To może trochę kontrolujące, ale przydaje się, kiedy jedno z nas podróżuje albo nie możemy się do siebie dodzwonić.

Poprawiam głęboko wyciętą jedwabną bluzkę i upewniam się, że nie odsłania za dużo dekoltu. Między atrakcyjnym a zdzirowatym wyglądem przebiega cienka granica. Odrobina pierwszego nie zaszkodzi, ale to drugie natychmiast skazałoby mnie na porażkę.

Zerkam na telefon: osiemnaście po dwudziestej pierwszej. Żołądek mi się skręca.

Nie przyjdzie. To oczywiste. Odrywam wzrok od wejścia, próbując nie okazywać desperacji.

Pewnie uznał mnie za wariatkę. A może śmieje się z mojego liściku razem z żoną, jeśli ją ma. Wyobrażam sobie, jak ona przewraca oczami na widok pospiesznie nabazgranej notki, w której nawiązuję do naszych wspólnych „sekretów”. Boże, jakie to żałosne.

Dałam się ponieść! Ze względu na źródło plotek uznałam, że kryje się w nich prawda. Zastanawiam się, co mogłam zrobić nie tak.

Jakieś pięć lat temu, kiedy choroba Coltona przyspieszyła do ostatniego stadium, pracowniczka szpitala zaprosiła mnie do prywatnej internetowej grupy wsparcia Mamy MitoMaluchów. Kobiety z grupy mnie pocieszały, rozumiały moją rozpacz i odpowiadały na wszystkie pytania, od tego, jak czyścić rurkę do karmienia aż po ratunek przy nagłym spadku glukozy. Grupa zajmowała się także gorączkowym poszukiwaniem wiadomości o najnowszych badaniach chorób mitochondrialnych. Po latach zajmowania się chorymi dziećmi matki na forum, obeznane z tematem lepiej od wielu studentów medycyny, prychały na widok takich przesadnie optymistycznych słów jak „przełom” albo „lekarstwo”.

Kiedy więc zaufana członkini o nicku MamaJohna111 niedawno założyła nowy wątek zatytułowany „Poważny rozwój w laboratoriach w NY – chyba SERIO”, zwróciłam na to uwagę.

MamaJohna111 poznała kobietę o imieniu Jillian, pracującą w laboratorium Nasha. Nie byłam zaskoczona tym spotkaniem, bo matki z grupy miały wiele znajomości wśród naukowców prowadzących najbardziej innowacyjne badania tej choroby w Stanach Zjednoczonych. Ta Jillian zdradziła kobiecie kilka szczegółów z trwającego projektu Nasha, licząc na prywatne dofinansowanie od matek, które miały w swoim otoczeniu potencjalnych zamożnych sponsorów. Projekt był jednak tajny, więc informacji nie było wiele.

Dowiedziałyśmy się tylko, że Nash zdołał ponoć wytworzyć zdrową komórkę jajową u kobiet, które cierpią na choroby mitochondrialne. Innymi słowy, mogłybyśmy bezpiecznie urodzić własne genetyczne potomstwo, z jednym niewielkim zastrzeżeniem. Podobno wymyślił, jak zszyć DNA dwóch kobiet w jedno – zdrowe jądro komórkowe od kobiety takiej jak ja i zdrowe mitochondria od dawczyni, by zastąpić deficyt w komórkach matki. Teoretycznie to rzeczywiście możliwe, bo DNA mitochondrialne znajduje się poza jądrem komórkowym.

Powiedzmy, że jądro komórkowe to wielki, ważny dom, w którym mieszka prawie całe DNA komórki. DNA mitochondrium jest jak niewielki generator prądu na tyłach domu. Może i jest mały, ale to jego energia napędza cały budynek. Czasami jednak generator jest wadliwy i grozi eksplozją, przez którą cały dom legnie w gruzach.

Pomysł Nasha pozwala na ocalenie domu od spłonięcia poprzez przeniesienie go na inną, bezpieczną posesję, z której wcześniej usunięto dom. Pozostał tylko sprawny generator, czekający na nową posiadłość. W rezultacie może powstać całkowicie bezpieczne miejsce do zamieszkania – bez najmniejszego ryzyka eksplozji.

Mówiąc bardziej naukowym językiem, Nash być może zdołał stworzyć jajeczko-hybrydę, które następnie może zostać zapłodnione. Taki zarodek miałby dwie genetyczne matki i jednego ojca. Jeśli to prawda, zapoczątkował zupełnie nową, rewolucyjną ścieżkę tworzenia potomstwa posiadającego genetycznie troje rodziców – po raz pierwszy w historii. No i oczywiście to absolutnie

nielegalne, bo takie działanie łamie ostry federalny zakaz wprowadzania zmian w ludzkim materiale genetycznym celem reprodukcji.

Byłoby o wiele łatwiej, gdyby nie musiały w tym uczestniczyć trzy osoby – gdyby na przykład mój mąż był w stanie dostarczyć zdrowe mitochondria zamiast jakiejś przypadkowej dawczyni – ale niestety biologia tak nie działa. Tylko komórki jajowe – a zatem tylko kobiety – mogą przekazywać dalej ten konkretny materiał genetyczny.

Szanse, że taka transplantacja się powiedzie, są niewielkie, a ryzyko wysokie, lecz MamaJohna111 zakończyła swój wpis na forum stwierdzeniem, o którym nie mogę przestać myśleć:

*Dziewczyny, między wierszami odniosłam wrażenie, że dr Nash może szuka kobiety takiej jak my, która zgodziłaby się poddać testom klinicznym i spróbować urodzić zdrowe dziecko w ten sposób, oczywiście w ścisłej tajemnicy... Bo w przeciwnym razie nigdy nie zdoła tego przetestować ze względu na prawo. Jillian nie mogła tego powiedzieć wprost, ale przecież nie jestem głupia!*

Ta sugestia sprawiła, że znów rozbłysnął we mnie promyczek nadziei, który stłumiłam dawno temu: mogłabym urodzić (prawie) zupełnie swoje dziecko, poczęte przy niewielkim wsparciu najnowszej technologii. A jednocześnie odrodziłoby się moje małżeństwo, od zbyt dawna już definiowane przez bezradność i chorobę.

Nash jednak spóźnia się już dwadzieścia siedem minut.

Opieram głowę na dłoni, zamykam oczy. Pulsujący ból w czaszce grozi przybraniem na sile, eksplozją i przemianą w migrenę. Elegancka atmosfera baru, gwar rozmów i jazz nie pomagają. Chwytam swoją niedizajnerską torebkę i zbieram się do wyjścia.

– Pani Glasser?

Nash stoi przy skraju mojego boksu z torbę przewieszoną przez ramię. Ma na sobie czarny trencz, opinający potężną sylwetkę. Twarz mu się zaróżowiła, jakby biegł przez kilka przecznic, a bujne włosy całkiem się potargały. Posyła mi

zrezygnowany uśmiech, jakby uważał, że miałam prawo czegoś się po nim spodziewać.

– Przepraszam za spóźnienie. Nie byłem pewien, czy jeszcze panią zastanę.

Kołyszę czerwonym płynem w kieliszku i uśmiecham się lekko, choć mam wielką ochotę zerwać się z siedzenia i go objąć.

– Jestem zbyt skąpa, żeby nie dokończyć wina.

– To zrozumiałe. – Lekarz wsuwa się na kanapę po przeciwnej stronie stolika i odkłada teczkę na bok. W przytłumionym świetle, rozproszonym jedynie lśniącymi sylwetkami wieżowców za oknem, jego twarz rysuje się jeszcze ostrzejszymi płaszczyznami niż za dnia: ciężki strop czoła, nieco zbyt ostro zakończony nos, wydatna żuchwa i podbródek. Jest przystojny w agresywnie męski sposób. Nie mogę się powstrzymać od myśli o miękkiej, życzliwej twarzy mojego męża i jego jeszcze bardziej miękkiem wnętrzu.

– Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas. Zdaję sobie sprawę, że mój liścik nie był zbyt... – Urywam, niepewna, na czym stoję.

– Konwencjonalny? – Nash przekrzywia głowę.

– Chciałam powiedzieć „subtelny”, ale to też się zgadza. – Nagle uświadamiam sobie, jak szybko bije mi serce. – Chce pan coś zamówić?

– Nie piję. – Mówi to obojętnym tonem, bez zażenowania. Jako dziennikarka muszę powstrzymać się przed zapytaniem o przyczynę. Wścibska natura mojej pracy niemal odebrała mi zdolność wchodzenia w normalne interakcje społeczne.

– Jasne, rozumiem. – Upijam łyk wina, żeby kupić sobie chwilę, ale wygląda na to, że on nie przepada za rozmowami o pogodzie.

– Skąd zna pani Jillian? – Nash patrzy mi prosto w oczy. To wytrąca mnie z równowagi.

– Pańską współpracownicę? Och, nie znam jej – wyjaśniam, machając dłonią. On spogląda na mnie spod zmrużonych powiek. Zaczynam się niespokojnie wiercić.



– Słyszał pan o grupie Mamy MitoMaluchów? Jedna z naszych forumowiczek ją poznała i dowiedziała się o pewnych... rzeczach, nad którymi pracujecie.

– O jakich rzeczach? – Jego twarz pochmurnieje.

– Tych z... jajeczkami – wyrzucam z siebie wreszcie. Zniżam głos. – I z donacją mitochondrialną...

– Jezu Chryste. – Nash zerka na boki, mamrocze coś pod nosem.

– Wydawało mi się, że szuka pan...?

On gapi się na mnie pustym wzrokiem.

No dobrze, może wcale nie szuka ochotniczek.

– Nieważne. – Płonąc z zażenowania, sięgam do torebki po banknot dwudziestodolarowy, żeby zostawić go na stoliku. – Pójdę już.

– Nie. – Lekarz łapie mnie za rękę. – Muszę wiedzieć, co ona pani powiedziała.

Powtarzam suche fakty, które udało mi się zebrać.

– Oczywiście trzymam pana stronę. Tak jak wszystkie MitoMamy. Jesteśmy ostatnimi osobami, które mogłyby panu zaszkodzić.

Nash siedzi nieruchomo. Zbyt nieruchomo. Spogląda przez okno na zacienione korony drzew Central Parku. Czekam w niezręcznej ciszy. Wreszcie znów spogląda na mnie z ponurą miną.

– Musiała się wygadać w najgorszej chwili.

– Była tylko podekscytowana – protestuję, rzucając się na ratunek Jillian, której nigdy nie spotkałam. – Wie, że jesteśmy z panem, więc nie było żadnego ryzyka.

– Chyba nie rozumie pani, jaki to newralgiczny moment.

Podnoszę rękę.

– Proszę mi wierzyć, rozumiem.

Wszyscy w kręgach bioetycznych takich jak wydział Ethana mówią tylko o ostatniej drakońskiej karze, jaką Agencja Żywności i Leków dowaliła zespołowi naukowców z Yale, którzy odkryli, jak wytworzyć sztuczne komórki jajowe i plemniki, a następnie zmusić je do zapłodnienia, by powstał z nich

zarodek – bez żadnego udziału rodziców. Naukowcy twierdzili, że formalnie nie łamią prawa, bo nie ingerowali w geny naturalnego zarodka, ale FDA się z tym nie zgodziła i nie tylko zamknęła laboratorium, ale jeszcze wytoczyła im sprawę karną.

„Życie ludzkie jest świętością, a nie pożywką do nieodpowiedzialnych eksperymentów o nieznanym nam konsekwencjach” – głosiła Agencja w swoim oświadczeniu. Ten cytat natychmiast trafił na pierwsze strony gazet, a Ethan odczytał mi go triumfalnie przy śniadaniu, wymachując łyżką, którą jadł płatki. „Być człowiekiem oznacza mieć dwoje biologicznych rodziców, nie mniej i nie więcej. Wszystko inne stanowiłoby odrzucenie naszego wspólnego dziedzictwa, a także niepotrzebną redefinicję i zagrożenie dla przyszłych pokoleń, a co za tym idzie, także dla bezpieczeństwa całego gatunku ludzkiego”.

Oczywiście badania Nasha będą mieć równie poważne konsekwencje jak grupy z Yale. Troje rodziców to sytuacja zakazana w tym samym stopniu co ich brak. Nie ma wątpliwości, że FDA rzuci się, by tym razem również egzekwować prawo.

– Po prostu nie wierzę. – Nash wzdycha. – To najinteligentniejsza badaczka, z jaką kiedykolwiek pracowałem, naprawdę. Ma kosmiczny potencjał. I nagle odstawia mi taki numer? Jeśli prasa się o tym dowie...

– Nie dowie się – zapewniam stanowczo.

Może to nie najlepszy moment by przyznać, że ja też jestem dziennikarką, chociaż moja naczelna w „Mindset” zabiłaby za taki materiał. Ale mnie to nic nie obchodzi. Interesuje mnie gra o wyższą stawkę. Mogę odejść teraz i do końca życia się nad tym zastanawiać albo porozmawiać z nim prosto z mostu. Nagle atakuje mnie wspomnienie Coltona: dzień, kiedy został odwieziony na sygnale na oddział intensywnej terapii, gdy sepsa rozpełzła się w jego żyłach. „Mamo! – szlochał, ściskając mnie w gorączce. – Mamo, nie chcę już tego ciała!”

Biorę drżący wdech, żeby się opanować.

– Wiem, że mnie pan nie zna, ale możemy sobie pomóc.

– Wspomniała już pani o tym. – Głos Nasha brzmi sceptycznie, ale ja prę naprzód.

– Niczego na świecie tak nie pragnę, jak urodzić własne zdrowe dziecko, a pańska metoda to dla mnie jedyna szansa. Mogę być pana pierwszym ludzkim królikiem doświadczalnym.

Lekarz reaguje śmiechem. Naprawdę się śmieje, choć nie ma w tym ani cienia radości. To coś bardziej jak suche prychnięcie.

Mój oddech znów przyspiesza.

– Nie żartuję. Przeszłam przez piekło, chcę tylko dostać jeszcze jedną szansę na zostanie matką. Po tym, jak straciłam syna... – Mocno przygryzam wargę. – Błagam. Zrobię wszystko.

Nash mi się przygląda, ale z jego twarzy nie da się nic wyczytać. Nie potrafię stwierdzić, czy się nade mną lituje, czy mnie ocenia. Po chwili wstaje i sięga po teczkę.

– Idzie pan sobie?

– Przykro mi z powodu pani syna – mówi tak łagodnym tonem, że nawet mu wierzę. Następnie jednak jego głos przybiera ostrzejszy ton. – Niestety to spotkanie było pomyłką. Uważam, że powinna pani poszukać innego lekarza.

Jego oczy zdradzają smutek kontrastujący z surową kreską zaciśniętych warg. Następnie Nash odwraca się na pięcie i rusza ku drzwiom.

\* \* \*

## JILLIAN

Podczas gdy większość ludzi w moim wieku spędzała piątkowy wieczór na imprezach – to znaczy nawalali się w przypadkowych knajpach – ja byłam zajęta analizą raportu z laboratorium.

To najnowsze dane z Double X – eksperymentów z transplantacją jądra komórkowego. Chromosom płci w komórce jajowej to zawsze X, a plemnik może dodać X albo Y. Tak więc połączenie DNA dwóch jajeczek – dwóch X – by stworzyć jedno doskonałe, podsunęło mi skrótową nazwę projektu – Double X, czyli „Podwójne X”. Poza mną stosuje ją tylko Nash, bo nikt oprócz nas nie pracuje nad tym projektem.

To dla mnie pod wieloma względami praca marzeń. Przede wszystkim dlatego, że klinika płodności Nasha przylega do jego prywatnego laboratorium, a co za tym idzie, ma on dostęp do praktycznie nieograniczonej liczby jajeczek, nad którymi może pracować; daje zniżki na in vitro pacjentkom, które zgadzają się przekazać część nieużytych jajeczek do badań. A poza tym nigdy wcześniej nie pracowałam z kimś, kto jest tak blisko geniuszu.

Podczas zakreślania różnych wyników i danych nie mogę powstrzymać myśli dryfujących z powrotem do tej elektryzującej chwili, do której doszło między nami po południu. Tego nie da się zmierzyć ani zbadać. Nieważne, że jest moim szefem, że ja mam dwadzieścia cztery lata, a on czterdzieści dwa. To napięcie niezaprzeczalnie istnieje.

Pocieram powieki, usiłując przywołać szczegóły wspomnienia. W mojej ciasnej kawalerce panuje mrok, odpędzany jedynie przez kałużę żółtego światła na biurku. Blask księżycy nie oświetla Jaskini – tak nazywam to miejsce. Moje jedyne okno wychodzi na ceglana ścianę, kuchnia to niewiele więcej niż minilodówka, a łazienkę można by pomylić z szafą. To brzmi jak żart, a jednak na stypendium podoktoranckim ledwo mnie stać na tę kłitkę na Upper West Side. Ale wystarczy przejść pięć przecznic i już jestem w laboratorium.

Nash nie szasta komplementami. Jedno spojrzenie pełne aprobaty wystarczy, żebym przez tydzień unosiła się nad ziemią. Najpierw przyglądał się, jak demonstruję moją innowacyjną metodę wycinania jądra komórkowego z komórki jajowej dawczyni, żeby zachować jak największą integralność komórki. Pokiwał głową z takim uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: „A niech mnie”.

– Będiesz kiedyś wielka, zdajesz sobie z tego sprawę?

– A daj spokój – zachnęłam się, choć wiedziałam, że ma rację. Byłam tego pewna, odkąd w siódmej klasie pan Sear, mój nauczyciel biologii, zatrzymał mnie po lekcji i spytał, czy nie wolałabym chodzić na zajęcia na miejscowy uniwersytet. „Taki poziom byłby bardziej odpowiedni do twojej wiedzy i umiejętności”, wyjaśnił. Po kilku miesiącach na uczelni już błyszczałam na zajęciach z biologii i statystyki, zdumiewając studentów pierwszego roku łatwością, z jaką przyswajałam wiedzę. Myślałam przy tym dużo nad uwagą pana Seara, wyobrażając sobie obiecującą przyszłość, jaką sugerował mi nauczyciel.

Teraz, świeżo po obronie doktoratu z biologii molekularnej na Harvardzie, jestem jednym z najmłodszych ekspertów, jacy kiedykolwiek działali na tym polu. A przecież dopiero zaczynam.

– Mam szczęście, że cię spotkałem. – Nash spojrzął mi w oczy. – Mówię poważnie.

– Czy to oznacza podwyżkę? – Papierowa maseczka i gogle powiększające zakrywały mi większość twarzy, ale on na pewno dostrzegł, że się uśmiecham. Staliśmy obok siebie przy mikroskopie. Nagle, ku mojemu zaskoczeniu, objął mnie ramieniem.

– Może po prostu odpalisz mi procent, kiedy już dostaniesz Nobla?

– Zgoda – odparłam. Ku mojemu rozczarowaniu Nash zabrał rękę, ale wciąż pamiętałam jej ciężar. Poczułam mrowienie w ramionach. Nigdy wcześniej się nie dotknęliśmy. Czy to coś oznaczało? Ten gest był zbyt krótki, by sugerować cokolwiek poza mentorską zachętą, ale może...

Nagle ktoś łomocze do drzwi, aż się trzęsą. Wyskakuję z krzesła; już po dziesiątej. Nikt nie odwiedza mnie o takiej porze.

– Kto tam?

– To ja – odzywa się znajomy głos. Przyszedł tutaj?! Pędzę do lustra i wyglądam włosy, po czym otwieram. Późnowieczorna wizyta może oznaczać tylko jedno.

Moja nadzieja jednak gaśnie równie szybko, jak zapłonęła. Nigdy nie widziałam Nasha równie rozjuszonego. Ma zaciśnięte szczęki, różowe policzki, czoło lśniące od kropelek potu.

– Co się stało? – pytam spanikowana. – Dobrze się czujesz?

On wchodzi do mieszkania bez słowa i zapala światło. Pierwszy raz widzi to miejsce; jestem zażenowana skromnością swojego lokum, ale to oczywiste, że teraz nie interesuje go, jak mieszkam. Przygląda mi się z zimną furią.

Natychmiast wracam myślami do naszego pożegnania kilka godzin wcześniej: posprzątałam swoje rzeczy, zapisałam postępy z całego dnia we właściwym dokumencie na dysku i życzyłam mu dobrej nocy, wciąż w euforii po naszym przelotnym kontakcie. On posłał mi uśmiech i zrobił taki gest, jakby unosił kapelusz z głowy: „Dobra robota”.

– Hendricks, jesteś zwolniona.

Chwytam się krawędzi biurka.

– Słucham?

Przy tak potężnym wzroście jego czerwona twarz przypomina czynny wulkan.

– Jesteś wybitnie utalentowana, ale nie mogę ci ufać. Zbyt wiele ryzykuję.

– O czym ty gadasz? Jestem najlepszą współpracownicą, jaką w życiu miałeś.

– Wiem. – Nash zaczyna krążyć po pokoju. – Ale to, co narobiłaś... Wygadałaś się tym MitoMamom o naszych badaniach, choć doskonale wiesz, że teraz są nielegalne. – Przystaje i patrzy mi w oczy. – Coś ty sobie wyobrażała?

– No tak, już rozumiem – odgryzam się z uśmiechem. – Rzeczywiście, próby zdobycia dodatkowych źródeł finansowania to niewybaczalne wykroczenie. Racja.

– Kobieta, której to powiedziałaś, wypaplała wszystko na całym forum!

– Nie szkodzi, one są po naszej stronie.

– Tak, aż za bardzo. Jedna właśnie mnie dopadła i proponowała, że podda się pierwszej próbie na ludziach. – Nash przewraca oczami. – Powinnaś mieć więcej rozumu. Te biedne kobiety są zdesperowane.

– No i co? – Zadzieram podbródek. – Mają prawo się tak czuć. I już wcześniej pomogły nam zebrać fundusze, więc chyba powinny wiedzieć, do czego to zmierza?

– Nie powinny, jeśli to znaczy, że będą kłapać dziobami na wszystkie strony! Dziwne, że prasa jeszcze do mnie nie dzwoniła, a zaraz potem służby federalne. Jeszcze chwila i oboje będziemy bez pracy. W najlepszym razie.

W myślach już zaczynam się zastanawiać, jak mam znaleźć nowe stypendium podoktoranckie po nagłym zwolnieniu i bez rekomendacji. Jak zapłacę za czynsz bez tego głównianego dofinansowania? Prędzej wbiję zęby w ścianę, niż poproszę rodziców o pieniądze. Prowadzą elitarną prywatną szkołę na północy stanu Nowy Jork, skąd wysyłają bogate dzieci z dobrych domów prosto na uczelnie Ligi Bluszczowej. Jako jedynaczka dorastałam w gąszczu oczekiwań i ambicji, które jeszcze się rozrosły, gdy ujawniły się moje wybitne zdolności. Ojciec oprawiał sobie moje szóstkowe klasówki w ramki i wieszał na ścianie w gabinecie. Wszystkim gościom mówił: „Jilly daleko w życiu zajdzie”. Nawet załatwił mi artykuł w lokalnej prasie, kiedy w wieku trzynastu lat zostałam przyjęta do Bard College. A teraz, po błyskotliwym starciu, miałabym skończyć w taki sposób? Kompromitacja, usunięcie z uczelni, do widzenia, krzyżyk na drogę?

Nash obserwuje mnie w milczeniu, dając czas na przetrwanie następnych kroków – nieuniknione przeprosiny, logistyczną rozmowę o pozbieraniu rzeczy z laboratorium, jakieś koszmarnie, sztywne pożegnanie.

– Nie zamierzam na to pozwolić.

Ogarnia mnie spokój. Nie wejdę łagodnie do tej dobrej nocy <sup>1</sup>.

– Nie możesz mnie zwolnić – mówię. – A w każdym razie nie powinieneś.

– Czyżby? – Słyszę w jego głosie nutę rozbawienia; to dodaje mi śmiałości.

– To byłby twój największy błąd.

– Posłuchaj, rozumiem, że...

– Nie, nic nie rozumiesz. – Przeciskam się obok niego, podchodzę do regału z książkami i ściągam z półki biografię brytyjskich legend medycyny, Roberta

Edwarda i Patricka Steptoe. Na okładce widnieją fotografie dwóch podstarzałych mężczyzn w grubych czarnych okularach i w ciemnych garniturach.

Podnoszę książkę i mu ją pokazuję.

– Pamiętasz ich?

– Oczywiście. – Nash splata ramiona na piersi. – Ojcowie in vitro.

– No właśnie. To oni stworzyli pierwsze dziecko z próbówki w siedemdziesiątym ósmym.

– I co to ma wspólnego z tobą?

– Tak się składa, że sporo. Domyślam się, że nie czytałeś ich biografii. – Mocno ściskam książkę w dłoniach. – Wiedzieli, że świat będzie oburzony powstaniem dziecka w laboratorium, że nikt nigdy nie pozwoli im na przeprowadzenie eksperymentu. Dlatego postanowili zrobić coś, na co nie zdobył się nikt przed nimi i wykonali eksperyment w tajemnicy, a potem ukrywali go przez całe dziewięć miesięcy ciąży matki. Dopiero kiedy Louise Brown urodziła się zdrowa, ogłosili wyniki, i wtedy już nikt nie mógł podważyć rezultatów. A dzisiaj in vitro jest czymś równie normalnym jak chodzenie do kina.

Nash przygląda mi się spod zmrużonych powiek.

– Jillian...

– Jeśli dobrze pamiętam, Edwards dostał Nobla w dwa tysiące dziesiątym. Warto było zaryzykować, nie uważasz?

– Oszalałaś. – Mój przełożony kręci głową. – Nie ma mowy.

– Oszalałam? – Decyduję się postawić wszystko na jedną kartę. – A może to ty jesteś tchórzem?

Serce łomocze mi w piersi. Wiem, jaki on jest dumny ze swojej odwagi w stawianiu oporu establishmentowi. Może teraz się zapędziłam? Nash spogląda na mnie z niechęcią.

– Nie wygłupiaj się.



– No widzisz, ja sądziłam, że jesteśmy poważni. Dlatego chciałam pracować z tobą. Ale teraz... Po co? Tak daleko zaszliśmy, wiemy, że to działa...

– Na myszach!

– Właśnie dlatego następnym krokiem musi być próba kliniczna albo wszystko na nic.

– Przecież to nielegalne.

– Więc dlaczego wciąż nad tym pracujemy?

Ściąga wargi, nic nie mówi.

Mam nadzieję, że zwrócił uwagę na moje użycie słowa „my”. Rozwinęłam metody badań w równym stopniu jak on, walić nasze tytuły. W tej współpracy oboje jesteśmy tak samo zasłużeni i nasze nazwiska powinny być wymieniane razem, tak jak Edwards i Steptoe, Watson i Crick, czy każdy inny słynny naukowy duet. Jakaś cyniczna część mojego umysłu zastanawia się, czy Nash nie szuka czasem sposobu, żeby zagarnąć dla siebie laury za mój wkład w badania.

To praktycznie standardowe działanie w branży: starszy naukowiec pomijający zasługi młodszej, podległej mu współpracownicy. Historia stara jak świat, już Watson i Crick nie uwzględnili wkładu Rosalind Franklin w odkrycie podwójnej helisy, a teraz jej imię i nazwisko to zaledwie przypis na kartach historii.

Owszem, Nash mnie pochwalił, ale pewnie dalej uważa się za pioniera, który zasługuje na całą chwałę. Bo w przeciwnym razie dlaczego stwierdził, że lepiej się mnie pozbyć?

Gotując się z wściekłości podnoszę smartfon z biurka. Następnie, odwrócona plecami do Nasha, wybieram ikonkę „notatki głosowe” i wciskam wielki czerwony guzik nagrywania. Jeśli jeszcze raz zagrozi, że mnie zwolni, nie wywinie się tak łatwo.

Odwracam się do niego przodem, przykładam telefon do piersi.

– No? Po co w ogóle zawracamy sobie tym głowę?

– Bo to zbyt wspaniałe, żeby odpuścić – odpowiada cicho.

– To nie odpuszczaj. – Podchodzę bliżej. – Możemy to zrobić. Ta kobieta dała nam idealną okazję do startu. Weźmiemy jej komórki jajowe, przeprowadzimy cały proces transplantacji w laboratorium, gdzie nikt nie będzie nam patrzeć na ręce, i oddamy jej zdrową, zapłodnioną komórkę. Jak przy normalnym in vitro.

– Nie – protestuje Nash, ale odmowę osłabia ekscytacja widoczna w jego spojrzeniu. – To dalej obłąd. No i potrzebowalibyśmy też dawczyni zdrowych jajeczek, więc musielibyśmy wciągnąć w to jeszcze jedną osobę, a to zwiększa ryzyko.

– Przecież ja mogę to zrobić – wyrywa mi się. – Wtedy wszystko zostanie między naszą trójką. – Uśmiecham się do niego z zadowoloną miną kogoś, kto zgarnia zwycięską pulę, choć przegrywał od początku rozgrywki. – Nikt inny nie musi o niczym wiedzieć.

TERAZ

## ABBY

Kiedy wracam do domu ze szkoły, mama chodzi po mieszkaniu z dwoma facetami z firmy ochroniarskiej i sprawdzają wszystkie okna na parterze. Wyjaśnia, że tylko ulepszają system zabezpieczeń, montują nowe czujniki i kamery. Mnie jedynie interesuje, żeby nie poszli za mną na górę.

Zamykam się w pokoju i pospiesznie rozpinam plecak. Riley wsadziła mi zestaw do badań do środka. Razem z pakunkiem wypada różowa karteczka z wydrukowanym pozwoleniem na wzięcie udziału w wycieczce na koniec roku, rodzice muszą ją podpisać. Cała piąta klasa jedzie do Storm King, fantastycznego parku rzeźb na powietrzu. Nie wiem, czy mama pozwoli mi jechać. Czasami dziwnie reaguje na informacje o dużych grupowych wyjściach, jakby się bała, że mnie porwą albo się zgubię. Ona na pewno nie pojedzie, nie mam żadnych wątpliwości.

Mama puka do drzwi.

– Wszystko w porządku? Uciekłaś tak, jakby się paliło.

Wciskam zestaw pod łóżko i otwieram drzwi.

Stoi na progu, jak zwykle w dresie. Włosy ma ściągnięte w kucyk, podkrążone oczy bez makijażu. Czoło przecina jej bruzda znamionująca zmartwienie. Nie rozumiem, czym ona się tak stresuje. Przecież nie mieszkamy w Afganistanie.

– Muszę się pouczyć, to wszystko. Mam jutro duży sprawdzian z matematyki.

– Od kiedy tak ci się spieszy do odrabiania pracy domowej?

Wzruszam ramionami. Podaję jej różową karteczkę od wychowawczyni, zaadresowaną do pani i pana Burke, żeby odciągnąć jej uwagę.

– Muszę przynieść twój podpis.

– Błagam – wzdycha mama.

– Mamo, proszę. Jedziemy do Storm King. Będzie super.

Marszczy brwi.

– A ilu opiekunów z wami jedzie?

– Nie wiem, może chcesz się zgłosić na ochotnika?

Chyba zauważyła irytację w moim głosie, bo się wycofuje.

– Dobrze, dobrze. – Chwyta długopis z biurka i już ma nabazgrać swój podpis, kiedy nagle coś ją powstrzymuje. Odwraca kartkę na drugą stronę i wciąga gwałtownie powietrze. Patrzy na mnie ze zgrozą. – Poważnie, Abigail?

– Co?

Ona zgniata kartkę i rzuca mi ją pod nogi.

– Nie wiem, co mam ci w ogóle powiedzieć.

Rozprostowuję świstek. Z tyłu jest napisane: „Moja matka to psycholka”.

## PRZEDTEM

# CLAIRE

Wchodzę po schodach, wynurzając się ze stacji metra przy Sto Szesnastej Ulicy, by spotkać się z Ethanem na kolacji, kiedy nagle na ekranie komórki widzę, że mam wiadomość głosową.

„Pani Glasser, mówi Rob Nash. Proszę zadzwonić do mojego gabinetu, kiedy tylko będzie pani mogła”.

Wpatruję się w telefon z niedowierzaniem. Wciąż krzywię się na samo wspomnienie tej chwili, kiedy przerwał spotkanie ze mną i wyszedł z baru. Nigdy wcześniej nie czułam się tak głupio.

Ethan i ja prawie nie rozmawiamy od tamtej nocy, bo po powrocie do domu oznajmiłam, że zmieniałam zdanie co do in vitro.

– Co takiego? – Ethan był w szoku. – Tuż po wizycie u swojego ukochanego lekarza?

Oczywiście nie mogłam mu wyznać, jak bardzo zawiodłam się na Nashu. Zamiast tego wyjaśniłam, że nie jestem emocjonalnie gotowa na przyjęcie jajeczka przypadkowej dawczyni.

Wstydliva prawda jest jednak inna. Nie sądzę, że byłabym w stanie kochać cudze dziecko równie mocno jak własne. Zdaję sobie sprawę, jaka jestem przez to żenująco zacofana, jak osoba mająca się za liberała, która wciąż kieruje się rasistowskimi uprzedzeniami. Nic jednak nie mogę na to poradzić; więzy krwi mają znaczenie. Ostatnie, czego pragnę, to zostać zaledwie zastępczą macicą dla dziecka Ethana z inną kobietą. A gdyby któregoś dnia dziecko postanowiło odszukać swoją „prawdziwą” matkę... To by mnie zabiło.

Gapię się na telefon i nagle zauważam, że zatrzymałam się na samym środku schodów prowadzących z metra. Podróżni mijają mnie, pomrukując z niezadowoleniem, i trącają łokciami, przepływając niekończącym się zirytowanym strumieniem. Ja jednak się nie ruszam. Zamiast tego oddzwaniam natychmiast, podkreślając głośność do maksimum.

– Szybko poszło. Dzwoniłem jakieś pięć minut temu.

– Nie spodziewałam się, że jeszcze się pan ze mną skontaktuje. – Pospiesznie wychodzę ze stacji i chowam się w odosobnieniu pod okapem dachu budynku uniwersytetu.

– Kiedy najprędzej moglibyśmy się spotkać? Twarzą w twarz.

– W sprawie...? – Urywam. Wbrew rozsądkowi ekscytacja i nadzieja rozpełzły mi się po sercu.

– Porozmawiamy, kiedy się zobaczymy. Będę dziś w gabinecie jeszcze przez godzinę albo jutro do...

– Proszę zostać. Już jadę.

Podskakuję jak nastolatka, która właśnie dostała zaproszenie na studniówkę.

Pędząc z powrotem do metra, wysyłam Ethanowi starannie zredagowaną wiadomość: „Bardzo przepraszam, kochanie, ale właśnie się dowiedziałam, że tata Ewy nagle zmarł. Muszę być dziś przy niej”.

Eva to moja koleżanka z pracy w „Mindset”, Ethan ledwo ją zna. Nie ma szans, żeby zdołał zweryfikować szczegóły.

Po chwili dostaję odpowiedź: „Przykro mi to słyszeć”. Kropeczki w okienku podskakują, znikają, znów się pojawiają. „Czy ty mnie unikasz?”

„Nie żartuj – odpisuję mu pospiesznie. – Zobaczymy się w domu”. Po chwili dodaję jeszcze czerwone serduszko i całusa. To najbliższy pocałunkowi gest, na jaki zdobyliśmy się od tygodnia.

Czy do tego teraz sprowadza się nasz związek?

Boję się, że coraz bardziej się od siebie oddalamy. Tu nie chodzi już tylko o wspólną traumę, lecz o głęboki filozoficzny rozdźwięk między nami. Ethan patrzy na świat jak przechodzień. Jest gotów zaakceptować kaprysy natury. Ja

z kolei spoglądam na rzeczywistość niczym redaktorka, gotowa poprawiać wszystkie jej błędy i pomyłki. Nie mogę znieść jego sposobu myślenia – z wzajemnością – ale nasza wspólna miłość do Coltona pomogła nam przewyciężyć różnice. Drugie dziecko może się okazać jedyną nadzieją dla tego małżeństwa.

„Okej”, odpisuje w końcu Ethan. Bez buziaka. Odczekuję pełną minutę na schodach do metra. Nie mogę znieść myśli, że nasza intymność została zredukowana do kreskówkowej ikonki. Nic jednak się nie pojawia.

\* \* \*

Dwadzieścia dwie minuty później wpadam zdyszana do gabinetu Nasha. Jest już po osiemnastej i wszyscy pracownicy zdążyli rozejść się do domów, ale on i tak zamyka drzwi. Ten gest sugeruje wspólny sekret, a na tę myśl przechodzi mnie dreszcz podekscytowania.

Lekarz wskazuje mi jeden z obitych skórą foteli i zajmuje miejsce za biurkiem.

– Dziękuję, że tak szybko znalazła pani czas.

– Żaden kłopot. Co się dzieje?

Nask przyciska obie dłonie do drewnianego blatu i przygląda mi się z powagą.

– Ryzyko obejmuje wiele istotnych niewiadomych. Musi to pani zrozumieć.

– Boże. – Wargi same rozciągają mi się w euforycznym uśmiechu. On jednak go nie odwzajemnia.

– Nie mogę zagwarantować, że dziecko urodzi się normalne. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy dziecka z DNA trojga rodziców.

– Ale testy na zwierzętach zakończyły się sukcesem? Nie było żadnych deformacji?

Nash przytakuje.

– Właśnie dlatego jestem gotów podjąć ryzyko, jeśli pani też się na to pisze. Ale proszę pamiętać, że może pani być zmuszona ponosić konsekwencje tej decyzji przez resztę życia.

– Rozumiem.

– Musi pani być na to gotowa fizycznie i psychicznie. Jest pani pewna, że to udźwignie?

Nagle czuję niespodziewany, palący ból wzdłuż nadgarstków – żywe wspomnienie wypalone w skórze. Zaciskam dłonie na podłokietnikach, próbując odpędzić to wrażenie.

– Oczywiście – zapewniam. – Bez dwóch zdań.

Pieczenie ustępuje. Skupiam się na wizji nowego dziecka, kopiącego mnie od środka, na tych pierwszych motylach trzepotach życia, których nie da się porównać z żadnym uczuciem na świecie. Moje własne dziecko, moje i Ethana. I...

– A kto będzie drugą matką? – pytam, ale gdy tylko wypowiadam to słowo, mam ochotę je cofnąć. – To znaczy dawczynią?

Kobieta z doskonałymi mitochondriami dostarczy zaledwie trzydzieści siedem genów. Pozostałe dwadzieścia tysięcy będzie pochodziło ode mnie i Ethana. Ona nie zasługuje na taki sam poziom uznania jak ja. Przysięgam w duchu, że już nigdy więcej o niej tak nie pomyślę.

– Moja współpracownica. – Nash nie zwraca uwagi na moją poprawkę. – Doktor Jillian jest młoda i zdrowa, a co najważniejsze dyskretna. Musimy zachować wszystko w jak najwęższym gronie.

Unoszę brwi.

– Zaraz, więc teraz jej pan ufa?

– Ufam, że nie będzie sabotować własnej kariery. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie ze wszystkimi założeniami, czeka nas największy przełom w leczeniu niepłodności od momentu wynalezienia metody in vitro.

– A mi pan ufa? – Patrzę mu prosto w oczy.



– Mogę się mylić, ale nie wydaje mi się, żeby w sekrecie pracowała pani dla FDA.

– Tak się składa... – żartuję.

Nash udaje, że ociera pot z czoła.

– Chciałbym móc się z tego śmiać.

– A więc jak to będzie wyglądać?

– Na papierze będzie pani zwykłą pacjentką do in vitro, żeby całą procedurę dało się sfinansować przez ubezpieczenie zdrowotne. Nie będzie żadnych dowodów. Donacja mitochondria to procedura, która zajmuje godzinę w laboratorium. I kiedy już znajdzie pani w ciąży, nie da się jej wykazać bez poddania się bardzo konkretnym testom prenatalnym.

Ledwo słyszę ostatnie zdania, bo znów skoncentrowałam się na słowach „znajdzie pani w ciąży”. Wszystko to brzmi albo jak fantazja rodem z bajki Disneya, albo jak dystopijny koszmar. Jestem jednak gotowa na podjęcie ryzyka.

– Z nikim nie będę o tym rozmawiać – zapewniam.

– Z wyjątkiem męża oczywiście?

– Nawet z nim. – *Szczególnie z nim.* – W końcu zależy nam na jak największym kręgu wtajemniczonych, prawda?

– No dobrze. – Nash wygląda na zaskoczonego. – Jeśli pani to odpowiada...

Nachylam się ku niemu nad biurkiem.

– Nie jestem religijną kobietą, ale jedno jest dla mnie święte: pamięć o synu.

– Znów czuję znajomy ucisk w gardle. – Przysięgam na życie Coltona, że to zostanie między nami.

Nash wyciąga rękę. Spodziewam się, że będzie chciał uścisnąć mi dłoń na znak zgody, ale on zamiast tego kładzie ją łagodnie na mojej.

– Więc zrobmy to dla niego.

TERAZ

**ABBY**

Krzywię się, widząc, jak oczy mamy wypełniają się łzami. Przez tę kartkę wyszłam na potwora. „Moja matka to psycholka”. Zabiję Sydney, kiedy zobacze ją jutro w szkole. Na pewno chciała mnie wpędzić w kłopoty, żebym nie mogła jechać na wycieczkę. Dzięki temu będzie mogła zostać sam na sam z Tylerem. Jeśli jej się uda, to każę mu przysiąc, że będzie ją ignorował.

– Nie napisałam tego – protestuję. – Dlaczego miałabym to zrobić?

Mama wydaje z siebie odgłos zniesmaczenia.

– Możesz mnie nienawidzić, ale nie wolno ci kłamać.

– Przecież cię nie nienawidzę! – Z frustracji aż kopię plecak. – A poza tym mówię prawdę, dobra? Boże.

Ona splata ręce na piersi.

– Czyli co, mam uwierzyć, że ktoś zakradł się do twojego plecaka, kiedy nie patrzyłaś, i napisał coś tak okrutnego okrągłymi literkami? Dokładnie takimi jak twoje?

Opadam na łóżko.

– No tak.

– Oczywiście, to o wiele bardziej logiczne wytłumaczenie. – Mama podchodzi i siada obok moich stóp. – Nie wyjdę stąd, dopóki nie przyznasz, że kłamiesz.

– Ale ja nie kłamię! To niesprawiedliwe! Kiedy ja cię w ogóle okłamałam?

– Zastanówmy się. – Mama przykładła palec do brody w geście udawanego namysłu. – Nie sprawdzasz ukradkiem Instagrama, którego nie wolno ci mieć? I nie udajesz czasami, że boli cię brzuch, chociaż od lat nie byłaś chora?

Oblizuję wargi, żeby ukryć uśmiech winowajczyny.

– Skąd wiedziałaś?

– Nie o tym rozmawiamy.

– Proszę bardzo. – Wślizguję się pod kołdrę i odwracam do niej plecami.

– Abigail. – Teraz mama już mówi ostrzegawczym tonem. – Jestem gotowa na twoje przeprosiny.

– Przecież mówiłam – mamroczę do ściany. – Nie napisałam tego.

– Więc kto to zrobił?

Odrzucam kołdrę i siadam na łóżku.

– Taka dziewczyna, która mnie nie znosi, okej?

– Ktoś cię nie lubi? – Mama ściąga brwi. – Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

– Bo ona gada różne wstrętne rzeczy o tobie. Nie chciałam, żebyś wiedziała.

– O mnie? Jak to?

Zaczynam obgryzać paznokieć.

– No bo wiesz, nigdy się nigdzie nie pojawiaasz i w ogóle. Pod szkołą nawet nie wysiadasz z samochodu.

Siedzi oniemiała i trochę zawstydzona. Czekam na wyjaśnienia. Coś więcej niż jej zwyczajowe „Nie jestem towarzyska” albo „Cierpię na lęk społeczny”. Mam ochotę zapytać: „Czego się tak boisz?”, ale nie mam jaj.

– Dzieci w twoim wieku potrafią być bardzo okrutne – mówi w końcu.

– No. – Wzruszam ramionami. Podnoszę tę głupią różową kartkę i przyglądam się napisowi. – To na pewno nie moje. Ja inaczej piszę małe „a”.

Mama posyła mi dziwne spojrzenie, od którego aż przechodzi mnie dreszcz. Jakby próbowała mnie rozpoznać, ale widziała kogoś innego.

– Halo. – Macham jej ręką przed oczami. – Nie zrobiłam tego. Okej?

– Jeśli chcesz mnie ukarać, rozumiem. – Wzdycha. – Wiem, że jestem ostatnio nieobecna.

– Mamo, po raz ostatni ci powtarzam, że to nie ja! – Już prawie na nią krzyczę, ale nic mnie to nie obchodzi. – Czy ty myślisz, że jestem jakimś potworem?

– Dobrze, dobrze. Uspokój się.

– Wiesz co? Masz rację – oznajmiam głośno. – Jesteś totalnie nieprzytomna.

To okropne. Czasami mam wrażenie, że w ogóle cię tu nie ma.

– Przepraszam. Naprawdę. Nie czuję się ostatnio dobrze.

W innej sytuacji to by mnie rozzłościło, ale zamiast tego się hamuję.

– Co ci jest?

– Nic, czym musiałybyś się martwić – zapewnia, machając dłonią.

Zapada dziwna, niezręczna cisza. Nie wierzę jej, a ona o tym wie, ale nie dodaje nic więcej. Po kilku chwilach milczenia podnoszę plecak z ziemi i kładę go sobie na kolanach.

– Chyba powinnam zabrać się do nauki.

– Dobrze. Obiad o szóstej.

Mama zeskakuje z łóżka i idzie do drzwi. Nie przytuliła mnie, nawet się nie odwraca. Mam wrażenie, że chce uciec. Wreszcie coś do mnie dociera. Na jej twarzy nie malowała się złość. To był strach.

## PRZEDTEM

# CLAIRE

### *Jeszcze dziewięć miesięcy*

Przez trzy nieprzyjemne tygodnie pompowałam w siebie koktajl hormonów, żeby zachęcić jajniki do produkcji jak największej liczby jajeczek, a Jillian robiła to samo. Dziś wreszcie nadszedł wielki dzień. Nash pobierze nasze komórki jajowe podczas dwóch równoległych zabiegów. A potem, kiedy ja będę odsypiać końską dawkę leków, on przeprowadzi w tajemnicy procedurę donacji mitochondrialnej i połączy hybrydę naszych jajeczek z plemnikiem Ethana.

Jakbym nie miała dość zmartwień, badanie nasienia wykazało, że ma małą liczbę plemników w ejakulacie. To ponoć skutek jakiejś łagodnej infekcji prostaty, więc Nash zapisał mu jakieś antybiotyki, które do tej pory powinny już zadziałać. Ethan się nie zamartwia; jest dobrej myśli.

Celujemy w wytworzenie około dwunastu zdrowych zarodków. Za pięć dni Nash wybierze najbardziej obiecujący i umieści go w mojej macicy. A potem pozostaje nam mieć nadzieję, że się zagnieździ. „Nadzieja” to złe słowo. Ludzie mają nadzieję, że w weekend będzie ładna pogoda. Ja odczuwam organiczny ból, jak żeglarz tęskniący za stałym lądem.

Chciałabym móc zaufać Bogu, losowi czy jakimś nadprzyrodzonym mocom, które przynoszą ukojenie innym. Jestem jednak na to o wiele zbyt racjonalna – tutaj liczą się tylko twarde fakty i szanse. Mam już prawie czterdzieści lat, więc sytuacja nie wygląda szczególnie obiecująco. Odsetek przeżywalności donoszonych ciąż w tym wieku wynosi jedynie piętnaście procent, i to przy absolutnie normalnych zarodkach.

Ethan też z całych sił chwyta się naszej małej wysepki nadziei. Kiedy oznajmiłam, że jednak zamierzam poddać się zabiegowi in vitro z użyciem własnych jajeczek i „modlić się o cud”, jego stosunek do mnie nagle zupełnie się zmienił. Jego pochmurny dystans i oschłe buziaki w policzek zniknęły. Znow zaczął mnie przytulać w łóżku. Któregoś dnia spytałam go, czy nie boi się, że urodzę kolejne dziecko takie jak Colton. „Bóg nie zesłałby nam nic ponad nasze siły – odparł spokojnie. – Będziemy je kochać bez względu na wszystko”.

W odpowiedzi zdołałam tylko pokiwać głową. Za bardzo się obawiałam, że jeśli otworzę usta, to wywołam kłótnię, której nigdy nie zdołam wygrać. Jego podejście jest oburzające – to wymówka do zrobienia czegoś zupełnie bezmyślnego. Ryzykowanie, że obciążymy dziecko cierpieniem na całe życie, i zrzucanie winy na „boski plan, którego jeszcze nie pojęliśmy” to odrażająca ucieczka przed odpowiedzialnością. Ale gdybym weszła w dyskusję, musiałabym uznać dzielące nas różnice w moralności, a to podważyłoby aspekt moralny całej jego kariery.

Łatwiej po prostu się zamknąć i robić wszystko po swojemu. Ochronię nasze dziecko przed nami obojgiem, przed moimi wadliwymi genami i wadliwym myśleniem Ethana. Już wcześniej byłam niebezpiecznie blisko odejścia, ale druga szansa na rodzicielstwo przekonała mnie, żeby nie porzucać męża. Pomagają mi wspomnienia nocy, którą przesiedział z Coltonem, czytając mu ostatni tom Harry’ego Pottera w sześciogodzinnym maratonie, bo nie mieliśmy gwarancji jeszcze jednego dnia z synem. Ethan był fantastycznym tatą, nawet jeśli nie okazał się moją idealną bratnią duszą. To też jest cenne.

\* \* \*

Kiedy rano siedzimy w poczekalni kliniki Nasha i czekamy na zabieg pobrania jajeczek, Ethan przyciąga mnie do siebie.

– Denerwujesz się?

Procedura wymaga, żebym poddała się znieczuleniu, podczas gdy Nash włoży mi do pochwy igłę, która sięgnie aż do jajników, żeby pobrać z nich komórki jajowe.

– A, nie. – Wzruszam ramionami. – Dwadzieścia minut i po krzyku.

– Dzielna dziewczyna.

Uśmiecham się zalotnie i zniżam głos.

– Twoje zadanie jest o wiele przyjemniejsze.

– Nie zamierzam tam niczego dotykać. Myślisz, że w ogóle kiedyś czyścili ten odtwarzacz DVD?

– Słyszałam, że *Nianie amatorki* to klasyka kina.

Ethan się śmieje. Pielęgniarka wychyla się z gabinetu.

– Panie Glasser, wszystko gotowe.

– Idź, mój ogierze – szepczę, kiedy mąż wstaje.

– Moja siła tkwi w liczbach – żartuje Ethan. Zaciskam mocno kciuki pod swetrem.

W oczekiwaniu na zabieg zerkam na inne pacjentki siedzące na białych skórzanych kanapach. Trzy kobiety po dwudziestce albo trzydziestce, stukające w komórki. Czy któraś z nich jest moją tajemniczą Jillian? Wiem, że ona też dziś podda się zabiegowi, żeby Nash mógł przeprowadzić nielegalny proces donacji mitochondrialnej jeszcze po południu.

Moją uwagę przyciąga zwłaszcza kobieta o niesamowitych rudych włosach, które spływają jej z ramion falami godnymi reklamy szamponu. Jej skupiona twarz emanuje młodością – kremowa skóra, krągłe policzki, garść rozsypanych piegów. Nie wiem, czy ma chociaż dwadzieścia pięć lat.

W tym wieku byłam, kiedy poznałam Ethana. Takie niewinne czasy, jeszcze przed nową erą – przed Coltonem. Uśmiecham się do siebie na wspomnienie dni, kiedy zakochany zostawiał mi w mieszkaniu liściki z uroczymi wiadomościami: „Jeśli to czytasz, to właśnie za Tobą tęsknię” albo „Nie mogę się doczekać, aż zobaczę Cię (całą) później”. Każdy świstek schowałam w pudełku po butach, które nadal trzymam na dnie szafy.

Kobieta podnosi głowę i zauważa moje spojrzenie. Cała niepewność co do jej tożsamości natychmiast znika. Tylko bystra badaczka, bez względu na wiek, mogłaby patrzeć tak przenikliwie. Zaciskam mocniej ręce splecione na piersi. Przez mój umysł przebiega myśl, niepokojąca i cudowna zarazem: Już wkrótce jakaś część niej znajdzie się we mnie.

Wargi Jillian rozciągają się w niemal niedostrzegalnym uśmiechu. Nie wiem, czy to ma być uśmiech, czy raczej uśmieszek. W każdym razie z jej oczu bije zaskakujący chłód.

Wcale mi się to nie podoba.

\* \* \*

## JILLIAN

Podkradam się do Nasha, gdy tylko zamykają się za nami drzwi laboratorium. Jak dotąd ten dzień to udręka: wyciągnął ze mnie dwadzieścia trzy zdrowe komórki jajowe podczas krótkiego zabiegu w znieczuleniu dożylnym. Claire dostarczyła zaledwie jedenaście jajeczek, więc tylko tyle mamy szans na stworzenie doskonałego zarodka.

Po zabiegu przez godzinę wracałam do siebie w prywatnym pokoju, czekając na ustąpienie efektów znieczulenia, a Nash w geście życzliwości przyniósł mi sok jabłkowy i paracetamol. Wzruszyło mnie, że sam przyszedł się mną zająć, zamiast wysłać pielęgniarkę. Następnie poszłam do domu, żeby się odświeżyć i przygotować psychicznie na przeszczep. Teraz jest już po szesnastej. Jestem obolała, ale gotowa brać się do dzieła. Nash wysłał cały personel do domu przed końcem dnia, zachęcając pielęgniarki, techniczki, embriologa i recepcjonistkę, żeby „zaczęli wcześniej weekend”.

To znaczy, że wreszcie jesteśmy gotowi.



– Gotowy? – szepczę mu do ucha. Odrywa się od mikroskopu. Kiedy patrzemy sobie w oczy, czuję ukłucie niepokoju. Jego obojętny wyraz twarzy przypomina mi ten, z jakim przynosi pacjentkom złe wieści. Pewnie stara się po prostu wyglądać niegroźnie, ale osiąga zupełnie przeciwny skutek.

Odwraca głowę.

– Jeszcze chwilę.

– Lepiej, żebyś teraz nie spanikował. – Ze złością wskazuję na wszystkie nasze komórki jajowe, czekające w ciepłym inkubatorze o temperaturze trzydziestu siedmiu stopni, z wilgotnością powietrza na poziomie dziewięćdziesięciu pięciu procent. – Jeśli okaże się, że przeszłam przez to wszystko na próżno...

– Spokojnie – przerywa mi. – Zrobimy to – zapewnia, ale nie potrafię nic odczytać z jego twarzy.

Czekam, aż zauważy wysiłek, jaki włożyłam, żeby dobrze wyglądać w tej chwili – to nie było łatwe zaledwie po kilku godzinach od znieczulenia solidną dawką mocnych leków. Kiedy już przestały działać, wzięłam prysznic, ogoliłam nogi, zakręciłam włosy, a potem nałożyłam eyeliner, tusz do powiek i pociągnęłam policzki różem.

Nie tak jednak wyobrażałam to sobie w fantazjach... On i ja, upojeni wzajemnym podziwem, zrywający z siebie laboratoryjne fartuchy, by uczcić swój zakazany sukces.

– Wszystko gotowe? – pyta. Jego głos brzmi boleśnie neutralnie.

– Bardziej nie będzie.

Za chwilę wyprowadzimy jądro komórkowe z jednego z moich jajeczek pod mikroskopem odwróconym o trzydziestotysięcznym powiększeniu. Z komórki jajowej zostanie tylko łupina, wraz ze zdrowymi mitochondriami. Następnie zastosujemy moją pionierską technikę i przeniesiemy jądro komórkowe z komórki jajowej Claire do mojej opróżnionej komórki, tworząc jedną doskonałą hybrydową komórkę z moimi nienaruszonymi mitochondriami.

Powtórzymy ten proces z każdą parą jajeczek, jaką dysponujemy, a następnie połączymy hybrydy z plemnikami męża Claire.

Po pięciu dniach rozwoju w probówkach każdy zarodek rozrośnie się do około stu komórek. Z każdego pobierzemy laserem pięć do dziesięciu komórek trofoblastu i przeanalizujemy je pod mikroskopem metodą diagnostyki preimplantacyjnej, by upewnić się, że zarodki nie odziedziczyły niepożądanych mutacji komórkowych Claire. Później ocenimy, który zarodek jest najlepszym kandydatem do implantacji. W Darwinowskim świecie wspomaganey reprodukcji tylko najsilniejszy zarodek ma szansę stać się prawdziwą osobą.

– Pójdę przygotować spermę. – Nash wstaje gwałtownie, krzesło zgrzyta po podłodze. – Może zacznij beze mnie? – Jego uśmiech jest dziwnie powściągliwy. – Sama wynalazłaś sposób polaryzacji komórek, więc uczciwie będzie pozwolić, żebyś to ty ją przeprowadziła.

Zaskoczona otwieram usta. Mam ochotę spytać, czy jest pewien, ale się powstrzymuję. To moja furтка do wielkości, tak jak sam to przewidział. Nie ma szans, żebym protestowała. Smutne jest tylko to, że zasługujemy na kamery i reporterów, którzy dokumentowaliby ten przełomowy moment w historii ludzkości – pierwszy raz, kiedy dokonano interwencji genetycznej, by zapobiec przekazaniu śmiertelnej choroby. Ale pewnego dnia, miejmy nadzieję, że jeszcze za naszego życia, świat oprzytomnieje i odpowiednio nas nagrodzi.

Posyłam mu uśmiech pełen wdzięczności.

– Myślałam, że nigdy nie zaproponujesz.

– Zasługujesz na to.

Tłumię ukłucie żalu. Przypominam sobie o nagraniu zrobionym na wszelki wypadek, gdybym musiała go kiedyś zaszantażować. Teraz jednak widzę, że nie jest dość samolubny, by kraść moje osiągnięcia. Jesteśmy równymi partnerami.

\* \* \*

Dwadzieścia pięć minut później – dłużej niż zwykle potrzeba na przygotowanie spermy – Nash wraca z pomieszczenia obok, gdzie próbki nasienia są testowane, oczyszczane i przechowywane. Podnoszę głowę znad mikroskopu i widzę, że się krzywi. W pierwszej chwili niepokoję się, że coś go boli, ale widzę, jak ściąga wargi, i już wiem, że coś jest nie tak.

– Wyrzuć to z siebie.

– Nie chciałem nic mówić. – Nash wzdycha ciężko. – Ale właśnie sprawdziłem drugi i trzeci raz. Ethan ma w spermie tylko cztery miliony plemników i dwa procent z morfologii nasienia.

– Co? Kurwa, chyba żartujesz.

Dolna granica to piętnaście milionów, a u niego w dodatku większość jest wadliwa. Jak my teraz mamy stworzyć z tego doskonały zarodek?

– Nadal mamy szanse – mówi Nash, jakby czytał mi w myślach.

– Prawie żadne. Nie mogę w to uwierzyć.

– Wiem.

Odkładam pipetę i ściągam maseczkę z twarzy.

– To co ja tu niby robię?

– Kończysz pracę. To nadal możliwe.

– Gówny prawda.

Tyle miesięcy przygotowań. Musiałam pociągnąć za nieskończenie wiele sznurków i zrobić różne rzeczy, o których on nawet nie ma pojęcia, i co? Nie spodziewałam się czegoś takiego: że zostanę skazana na porażkę przez zwyczajnego pecha.

– Nie poddawaj się. – Nash kładzie mi dłoń na ramieniu. – To jeszcze nie koniec.

Jego powściągliwy optymizm jest nie do zniesienia.

– Dobrze, dobrze – mówię powoli, myśląc nad czymś. – Daj mi jeszcze pół godziny.

– Świetnie. Pójdę przygotować spermę – oznajmia, ruszając z powrotem do drugiego pomieszczenia. – I tak daleko zaszliśmy, co?

- Kto wie, co może się zdarzyć – przytakuję.
- No, i tak trzymaj.

\* \* \*

Kiedy pół godziny dobiega końca, Nash przychodzi sprawdzić, jak sobie radzę.

– I jak poszło?

Wyłączam mikroskop; oczy pieką mnie od koncentracji.

– Raczej dobrze. Miałam kilka ofiar.

– Co się stało?

– W jednej komórce przerwałam błonę komórkową, w drugiej rozdarłam jądro.

Nash marszczy brwi. We wszystkich testach próbnych wykazałam się precyzją snajperki.

– Przepraszam. – Wzdycham, starając wyglądać na zawstydzoną. – Chyba się denerwowałam.

– To ile mamy w sumie hybryd?

– Dziewięć.

– To nadal może wystarczyć.

– Mam nadzieję. – Udaje mi się przywołać na wargi uśmiech dzielnej zawodniczki. – Przeprowadzisz teraz ICSI?

Ten zabieg, polegający na wprowadzeniu plemnika do cytoplazmy komórki jajowej, da nam największe szanse na stworzenie zarodka. W ten sposób beznadziejne plemniki Ethana nie będą musiały płynąć do celu. Ale przy tak kiepskim materiale wyjściowym dziewięć prób to może być za mało.

– Aha – odpowiada. – To nie powinno potrwać zbyt długo.

Nie zmieniam wyrazu twarzy.

– Poczekam na ciebie. Może poszlibyśmy potem na kolację? Wznieść toast za szansę?

– Pewnie. Dobry pomysł.

\* \* \*

Godzinę później, już po zamianie lekarskiego kitla na sukienkę, którą trzymałam w szafce w pracy, siedzę naprzeciwko niego w eleganckiej włoskiej restauracji po drugiej stronie ulicy. Pełno tu par na randkach, atmosfera jest odpowiednio romantyczna. Rozświetlone białe kule zdobią ściany, a na każdym stoliku znajduje się szklana misa z pływającą w wodzie różową różą.

Nash ma na sobie ciemne dopasowane spodnie i szary sweter w serek, podkreślający mięśnie jego barków i klatki piersiowej. Muszę przyznać, że nie spodziewałam się takiej rzeźby pod tym fartuchem. Jak na czterdziestoparolatka jest w fenomenalnej formie.

Kiedy podchodzi do nas kelner z kartą win, natychmiast ją odsuwam.

– Proszę dwa martini z wódką.

– Już przynoszę.

Kelner odchodzi, a Nash się krzywi.

– Tak się składa, że nie piję alkoholu.

– Och. W ogóle?

Widzę, że się waha.

– Od dziesięciu lat jestem trzeźwy – wyjaśnia po chwili.

Czekam na szczegóły, ale on nie dodaje nic więcej. To wyznanie napawa mnie dziwną radością. Kiedy widzę, jak Nash czeka na reakcję – krytykę albo obrzydzenie w moich oczach – uświadamiam sobie dlaczego. Otworzył się przede mną.

– Gratuluję – mówię. – Wypiję za to – dodaję z ironicznym uśmiechem.

Kelner wraca i stawia przed nami dwa mocne martini, wypełnione aż po krawędź kieliszków. Delikatnie unoszę jeden, a Nash dotyka brzegu swoją szklanką z wodą z lodem.

– Za nas – oznajmiam i pozostawiam wymowną pauzę. – Za nasz sukces – dodaję.

On się uśmiecha.

– Na zdrowie.

Wódka spływa mi do gardła, a nozdrza rozdymają się lekko od tego uczucia. Niemal natychmiast czuję się bardziej zrelaksowana.

– Wiesz co – odzywa się Nash. – Bez względu na to, co się stanie dalej... Nie zaszedłbym tak daleko bez ciebie. Dziękuję.

Ośmielona, opieram łokcie na stole i nachylam się, ściskając piersi razem.

Widzę, jak jego wzrok koncentruje się na moim dekolcie. Wokół nas unosi się gwar rozmów i szczękanie sztućców, ale równie dobrze mogłoby tu nie być nikogo poza nami. Czuję, jak spomiędzy moich ud płyną fale przyjemnego ciepła. Może jednak moja fantazja nie jest aż tak nieosiągalna.

– Naprawdę uważasz, że mamy szansę?

Wzrusza ramionami.

– Nie jakąś wielką, ale odczuwam ostrożny optymizm.

Przechylam głowę na bok.

– Zabawne, dokładnie to samo myślałam o tobie. – Kiedy tylko te słowa wyrywają mi się z ust, czuję, jak serce podchodzi mi do gardła. Nash otwiera szeroko oczy.

– Słucham?

– Oj, Rob, jesteś cierpliwym człowiekiem... – Pozwalam sobie na uśmiech, by zasygnalizować, że specjalnie zwracam się do niego po imieniu. – Myślisz, że nie zauważyłam, jak często prosisz, żebym pracowała do późna? Ale...

Nash odkaśluje.

– Ale co?

– Do niczego nigdy nie doszło.

Ileż godzin spędziłam na próbach rozszyfrowania jego sprzecznych sygnałów. Jednego dnia posyła mi spojrzenia pełne aprobaty, a następnego niemal nie zwraca na mnie uwagi.

– Cóż, jesteś piękną młodą kobietą, a ja twoim szefem. Nie mogę tak po prostu wykorzystać... – Urywa, jakby czekał na zaprzeczenie. Znów obnaża się

przede mną to pożądliwe spojrzenie, które już kilka razy dostrzegłam wcześniej podczas pracy do późna w laboratorium. Różnica jest taka, że tym razem oboje o tym wiemy. Zalotnie wsuwam palec pod stanik.

– Chyba straciłam apetyt. A ty?

– Wydaje mi się, że powinniśmy poprosić o rachunek – zgadza się Nash.

\* \* \*

Dwadzieścia minut później próbuję otworzyć drzwi do mojego mieszkania, a on przyciska się całym ciałem do moich pleców. Gładzi mnie po brzuchu kilka centymetrów nad miednicą. Każdy nerw na drodze jego palców rozpala się tak, jakby po raz pierwszy reagował na dotyk. Nie jestem dziewicą, ale nigdy wcześniej nie byłam tak podniecona drobną pieścizną.

Odwracam się do niego przodem i podnoszę twarz ku niemu.

– Przez cały ten czas cię pragnęłam.

Schyła się, żeby mnie pocałować. Jego wargi są miękkie, otoczone seksownym cieniem zarostu. Przywieram do niego mocno ustami, a on mnie obejmuje. Na ślepo otwieramy drzwi, przechodzimy przez mieszkanie i opadamy na moje łóżko. Zdziera ze mnie sukienkę i całuje mnie po szyi, a ja ściągam mu dzinsy. Nagi jest absolutnie doskonały. Wyrzeźbiony, zadbany, twardy.

– Na pewno? – pyta, zawisając nad mną. – Przecież jesteś jeszcze obolała.

– Nic mi nie jest. – Owszem, pochwa boli mnie od zabiegu pobrania jajeczek, ale to nieważne.

Wyciągam gumkę z szafki nocnej i drażnię go językiem, nakładając mu prezerwatywę.

Głośny jęk wyrywa mu się z ust.

– Nie wytrzymam długo.

Przekręcam się na plecach.

– Połóż się na mnie.

Kołysaliśmy się razem w rozkosznym rytmie, najpierw powoli – ostrożne zjednoczenie dwóch ciał spotykających się po raz pierwszy – ale szybko zwiększamy tempo, aż czuję go głęboko w sobie. Wszystko inne znika, rozpływa się w falach otumaniającej przyjemności.

Zanim jednak stracę nad sobą całą kontrolę, pcham mocniej biodrami, aż do bólu, który mnie otrzeźwia. Wiem, że moje intensywne ruchy sprawią, że on szybciej dojdzie. I rzeczywiście, już po chwili wydaje z siebie jęk czystej ekstazy.

Ja jednak myślami jestem już przy następnym kroku. Leżymy zdyszani, aż wreszcie patrzymy sobie w oczy.

– Doszłaś?

– Oczywiście, jak miałabym nie dojść?

– To dobrze. Nie miałem pewności.

Przyciągam jego szorstki podbródek do siebie i całuję.

– To było bardzo seksowne.

Zsuwa z siebie gumkę. Wskazuję na niewielki kosz na śmieci obok łóżka, a on wrzuca do niego prezerwatywę. Opieram głowę o poduszkę i zamykam oczy.

– Zaraz wrócę – mówi Nash i znika w łazience.

Kiedy wraca, na jego twarzy maluje się uśmiech.

– Tego się po tobie nie spodziewałem – oznajmia.

Oj, wielu rzeczy się po mnie nie spodziewałeś.



TERAZ

**ABBY**

Kiedy tylko mama wychodzi z mojego pokoju, sięgam pod łóżko i wyciągam zestaw testowy. Wcześniej miałam wyrzuty sumienia, że zamierzam przemknąć się do jej pokoju podczas snu i zrobić wymaz z wewnętrznej strony policzka, ale teraz już nie czuję się z tym źle. I tak uważa mnie za wrednego bachora, więc co za różnica?

Czas sprawdzić, kto tu tak naprawdę kłamie.

O osiemnastej schodzę na obiad – resztki, nic specjalnego. Tata jest wykończony po całym dniu z klientami od mebli, a mama nie wspomina o naszej kłótni ani o kartce. Rozmawia więcej z tatą niż ze mną; dyskutują o nudnych sprawach, takich jak to, czy zapłacił mandat za niewłaściwe parkowanie, który dostał w zeszłym tygodniu. Mama ostrzega go, że jeśli zapomni, to sędzia może wysłać nakaz aresztowania i nawet go zamknąć. Rany, jak ona czasami dramatyzuje.

Kiedy oznajmiam, że muszę się pouczyć, pozwalają mi odejść od stołu. Kolejną godzinę spędzam w łóżku z laptopem i sprawdzam wszystkie potrzebne informacje. Przez trzydzieści minut przed pobraniem próbki śliny nie wolno jeść ani pić, ale to raczej mi nie grozi, bo zamierzam odczekać, aż zaśnie.

Google twierdzi, że specjalny wacik na patyczku z zestawu należy przesunąć po wewnętrznej stronie policzka, żeby zebrać „komórki nabłonkowe z zewnętrznej warstwy nabłonka w jamie ustnej”. Następnie muszę szybko włożyć patyczek do wąskiej plastikowej fiolki z „płynem do stabilizacji DNA”. Dzięki temu próbka będzie bezpieczna podczas podróży pocztą, aż dotrze do Burlington w Karolinie Północnej, gdzie naukowcy w laboratorium oddzielą

DNA mamy od bakterii i całej reszty rzeczy w ślinie. A kilka tygodni później Riley powinna dostać e-mail z informacją, że jej raport jest gotowy do odbioru, bo to Riley zarejestrowała nowy zestaw.

Wieczorna rutyna moich rodziców jest totalnie przewidywalna. Kładą się do łóżka około dziesiątej, oglądają jeden odcinek serialu i przed jedenastą gaszą światło. Mama czasami bierze jeszcze pigułkę na sen przez swoje stany lękowe. Mam trochę nadzieję, że nasza dzisiejsza kłótnia dostatecznie ją zestresowała, żeby postanowiła sięgnąć po leki.

O dziewiątej, kiedy przychodzi moja pora na sen, oboje przychodzą do mojego pokoju, żeby dać mi buziaka i życzyć dobrej nocy. Mama pyta, czy poczytać mi rozdział z Harry'ego Pottera, ale mówię, że jestem za bardzo śpiąca.

– Miłych snów – mówi jeszcze w proggu.

– Dobranoc. – Tata posyła mi buziaka. – Kochamy cię, kotku-psotku.

– Ja was też – mruczę.

Nasłuchuję ich cichnących kroków, zmierzających do sypialni. Następnie odrzucam kołdrę i siadam na łóżku. Nie mogę przypadkiem zasnąć. Na moim budziku jest sześć po dziewiątej. Gram w różne gry na laptopie i oglądam filmiki na YouTube dla zabicia czasu, ale z minuty na minutę robię się coraz bardziej niespokojna. Ledwo jestem w stanie skupić się na swoich zwykłych rozrywkach, takich jak memy z kotami czy nagrania z psikusów vlogerów. Nawet sekretne zagłądanie na Instagram mnie dziś nie cieszy.

W końcu, kwadrans po północy, już nie mogę dłużej wytrzymać. Wymykam się z łóżka i zakradam na palcach przez korytarz do ich sypialni, ściskając patyczek w dłoni. Za drzwiami panuje cisza, przerywana tylko chrapaniem taty.

Zamykam oczy i zmuszam się, żeby wziąć oddech. Dam sobie radę. Muszę to zrobić, jeśli chcę poznać prawdę.

Szybko, stanowczo popycham drzwi, żeby zawiasy nie zdążyły skrzypnąć. Kiedy mój wzrok już przyzwyczaja się do ciemności, na czworakach pełnę po miękkim dywaniku do łóżka od strony mamy. Światło księżycy przenika przez szpary w żaluzjach, pomagając mi znaleźć ją w mroku. Leży na boku,

odwrócona do taty plecami. Jedną dłoń ma wetkniętą pod poduszkę, kołdrę podciągnęła do piersi. Jej usta są lekko rozchylone, a oczy podrygują pod powiekami.

Podpełzam jeszcze bliżej i ostrożnie podsuwam jej patyczek do warg, tuż nad kroplę śliny na poduszce. Serce wali mi w piersi, ręka dygocze. W ostatniej sekundzie panikuję i zabieram rękę.

Przez całą minutę siedzę nieruchomo na podłodze. Jej pierś unosi się i opada pod kołdrą w równym rytmie. Postanawiam przeprowadzić prosty test. Jeśli się obudzi, powiem, że nie mogłam zasnąć. A jeśli nie, to będę wiedziała, że to właściwy moment.

Delikatnie dotykam kołdry przy jej ramieniu. Nic. Opieram całą rękę. Ona wciąż się nie rusza. Pewnie wzięła pigułkę na sen. Dobra, spróbuję.

Wszystko dzieje się bardzo szybko: wkładam patyczek w kącik jej otwartych ust, żeby nasiąkł śliną. Kiedy kręcę nim, żeby pokryć cały wacik, mama się porusza – drgają jej powieki, drapie się w policzek. Opadam na dywan. Wacik jest mokry.

Słyszę szelest pościeli. Chyba mama przekręca się na drugi bok. Potem znów nieruchomieje. Odliczam do dwudziestu i podnoszę głowę. Ona leży na brzuchu, z odwróconą głową, i znów równomiernie oddycha. Wygląda tak ślicznie i spokojnie z włosami rozsypanymi na poduszce. Nagle mam ochotę wdrapać się do łóżka, przytulić do niej i zapomnieć o całym eksperymencie.

Zamiast tego jednak pełnę do wyjścia, cichutko zamykam za sobą drzwi, a następnie wsuwam patyczek do fiolki i zakręcam, uwalniając tym samym płyn stabilizujący. I już, po sprawie.

Riley wyśle próbkę jutro po szkole.

Padam na łóżko, ogarnięta dziwną mieszanką podekscytowania i wyrzutów sumienia. Prawdopodobnie złamałam mnóstwo przepisów, nie wspominając o zdradzie zaufania mamy. Jeśli kiedykolwiek się dowie, to dostanę szlaban na resztę życia.

Wkrótce będę wiedziała, czy ta kobieta to naprawdę jej kuzynka. Przypomina mi się wiadomość, w której JH0502 spytała, czy miałam brata. Ale przecież dosłownie miliard ludzi ma braci. To jeszcze nie znaczy, że jestem z nią spokrewniona, prawda? Może to faktycznie była jakaś przypadkowa stalkerka.

Powieki mi opadają. Może mama przez cały ten czas mówiła mi prawdę.

Byłam na nią zła. Coś ją gryzie, ale to jeszcze nie robi z niej oszustki. Kiedy sen zaczyna rozmywać mój umysł, rodzi się we mnie ostatnia myśl: Mam nadzieję, że eksperyment się nie powiedzie.

## PRZEDTEM

# CLAIRE

– Teraz zapraszam panią na tron – oznajmia Nash i puszcza do mnie oko.

Ściskam dłoń Ethana i wchodzę na krzesło pokryte papierowym ręcznikiem, ustawione pośrodku gabinetu lekarskiego, a następnie wsuwam stopy w metalowe strzemiona. W czasie, który upłynął od pobrania jajeczek, dziewięć zarodków urosło w zaciszu probówek w laboratorium Nasha, a każdy skrywa sekret głęboko w zakamarkach swojego DNA. Wreszcie spośród całej dziewiątki lekarz wybrał najsilniejszy do implantacji. To żeński zarodek, XX. Niesamowite, może zostanę matką córki!

Dziś jest dzień implantacji zarodka. Ethan i ja nie byliśmy tak podekscytowani od czasu... Cóż, odkąd dziesięć lat temu odkryłam, że jestem w ciąży z Coltonem, a przyszłość nadal migotała całą tęczą możliwości. Ethan pociera teraz grzbiet mojej dłoni z uroczym zaangażowaniem, przypominając mi tym gestem o naszych odległych złotych czasach.

Po mojej prawej Nash wyciska mi zimny żel na podbrzusze, by przygotować mnie na transfer zarodka monitorowany ultrasonograficznie. Mój pęcherz jest boleśnie pełny, bo wymaga tego wizualizacja. Podczas gdy lekarz gładzi mój brzuch sondą, na płaskim ekranie pojawia się obraz mojej pustej macicy. Jest rozczarowująco ściśnięta i wąska, jak przebita opona. Wyobrażam sobie, jak wypełnia ją wielkie, okrągłe niemowlę.

– Nie mogę uwierzyć, że zaraz znajdzie się w nim nasze dziecko – mówi Ethan, wpatrując się w monitor.

– Za jakąś minutę. – Nash bierze do ręki cienki cewnik z mikroskopijnym zarodkiem w końcówce. – Claire, zaraz wprowadzę to do szyjki macicy

i umieszczę na błonie śluzowej, puszczę tłok i *voilà*.

Uśmiecham się słabo. Jestem zbyt przejęta, żeby cokolwiek powiedzieć. Serce bije mi nieregularnie. Nie ma powrotu. Możliwe, że za dziewięć miesięcy będę trzymać w ramionach pierwszego zmodyfikowanego genetycznie człowieka. Błagam, niech ona będzie zdrowa. Niech będzie normalna.

– Czy ten zabieg boli? – chce wiedzieć Ethan. Słyszając troskę w jego głosie, czuję ciarki; dają o sobie znać wyrzuty sumienia.

– Ani trochę – zapewnia Nash. – To takie uczucie, jak przy wkładaniu tamponu, tylko mniejszego. Gotowa?

Lekarz patrzy na mnie. Przeskakuje między nami elektryczna iskra, naładowana cząsteczką nadziei i stresu dość silna, by cały pokój runął. Pewnie tak by się stało, gdyby nie Ethan, który zupełnie przegapił ten moment. Nie odrywa wzroku od ekranu.

Odkasuję.

– Zróbmy to.

Nash najpierw wprowadza we mnie wziernik, żeby obejrzeć szyjkę macicy, a następnie bezboleśnie wkłada mi do pochwy rurkę. Cała nasza trójka patrzy, jak przyrząd wślizguje się do mojej macicy.

– No dobrze, chwila prawdy – mówi lekarz. Zachowuje się spokojnie, ale widzę, że lekko drży mu ręka; czuję, jak przewód porusza się we mnie. Jego stres to nasz wspólny sekret, narzucona nam odgórnie chwila intymności. Aby jakoś zrównoważyć tę bliskość, ściskam dłoń Ethana. Nash zwalnia tłok.

Biała kropeczka wystrzela z rurki i znika gdzieś w głębi mojej macicy. Trzy sekundy i już jej nie ma.

– Okej. – Nash wypuszcza powietrze z płuc i wyciąga przewód i wziernik. – Teraz pozostaje nam tylko czekać.

Ethan odwraca się ku mnie z ekstatycznym uśmiechem. Całuje mnie w usta, a następnie ściska Nashowi dłoń, jakby nigdy nie istniał między nimi żaden zawodowy konflikt. Nie żeby Nash zdawał sobie w ogóle sprawę, z kim ma do

czynienia. Dla niego mój mąż to Ethan Glasser, stateczny nauczyciel przyrody, a nie doktor Ethan Abrams, jego niezmordowany ideologiczny przeciwnik.

– Bardzo dziękuję – mówi do lekarza. – Nie ma pan pojęcia, jaka to ważna rzecz.

Modłę się w duchu, żeby Nash na mnie nie spojrział, bo wtedy mogę nie wytrzymać i wyrzucić z siebie palącą prawdę. Lekarz jednak tylko klepie go jowialnie po ramieniu i pokusa znika.

– Tak się składa, że chyba wiem – odpowiada z uśmiechem.

\* \* \*

Jedenaście dni później, w poniedziałek rano, budzę się z obolałymi, ciężkimi piersiami i czuję ucisk na pęcherz. Ethan jest już na uczelni, przygotowuje się do wykładu z etyki, który prowadzi o dziewiątej.

Pędzę do łazienki, rozpakowuję testy ciążowe trzech marek, które zebrałam podczas nieznośnego oczekiwania na ten dzień. Miałam nie robić testów przez co najmniej jedenaście dni po zabiegu, ale po cichu sikałam na patyczek każdego ranka i wieczoru od szóstego dnia. Za każdym razem cholerstwo pokazywało tylko uparte białe pole i jedną różową kreskę, a ja czułam, jak panika podchodzi mi do gardła.

Dzisiaj jednak, gdy przyglądam się swojemu nagiemu ciału przed lustrem w łazience, widzę, że coś się zmieniło. Sutki pociemniały i mają fioletowobrazowy kolor. Coś takiego zdarzyło się wcześniej tylko raz.

Zawisam nad toaletą z patyczkiem w dłoni i sikam jak profesjonalistka. Żałosne, ale potrafiłabym to zrobić we śnie. W tym tygodniu przez czystą niecierpliwość zmarnowałam dobre dwieście dolarów na testy. Żadnego pragnienia nie da się porównać z tą pierwotną potrzebą świadomości, że nosisz w sobie nowe życie. Chcę być świadkiem każdej chwili jego egzystencji. Miłość, jaką pragnę dać nowemu dziecku, rozsadza mi serce słodko-gorzki bólem.

Mogłabym czekać tysiąc lat, gdybym tylko miała pewność, że pewnego dnia znów zostanę matką. Właśnie ta niewiedza jest najtrudniejsza do zniesienia.

Podciągam bieliznę i siadam na podłodze, opieram się o ścianę. Czyste pole testu znów ze mnie szydzi.

Lepiej nie patrzeć. W przeciwnym razie te trzy minuty zajmą całą wieczność. Ale kogo ja próbuję oszukać? Podsuwam patyczek do okna, żeby słońce oświetliło choćby najbledszą kreskę. Drobinki kurzu tańczą w złotym świetle, ale patyczek nadal jest obrzydliwie biały.

*No dalej, proszę.*

Zaciskam mocno powieki i odliczam cicho sekundy. Kiedy dochodzę do dwudziestu siedmiu, nie mogę dłużej wytrzymać i otwieram oczy.

Jest. Druga kreska.

„Błada” to za mało powiedziane. Cień najjaśniejszego różu, zbyt delikatny, by miał wyraźną krawędź. Ale jest.

Przez cały tydzień zastanawiałam się, czy wybuchnę płaczem, kiedy nadejdzie ta chwila. Zamiast tego tylko wpatruję się w patyczek i nawet nie mrugam. Żadne dzieło sztuki na świecie nie dorównuje pięknem tej jednej kreseczce.

Znowu zostanę matką.

Colton byłby wspaniałym starszym bratem. Jak to możliwe, że dobra wiadomość potrafi sprawić taki ból?

Po kolejnych sześćdziesięciu sekundach widmowy róż ciemnieje. Jest już na tyle wyraźny, że mogę zrobić zdjęcie i wysłać je...

Nashowi, myślę w pierwszej chwili. Dopiero potem, zażenowana, myślę o Ethanie.

Jeszcze jedno imię przychodzi mi do głowy. Zauważam, że odruchowo zacisnęłam pięści. Przecież ten mały skrawek DNA nic nie znaczy, właściwie nie ma wpływu na całego człowieka. To tylko prosty sposób na załatwienie kilku chorych komórek. Załatwione. Nie ma o czym mówić.

Teraz to moje dziecko. Moja córeczka.



Pędzę do sypialni, chwytam telefon i robię zdjęcie mojemu bezcennemu skarbowi. Następnie wysyłam je do Ethana: UDAŁO NAM SIĘ!!!

Potem wysyłam identyczną wiadomość do Nasha, który dał mi swój prywatny numer na wszelki wypadek. Po chwili namysłu dodaję: „Jest pan cudotwórcą :)))”.

Aż nagle, zupełnie znikąd, dopada mnie spóźnione przerażenie. Uderza z taką mocą, że aż opadam na łóżko.

A co, jeśli ona nie jest normalna? Co wtedy?

\* \* \*

## JILLIAN

Przyszłam dziś wcześniej do laboratorium. Nagłe słyszę wibrowanie komórki Nasha w szafce. Poszedł do kliniki przyjąć pacjentkę, wróci dopiero za godzinę.

Idę do ściany szafek, wysokiej od podłogi do sufitu, i przystaję przed jego schowkiem na dole po lewej. Wszyscy pracownicy laboratorium muszą zostawiać rzeczy osobiste w szafkach, żeby nie zanieczyścić środowiska pracy. Nash nigdy nie robił wielkiej tajemnicy ze swojego kodu – od miesiący widziałam, jak go wprowadza. Zero-dziewięć-jeden-dwa, jego data urodzin. Jak na wybitnego lekarza i naukowca niezbyt dobrze się zna na bezpieczeństwie danych.

Z wahaniem przykładam palec do klawisza z cyfrą zero.

Jest dopiero ósma czterdzieści trzy, jeszcze przez piętnaście minut nikt się tu nie pojawi.

Od tygodnia jedna myśl doprowadza mnie do szału. Nie mogę już tego znieść. Czy on sypia z kimś jeszcze? Przecież nie mogę zapytać go wprost. Bo niby co

miałabym powiedzieć? „Słuchaj, dużo kobiet posuwasz w wolnym czasie? Czy tylko mnie?”

Zerkam przez ramię. Czysto.

Wprowadzam kod i wyciągam jego telefon. Kiedy tylko widzę na ekranie „Claire Glasser”, oddycham z ulgą. Ona na pewno się z nim nie spotyka. Następnie spoglądam na załączony obrazek – zdjęcie testu ciążowego – i wiadomość: „UDAŁO NAM SIĘ!!! Jest pan cudotwórcą :)))”.

„Nam”? Przecież ona głównie zrobiła. Musiała tylko rozłożyć nogi.

To nasze osiągnięcie, moje i Nasha. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiliśmy.

Niezrozumienie Claire nie ma żadnego znaczenia. Ona w ogóle się nie liczy, jest tylko pierwszym materiałem testowym do naszego badania. Dziecko, jeśli urodzi się zdrowe, stanie się ukoronowaniem naszej pracy. A pewnego dnia dowie się o tym cały świat. Niesamowite, jakie konsekwencje to będzie miało dla nauki i całej ludzkości – jeśli ciąża przetrwa, to będziemy mieć do czynienia z pierwszym na świecie dzieckiem urodzonym z DNA trojga ludzi.

...W tym z mojego. Zamieram, znów wpatruję się w zdjęcie różowej kreski. Jakimś cudem, pomimo tylu przygotowań i starań prowadzących do tego zdjęcia, nie zastanawiałam się za bardzo nad tym, jakie konsekwencje będzie to miało dla mnie. Ale teraz okazuje się, że ja też się rozmnożyłam, w bardzo prawdziwym sensie tego słowa.

To znaczy, że Claire jest w ciąży z naszym dzieckiem. Z prawdziwą ludzką istotą, a nie tylko komórką jajową. To dziecko odziedziczy DNA z moich mitochondriów, te same geny, które dostałam od swojej matki. Zawsze sobie wyobrażałam, że pewnego dnia zostanę matką, kiedy już zrobię karierę i spotkam właściwego mężczyznę – może nawet już go spotkałam.

Ale za jakieś osiem miesięcy na świat przyjdzie dziecko, z którym łączy mnie trzydzieści siedem genów. Oszołomiona opieram się o szafkę.

To też moje dziecko.

TERAZ

**ABBY**

Rano po sukcesie misji z pobraniem próbki śliny idę przez korytarz do klasy, kiedy nagle zauważam Sydney, zbliżającą się do mnie z paskudnym uśmiechem. Wciąż nie mogę uwierzyć, że włożyła mi do plecaka tę wstrętną kartkę. Trzeba być walniętą, żeby mówić o czyjejś mamie „psycholka”.

Staję jej na drodze.

– Co ty odpierdalasz? – pytam cicho, żeby nauczyciele na dyżurze nie usłyszeli. Przekleństwo samo wyślizguje mi się z ust, zaskakując nas obie. Splatam ręce na piersi. Czuję się bardzo silna i dorosła, choć ona jest co najmniej osiem centymetrów wyższa ode mnie.

Na jej przyszczatej twarzy najpierw odmalowuje się szok, a potem zdumienie.

– Słucham?

– Mogłabym ci za to zafundować naganę.

– O czym ty gadasz?

Jestem wściekła, że nie mam żadnych dowodów.

– Sama wiesz, co zrobiłaś. Dlaczego zachowujesz się jak jakiś bachor?

Nagle Sydney mnie popycha. Mocno.

– Ej! – krzyczę, chwiejąc się na nogach. Ślizgam się na posadzce i upadam na tyłek i łokcie na samym środku korytarza.

Ona stoi nade mną z obrzydliwą radością w oczach.

– Uważaj, kogo nazywasz bachorem.

Oczy pieką mnie od łez. Patrzę, jak odchodzi i znika w tłumie młodszych dzieciaków, które mijają mnie pospiesznie, szepcząc coś między sobą.

Jestem pewna, że na następnej przerwie już cała szkoła będzie gadać o „babskiej kłótni”. Uch.

Rozlega się dzwonek. Za pięć minut lekcja.

Rozcieram sobie właśnie łokcie, kiedy na korytarzu pojawiają się pan Harrison z panią Miller, zajęci rozmową. Chyba widzą, że coś się stało, bo podbiegają do mnie.

– Abigail! – Pan Harrison pomaga mi się podnieść. – Co się stało?

Ocieram oczy.

– Nic.

– Wszystko w porządku? – pyta pani Miller. Kładzie mi dłoń na ramieniu.

Po okrutnym zachowaniu Sydney taka życzliwość sprawia, że szloch wzbiera mi w gardle, więc tylko kiwam głową i pędzę do łazienki, zanim narobię sobie jeszcze większego wstydu. To najgorszy dzień w moim życiu, a jeszcze nawet nie ma dziewiątej rano. Kiedy już siedzę zamknięta w kabinie, piszę do Riley: „Chodź spotkać się ze mną w łazience”. Pewnie już jest na pierwszej lekcji, ale mamy jeszcze kilka minut.

Po chwili rozlega się pukanie do drzwi toalety.

– Abigail? – Rozpoznaję łagodny głos pani Miller. – Nic ci się nie stało?

Otwieram drzwi na centymetr.

– Wszystko w porządku.

– Chciałabyś porozmawiać?

Kręcę głową. Absolutnie nie potrzebuję, żeby zgłosiła sytuację dyrektorowi, który wezwałby naszych rodziców i kazał nam obu zostać po lekcjach, mimo że to przecież wszystko wina Sydney.

– Gdybyś zmieniła zdanie...

W tej samej chwili do łazienki wpada Riley.

– Boże, słyszałam, że Sydney cię walnęła!

Na twarzy nauczycielki odmalowuje się zgroza.

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. – Podchodzę do umywalki, żeby się odświeżyć.

– To nic wielkiego.

Pani Miller zerka na zegarek.

– No dobrze, dziewczynki, jeszcze dwie minuty.

– Już idziemy – zapewniam.

– Nie spóźnijcie się – dodaje, otwierając drzwi, ale posyła nam uśmiech, sygnalizując, że nie jesteśmy w tarapatkach. – Będziemy dziś kończyć mandale.

Kiedy nauczycielka wychodzi, Riley i ja zaczynamy mówić jednocześnie.

– Co za psychopatka – zaczynam.

– Co się stało? – pyta moja przyjaciółka w tej samej chwili.

Opowiadam jej całą historię ze szczegółami. Kiedy kończę, Riley wygląda na bardziej zdziwioną niż zdenerwowaną.

– Ciekawe, dlaczego tak cię nienawidzi.

– To strasznie wkurzające. Jakbym bez tego nie miała dość problemów. – Rozpinam plecak i podaję jej zestaw testowy z próbką DNA mamy.

Riley spogląda na mnie z szacunkiem.

– Serio udało ci się to zrobić?

– Aha. – Nie wiem, czy powinnam być z siebie dumna, czy się wstydzić. Może jedno i drugie. – Dasz radę wysłać to dzisiaj?

– Tak, po szkole. Ile czasu będziesz musiała czekać na odpowiedź?

Wzruszam ramionami.

– Parę tygodni. Dostaniesz raport na maila.

– Kilka tygodni? – stęka Riley. – Przecież to cała wieczność.

– No.

Znów rozlega się dzwonek. Kiedy wychodzimy z łazienki, przyjaciółka zniża głos, mimo że wokół nas nikogo nie ma.

– A może spróbowałabyś odzyskać konto i znów skontaktować się z tą kobietą? Może powie ci jeszcze coś ciekawego?

Unoszę jedną brew w bezgłośnym „błagam cię”.

– Musiałabym się włamać na konto mailowe mamy.

– Dlaczego? Nie możemy zrobić tego z mojego komputera?

– Nie, bo mama powiedziała ich obsłudze klienta, że ktoś mnie „napastuje”. – Rysuję palcami cudzysłowy w powietrzu, żeby podkreślić, w jakie skrajności ona potrafi wpadać. – No, i tak już jest za późno. Na pewno skasowali wszystkie dane.

– Wcale nie. – Riley posyła mi przewrotny uśmiech, ten sam, którym przekonała mnie w zeszłym roku do przejażdżki na kolejce górskiej do góry nogami. – Sprawdziłam. Twoje dane zostają usunięte dopiero po sześćdziesięciu dniach od zamknięcia konta. A na razie minął raptem miesiąc.

Zatrzymujemy się przed klasą pani Miller. Ze środka dobiega jej stłumiony wykład o mandalach. Wyjaśnia, że w starożytnych kulturach symbolizowały one relację między naszym światem wewnętrznym a rzeczywistością wokół nas.

– Wyobraźcie sobie, że odzwierciedlają wasz stan umysłu...

Nic dziwnego, że pomalowałam swoją tylko na czarno i brązowo.

– Masz jeszcze czas. – Szept Riley ściąga mnie na ziemię.

– Gdyby mama się dowiedziała, dostałaby szału.

– Abby, już dawno przestałaś się martwić, co wolno, a czego nie. Przecież ukradłaś jej DNA. Za coś takiego można iść do więzienia.

Czuję w brzuchu taki ciężar, jakby kulę do kręgli.

– No właśnie. Dostyc już nawyprawiałam.

Kiedy wchodzimy do klasy, zimny pot zbiera mi się na czole.

Co ja narobiłam?

# CZĘŚĆ DRUGA

PRZEDTEM

**CLAIRE**

*Jeszcze trzy miesiące*

Codziennie z samego rana czuję ruchy dziecka, zanim wstanę z łóżka: uparte dźgnięcia przy miednicy, albo dramatyczne obroty nad pępkiem. Nigdy nie czułam takiej więzi z płodem – naprawdę, nawet z Coltonem. Był o wiele spokojniejszy. Czasami przez kilka dni musiałam czekać, aż przypomni mi o swoim istnieniu delikatnym trzepotem. On był kolibrem, a to dziecko bardziej przypomina byka. Jestem zachwycona każdą chwilą.

Siła jej kopnięć mówi mi wszystko, co muszę wiedzieć: będzie zdrowa. Silna. Dziecko z przyszłością.

Jestem tak przejęta światem swojej macicy i odliczaniem tygodni do rozwiązania – dwudziesty ósmy lutego – że zupełnie nie spodziewam się pytania, jakie pewnego dnia mąż zadaje mi przy śniadaniu.

– Kim jest Jillian Hendricks?

Nie robię nic głupiego. Nie spluwam bezkofeinową kawą. Ale przewraca mi się w brzuchu, jakby dziecko właśnie zrobiło salto.

– Hmm? – Nie odrywam wzroku od iPada. Udaję, że jestem pochłonięta niedzielną krzyżówką „New York Timesa”.

– Jillian Hendricks. – Ethan odsuwa mi ekran sprzed oczu. – Ta osoba, którą obsesyjnie wyszukujesz w Google.

Ośmielam się na niego zerknąć. Nie zaskakuje mnie jego zmarszczone z irytacji czoło. Nie cierpię tej miny; czuję się wtedy jak kiepska studentka.



– Proszę cię, Claire. – Ethan odstawia kawę obok talerza z niedojedzonymi jajkami. – Zostawiłaś otwartego laptopa. Wszedłem do gabinetu coś wydrukować i natychmiast rzuciło mi się w oczy, że kogoś szukasz.

Dobrze, to prawda, że nie mogę przestać myśleć o nieuchwytej Jillian – próbuję dowiedzieć się więcej o jej historii medycznej, pochodzeniu etnicznym, poglądach politycznych, aktywności na portalach społecznościowych – ale w internecie jest frustrująco mało informacji na jej temat. Chciałabym móc po prostu otrzepać się z tej relacji, dziękuję, do widzenia, kiedy tylko wysechł test ciążowy. Prawda jest jednak taka, że dręczy mnie dług, jaki nasze dziecko zaciągnęło u Jillian. A co jeśli moja córka okaże się do niej podobna? A jeśli odziedziczy większe ryzyko zachorowania na raka, alzheimera albo jeszcze coś innego? Zatem jak każda dobra dziennikarka natychmiast zaczęłam szukać faktów, żeby wszystko wyjaśnić. Tylko że cholernie trudno odkryć coś konkretnego jedynie z pomocą Google’a.

Otwieram szerzej oczy, jakbym dopiero się zorientowała.

– A, Hendricks, tak. To taka obiecująca młoda badaczka, z którą chciałam przeprowadzić wywiad do czasopisma. Ale nie mogę się z nią skontaktować, więc naczelna pewnie zrezygnuje z tematu.

Ethan wkłada sobie kawałek jajka do ust. Przygląda mi się podejrzliwie, przeżuwając wolno kęs. Chciałabym uciec spod jego spojrzenia.

– A co? – pytam defensywnie. – Za kogo ją miałeś?

– Nie wiem. Dlatego cię zapytałem.

– Okej. – Znów przyciągam do siebie iPada. – Jak sobie chcesz.

\* \* \*

Na resztę dnia w mojej piersi zagnieżdża się niepokój. Z początku nie mogę dojść przyczyny, dla której tak ciężko mi się z tego otrząsnąć. Ethan o niczym nie wie; nie ma skąd. Nie dzieje się nic podejrzanego. Aż nagle, kiedy składam lawendowe kombinezony dla dziecka, coś jeszcze dociera do mnie z całą siłą.

Co się stanie, jeśli Jillian postanowi wtargnąć do naszego życia i wszystkiemu zagrozić? Jeśli będzie sobie rościć jakieś prawa do dziecka – jako rodzic albo jako badaczka? Nie mamy żadnego kontraktu, żadnej pisemnej umowy, regulującej zasady naszej nielegalnej współpracy.

Mój umysł, od urodzenia stworzony do produkowania najczarniejszych scenariuszy, teraz roztacza przede mną wstrętną wizję Jillian, pukającej do naszych drzwi z żądaniem dostępu do dziecka. Może będzie chciała badać DNA naszej córeczki albo – co gorsza – spróbuje domagać się własnej macierzyńskiej relacji z dzieckiem. Nocowanie co drugi weekend, joga dla matek z dziećmi, naprzemienne odbieranie małej z przedszkola...

*Cicho!*

Nic takiego nigdy się nie wydarzy. Ona nie ma żadnych praw. Dziecko jej nie pozna. Ethan też nie. To tylko upiór z przeszłości.

Mimo to nie czuję się pewniej.

Pozostaje mi jedno. Muszę się z nią spotkać twarzą w twarz i upewnić, że mamy takie samo podejście do sytuacji, zanim dojdzie do porodu.

To również całkiem niezła wymówka, żeby skontaktować się z Nashem, bo nie widziałam go już od kilku miesięcy. Ponieważ specjalizuje się w endokrynologii ciąży, miał ciążę pod obserwacją przez pierwsze dziesięć tygodni, a potem skierował mnie do zwykłego ginekologa na badania kontrolne. Nadal interesuje się moim zdrowiem esemesowo – wszystko toczy się idealnie – ale ja tęsknię za naszymi regularnymi spotkaniami. Słyszałam o pacjentkach wracających do lekarzy, którzy przeprowadzili im zabieg in vitro, żeby pokazać brzuszki. Teraz, kiedy wreszcie się zaokrągliłam, Nash też zasługuje, żeby zobaczyć ciążę. Przecież to dzięki niemu do niej doszło.

Piszę do niego i zwierzam się z obaw o mglistą umowę z Jillian. Odpisuje od razu: „Proszę się nie martwić, porozmawiamy”.

Kilka godzin później daje znać, że możemy spotkać się we trójkę w najbliższy wtorek. Nie chce jednak ryzykować, że personel zacznie zadawać

niewygodne pytania, więc zamiast do kliniki wybierzemy się na lunch w dzielnicy West 80s.

„Jesteśmy umówieni”, odpowiadam, czując w piersi lekki trzepot wyrzutów sumienia.

\* \* \*

Kiedy wreszcie nadchodzi dzień spotkania, wkładam najładniejszą ciążową sukienkę – turkusową, z wysokim stanem, który podkreśla okrągły brzusek. Nie jestem pewna, czy chcę wyglądać dobrze dla Nasha czy dla Jillian. Tak czy inaczej szczęki mam mocno zaciśnięte ze zdenerwowania.

– Idziesz na randkę? – drażni się ze mną Ethan, widząc że prostuję włosy. Rzadko zawracam sobie tym głowę. Lodowaty deszcz ze śniegiem wali w okna, zapowiadając bombę cyklonową, więc mój mąż postanowił wrócić dziś wcześniej z pracy. Nie brałam tego pod uwagę.

– Aha, pewnie. Idę na wywiad.

– Z kim? – Ethan staje w drzwiach łazienki i przygląda się, jak przeciągam parującą prostownicę przez mokre włosy.

– Ze źródłem do reportażu.

– Domyśliłem się. Do którego?

Czuję ukłucie irytacji, choć przecież zwykle z radością opowiadam mu o szczegółach swojej pracy.

– To będzie o... Ważnych testach leków – kłamię. – Na chorobę wątroby.

– O, proszę. A konkretnie?

Próbuję sobie przypomnieć szczegóły historii, którą omawialiśmy w zeszłym tygodniu na zebraniu redakcyjnym.

– Słyszeliśmy, że firma mogła sfałszować dane, żeby ukryć skutki uboczne leków – wyjaśniam. – Ktoś z wewnątrz ma przyjść do redakcji i sprzedać nam historię.

– Super. To może być duża sprawa.

– Zobaczymy. Nigdy nic nie wiadomo.

– Weź mój parasol. Okropna pogoda.

Przeglądam się jeszcze raz w lustrze, a następnie całuję go w policzek.

– Tak zrobię.

Mąż gładzi mnie po brzuchu i pomaga mi włożyć zimowy płaszcz i kozaki.

– Może zamówimy potem coś z chińskiej knajpy?

– Pewnie. Wrócę za kilka godzin.

Daje mi jeszcze jednego buziaka, a ja ruszam do drzwi.

Kiedy schodzę po schodach naszego budynku z brązowego wapienia, lodowaty wiatr chłozczy mnie w twarz. Ustawiam parasol pod kątem, ale pręty wyginają się w drugą stronę.

– Szlag. – Deszcz spływa mi po karku, pod sukienkę.

Męcę się przez chwilę z parasolką. W pewnej chwili zauważam w oknie naszego salonu ciemną sylwetkę Ethana. Pewnie mnie obserwuje, by mieć pewność, że nic mi nie jest. Macham do niego, żeby się nie przejmował, i człapię ciężko do restauracji. Nie chcę się spóźnić.

\* \* \*

## JILLIAN

Kiedy siedzę naprzeciwko Claire i Nasha w Tangled Vine, wbrew sobie zaczynam się zastanawiać, czy on nie jest po cichu zainteresowany naszym bardzo ciężarnym i zamężnym obiektem badań. Zwłaszcza kiedy widzę, jak zerka w dekolt Claire Glasser.

*O ty suko.*

Nash i ja sypiamy ze sobą od miesiący i zaczynam mieć wrażenie, że robi się poważnie, przynajmniej z mojej strony. Ale on wciąż z jakiegoś powodu

wzbrania się przed nadaniem naszej relacji jakiejś oficjalnej etykiety, a mnie to już doprowadza do furii. Czy naprawdę tak trudno mu nazywać mnie swoją dziewczyną?

Jednym szybkim, niemal agresywnym ruchem wlewam sobie do gardła wielki łyk merlota i wściekle odstawiam kieliszek na blat.

Nash odrywa wzrok od Claire i spogląda na mnie, unosząc brew.

Ostentacyjnie go ignoruję i skupiam uwagę na niej.

– Czyli co, chciała nam pani podziękować osobiście?

Claire przysuwa sobie wodę gazowaną i próbuje się uśmiechnąć, choć na kilometr bije od niej fałszem.

– Owszem, między innymi – odpowiada przymilnym tonem, przez który mam ochotę ją walnąć. – Chcę, żeby państwo wiedzieli, jak bardzo jestem wdzięczna...

– Wiemy – przerywam.

Kobieta poprawia się na krześle i zerka kątem oka na Nasha. On nie traci ani chwili i pędzi na ratunek.

– Uważam, że Claire postąpiła bardzo mądrze, zwołując to spotkanie. Wszyscy musimy się zastanowić teraz nad swoimi rolami, jeszcze przed porodem. Tak naprawdę należało to zrobić na samym początku, ale lepiej późno niż wcale.

– Chodzi mi o to, że nie ma czego omawiać – oznajmia Claire. – Chcę, żeby oboje państwo wiedzieli, jak bardzo doceniam państwa wkład, ale od tej pory będę jedyną matką. – Jej harde spojrzenie wygląda tak, jakby rzucała nam wyzwanie.

Prycham śmiechem.

– Boże. Może mi pani wierzyć, nie mam zamiaru w najbliższym czasie wychowywać dziecka.

Twarz Claire łagodnieje.

– To dobrze.

– Ale ma pani świadomość – ciągnę – że zaryzykowaliśmy całe swoje życie zawodowe, żeby przeprowadzić z panią ten eksperyment? – Uznaję, że dobrze będzie przypomnieć Nashowi, po której stronie się znajduje.

Claire przygryza końcówkę słomki.

– Aha...

– I poważnie mówi pani, że nie mamy prawa znać wyników? Zobaczyć dziecka?

Ona patrzy mi prosto w oczy.

– Owszem.

– To jakiś absurd. – Krzywię się i odwracam w stronę Nasha. – Nie wierzę, że zgadzasz się na coś takiego.

Widzę, że on nie jest pewien, co powinien teraz powiedzieć. Czuję się tak, jakbym wygrała na loterii, a chwilę potem została okradziona.

– Poznamy to dziecko – mówię. – Tego może być pani pewna.

– Słucham? – odcina się Claire. – To, jak będzie żyło moje dziecko, zależy ode mnie.

– Oczywiście. – Nash odkasłuje. – Jillian chodziło raczej o to, że powinna pani starannie się nad tym zastanowić.

Claire spleta ramiona nad wydatnym brzuchem.

– Moja córka będzie dorastać normalnie. Bez matki przemycającej ją do jakiegoś laboratorium i okłamującej ojca. Bardzo mi przykro, ale na to się nie umawialiśmy. Skoro już jestem w ciąży z tym małym Frankensteinem, to mam prawo ustalać zasady.

– Frankenstein, co? – Nash uśmiecha się z rozbawieniem.

– Nie mamy pojęcia, jaka ona będzie po urodzeniu, prawda? – naciska Claire.

– Właśnie o to chodzi – wtrącam. – Mamy prawo wiedzieć.

– Zadzwońię do państwa – odpowiada z pogardą.

– Bardzo naukowo. – Gryzę wewnętrzną stronę policzka. Nie ma sensu robić z siebie suki. – Trzeba było lepiej ją sprawdzić, zanim w to weszliśmy – mówię do Nasha. – Niewiarygodne.

– Gdyby nie ja, w ogóle byście nic nie mieli – odcina się Claire. – Nie ma za co.

Nash wzdycha.

– Wszystko zawdzięczamy pracy zespołowej. W tym chyba możemy się zgodzić, prawda? – Zastanawiam się, czy wyczuł tę dziwną rywalizację wrzącą cicho między nami. Mam ochotę im przypomnieć, że to także moje dziecko. No i co z tego, że zapewniłam mniej genów od niej?

Postanawiam jednak sprawiać wrażenie skłonnej do współpracy i nic nie mówię.

Nash wpatruje się w Claire – łagodnie, ale stanowczo.

– Proszę posłuchać, rozumiem, że chciałaby pani, abyśmy zniknęli, bo wtedy będzie pani miała normalne życie. Ale tutaj zmienia się bieg historii. Ten zabieg mógłby pomóc tysiącom kobiet takich jak pani urodzić zdrowe dzieci. Jeśli nas pani od tego odetnie, zniszczy pani tę szansę. – Przerywa na chwilę. – Myśli pani, że Colton właśnie tego by chciał?

Na dźwięk imienia syna opór Claire zaczyna się widocznie kruszyć. Jej oczy nabierają nieobecnego wyrazu. Spogląda gdzieś przed siebie, zapewne pochłonięta jakimś wspomnieniem. Kiedy na nią patrzę, nie mogę powstrzymać współczucia. Może jest nierozsądna i doprowadza mnie do szału, ale utrata dziecka to coś absolutnie niepojętego. Nie wyobrażam sobie, że miałabym przeżyć taką tragedię.

W końcu włącza telefon. Ekran się rozjaśnia, a na tapecie pojawia się uśmiechnięty blondynek z uroczym dołeczkiem i niesamowitymi błękitnymi oczami.

– Był piękny – odzywa się Nash po chwili ciszy pełnej szacunku.

– Dziękuję. – Głos kobiety łagodnieje.

Znów następuje milczenie.

– Nigdy nie skrzywdzilibyśmy tego dziecka – zapewniam. – Jego bezpieczeństwo i anonimowość zawsze będą dla nas absolutnie najważniejsze.

Nash przytakuje mi z wdzięcznością.

– Oczywiście, to się rozumie samo przez się.

Claire otwiera usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nagle zauważa kogoś na zewnątrz. Z jej ust wyrywa się krzyk. Odwracam się na stołku, żeby wyjrzieć przez zamazane deszczem szyby, ale widzę tylko rozmyty tłum pieszych z parasolkami.

– Przepraszam, muszę iść. – Kobieta szybko zsuwa się ze stołka i pędzi do drzwi.

– Zaraz! – woła za nią Nash. – Przecież nie skończyliśmy...

Ona jednak już jest prawie na zewnątrz, pospiesznie wciska ramiona w rękawy płaszcza i otwiera parasol.

Patrzemy, jak maszeruje po ulicy i znika nam z pola widzenia.

– No, no. – Kołyszę winem w kieliszku. – Świetnie nam poszło.

– Nie mam pojęcia, co się właśnie wydarzyło – wzdycha Nash. – Ale myślę, że się dogadamy. A ty następnym razem powinnaś być dla niej miłsza. Nie chcemy jej odstraszyć na dobre.

– Spoko, jak chcesz. – Posyłam mu spojrzenie spod rzęs. – A tymczasem może skoczmy do mnie? Stamtąd łatwo nam będzie wrócić do pracy.

– Po południu deszcz ma być jeszcze większy. Nie zamierzałem już dzisiaj przyjmować więcej pacjentek.

– Dajesz mi dzień wolnego? – pytam z teatralnym niedowierzaniem.

– Tylko pół. – Nash wyciąga z kieszeni portfel i rzuca na stół dwie dwudziestki. Następnie bierze mnie za rękę. – Chodźmy stąd.

\* \* \*

**CLAIRE**

– Ethan! – krzyczę. – Czekaaj!



On idzie prosto przed siebie po mokrym chodniku, zgarbiony pod czarnym parasolem. Natychmiast uświadamiam sobie, że śledził mnie przez aplikację Find Friends. Pewnie zrobił się podejrzliwy, gdy zobaczył, jak się stroję. Rzadko tak się szykuję do wyjścia.

Pędzę za nim jak najszybciej, wyginając plecy do tyłu z powodu dodatkowego dwunastokilogramowego ciężaru. Zawsze, kiedy czeka nas poważna kłótnia, Ethan ucieka. Dlatego wiem, że sprawa jest poważna. W innej sytuacji potrafiłby zamknąć się na wiele godzin w gabinecie, żeby tylko uniknąć konfrontacji ze mną.

Ale teraz nie ma gdzie się schować.

Światła przy następnej przecznicy zmieniają kolor na czerwony i zatrzymują go na chodniku. Wreszcie go doganiam, cała zdyszana. Posyła mi niechętnie spojrzenie.

– N-n-nie powinnam... T-t-tak... Się m-m-męczyć – dyszę.

– Ani okłamywać męża. – Mówi to tak twardym tonem, że mógłby nim łamać kości.

– W ostatniej chwili tak wyszło. Przepraszam.

Zapala się zielone światło. Ethan wchodzi na ulicę, warcząc na mnie z obrzydzeniem. Biegnę za nim i chwytam za rękaw płaszcza.

– Kochanie, mogę to wyjaśnić.

On zatrzymuje się w pół kroku na środku skrzyżowania.

– Masz romans z tym lekarzem?

– Boże, nie. – Śmieję się piskliwie.

Ale czy mogę z absolutnym przekonaniem powiedzieć, że nie poczułam przyjemnego ukłucia na widok Nasha? Przecież wiele kobiet fantazjuje o swoich przystojnych lekarzach. Podnieca je różnica sił, ale nic poza tym.

Trąbi na nas przejeżdżająca taksówka. Pospiesznie schodzimy na chodnik.

– To dlaczego poszłaś się z nim spotkać? I z tą kobietą? I w dodatku mi nie powiedziałaś?

– No... To właściwie dość skomplikowane.

– Mam czas.

Już widzę, że łatwo się nie wywinę. Każde rzucone na odczepnego kłamstwo tylko przyciągnie uwagę do mojej zdrady; on natychmiast mnie przejrzy.

Przed oczami przelatuje mi możliwa wizja przyszłości: jeśli zgodzę się na współpracę z Nashem i Jillian, będę musiała ukrywać to, że moja relacja z nimi wciąż trwa, przemycać dziecko na testy, pilnować każdego kroku i słowa przy Ethanie i pozwalać, żeby moje dziecko było nakłuwane, oglądane i badane, co prawdopodobnie odbije się na jego psychice. Nie tak sobie to wyobrażałam. Chcę tylko, żeby miała szczęśliwe, zdrowe, normalne dzieciństwo.

Ale co zrobią, jeśli odmówię im dostępu do dziecka? Pozwolą, żebym tak po prostu sobie odeszła w siną dal? Wątpię. Nash sprawia wrażenie przyzwoitego faceta, chociaż w zasadzie prawie go nie znam – i nie wiem, jak daleko jest gotów się posunąć, żeby ocalić dowody swojego przełomowego dokonania. Co do Jillian, widzę, że w jej geniuszu kryje się pewna gorycz. Z jakiegoś powodu już mnie nienawidzi, tyle wiem na pewno. Wzdrygam się na samą myśl, do czego mogłaby być zdolna, i nie chcę, by moje dziecko znalazło się w środku tego konfliktu. Jak paskudna może się stać ta sytuacja, zanim Ethan i tak o wszystkim się dowie?

– Claire, nawet nie myśl, żeby wciskać mi jakieś głodne kawałki.

Ulewa tłucze wokół nas, tak że trudno zobaczyć coś na odległość większą niż kilka kroków, a co dopiero zacząć najtrudniejszą rozmowę od początku naszego małżeństwa. Widząc, że się waham, Ethan prowadzi mnie pod czerwoną markizę Swagat, naszej ulubionej hinduskiej restauracji przy Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy. Przyszliśmy tu na kolację w dniu, kiedy odkryłam, że znów jestem w ciąży.

– Nie ruszę się stąd, dopóki mi nie powiesz, co się dzieje.

– Okej. – Ciągnę za kołnierz płaszcza. – Chciałam, żebyśmy mieli własne zdrowe dziecko. Przecież obojgu nam na tym zależy, prawda?

Ethan mruży oczy. Nie jest pewien, do czego to zmierza.

– Oczywiście.

– Ale nie mogłam ryzykować, że znów będziemy przechodzić przez... To wszystko. – Odgarniam kosmyk mokrych włosów, który przykleił mi się do policzka. – Więc musiałam pomyśleć o jakimś nieortodoksyjnym rozwiązaniu.

Widzę, jak maleńkie mięśnie wokół jego warg się napinają.

– Co to ma znaczyć?

– Poszłam do doktora Nasha nie bez powodu... – zaczynam i opowiadam o jego pionierskiej metodzie donacji mitochondrialnej. Dzięki niej możliwe jest obejście takich chorób jak ta, która odebrała życie Coltonowi. Twarz Ethana wykrzywia się w wyrazie niedowierzania. Kiedy kończę, jego oszołomione milczenie i przerażony wzrok sprawiają, że zimny dreszcz przechodzi mi po kręgosłupie.

– Ale najważniejsze – kończę z wymuszoną radością – że wreszcie będziemy mieć to, czego zawsze pragnęliśmy! – Chwytam go za zwiotczałą rękę i kładę sobie na brzuchu. – Zobacz, jak kopie.

On odrywa dłoń, jakbym go poparzyła.

– Chcesz mi powiedzieć, że ten płód ma geny od ciebie, ode mnie, i jeszcze od kogoś?

– Od Jillian, współpracownicy Nasha. Była tak życzliwa, że...

– Chyba żartujesz. Mówisz poważnie?

– Wiedziałam, że się z tym nie zgodzisz – stwierdzam kwaśno.

– Nie zgodzę? Nawet już nie wiem, kim ty właściwie jesteś.

– Jestem matką, która chroni swoje dziecko. – Zaciskam zęby. – Jeśli tego nie rozumiesz, to ja też nie wiem, z kim mam do czynienia.

– Nie mogę nawet na ciebie patrzeć. – Ethan się odwraca. – Razem z tym szarlatanem podeptaliście nasze małżeństwo, moje prawa, przepisy, zasady etyki... Kurwa mać, Claire...

– Będziemy mieć własne zdrowe dziecko! – wrzeszczę. Jestem już bliska łez.

Mąż robi krok w tył, jakby miał do czynienia z wariatką.

– Może nie powinnaś była odstawiać leków.

Wstyd ściska mi serce.

– To nie w porządku, że tak mówisz.

– Ty naprawdę nie rozumiesz, w czym problem, prawda?

– Wydaje mi się, że sytuacja jest jasna. – Nie potrafię powstrzymać smutku w głosie.

– Tak? To podsumujmy. – Ethan zaczyna odginać palce jeden po drugim. – Godzisz się na nielegalny zabieg z wykorzystaniem moich plemników bez mojej zgody, aby ingerować w ludzki materiał genetyczny, co może doprowadzić do trwałych konsekwencji dla naszego gatunku, i spodziewasz się, że tylko radośnie pokiwać głową?

Jestem zdruzgotana od furii i rozczarowania. Owszem, różnimy się od siebie, ale w tyle głowy zawsze miałam podejrzenie, że jego moralne kaznodziejstwo to tylko poza, żeby zapewnić sobie dobrą pozycję zawodową. Pogarda wobec biotechnologii jest w dzisiejszych czasach bardzo modna. Mimo to liczyłam, że zdoła nagiąć swoje sztywne ideały, gdy w grę wejdzie możliwe cierpienie i śmierć naszego drugiego dziecka. Okazuje się jednak, że mój mąż jest bardziej uczciwy i zepsuty zarazem, niż się tego spodziewałam.

– To jeszcze nie wszystko – odpowiadam. – Zrobiłabym to jeszcze raz. Ale może nie z twoimi plemnikami.

Ethan rozchyła wargi, jakbym uderzyła go w splot słoneczny. Wściekłym gestem wyciąga telefon z kieszeni i zaczyna uderzać w ekran palcem.

– Co robisz?

– Szukam numeru do OCI.

– OCI? To jakiś wydział na uniwersytecie?

– Nie, w Agencji Żywności i Leków. Wydział Dochodzeniowo-Śledczy. Gapię się na niego z otwartymi ustami.

– Nie zrobiłbyś czegoś takiego.

Jego palec wciąż wisi nad ekranem.

– Błagam. – Próbuję powstrzymać drżenie w głosie. – Chodźmy do domu i porozmawiajmy. – Przyciągam sobie jego palce do warg. – Proszę.

Ethan mruży oczy, wykrzywia się w grymasie i wymija mnie gwałtownie.

Kiedy odchodzi ze spuszczoną głową, widzę, jak drżą mu ramiona. Nagle rozumiem, skąd jego pośpiech: nie chciał, żebym widziała, jak płacze.

\* \* \*

## JILLIAN

Oboje znamy ten rytuał na pamięć. Kiedy tylko otwieram drzwi do mieszkania, Nash i ja ruszamy do łóżka, wyplątując się po drodze z płaszczy i przemoczonych butów. Zaczynamy się całować, ale irytujący obraz sprzed pół godziny pojawia mi się przed oczami. Znow widzę jego i Claire w restauracji. Uśmiechali się do siebie tak, jakby w ogóle mnie przy nich nie było.

Wspomnienie sprawia, że całuję go jeszcze mocniej. Wsadzam mu dłoń w spodnie i chwytam sztywny członek, z przyjemnością wsłuchując się w jęk Nasha. Nie ma szans, żeby myślał teraz o kimkolwiek innym.

W tej samej chwili telefon w jego kieszeni zaczyna wibrować. Urządzenie wypada na materac. Na rozświetlonym ekranie pojawia się wizytówka: CLAIRE GLASSER. Nash wyciąga po niego rękę, ale strącam telefon łokciem na podłogę.

– To może poczekać. Chyba że... – wypuszczam jego penis z dłoni – mam przestać...

On tylko ściąga spodnie i rzuca je na ziemię.

TERAZ

**ABBY**

Kiedy w nocy słyszę, jak obcy samochód parkuje przed naszym domem, natychmiast siadam na łóżku i szukam telefonu. Za jedenaście pierwsza. Rodzice śpią na drugim końcu korytarza, a okna ich sypialni wychodzą na przeciwną stronę domu, więc pewnie nic nie słyszeli.

Silnik pod moim oknem mruczy, ktoś otwiera drzwi auta.

Dreszcz przebiega mi po ramionach. To na pewno policja. Ktoś się domyślił, że ukradłam DNA mamy i przyjechali mnie zabrać...

Wstrzymuję oddech, wskakuję na parapet i wyglądam ostrożnie przez szparę w roletach. Spodziewam się migotania czerwono-niebieskich kogutów na dole.

Zamiast tego jednak widzę normalny samochód. Czarny, może granatowy; w ciemności nie da się tego określić na sto procent. Jakiś cień wysiada i szybko wchodzi na nasz podjazd, gdzie stoją auta rodziców. Moja ulga szybko ustępuje kolejnej fali paniki. Czy ten ktoś chce się włamać?

Oślaniam oczy po bokach dłońmi, ale wciąż prawie nic nie widzę. Nieznajomy jest chyba raczej niski, opatulony w puchową kurtkę z naciągniętym kapturem. Nie widzę włosów. Przypominam sobie o dodatkowym alarmie, który rodzice dopiero co zainstalowali. Rany, mam nadzieję, że go dziś włączyli.

Już mam pobiec do ich sypialni, kiedy widzę, jak ten ktoś chowa się pod samochodem mamy. Musiał mnie zauważyć w oknie i próbuje się ukryć.

– Mamo! – krzyczę, nie ruszając się z miejsca. – Tato!

Słyszę, jak zrywają się z łóżka i pędzą przez korytarz. W tym samym czasie nieznajomy wynurza się zza auta, wskakuje do ciemnego samochodu i odjeżdża. Gdy rodzice wpadają do mojego pokoju, pojazd już rozplywa się w mroku.

– Co się stało?! – woła mama, podbiegając do mnie razem z tatą. Oboje są przejęci i rozbudzeni. – Nic ci nie jest?

– Wydaje mi się, że ktoś próbował się włamać. – Wskazuję na zewnątrz. – Ale właśnie odjechał.

Mama siada na moim łóżku. Wymienia się spojrzeniami z tatą – to wygląda tak, jakby przekazywali sobie wiadomość. Jakby wiedzieli coś, o czym nie mam pojęcia.

– To był mężczyzna czy kobieta? – pyta tata.

– Nie było widać. Powinniśmy zadzwonić na policję?

Tata wygląda przez okno.

– Nie widziałas tablic rejestracyjnych albo czegoś charakterystycznego?

– Nie. Przepraszam. – Kręcę głową. Zeskakuję z parapetu i siadam obok mamy.

– Nic nie szkodzi. – Tata przygryza wargę, nadal rozglądając się po ulicy. – Jeśli zobaczysz coś jeszcze, daj nam od razu znać.

– Mogę spać dzisiaj z wami? – Kładę mamie głowę na ramieniu. – Boję się.

– Oczywiście – zapewnia, przygarniając mnie.

Wtedy zauważam, że jej ciało lekko dygocze.

Nie mam pojęcia, kim była ta osoba. Ale jestem pewna, że mama wie.

## PRZEDTEM

# CLAIRE

– Kurwa, odbierz wreszcie! – syczę do komórki. Siedzę zapłakana w naszej sypialni, podczas gdy Ethan zgodnie z moimi przewidywaniami zabarykadował się w gabinecie. Nie mam pojęcia, czy jest właśnie zajęty niszczeniem całego naszego życia, czy tylko gotuje się ze złości. Jestem przerażona na samą myśl o tym, co mógłby zrobić. Nash powinien o tym wiedzieć i jakoś się przygotować, ale nie odbiera moich telefonów. Zasypuję go serią coraz bardziej zdesperowanych wiadomości:

16.57 Proszę oddzwonić

17.02 Musimy porozmawiać, natychmiast!

17.05 On wie...

17.07 Kurwa mać, gdzie pan jest?!

Mija kolejne dziesięć minut. Wciąż bez odpowiedzi. Jeśli jeszcze przez sekundę będę się gapić na ten cholerny ekran, to eksploduję, więc rzucam komórkę na łóżko i podchodzę na palcach do gabinetu Ethana na drugim końcu korytarza.

Przyciskam ucho do drzwi. Cicho jak na cmentarzu.

Pukam ostrożnie.

– Mogę wejść?

Odpowiada mi burknięcie. Uznaję to za zaproszenie i otwieram. Mój mąż siedzi zgarbiony w skórzanym fotelu, odwrócony do mnie plecami. Kiedy przekręca krzesło w moją stronę, natychmiast zauważam jego czerwone oczy i opuchnięty nos.

Ale zamiast współczucia ten żaloszny widok wyzwala we mnie złość.



– Powinieneś się cieszyć – syczę. – Nie chcesz, żeby nasze dziecko było normalne?

– Normalne? – prychna Ethan. – I co, będzie na was mówić „mama komórkowa” i „mama mito”?

Przewracam oczami.

– Ja jestem jedyną matką. Ona nic nie znaczy. – Ale już kiedy wypowiadam te słowa, słyszę histeryczną nutę we własnym głosie.

– To dziecko zawsze będzie odmieńcem.

Odruchowo obejmuję brzuch.

– Jak śmiesz! To twoja córka!

Przez chwilę jego oczy łagodnieją, wypełnia je tęsknota – poznaję ten wyraz twarzy. Widziałam go za każdym razem, kiedy spóźniał mi się okres. Wkrótce jednak znów pochłania go mrok.

– To nie miało tak wyglądać. Nie miałaś robić takich rzeczy za moimi plecami, z tym...

– Nash jest geniuszem.

– Jebać go. – Ethan chwyta za telefon. – Powiedz, dlaczego nie powinienem donieść na niego służbom w tej chwili.

– Bo... – protestuję natychmiast – bo tak naprawdę jesteś wściekły na mnie. Więc to mnie ukarż, mnie znienawidź, ale niech to zostanie między nami. To rodzinna sprawa.

Mam nadzieję, że myśl o rodzinie odwiedzie go od impulsywnych działań. Kiedy czujemy się pokonani przez żalobę, to właśnie rodzina podtrzymuje naszą nadzieję przy życiu. Rodzina, którą wciąż mamy szansę pewnego dnia stworzyć. Rodzinne tradycje, obiady, wycieczki. Wszystko, co rodzinne, stanowi nasz specjalny skrót, który w rzeczywistości oznacza „i żyli długo i szczęśliwie”.

Wygląda na to, że moja zagrywka podziałała. Ethan odkłada telefon.

– Na razie niech tak będzie – przystaje. – Ale jeszcze nie podjąłem decyzji w żadnej sprawie. – Patrzy mi prosto w oczy. – Łącznie z tobą.

\* \* \*

## JILLIAN

Czterdzieści minut po tym, jak Nash wyszedł z mojego mieszkania, równie potargany i zadowolony jak ja, słyszę dźwięk telefonu.

Właśnie biorę prysznic, wciąż cudownie obolała, kiedy komórka zaczyna wibrować na umywalce.

Już mam pozwolić, żeby odebrała automatyczna sekretarka, ale wyglądam przez zasłonę i widzę jego imię na ekranie, więc wyskakuję z wanny.

– Już się za mną stęskniłeś?

– Słuchaj. – Jego głos brzmi dziwnie sztywno. – Mamy przesrane. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Spakuj jakieś rzeczy i przyjedź do mnie.

– Co się stało?

– Claire się wygadała.

Opadam na klapę toalety.

– Boże. Gdzie jesteś?

– Jadę do kliniki. Przełożę pozostałe zarodki do przechowalni poza laboratorium. Już rozmawiałem z prawnikiem, tak na wszelki wypadek.

– Na wypadek...?

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli się przekonać. Ale chyba powinnaś dzisiaj spać u mnie.

Naga, ociekająca wodą, wybiegam z łazienki i zaczynam się ubierać.

– Już jadę.

TERAZ

**ABBY**

Kiedy wychodzę ze szkoły po lekcjach, na dworze leje deszcz. Samochód mamy zazwyczaj pojawia się pierwszy na podjeździe, ale dzisiaj czekam do czternastej czterdzieści pięć i wciąż go nie widzę. O piętnastej już mam pewność, że stało się coś złego. Nigdy się tak nie spóźniła. Próbuję się do niej dodzwonić, ale za każdym razem odbiera poczta głosowa. Wysyłam jej kilka wiadomości: „Gdzie jesteś?”, „Dalej czekam”, „Haaaaaalooooo, mamoo???”.

W końcu się poddaję i dzwonię po tatę.

On mówi, że właśnie pracuje nad ważnym projektem dla klienta, ale kiedy wyjaśniam sytuację, natychmiast rzuca wszystko i po mnie przyjeżdża. Pojawia się pod szkołą jakieś pół godziny później, kiedy wszyscy rodzice zdążyli już dawno odjechać. Na widok jego zmartwionej miny czuję, jak wzbiera we mnie przerażenie. Sądziłam, że on wie, co się dzieje, ale wygląda na to, że nie.

– Gdzie ona może być? – pytam, wsiadając do samochodu.

– Nie mam pojęcia. Zajrzałem do domu po drodze.

– I nic?

Tata kręci głową i zerka na małe szary ekran swojego telefonu z klapką.

– Pisałam do niej z dziesięć razy.

– A jak się zachowywała, kiedy zawoziła cię rano do szkoły? – pyta, marszcząc brwi.

– Chyba normalnie.

– Nie robiła nic dziwnego?

– No wiesz, już od jakiego czasu dziwnie się zachowuje.

Tata nie skręca w lewo, w drogę prowadzącą do naszego domu. Zamiast tego jedzie dalej.

– To znaczy jak?

– Nie wiem. Jest jakaś rozkojarzona. Zestresowana. Wiesz dlaczego?

Na jego twarzy maluje się zakłopotanie.

– Abby, twoja mama miewa... Lepsze i gorsze dni. Bardziej niż większość ludzi.

Czuję, że czegoś mi nie mówi.

– Ale nic jej nie jest?

Tata zaciska wargi.

– Mam nadzieję. Ale nie będę owijał w bawełnę, niepokoję się.

– O co? – pytam. Serce zaciska mi się jak pięść.

– O jej zdrowie psychiczne. Już kiedyś chorowała.

– Co to ma niby znaczyć?

– Naprawdę nie powinienem wchodzić w szczegóły. – Tata unika mojego wzroku, skręca w prawo. Mijamy farmę, na której krowy pasą się w ciepłym letnim deszczu.

– A kim był ten ktoś, kto przyszedł do nas w nocy? – naciskam.

– Skąd mam wiedzieć? – Tata wzdycha, marszcząc brwi.

– Nie wiem. Sądziłam, że może coś ci przyjdzie do głowy.

Patrzy przed siebie i mocno ściska kierownicę.

– No – drążę. Serce wali mi w piersi. – Jak myślisz, kto to był?

– Już ci powiedziałem, że nie wiem – ucina tata stanowczo. – A teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie. Musimy znaleźć mamę.

– W porządku. – Wzdycham. – Dokąd jedziemy?

– Do miasta. Może poszła do Trader Joe's na zakupy i zapomniała telefonu.

– Przecież dopiero co robiłeś zakupy.

– Zapomniałem o kawie. Przecież wiesz, że mama uwielbia kawę.

– Gdybyśmy mieli smartfony jak normalni ludzie, to w dwie sekundy namierzylibyśmy ją na GPS-ie.

– Cóż, tak się składa, że nie mamy – odpowiada ostro tata.

Przewracam oczami.

– Rany, dobra.

To straszny obciach, że nie mamy smartfonów. Moi rodzice są przerażeni wizją Wielkiego Brata, który by nas szpiegował, więc wszyscy używamy jakichś starożytnych telefonów z klapką, które nawet nie mają internetu. Okropny wstyd. Żadnego Facebooka, Instagrama, nic. Możemy tylko pisać i dzwonić. Na dodatek zakleili wszystkie kamerki w naszych laptopach, żeby rząd nas nie podglądał. A do tego zachowują się tak, jakby to moje pokolenie było walnięte, bo „nie cenimy prywatności”.

Zaglądamy do Trader Joe’s, potem idziemy na pocztę, do apteki, a nawet do kosmetyczki, chociaż mama sama robi sobie paznokcie i rzadko chodzi na jakieś zabiegi. Tata próbuje zachować spokój, ale widzę, że jest coraz bardziej zdenerwowany.

Gdy wracamy do samochodu, sugeruję, żeby zadzwonił na policję.

– Nie – odpowiada szybko. – To nie będzie konieczne.

– A jeśli coś jej się stało?

On tylko dociska pedał gazu.

– Wracajmy do domu. To na pewno tylko jakieś wielkie nieporozumienie. – Jego nerwowa energia przeczy uspokajającym słowom. Tata bez przerwy zerka na telefon.

Postanawiam wziąć sprawy we własne ręce. Kiedy jedziemy już w stronę domu, wybieram na komórce numer alarmowy. Tata nie zauważa, co robię, dopóki w słuchawce nie rozlega się głos dyspozytora:

– Dziewięćset jedenaście, w czym mogę pomóc?

– Nie! – krzyczy nagle tata i wyrywa mi komórkę.

– Ej! Co ty robisz?

– Nie musimy jeszcze niepokoić policji – oznajmia, zamykając klapkę telefonu. – Mamie na pewno nic nie jest. Sprawdźmy jeszcze raz w domu, dobrze?

Nie zgadzam się z nim, ale już prawie jesteśmy na miejscu, więc milczę. Droga do naszego domu jest cała z ziemi i żwiru, więc podróż jest równie nieprzyjemna jak cisza między nami. Kiedy dojeżdżamy, oboje zachłystujemy się powietrzem.

Auto mamy stoi na podjeździe. Widzę ją w środku, siedzi w fotelu kierowcy. Dlaczego nie wysiadła? Ani nie oddzwoniła do żadnego z nas?

Wyskakujemy z samochodu i biegniemy ku niej. Garbi się nad kierownicą, zapłakana. Twarz ma ubrudzoną brązowym mokrym błotem.

Nagle robi mi się słabo. Zalewa mnie fala mdłości.

Z mamą na pewno nic nie jest w porządku.

## PRZEDTEM

# CLAIRE

Mieszkanie przypomina mi front podczas zimnej wojny. Nie uważam już tego miejsca za swój dom. Ethan i ja zabarykadowaliśmy się w różnych pokojach, określiliśmy terytorium. Łazienka jest miejscem ucieczki; salon to pole minowe nieprzyjaznych spojrzeń.

Nasz konflikt trwa już ponad czterdzieści osiem godzin i wciąż nie zapowiada się na żadne rozwiązanie. Ethan nie chce o niczym rozmawiać, prawie w ogóle mnie nie dostrzega. Wstaje do pracy, wraca późno, je obiad na wynos w gabinecie, śpi na kanapie.

Wciąż jednak nie zadzwonił na policję. Z godziny na godzinę modłę się, by jego pragnienie ukarania nas wszystkich zaczęło słabnąć, ale nie mogę nic stwierdzić na pewno.

Tymczasem moja relacja z Nashem stała się dodatkowym źródłem stresu – jakby ogólny niepokój i bycie w ósmym miesiącu ciąży nie wystarczały.

Nash nie odzywa się do mnie, odkąd zdołałam się do niego dodzwonić i wyjaśnić, co się stało. Podczas rozmowy odpowiadało mi śmiertelne milczenie z jego strony. W końcu zażądał, bym powiedziała natychmiast, czy Ethan zamierza zawiadomić jakieś służby. Zanim zdążyłam błagać o wybaczenie, rozłączył się.

Teraz ignoruje wszystkie moje telefony, więc zamiast tego piszę do niego z sypialni. Zaszyłam się tu dziś rano pod kołdrą, by schować się przed Ethanem.

„STRASZNIE przepraszam. Chybabym umarła, gdyby przeze mnie to się posypało”

Gapię się na ekran, błagając, by pojawiło się na nim nowe powiadomienie.

Cztery minuty później wreszcie jest:

„Żadnych nowych wieści?”

Jego powściągliwość to kolejne bolesne ukłucie.

„Nie! Wydaje mi się, że się wycofuje”, odpowiadam.

Oczywiście nie mam pojęcia, co myśli Ethan, ale desperacko pragnę, by Nash znów mi zaufał. Przypominam sobie, jak kilka dni temu w restauracji położył dłoń na mojej ręce i jak wspaniale się czułam z myślą, że ktoś powierzył mi taki zaszczyt. Teraz nie jestem już taka pewna, czy na niego zasługuję.

Telefon znów zamilkł.

Wysłałam kolejną serię wiadomości, by skłonić go do odpowiedzi.

„Nie mogę znieść myśli, że musimy żyć w takiej paranoi. Zasługujemy na coś lepszego, dziecko też... Jej własny ojciec nazwał ją odmieńcem!”

„Wtedy zrozumiałam, że zależy mi na tym kontakcie po urodzeniu dziecka. Mam nadzieję, że nadal się zgadzamy?”.

W tej samej chwili słyszę szuranie kroków Ethana pod drzwiami sypialni, więc wrzucam telefon do szuflady w szafce nocnej i zagrzebuję się pod kołdrą, udając, że śpię.

Podchodzi do swojej strony łóżka, zasłaniając słabe światło wpadające przez okno. Otwieram oczy. Widzę, że jest już ubrany i ogolony, a na jego twarzy maluje się ponura pustka – suma kotłujących się w nim sprzecznych emocji.

– Hej – odzywam się cicho. Mam nadzieję, że mój ton zabrzmii niegroźnie. – Jak ci się spało?

Grzebie w szufladach.

– Jestem już spóźniony, a nie mogę znaleźć zegarka.

– Chyba widziałam go pod rachunkami w kuchni. – Odrzucam pościel i ciężko zwlekam się z łóżka. Mam wrażenie, że ważę sto kilogramów, choć do tej pory przybrałam tylko czternaście. – Pójdę sprawdzić. I tak muszę poszukać ładowarki.

– Och. Dzięki.

Postęp. To nasza najmniej wroga wymiana zdań od dwóch dni.



Znajduję jego ukochanego tudora tam, gdzie się spodziewałam, i człapię z powrotem do sypialni.

– Znalazłam! – wołam śpiewnie. Kiedy wchodzę, zastaję go schyłego nad moją szafką nocną. Wibrujący telefon leży w jego dłoni jak odbezpieczony granat.

Mąż posyła mi zranione spojrzenie.

– Dlaczego doktor Nash do ciebie dzwoni?

Zamieram, uradowana i przerażona jednocześnie.

– Nie mam pojęcia.

Komórka nadal brzęczy, więc rzucam się w jej stronę, ale on mi się wywija.

– Ej! – krzyczę. – Co ty robisz?

– Co jeszcze przede mną ukrywasz, Claire?

– Nic, oddaj mi telefon!

Z rosnącą paniką patrzę, jak otwiera moje wiadomości.

Zaczyna odczytywać wybrane SMS-y na głos.

– „Chybabym umarła, gdyby przeze mnie to się posypało”... „Nie mogę znieść myśli, że musimy żyć w takiej paranoi”... „Zależy mi na tym kontakcie po urodzeniu dziecka”.

Kiedy Ethan podnosi głowę znad ekranu, w jego oczach migocze coś, czego nie widziałam w nim nigdy wcześniej. Nienawiść.

– Kurwa, co to ma być?

– To nie tak, jak ci się wydaje!

W odpowiedzi bierze zamach jak miotacz na meczu bejsbola i z całej siły rzuca moim telefonem przez pokój. Aparat uderza w lustro, roztrzaskując szkło. Metaliczne odłamki sypią się na komodę.

– Macie romans.

– Nie! – Padam na kolana u jego stóp. – Przysięgam, że nie!

– Trzymał cię za rękę, sam widziałem. Kiedy wreszcie przestaniesz mnie okłamywać?

– Wcale nie kłamię! – Gula podchodzi mi do gardła, uwalniając potok gorących, przerażonych łez. – Do niczego między nami nie doszło, ani teraz, ani nigdy wcześniej.

– Masz mnie za idiotę? Niedobrze mi się robi na twój widok.

Zanim zdążę jakoś zareagować, wyciąga własny telefon z kieszeni i zaczyna wściekle stukać w ekran.

– Co robisz?

– Ten skurwysyn dostanie, na co zasłużył.

– Ethan, nie! – Rzucam się ku niemu, ale on z łatwością się odsuwa. Tracę równowagę i upadam na ręce i kolana, aż odbiera mi dech. On jednak nie podchodzi, żeby mi pomóc. Zamiast tego przykłada telefon do ucha i zaczyna mówić niskim, drżącym głosem.

– Dzień dobry, mówi doktor Ethan Abrams z Uniwersytetu Columbia. Chciałem się połączyć z dyrektorem Lee. – Na chwilę zapada cisza, całe moje ciało sztywnieje. Czuję cios, zanim jeszcze on zdąży go zadać.

– Proszę mu powiedzieć, że mam do zgłoszenia przestępstwo.

\* \* \*

## JILLIAN

Kiedy siedzę przy granitowym blacie w kuchni Nasha i pijam kawę, mam wrażenie, że to dla mnie najnaturalniejsza rzecz na świecie. Mogłabym się przyzwyczaić do mieszkania tutaj. Budziłabym się obok niego, wracałabym do niego do domu. Ale dzięki temu, jak niewiarygodnie Claire spieprzyła całą sytuację, nasza intymność nie ogranicza się już do seksu. W dwa dni zagrożenie wyniosło naszą relację na zupełnie nowy poziom. Teraz oboje siedzimy w jednej szalupie ratunkowej.

Tak naprawdę muszę przyznać, że to zagrożenie jest na swój sposób podniecające. Rozkoszuję się jego opieką i naleganiem, żebyśmy oboje wzięli tydzień wolnego i przygotowali się na najgorsze. W ciągu ostatnich dni spędziliśmy wiele godzin na dyskusjach, aż w końcu Nash przekonał mnie, że jeśli dojdzie do najgorszego, to nie będziemy uciekać. Weźmiemy sytuację na klatę i zawalczymy o swoje. Nie ma sensu porzucać całego życia tylko dlatego, że jakieś kretyńskie prawo usiłuje zrobić z nas przestępców.

– Chcesz jeszcze? – pyta z przeciwnej strony wyspy kuchennej, unosząc dzbanek.

– Jasne.

Nash dolewa mi czarnej kawy. Z filiżanki unosi się niebiański aromat.

– Właśnie dostałem wiadomość od Claire. To chyba jednak był fałszywy alarm.

– O, tak? – Czuję ucisk w sercu. Wiem dlaczego: to oznacza, że możemy wrócić do swojego normalnego życia osobno. – A skąd ta pewność?

– Nie wiem. Próbowałem się do niej dodzwonić, ale nie odbiera. – Nash popija kawę z własnego kubka. – Chyba powinniśmy dziś wrócić do pracy. Nie ma sensu chować się tu w nieskończoność.

– Okej. – Pochyliłam twarz nad filiżanką i czekam na zaproszenie, które na pewno za chwilę nastąpi. „Zostaniesz na jeszcze jedną noc?”

Jednak kiedy podnoszę głowę, on wciąż wpatruje się w ekran telefonu. Bez wątpienia znów próbuje się z nią skontaktować.

– Nie rozumiem, dlaczego nie odbiera.

– Okej. Idę wziąć prysznic... Chcesz się przyłączyć?

– Idź pierwsza – rzuca, stukając w telefon. – Zaraz przyjdę.

Zsuwam się ze stołka, ale nie mogę się zmusić do odejścia. Znów siadam.

– Zamierzasz w końcu powiedzieć wszystkim w pracy?

– O Claire? – Nash marszczy brwi.

– Nie, głupku. – Posyłam mu wymowne spojrzenie. – O nas.

– A. Nie widzę powodu. To nie ich sprawa.

– Czyli co, będziemy dalej udawać?

– Niczego nie udajemy, po prostu jesteśmy dyskretni.

Wydymam wargi. Rozumiem aż nazbyt dobrze, co oznacza jego niechęć. Pozostaje tylko pytanie: dlaczego? Dlaczego nie chce mnie nazywać swoją dziewczyną? Dlaczego nie mówi, że mnie kocha? Dlaczego nie chce mnie pokazać światu? Przecież każde z nas stanowi najlepszą część życia tego drugiego.

Wiem jednak, że mam do czynienia z człowiekiem, który nie ugina się pod presją. To jedna z cech, które najbardziej w nim podziwiam – i nienawidzę. Pozostaje mi tylko cierpliwość.

– Okej, szefie. Jak sobie życzysz. – Nagle dzwoni domofon. – Spodziewasz się kogoś?

Kręci głową i idzie odebrać.

– Słucham?

– Przyszła do pana jakaś kobieta – rozlega się głos portiera. – Claire Glasser?

Nash spogląda na mnie z zaskoczeniem.

– Dziękuję, proszę ją wpuścić.

Zrywam się na nogi.

– A co ona tu robi?

– Skąd mam wiedzieć?

Rzucamy się do drzwi. Chwilę później winda wypuszcza Claire na korytarz. Niespodziewany gość ma wielki ciężowy brzuch, zapuchnięte oczy, rozczochrane włosy i twarz mokrą od łez. Z ramienia zwisa jej duża torba podróżna. Ledwo daje sobie z nią radę. Nash zabiera jej bagaż.

– Co się stało? Nic pani nie jest?

– Nie dałam rady go powstrzymać. – Claire ociera oczy. – Zadzwoił do samego dyrektora Agencji Żywności i Leków.

Zapiera mi dech. Kobieta dopiero teraz mnie zauważa, przez jej twarz przebiega cień. Nawet nie próbuję łagodzić swojego niechętnego spojrzenia.

Zamiast tego biorę Nasha pod ramię – na wypadek gdyby Claire miała jeszcze jakieś wątpliwości, wobec kogo jest lojalny.

– I co teraz zrobimy? – pytam go, ostentacyjnie wykluczając Claire.

– Pomyślałam, że moglibyśmy gdzieś razem wyjechać – mówi kobieta do Nasha. – Uciec z miasta, schować się na trochę gdzieś, gdzie policja nas nie znajdzie. – Po chwili wahania spogląda też na mnie. – Wszyscy troje.

– Nie – ucina stanowczo Nash. – Nie uciekamy.

– Ale policja już jedzie! – protestuje Claire.

– Teraz?

– Będą tu lada chwila. Musiałam przyjechać pana ostrzec osobiście, bo mój telefon się zepsuł. – Spogląda to na mnie, to na niego z coraz większym niepokojem. – Naprawdę, powinniśmy stąd...

– Jakim cudem tak szybko zareagowali?

– Proszę mi wierzyć, kiedy dzwoni mój mąż, nikt nie zwleka. – Claire zerka nerwowo na windy. – Możliwe, że już jest za późno.

– Mamy przesrane – mamroczę. – Super.

– Nie rozumiem. – Nash zaczyna okazywać wzburzenie. – Przecież mówiła pani, że to fałszywy alarm!

– Bo tak sądziłam, ale... – Rumieni się. – Potem pomyślał, że mamy romans.

– A niby skąd przyszło mu do głowy coś takiego? – pryham z obrzydzeniem.

– Mieliśmy poważne nieporozumienie. Wyrzucił mnie z domu.

– I co pani teraz zrobi? – pyta Nash. – Co z dzieckiem?

– Nie wiem. Chyba najpierw pójdę na dworzec Grand Central. A potem... Wsiądę do pociągu.

– Czy to nie jest trochę zbyt drastyczne rozwiązanie? – Nash nie daje za wygraną. – Gdzie pani wysiądzie?

– Coś wymyślę. Absolutnie nie potrzebuję teraz żadnej nagonki na dziwadła w mediach.

Zauważam, jak Nash przygląda się jej wielkiemu brzuchowi z dziwną mieszanką współczucia i złości.

– Proszę iść – mówi. – Niech pani jedzie do jakiegoś małego miasteczka i odpoczywa do czasu porodu. Za dużo silnego stresu może zagrozić dziecku...

Znów rozlega się brzęczenie domofonu. On natychmiast skacze do odbiornika.

– Tak?

– Dwóch policjantów do pana – oznajmia portier. – Przepraszam, muszę ich wpuścić.

Szlag. Palec Nasha wisi nad guzikiem.

– Dobrze, dziękuję.

Kiedy odwraca się do nas, jego spojrzenie jest twarde i zimne jak u boksera przed walką.

– Wygląda na to, że nasi goście nie marnowali czasu.

Jestem pełna podziwu dla jego opanowania, bo moje serce wali w piersi jak oszalałe. Teraz, kiedy to wreszcie się stało, kłopoty nie wydają mi się już czymś romantycznym. Czuję tylko przerażenie. Ale co miałabym zrobić? Zostawić go? Rzucić wszystko? Przecież i tak jest już za późno.

– Muszę iść – odzywa się Claire, kucając na szeroko rozstawionych nogach, żeby podnieść torbę.

Nash zakłada ją kobiecie na ramię.

– Skąd mamy wiedzieć, gdzie pani będzie? Nie ma pani telefonu.

Kobieta rusza wzdłuż korytarza.

– Wciąż mam pański numer.

– I co, to tyle?! – krzyczę za nią. – A jeśli nie damy rady pani znaleźć?

*I dziecka?*

Claire wchodzi do windy.

– Obawiam się, że musi mi pan zaufać. – Zupełnie mnie ignoruje. Przygląda się Nashowi ze smutkiem graniczącym z tęsknotą.

– Czeka! – wołam.

Drzwi windy jednak się zamykają i kobieta znika. Sfrustrowana rozkładam ręce.

– Nie możemy pozwolić, żeby tak po prostu sobie zniknęła!

Nash popycha mnie z powrotem do mieszkania.

– Nie zniknie. Wróci.

Po chwili znów rozlega się dzwonek windy, a zaraz później ciężkie kroki dudnią na korytarzu. Kolana uginają się pode mną. Opieram się o ścianę i osuwam na podłogę, ale Nash szarpnięciem stawia mnie na nogi. Jego głos jest twardszy niż beton.

– Wstawaj. Nie zrobiliśmy nic złego.

Patrzymy na siebie.

– Nie garb się – nakazuje. Prostuję ramiona.

Następnie bierze mnie za rękę i otwiera drzwi.

TERAZ

**ABBY**

– Mamo! – krzyczę, otwierając drzwi samochodu.

Tata gorączkowo wyciąga ku niej ręce.

– Kochanie, nic ci nie jest?

Ona się krzywi, wysuwa lewą nogę. Ma strasznie spuchniętą kostkę, skóra robi się już fioletowa.

– Chy... chyba złamana.

– Boże, co się stało?

– Poszłam do parku i... – Pociąga nosem i przeciera twarz, ale tylko rozmazuje błoto. – Potknęłam się na pagórku i zgubiłam telefon. Dałam radę dojechać do domu, ale już nie mogę wytrzymać.

– Jezu Chryste! – Tata bierze ją na ręce i niesie do domu. Idę za nimi.

– Jak to się stało, że się poślizgnęłaś?

– Przypadkiem.

– Przypadkiem? – Tata układa mamę na kanapie w salonie i podkłada jej kilka poduszek pod lewą nogę. – Jakim cudem mogłaś tak po prostu spaść ze wzgórza?

– Już wam mówiłam, że się poślizgnęłam.

Ton głosu taty z zaniepokojonego przechodzi w zirytowany.

– Co ty tam w ogóle robiłaś? Miałaś odebrać Abby ze szkoły. Musiałem przerwać spotkanie z klientem, żeby po nią jechać.

– Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem, okej? – Mama wzdycha ze złością. – Naprawdę musisz mi teraz urządzać przesłuchanie?

– W porządku. Sprawdzę, czy mamy lód.



Kiedy tata odchodzi, rozkładałam mamie koc na nogach. Ona wyciąga się na kanapie, nie patrząc mi w oczy. Widzę, że próbuje ukryć łzy, a może coś jeszcze. Coś jest nie tak. Krzywi się, wpatrzona w jakiś punkt na pustej ścianie nad moją głową.

– Halo! – Macham jej dłonią przed twarzą. – Wszystko okej?

Nagle jej wargi rozciągają się w sztywnym, speszonym uśmiechu, jakbym przyłapała ją na gorącym uczynku. O co chodzi? Nie pytam, a ona nie wyjaśnia. Zamiast tego tylko podnosi ramię, a ja wpełzam w ciepłe zagłębienie przy jej piersi. Nie obchodzi mnie, że jest umazana błotem i ma przemoczone ubranie.

– Nie martw się – szepcze. – Nic mi nie będzie.

Chciałabym jej uwierzyć, ale nie mogę zignorować tego, jak wciąż strzela oczami na boki i mruga, jak gdyby rozglądała się za czymś, czego nie ma.

Tata wraca z lodem, ręcznikiem i opakowaniem ibuprofenu. Prosi, żebym poszła do swojego pokoju i zajęła się pracą domową.

– Mama i ja musimy chwilkę porozmawiać.

– Dlaczego? – pyta mama, kiedy zeskakuję z kanapy. – Było nam przyjemnie.

– Kochanie – ucina tata ostrzegawczym tonem.

– I tak muszę iść, mam jutro klasówkę – mówię i idę na górę. Mocno zatraskuję drzwi, po czym przyciskam ucho do drewna. Kiedy wychwytyuję cichy szelest ich głosów, znów je uchylam.

– Nie chcę o tym rozmawiać – mówi mama.

– Ale ja chcę. Co tam robiłaś?

– Już mi nawet nie wolno iść do parku?

– Kurwa, w czasie burzy?

– Nie patrzyłam, jaka będzie pogoda po południu!

– Chodzi o nią?

– Nie! – krzyczy mama.

– W porządku, ale zachowujesz się zupełnie jak nie ty.

– Miałam głupi wypadek, to wszystko.

– Chcę tylko, żebyś była ze mną uczciwa...

– Już mówiłam, że nic mi nie jest.

– Przecież widzę, że to nieprawda... – Tata ścisza głos i już nic nie słyszę. Po kilku sekundach mama znów się odzywa.

– Nie – oznajmia bardzo wyraźnie. – Koniec rozmowy.

– W porządku – odpowiada tata już normalnym głosem. Brzmi, jakby był rozczarowany. – Zajmę się obiadem.

Idzie do kuchni i zaczyna wyciągać garnki z szafek. Na palcach wychodzę z pokoju i zerkam przez barierkę w bok, próbując zobaczyć, co się dzieje w salonie. Mama leży wyciągnięta na kanapie, lewą nogę ma uniesioną. Na jej kostce leży niebieski żelowy okład z lodem. Ma zamknięte oczy.

Czy ta tajemnicza „ona” to moja kuzynka? Czy to ona przyszła do naszego domu w nocy?

I dlaczego rodzice nie chcą o tym rozmawiać w mojej obecności?

## PRZEDTEM

# CLAIRE

W godzinach szczytu na stacji Grand Central nikt nie pozwala sobie na spokój. Aż kotłuje się tu od zaganianych podróżnych i turystów, gnających we wszystkich kierunkach do tuneli, które rozpełzają się pod przepastnym sklepieniem.

Staję w samym środku tłumu i rozstawiam szeroko łokcie, żeby chronić brzuch. Przyglądam się rozkładowi pociągów na wielkiej tablicy. Z głośników co chwilę płynie informacja o kolejnych odjazdach na północ i południe, blisko i daleko. Boston, Peekskill, Dobbs Ferry...

Nieważne, dokąd pojedę, pod warunkiem że wybiorę miejsce, w którym nie będzie mnie szukać Ethan, dziennikarze i policja. Kiedy informacja o aresztowaniu Nasha i Jillian trafi do mediów, brukowce zaczną deptać mi po piętach. Pracuję w tej branży dość długo, by umieć rozpoznać porządny skandal – dziecko Frankensteina, powstałe w zamęcie domniemanego trójkąta miłosnego. Teraz do eksplozji w prasie potrzeba jednego dobrego nagłówka.

To tylko kwestia czasu, zanim mój najbardziej wstydlivy sekret zostanie wygrzebany i wydrukowany czarno na białym przed całym światem.

– Pociąg Metro North do Poughkeepsie odjedzie o siedemnastej pięćdziesiąt siedem z peronu piętnastego – huczy głos nad moją głową. – Pociąg zatrzymuje się w Tarrytown, Ossining, Croton-Harmon...

Tłum ludzi pęcznieje i płynie w stronę peronu piętnastego niczym jeden organizm. Spuszczam głowę i drepczę w morzu ciał, mocno przyciskając do siebie torbę łokciem. Pieniądze wypłacone z bankomatu w drodze na dworzec – cztery tysiące, najwyższa dopuszczalna kwota – leżą w środku w kopertach.

Schodzę po długich schodach i idę wzdłuż betonowego peronu. Wreszcie wchodzę do podstawionego pociągu przez pierwsze otwarte drzwi.

Nawet gdyby dworcowe kamery uchwyciły moją twarz, nikt się nie dowie, gdzie wysiadłam. Jakbym zapadła się pod ziemię.

Kilka chwil później warczy silnik i pociąg z szarpnięciem zaczyna toczyć się przed siebie. Nagły ruch mnie zaskakuje, choć przecież się go spodziewałam. Przyspieszamy, pokonujemy drogę przez czarny jak smoła tunel.

A więc tak to się kończy. To nasze pożegnanie.

Już nigdy nie wrócę do domu przy Riverside Park, do naszego mieszkania pełnego słodko-gorzkich wspomnień. To w nim urodził się i umarł Colton. Koniec z wyczekiwaniem pod jego podstawówką i udawaniem, że zaraz wybiegnie razem z innymi dziećmi albo siądzie na ławce przy kwietniku, z której uwielbiał obserwować przechodzące psy.

Wkrótce pociąg wypada z tunelu prosto w ponury zmierzch. Światła śródmieścia gasną w oddali, są już kilometry ode mnie. Serce skuwa mi lód. Rozstanie z Nowym Jorkiem oznacza dla mnie też rozstanie z ostatnimi strzępami namacalnej więzi z synkiem.

Składam sobie w duchu obietnicę: cokolwiek przyniesie przyszłość, co roku będę wspólnie z córką odwiedzać jego ulubione miejsce, Muzeum Historii Naturalnej. Uczynię z tego nową tradycję, by uczcić pamięć o Coltonie. Dziecko w mojej macicy kopie, dając wyraz poparcia dla tego pomysłu.

Wszystko będzie dobrze, nawet jeśli skończę samotna i biedna, obca w nowym mieście. Nie potrzebuję Ethana ani Nasha, kamienic z eleganckiego wapienia ani kariery dziennikarki, żeby zachować to jedno, na czym mi zależy. Tego nikt nie może mi ukraść.

Za sześć tygodni znów zostanę matką.

\* \* \*

Wysiadam w Garrison bez żadnego szczególnego powodu poza tym, że to miejsce nie wyróżnia się absolutnie niczym na tle innych stacji na linii wzdłuż rzeki Hudson. Miasteczko jest otoczone gęstym lasem, jednopasmowe drogi wiją się ku wzgórzom. Kontrast między tym miejscem a Nowym Jorkiem nie mógłby być wyraźniejszy. Tam nawet najcichsze ulice są zalane światłem i pełne życia – wszędzie jasne okna mieszkań, śmigające taksówki, rowerzyści.

Teraz stoję na wietrze na peronie, wymijana przez współpasażerów pędzących do swoich aut, i czuję się kompletnie osamotniona. Pierwszy raz w życiu zostałam bez żadnego planu.

A może ja zwariowałam? Może powinnam zawrócić, wsiąść w pierwszy pociąg do Nowego Jorku i wrócić do Ethana?

Nie. Nawet przed tym, jak zmienił nasze dziecko w dowód przestępstwa, było za późno. Nie mogę się pogodzić z jego przekonaniem.

Nash i Jillian są już pewnie zakuci w kajdanki i odpowiadają na pytania policjantów na komendzie.

Wkrótce wszyscy będą chcieli wiedzieć, gdzie jestem.

Dygoczę w ciemności i mocniej owijam brzuch płaszczem.

Nagle zauważam światła samochodu. Niedaleko mnie stoi niebieski sedan. Kierowca opuszcza szybę.

– Potrzebuje pani pomocy? – pyta. To starszy mężczyzna z białą brodą. – Wygląda pani na zagubioną.

W mieście natychmiast bym odmówiła i zadzwoniła po taksówkę. Teraz jednak mój telefon leży roztrzaskany w drobny mak sto dziesięć kilometrów na południe stąd.

– Czemu nie – odpowiadam niepewnie. – Dziękuję, zgubiłam telefon.

Mężczyzna podjeżdża bliżej i wsiadam na miejsce pasażera. W aucie czuć nikły zapach papierosów, ale łagodny uśmiech kierowcy mnie uspokaja.

– Chciałem już jechać do domu, kiedy zauważyłem, jak pani stoi sama i dygocze. Dokąd panią podrzucić?

– Ja... Szukam hotelu. Może być najbliższy, wszystko jedno.

Starszy pan śmieje się, nie bez życzliwości.

– Nie jest pani stąd, co?

– Nie.

– To miasto jest za małe na hotel. Ale jakieś dwadzieścia kilometrów dalej jest chyba motel, gdzieś w okolicy Cold Spring.

– Ojej. To dość daleko.

– Mogę zadzwonić po taksówkę – proponuje mężczyzna. – Może pani przez ten czas poczekać w samochodzie.

– Na pewno? – Zerkam na tarczę zegara na desce rozdzielczej, zastanawiając się, czy jakaś miła pani gotuje mu w domu obiad. Na tę myśl łyzy napływają mi do oczu. – Nie chciałabym zabierać panu za dużo czasu.

– Żaden kłopot – zapewnia kierowca, spoglądając na mój okrągły brzuch. – Kto by zostawił ciężarną kobietę na zimnie?

Kręcę głową. *Oj, zdziwiłbyś się.*

\* \* \*

Następnego popołudnia, po niespokojnej nocy w nijakim pokoju motelu Countryside, jestem uboższa o dziewięćdziesiąt pięć dolarów i bardzo potrzebuję pewniejszego schronienia. Po godzinie przeczesywania internetu na laptopie podpiętym do darmowego motelowego wi-fi znajduję niedrogie mieszkanie na krótki okres w odległości trzydziestu kilometrów stąd. ŚWIETNA OKAZJA DOSTĘPNA OD ZARAZ!, informuje nagłówek ogłoszenia. Pod spodem widzę kiepskiej jakości zdjęcie staroświeckiej kuchni z tapetą w kwiatki i obrzydliwymi kafelkami na podłodze. „Internet, telefon, ogrzewanie i gorąca woda w cenie”. Wygląda na to, że niewielu ludzi jest zainteresowanych zimowym wynajmem starego domku gdzieś pod lasem. Podczas podróży taksówką na miejsce kilkakrotnie owijam się szalikiem wokół twarzy, żeby zasłonić nos i usta.

Dom okazuje się parterowym budynkiem przy polnej drodze, ma granatowe ściany i białe okiennice z odłóżką farbą. Dookoła tłoczą się gęsto sosny, przysłaniające słabe styczniowe słońce. Za odległym klifem dostrzegam rzekę Hudson, wijącą się między wzgórzami jak błyszczący wąż. W zasięgu wzroku nie ma żadnych innych domów.

Drzwi otwiera mi siwowłosa kobieta. Nawet nie próbuje ukryć sceptycyzmu.

– To pani dzwoniła?

– Tak. – Uśmiecham się. – Jestem Anne. – To moje drugie imię. – Dziękuję, że zgodziła się pani spotkać ze mną na ostatnią chwilę.

Kobieta owija się ciasniej satynową podomką.

– Od tygodni nikt się nie interesował wynajmem.

Niewypowiedziane pytanie zawisa między nami w powietrzu jak sprawdzian.

Przeczესuję mózg w poszukiwaniu wiarygodnej wymówki.

– Jestem pisarką. Postanowiłam wyrwać się na trochę z miasta, bo muszę skończyć powieść – wyjaśniam i wskazuję na brzuch – zanim pojawi się dziecko.

– Aaa. – Na wargi kobiety wypełza cień przyjaznego uśmiechu. – Czytała pani kiedyś Agathę Christie?

– Uwielbiam ją – odpowiadam szczerze. – Do dziś nie jestem w stanie pojąć, jak udało jej się stworzyć *Dziesięciu żołnierzyków*. Absolutny geniusz.

– Prawda? – Właścicielka uśmiecha się szeroko. – Cóż, Anne, zapraszam. Dom jest bardzo stary, ale ogrzewanie działa. I widoki nie są najgorsze.

Idę za kobietą na szybkie zwiedzanie, nie żeby było tu wiele do oglądania. Salon z kominkiem opalany drewnem i zapadnięta oliwkowa kanapa, dalej stara jak świat kuchnia, skromna łazienka i dwie sypialnie, w których pachnie domem starców, ale każda ma ogromne okno od zachodu z widokiem na rzekę. To miejsce nie pierwszej świeżości, ale jest czyste i będę mieć tu ciszę i spokój.

– Wygląda wspaniale. Zapłacę z góry. Kiedy mogę się wprowadzić?

– Może w sobotę? Wyjeżdżam w weekend na Florydę, już myślałam, że będę musiała zamknąć wszystko na całą zimę. Wracam w maju.

W ten sposób mam jeszcze cztery miesiące i dwa tysiące dolarów na decyzję, co zrobić z resztą swojego życia.

– Świetnie – mówię. – Biorę.

\* \* \*

Przeprowadzka to najprostsze zadanie podczas tego weekendu. Rozpakowanie rzeczy zajmuje mi jakieś piętnaście minut. Wystarczy poskładać luźne macierzyńskie koszulki i spodnie od dresu i umieścić je w szafie. Resztkę pieniędzy chowam w głębi szuflady pod kaszmirowymi swetrami właścicielki.

Następnie siadam po turecku na łóżku. W domu panuje dziwna cisza. Żadne samochody nie przejeżdżają przez ten odcięty od świata zakątek lasu. Brzęczy mi w uszach, jakby mój mózg próbował dostarczyć mi taki sam poziom białego szumu, do jakiego przywykłam w mieście.

Laptop leży przede mną niczym puszka Pandory. Przez całe pięć dni unikałam wchodzenia do internetu – to rekordowo długi czas w moim dorosłym życiu. W tym nowym świecie moje życie towarzyskie ogranicza się do przejazdów taksówkami do supermarketu z twarzą zasłoniętą po oczy szalikiem.

Nash, Jillian i Ethan mogliby równie dobrze już nie istnieć. Bez dostępu do internetu i telefonu mam poczucie absolutnego oderwania. Mogę niemal udawać, że naprawdę jestem na wyjeździe twórczym i za jakiś czas wrócę do domu, do Ethana.

Lęk stanowi jednak silne antidotum na wszelkie fantazje.

Otwieram laptopa i się loguję. Następnie wpisuję swoje imię i nazwisko w Google News.

Nagłówki niemal wrzeszczą na mnie z ekranu:

*DZIECKO FRANKENSTEINA ZAPOWIADA NOWĄ ERĘ EDYCJI GENÓW  
ZARODKÓW*

*LEKARZE, KTÓRZY STWORZYLI DZIECKO FRANKENSTEINA,  
WYCHODZĄ ZA KAUCJĄ; ROZPRAWA W LUTYM*



## *„FRANKENMAMA” WCIĄŻ NIEODNALEZIONA, OSKARŻENIE O SPISEK PRZESTĘPCZY*

Z bijącym sercem klikam w ostatni link.

- 1. Abrams, trzydziestodwuletnia reporterka magazynu „Mindset”, jest nosicielką śmiertelnej mutacji w swoim DNA mitochondrialnym.*
- 2. Dziennikarka straciła jedynego syna trzy lata temu w wyniku choroby mitochondrialnej. Chłopiec miał zaledwie osiem lat.*
- 3. Kobieta dorastała jako jedynaczka na przedmieściach Westchester. Jest córką nauczycielki fizyki i wykładowcy literatury angielskiej.*
- 4. Kiedy Abrams miała szesnaście lat, jej matka zmarła na niezdiagnozowaną chorobę, najprawdopodobniej wywołaną poważną mutacją mitochondrialną. Pięć lat później jej ojciec stracił życie w wyniku udaru.*
- 5. Abrams uprawia dziennikarstwo immersyjne, według jej współpracowników daleko wykraczające poza standardy w branży. „Nigdy wcześniej nie pracowałam z kimś równie odważnym jak Claire, mówi Nancy Bennington, redaktorka naczelna czasopisma »Mindset«. W dzisiejszych czasach większość reporterów ogranicza zbieranie materiałów do kilku telefonów, ale Claire pracuje w bardziej tradycyjnym stylu”. Bennington opowiedziała nam o kilku z najbardziej niezwykłych projektów Abrams. Dziennikarka podejmowała się takich zadań, jak udawanie pacjentki, by dostać się do nielegalnej grupy testowej leków; zgłoszenie na ochotnika do prób leczenia raka syntetycznymi formami LSD; wreszcie współpracę z dyrektorem generalnym firmy farmaceutycznej, by ujawnić nieuczciwą procedurę zawyżania cen leku na receptę. „Nie zaskoczyło mnie, że Claire postanowiła zaryzykować wszystko i poddać się nieprzetestowanej metodzie leczenia płodności – dodała kobieta. – Jeśli jest ktoś, kto ustawiłby się pierwszy w kolejce do*

*takiej procedury, to właśnie ona, zwłaszcza po tym wszystkim, przez co przeszła”.*

Wzdycham z ulgą. Nadal o niczym nie wiedzą. Prasa jak dotąd poznała tylko najbardziej powierzchowne fakty na mój temat. Żadna ambitna dziennikarka ani dziennikarz nie odrobili jeszcze pracy domowej.

Wracam na poprzednią stronę i czytam pobieżnie pozostałe historie. Nash i Jillian wyszli za kaucją; znajduję ich zdjęcie, jak opuszczają komendę, trzymając się za ręce. Nash patrzy hardo, Jillian idzie z kamienną twarzą. Oboje są w szoku.

Mam nadzieję, że zostali potraktowani łagodnie. Ale nie wyobrażam sobie, że miałabym cofnąć cokolwiek z tego, co zrobiliśmy. Zamykam oczy i koncentruję się na trzepotaniu w brzuchu – wciąż upajam się niemal ciągłym kopaniem dziecka. Jego ruchy nigdy mi się nie znudzą, tak samo jak wizja chwili, gdy po raz pierwszy na siebie spojrzymy.

Kiedy otwieram oczy, mój wzrok pada na imię mojego męża na ekranie.

*ETHAN ABRAMS, MAŻ „FRANKENMAMY”, ZABIERA GŁOS*

Otwieram link. To list otwarty, opublikowany na stronie czołowego magazynu dla intelektualistów.

*Czy to nam się podoba czy nie, w dzisiejszym świecie pojawia się coraz więcej technologii umożliwiających tworzenie dzieci, które nie będą potomstwem jednego mężczyzny i jednej kobiety, jak było to w przypadku każdego człowieka w historii naszego gatunku aż do tej chwili. Należy jednak pamiętać, że takie narzędzia prześcignęły nasze mechanizmy etyczne i to, jak – jeżeli w ogóle – należy ich używać. Nieodpowiedzialny eksperyment Roberta Nasha dobrze to ilustruje. Fakt, że moja żona wzięła w tym udział i pośrednio wciągnęła mnie do tego procederu, stanowi dla mnie źródło wielkiego cierpienia i żalu – zarówno ze względu na mnie samego, jak i na myśl o dziecku, którego rodzicem niestety niedługo się stanę, wraz z dwiema innymi osobami.*

*Stworzenie dziecka z materiału genetycznego jednego mężczyzny i dwóch kobiet narusza fundamentalną zasadę naszej biologii i społeczny obowiązek moralny do ochrony zdrowia i życia dzieci. Istniejący system regulacji zakazuje przeprowadzania eksperymentów prowadzących do powstawania dzieci z nowych źródeł genetycznych, jako że mogłoby to mieć negatywny wpływ na ich rozwój psychiczny i formowanie tożsamości. W obowiązujących przepisach jest jasno powiedziane, że nikt nie ma prawa świadomie „modyfikować genomu komórki człowieka lub zarodka powstałego za sprawą metody in vitro w sposób prowadzący do możliwego przekazania modyfikacji następnym pokoleniom”.*

*Claire i ja desperacko pragnęliśmy dziecka po utracie syna. Moja żona bała się, że przekaze kolejnemu dziecku mutację mitochondrialnego DNA, lecz zamiast zdobyć się na odwagę, by pokochać takie dziecko, jakie dałby nam Bóg, postanowiła działać samolubnie, motywowana strachem. Dlatego teraz będzie musiała ponieść konsekwencje swoich decyzji. Jeśli zostanie uznana za winną świadomego działania, czeka ją kara do 500 000 dolarów, kara więzienia do lat pięciu, albo jedno i drugie. Wziąwszy pod uwagę jej zdumiewającą skłonność do nierozważnego działania, nie jestem zaskoczony, że zniknęła w ósmym miesiącu ciąży, wystawiając tym samym swoje nienarodzone dziecko na jeszcze większe zagrożenie, byle tylko uniknąć kary.*

*Jeśli ktokolwiek chciałby wiedzieć, jaką rolę odegrałem w tym skandalu, pragnę publicznie zaprzeczyć, bym miał jakikolwiek związek z całym procesem, i potępiam wszystkie działania podjęte przez matkę i lekarzy dziecka.*

*Wbijam paznokcie w dłonie. Czy Ethan naprawdę wolałby jeszcze jednego Coltona, z jego przeklętym – ale „naturalnym” – dziedzictwem? Wtedy żaden profesor etyki by się nie oburzał, a pewnego dnia mogliby wszyscy przyjść na pogrzeb kolejnego dziecka z kondolencjami na kartkach z supermarketu. Gnoje.*

*Zatraskuję pokrywą laptopa i schodzę z łóżka. Jeśli poświęcenie wszystkiego dla zdrowia własnego dziecka jest czymś „samolubnym” i „nierozważnym”, to może rzeczywiście nie nadają się do macierzyństwa. Ale nigdy nie postąpiłabym inaczej.*

Niespodziewanie coś wilgotnego spływa mi po udzie. Sięgam pod brzuch, żeby je obetrzeć. Skoro Ethan publicznie się mnie wypiera, to nasze małżeństwo rzeczywiście już się skończyło. Jego wstrętne słowa wiercą mi bolesną dziurę w piersi, aż do...

Brzucha. Mój brzuch. Zrobił się twardy i nieruchomy, jakby wypełnił się cementem.

Spoglądam na rękę. Jest umazana krwią.

\* \* \*

## JILLIAN

Czekam w drzwiach z rękami splecionymi na piersi.

– Co ty tam robisz?

Jest już druga w nocy, a Nash wciąż nie wrócił do łóżka. Siedzi w salonie, zgarbiony nad telefonem. Jego twarz zalewa niebieskie światło ekranu.

– Zaraz przyjdę.

Dygoczę z zimna w koronkowej koszulce nocnej, której on nawet nie zauważył.

– Osiemnaście.

On dalej stuka w ekran.

– Jedną chwilkę.

– Osiemnaście – powtarzam. – Wiesz, o czym mówię?

Kiedy Nash podnosi wzrok, jego spojrzenie dopiero po chwili koncentruje się na mnie.

– Co?

– Rozprawa zaczyna się za osiemnaście dni.

– No i? – W jego westchnieniu pobrzmiwa nuta rozdrażnienia.

Przysiadam obok niego na kanapie.

– To znaczy, że mamy tylko osiemnaście dni, zanim zacznie się piekło, a ty siedzisz tutaj i gapisz się w telefon. – Tulę się do niego. – Nie chcę, żebyśmy marnowali czas, który nam został.

A poza tym mnie ignorujesz, myślę. Przez cały ten nierealny, chaotyczny tydzień od naszego aresztowania i wyjścia za kaucją kryjemy się w jego mieszkaniu, z daleka od kamer. Nie współpracowaliśmy z policją, kiedy funkcjonariusze przyszli tu za pierwszym razem, ale szybko wrócili z nakazem przeszukania, który sędzia wystawił, opierając się na donosie Ethana, i rzeczywiście przetrząsnęli całe mieszkanie Nasha. W sejfie odkryli teczkę podpisaną „Double X”. W środku znajdowały się odręcznie spisane notatki z naszego eksperymentu, które przechowywał na wypadek publikacji. Niestety to wystarczyło za podstawę dowodową do aresztowania i oskarżenia nas o przestępstwo i złamanie zakazów federalnych.

Brukowce pastwią się nad całą historią, ale przedstawiają wszystko od złej strony. Mają obsesję na punkcie Claire, już legendarnej – i wciąż nieodnalezionej – Frankenmamy. Nikogo nie obchodzi geniusz, jakiego wymagało połączenie DNA trzech osób, by stworzyć jeden doskonały zarodek. Nikt nie chce widzieć, kto to zrobił. Tymczasem Claire, będąca zaledwie narzędziem na drodze do celu, stała się tematem numer jeden dla wszystkich mediów.

Najbardziej złości mnie jednak postawa Nasha. W mojej wersji tego koszmarnego splotu zdarzeń do tej pory powinniśmy już stać się nierozłączni, zjednoczeni przeciwko światu. Nawet jeśli stracimy wolność, jego przywiązanie powinno być bardzo szczerą nagrodą pocieszenia.

Zamiast tego dopadła mnie miazdząca rzeczywistość: mój ukochany ma taką samą obsesję na punkcie Claire jak wszyscy inni. To oczywiste. Słyszę to w jego rozkojarzonym głosie, widzę w niepokoju, z jakim przeczesuje nagłówki, w braku zainteresowania seksem, w ciągłym gapieniu się w telefon.

– Ciągłe jej szukasz, co? – mówię.

– Jest w ciąży i została całkiem sama – odpowiada Nash. – Za co tak jej nienawidzisz?

– A ty nie? Zniszczyła nam życie, a ty myślisz tylko o tym, czy wszystko z nią okej.

– Jesteśmy odpowiedzialni za to dziecko. Wyobrażasz sobie, co się stanie, jeśli ona zrezygnuje z szukania pomocy, kiedy zacznie rodzić, bo będzie się za bardzo bała? To byłoby kompletne zaniedbanie obowiązków lekarskich.

Czuję, jak ciasny supeł zazdrości w moim wnętrzu się rozluźnia.

– Rob, jesteś dobrym lekarzem. Ale Claire sama narobiła tego bałaganu. Nie możemy nic na to poradzić.

– Nie chcesz wiedzieć, czy z dzieckiem wszystko w porządku?

– Żartujesz? Oczywiście, że chcę. Ale to tylko kolejna rzecz, którą ona nam ukradła. Teraz musimy się martwić o siebie.

Nash mruży oczy.

– Owszem, spieprzyła sprawę, ale to nadal moja pacjentka. Nie mogę jej tak po prostu porzucić.

– Przestała być twoją pacjentką wiele miesięcy temu. Teraz jest naszym obiektem badań. W dodatku przerwała eksperyment. Nie jesteś jej nic winien.

– Dlaczego czujesz się taka zagrożona?

– Och, sama nie wiem. – Z wściekłością wzruszam ramionami. – Może dlatego, że za chwilę będę musiała zrezygnować ze wszystkiego dla ciebie, a ty myślisz tylko o niej.

– Już ci powiedziałem, że nie pójdziemy do więzienia. Oni nie mają żadnych dowodów, że zrobiliśmy cokolwiek niezgodnego z prawem. To tylko słowo Ethana przeciw naszemu.

– A co z teczką?

– Nie ma w niej żadnych twardych dowodów. Tylko opisy zarodków na różnych etapach rozwoju. To równie dobrze mogą być zapiski oparte na czystych spekulacjach. A kiedy ostatnio sprawdzałem, spekulacje nie były uznawane za sprzeczne z prawem.

Waham się. Bałam się tej rozmowy.

– Nie patrz na mnie z takim przerażeniem – mówi Nash. – Dopóki Claire nie dostarczy próbek DNA, nie mają na nas żadnych dowodów.

Postanawiam o niczym mu jeszcze nie mówić. Zostało nam tak niewiele czasu razem.

– Nie rozmawiajmy o tym więcej. – Siadam mu okrakiem na kolanach i łagodnie całuję w usta. – Chodź do łóżka. Już późno.

On ledwo odwzajemnia pocałunek.

– Przepraszam, nie jestem w nastroju.

Znajduję w sobie dość godności, by wstać.

– Proszę bardzo. Jeśli wolisz jej szukać, to zejść ci z drogi.

Maszeruję do wyjścia. Na chwilę zwalniam, spodziewając się, że mnie zawoła.

*Jilly, czekaj!*

On jednak nic nie mówi. Kiedy zerkam przez ramię, widzę, jak znów sięga po telefon.

TERAZ

**ABBY**

Kiedy mama leży na kanapie z okładem na skręconej kostce, mam wrażenie, że jej zachowanie wymyka się spod kontroli. Tak jak całe moje życie.

Jakim cudem poślizgnęła się na jakiejś górcie podczas burzy?

Dlaczego nie chce mi nic powiedzieć?

Kto wszedł w nocy na nasz podjazd?

Mrugam pospiesznie, żeby odpędzić łyzy. Jestem przerażona, że ją stracę, i nawet nie mam pojęcia, dlaczego tak może się stać.

Muszę coś zrobić. Nie obchodzi mnie już, czy narobię sobie przez to kłopotów.

Znów przypominam sobie sugestię Riley: „A może spróbowałabyś odzyskać konto i znów skontaktować się z tą kobietą? Może powie ci jeszcze coś ciekawego?”.

Teraz albo nigdy. Pędzę do sypialni rodziców i otwieram srebrnego macbooka mamy, który zostawiła na szafce nocnej. Komputer zapisał jej hasło do gmaila, więc szybko się ładuje. Przeszukuję pocztę, aż w końcu natrafiam na MapMyDNA i znajduję mail, który wysłała pięć tygodni temu z prośbą o zamknięcie mojego konta. Napisanie nowej wiadomości zajmuje mi pół minuty:

*Dzień dobry, przepraszam za zamieszanie, ale córka potrzebuje konta, żeby dokończyć szkolny projekt o DNA. Czy mogłabym prosić o jak najszybsze przywrócenie profilu? Jeśli tak, to proszę o powrotne uruchomienie jej dawnej nazwy użytkownika i hasła. Dziękuję! :)*



Naciskam „wyślij” i kasuję cały wątek wiadomości, a następnie blokuję mail strony, żeby mama nie zobaczyła przypadkiem żadnej odpowiedzi. Następnie zamykam laptopa i odkładam go dokładnie tak, jak leżał wcześniej – trochę krzywo na brzegu szafki nocnej.

Jest już pięć po siedemnastej w piątek, więc pewnie odbiorą moją prośbę dopiero w poniedziałek. Mam nadzieję, że to nie będzie zbyt późno, bo przeczuwam, że tylko jedna osoba na świecie może mnie teraz doprowadzić do prawdy.

## PRZEDTEM

# CLAIRE

Krew jest ciemnoczerwona, jak pierwszego dnia miesiączki. Pot rosi mi czoło. Pięć tygodni za wcześnie.

Naciskam brzuch. Dziecko nadal się rusza. Żyje.

Mój wielki brzuch jest jednak sztywny jak gipsowy odlew.

Czy to skurcz? Z Coltonem miałam zaplanowaną cesarkę, bo nie odwrócił się główką do dołu, więc nigdy nie doświadczyłam naturalnego porodu.

Boże, akurat dzisiaj musiałam zostać sama, daleko od szpitala i kogokolwiek, kto mógłby mi pomóc...

Nash. Nash mi pomoże. Musi, nawet jeśli mnie nienawidzi, bo właśnie to robią lekarze w nagłych wypadkach: odkładają na bok krytykę, wściekłość i żale, po czym przybywają na ratunek.

Sprawdzam jego numer w książce adresowej na laptopie, a następnie wlokę się do zakurzonego telefonu na szafce nocnej starszej kobiety i ściągam słuchawkę z widełek. Kiedy w uchu rozbrzmiewa mi staroświecki sygnał połączenia, czuję się jeszcze bardziej oderwana od rzeczywistości. Zakrwawionymi palcami wciskam guziki, niemal bez udziału świadomości. Jeden dźwięk dzwonka uderza o drugi, a lepka, ciepła krew spływa mi po udzie. Wreszcie słyszę jego głos i wypełnia mnie nieopisana ulga.

– Halo?

– Krwawię – wyrzucam z siebie. – Ale jeśli pojedę do szpitala, to mnie znajdą!

– Claire? Boże, gdzie pani jest?

– Za miastem. Jestem strasznie zagubiona. Nie wiem, co robić.

- Proszę natychmiast jechać do szpitala. Dziecku może się coś stać.
- Ale jeśli mnie rozpoznają, to mi ją zabiorą!
- Nie zabiorą, jeśli będzie martwa.

Oddech więźnie mi w gardle. „Martwa”. To słowo nagle coś we mnie budzi i natychmiast podejmuję decyzję. Prędzej bym się zabiła, niż zgodziła patrzeć, jak kolejne dziecko umiera pod moją opieką.

– Proszę spotkać się ze mną na miejscu – szepczę do słuchawki. – Szpital Hudson Valley. Już tam jadę.

\* \* \*

Pół godziny później wchodzę, zataczając się na boki, do pustego korytarza na pogotowiu. Trzymam ręcznik między nogami. Wciąż płynie mi krew, ale teraz już wolniej niż wcześniej – a dziecko nadal się rusza. Ani na sekundę nie zdjęłam dłoni z brzucha.

Przerażona podchodzę do recepcji. Moja twarz widnieje na pierwszych stronach wszystkich tabloidów, ale czy tutaj, w małomiasteczkowym Cold Spring, ktokolwiek mnie kojarzy? Czy kogoś to obchodzi?

Młoda kobieta za biurkiem jest zapatrzona w komputer. Jej długie fioletowe paznokcie stukają w klawisze. Zerka na mnie z minimalnym zainteresowaniem.

– W czym mogę pomóc?

– Jestem w trzydziestym piątym tygodniu ciąży i krwawię. – Wskazuję na ręcznik między nogami. – Muszę natychmiast zobaczyć się z lekarzem.

Recepcjonistka nie wygląda, jakby to zrobiło na niej wrażenie. Przesuwa po blacie podkładkę z klipsem.

– Proszę wypełnić dane do ubezpieczenia.

– Ja... Nie mam ubezpieczenia – jąkam się, myśląc z tęsknotą o fantastycznym pakiecie zdrowotnym Ethana z Uniwersytetu Columbia, który miał mnie obejmować na czas ciąży i porodu. Następnie przypominam sobie

o smętnych dwóch tysiącach dolarów w komodzie. Kto wie, czy wystarczą choćby na tę wizytę? – Zapłacę gotówką. Czy mają państwo jakiś plan spłaty?

– Tak. – Kobieta nawet nie próbuje ukryć politowania. Jaka muszę być żałosna w jej oczach: ciężarna, samotna i bez pieniędzy.

– Dział rozliczeń wyśle pani rachunek po wizycie. Najpierw poproszę o imię, nazwisko, datę urodzenia, adres i historię medyczną. Ma pani przy sobie dokument tożsamości?

Krzywię się.

– Przepraszam, popędziłam tu bez zastanowienia...

Tak naprawdę liczę na to, że prawo gwarantuje pomoc w nagłych wypadkach każdemu, kto przyjdzie na pogotowie, bez względu na status.

– Nie szkodzi, proszę wypełnić formularz.

Imię i nazwisko. Rozglądam się po biurku, zasypanym papierami i szpitalnymi długopisami. Wpisuję „Anne Page”, fałszywą datę urodzenia przybliżoną do własnej. Następnie podaję adres wieżowca, w którym znajduje się redakcja „Mindset” przy Siódmej Alei. Tylko ten znam na pamięć, poza adresem swojego domu. No, dawnego domu. Przeglądam ankietę przebytych chorób i zaznaczam „nie” przy każdej poważniejszej dolegliwości, aż docieram do historii zdrowia psychicznego.

Po krótkim wahaniu zaznaczam „nie”. Następnie przesuwam podkładkę z powrotem w stronę kobiety.

– Za chwilę ktoś po panią przyjdzie.

Pięć minut później roztrajkotana blond pielęgniarka prowadzi mnie do gabinetu, pomaga usiąść na leżance, sprawdza ciśnienie i puls, rozmawiając ze mną o śniegu. Doceniam jej próby rozładowania napięcia, ale im dłużej rozmawiamy, tym bardziej się niepokoję, że mnie rozpozna.

– Doktor Morris zaraz przyjdzie, żeby panią zbadać – mówi pielęgniarka, zbierając się do wyjścia, bo już skończyła zapisywać wszystkie moje wyniki. – Może się pani przebrać w fartuch, jest wiązany na plecach.

Już ma zamknąć za sobą drzwi, kiedy nagle zatrzymuje się w progu i patrzy na mnie uważnie. Przygotowuję się na najgorsze.

– To pani pierwsze?

– Tak – odpowiadam. To łatwiejsze i bezpieczniejsze niż wyjaśnienia.

– Aa. – Jej wargi rozciągają się w pocieszającym uśmiechu. – Pierworódki zawsze są bardziej nerwowe. Ale w trzydziestym piątym tygodniu dziecku najprawdopodobniej nic nie będzie, nawet gdyby urodziło się dzisiaj. No, powodzenia.

Przebieram się w fartuch, wciąż jeszcze nieco zdyszana. Wkrótce rozlega się pukanie do drzwi i do gabinetu wchodzi zrelaksowany mężczyzna po pięćdziesiątce w okularach i niebieskim uniformie. Pospiesznie mierzy mnie wzrokiem.

– Dzień dobry, doktor Morris. Będę dziś panią badać. Słyszałem, że zgłaszała pani krwawienie w trzecim trymestrze?

*Czy on czeka na moją odpowiedź, czy może przygląda mi się nieco zbyt uważnie?*

– Tak – mówię. – Dopiero co zauważyłam. Nie czuję bólu, ale obawiam się, że to skurcze...

– Czy zdiagnozowano kiedyś u pani łożysko przodujące?

Kręcę głową. Lekarz nakazuje mi wsunąć bose stopy w podpórki na skraju łóżka.

– Będę musiał przyrzeć się szyjce macicy, dobrze? – Bierze w dłoń przezroczysty plastikowy wziernik. – To nie będzie bolało, ale może być trochę nieprzyjemnie.

Przytakuję, myśląc o tym, jakie to dziwne, że wolę, aby patrzył mi między nogi niż na twarz. Czuję zimny żel, po czym lekarz wsuwa urządzenie do środka i zaczyna mnie badać palcami od środka.

– Au. – Wziernik mocno naciska na wrażliwą szyjkę macicy.

– Dobre wieści – oznajmia Morris. – Wszystko ładnie zamknięte. Teraz zrobimy USG, żeby zobaczyć, co słychać u dziecka.

Lekarz podsuwa do kozetki maszynę na kółkach z ekranem i plastikową końcówką wielkości ogórka.

Wyciska kolejną porcję zimnego żelu, tym razem na brzuch, i przykłada mi głowicę mocno do ciała. Na ekranie pojawia się ziarnisty obraz płodu. Głowa, tułów, ramiona, nogi. Wpatruję się wygłodniałe w ekran, na kończyny trzepoczące w czarnej próżni płynu owodniowego. Z głośników rozlega się gwałtowny szum bijącego serca.

– Wszystko z nią w porządku? – Ledwo udaje mi się wykrztusić te słowa.

– Wygląda doskonale! Tylko... Widzę tu jedną rzecz.

Serce podchodzi mi do gardła.

– Jaką?

Lekarz mruży oczy i przygląda się obrazowi na monitorze, porusza głowicą tam i z powrotem po moim podbrzuszu. Każda komórka w moich płucach zamiera; nie mogę oddychać.

– To łożysko. Wygląda na to, że przedwcześnie oderwało się od ściany macicy.

Kręci mi się w głowie, jakbym kołysała się nad otchłanią. Z trudem zbieram myśli.

– Co to znaczy?

On krzywi się lekko.

– Coś takiego może się czasami wydarzyć spontanicznie, zwłaszcza kiedy do ciąży dochodzi w zaawansowanym wieku. Ma pani szczęście, uraz jest minimalny. Jak na razie. Poza wywołaniem porodu, co moim zdaniem nie będzie konieczne, nie może pani zrobić za wiele poza obowiązkowym leżeniem. – Mężczyzna marszczy czoło, podkreślając powagę nakazu. – I mam przez to na myśli całkowity zakaz ruchu. Najmniejszy wysiłek może doprowadzić do krwotoku.

– Boże.

– Ma pani kogoś, kto mógłby pani pomóc? – Lekarz zerka na moją lewą rękę, na której nadal migocze diamentowy pierścionek. Nie miałam serca go ściągnąć.

– Mąż?

Odkasłuję.

– Nic mi nie będzie.

Morris ściąga brwi.

– Jest pani pewna? Bardzo blado pani wygląda.

– Tak – zapewniam, myśląc o Nashu. – Już po mnie jedzie.

– A, to dobrze. – Wyraźnie mu ulżyło. – To bardzo ważne, nie może się pani przemęczać. Za trzy–cztery tygodnie powinno nastąpić rozwiązanie.

W sam raz na początek procesu. Nie ma szans, żeby Nash został ze mną do tego czasu.

Lekarz klepie mnie po dłoni z ojcowskim spokojem.

– Pani Page, wszystko będzie dobrze. Zanim się pani obejrzy, już będzie pani miała w domu noworodka. Wtedy dopiero zaczniesz się prawdziwie szaleństwo.

– Wyobrażam sobie – odpowiadam z wymuszonym uśmiechem.

\* \* \*

Następnie lekarz każe mi przejść testy na stres i umieszcza mi na brzuchu czujnik kardiogramu, by potwierdzić, że stan dziecka jest stabilny. Następnie zostaję wyprowadzona do poczekalni na wózek. Natychmiast zauważam Nasha. Siedzi zgarbiony na krześle, opatulony w grubą czarną płaszcz; pod jego nogami leży mała walizka podróżna.

– Przyjechałeś po mnie! – wołam i mimo wszystko twarz rozjaśnia mi uśmiech. Nigdy tak bardzo nie cieszyłam się na jego widok, choć jest blady i zmęczony. Na twarzy ma tygodniowy zarost, a policzki bardziej zapadnięte, niż zapamiętałam.

– Złapałem pierwszy pociąg – mówi, podchodząc do mnie pospiesznie. – Dobrze się czujesz?

– Dosyć. – Wyjaśniam mu sytuację, świadoma podsłuchującej pielęgniarki, która wciąż popycha mój wózek. – Będę potrzebowała dużo pomocy w domu.

– No, to musimy cię zapakować do łóżka. Pójdę zadzwonić po taksówkę.

Kiedy Nash znika na zewnątrz, pielęgniarka klepie mnie po ramieniu.

– Widzę, że mąż dobrze się panią zajmie.

– Tak. – Rozluźniam się. – Też tak myślę.

Kobieta milknie na chwilę.

– Mam wrażenie, że już go gdzieś widziałam.

– Tak? – Wpatruję się w drzwi obrotowe, błagając w duchu, by jak najszybciej wrócił i nas stąd zabrał. – Pewnie przez to, że trochę przypomina tego aktora. Jak on się nazywał...?

– W czym grał?

– W takim filmie... Tym ze statkiem kosmicznym – płaczę się, próbując odwrócić jej uwagę.

Pielęgniarka przestępuje z nogi na nogę.

– Chyba nie kojarzę.

– A, mniejsza z tym. – Teatralnie łapię się za brzuch. – Ojej, następny dziwny skurcz.

Kobieta klęka przy mnie

– Mam zawołać doktora Morrisa?

Krzywię się i kręcę głową. Ile czasu w takim małym miasteczku trzeba czekać na taksówkę? Ze wszystkich udogodnień dużego miasta transport na wyciągnięcie ręki zajmuje jedno z najwyższych miejsc na mojej liście.

– Nie, nie sędzę. Tylko... Jedną chwilkę. – Zakrywam twarz i biorę kilka długich, powolnych oddechów. – Dobrze, dobrze. Już przechodzi.

– To wygląda na skurcze Braxtona-Hicksa. Przy pierwszym miałam je bez przerwy od dwudziestego ósmego tygodnia.

– O, ma pani dzieci?

To magiczne pytanie. Jej twarz natychmiast się rozpromienia i już widzę, że jesteśmy z powrotem na bezpiecznym gruncie. Opowieść o trójce pociech pochłania pielęgniarkę bez reszty aż do chwili, kiedy przed wejściem parkuje samochód i potężna sylwetka Nasha pojawia się w drzwiach obrotowych.



– O, już jest! – oznajmiam radośnie. Kiedy on wchodzi po mnie do środka, owijam sobie twarz kilka razy szalikiem.

– Okropnie zimno na dworze – zauważa pielęgniarka, przekazując mu wózek.

– I to jak – zgadza się Nash. – No, jedziemy do domu.

\* \* \*

Kiedy już bezpiecznie usadowiliśmy się na tylnym siedzeniu auta, biorę go za rękę w wyrazie głębokiej wdzięczności.

– Dziękuję. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. – W jego głosie pobrzmiwa cicha złość. – Zjebałaś sytuację ponad wszelkie wyobrażenie.

– Wiem. Nawet nie wiesz, jak koszmarnie się czuję.

– Pomagam ci tylko dlatego, że sumienie nie pozwala mi postąpić inaczej.

– Nienawidzisz mnie, prawda?

– Nie. – Nash wzdycha ciężko. – Popełniłem błąd i teraz muszę się liczyć z konsekwencjami.

Jego słowa odbierają mi dech. Przez kilka minut nie mogę się odezwać.

– Chcesz powiedzieć, że nie należało mi ufać? – wyrywa mi się w końcu.

– W ogóle nie należało tego robić – odpowiada, wskazując na mój brzuch.

– Nieprawda. Mylisz się.

Piekące łzy wzbierają mi pod powiekami. On wpatruje się w widok za oknem. Siedzimy w bolesnej ciszy, a samochód wiezie nas wąskimi, krętymi wiejskimi drogami. Wreszcie zatrzymujemy się na czerwonym świetle, a Nash spogląda na mnie ze smutkiem.

– Miałem życie, Claire. Dobre życie. Zanim się pojawiłaś.

Nie spuszczam oczu.

– A teraz dzięki tobie ktoś jeszcze otrzyma życie.

\* \* \*

Po przyjeździe do domu i zapakowaniu mnie do łóżka Nash bierze się do działania. Jak przystało na odpowiedzialnego towarzysza, przygotowuje mi jedzenie, robi pranie i chodzi na zakupy do podmiejskiego Walmartu, zawsze schowany pod zimową kurtką i nowym zarostem. Na szczęście mamy mnóstwo pieniędzy. Kilka dni przed aresztowaniem Nash wyjął z bankomatu najpierw pięć tysięcy dolarów, a potem jeszcze cztery – tak na wszelki wypadek. Specjalnie nie przekraczał dziesięciu tysięcy, bo to mogłoby ściągnąć na niego uwagę służb. Teraz pieniądze leżą schowane bezpiecznie w jego walizce.

Nasze wspólne dni zaczynają toczyć się według sztywnej rutyny. Mieszkamy w jednym domu, choć nie do końca razem. Nash jest pomocny i sprawny, ale nie spędza ze mną czasu z własnej woli. Je posiłki osobno, śpi w drugiej sypialni. Kiedy próbuję z nim porozmawiać choćby o pogodzie, tylko pomrukuje albo mamrocze jakieś monosylabiczne odpowiedzi. To jasne, że poddał się sytuacji i postanowił zostać moim opiekunem, lecz nic poza tym, więc po kilku pierwszych dniach przestaję próbować. Chyba na to zasłużyłam.

Łóżko jest moim więzieniem, a czas płynie powoli. Bez przerwy zastanawiam się, kiedy będzie musiał mnie zostawić i jechać na wiszący nad nim proces. Wiem, że powiedział Jillian, że wróci „niedługo”, gdy tylko pomoże mi rozwiązać nagłą sytuację, i że w tym czasie nie będzie miała jak się z nim skontaktować. Na moją prośbę rozłożył swoją komórkę na części pierwsze, żeby uniemożliwić wyśledzenie urządzenia. Tutaj, głęboko w lesie, jesteśmy odcięci od świata. Całe jego życie waży się na szali w czasie tych kilku tygodni. A mimo to spędza tu ze mną dzień po dniu.

Gdy zbliża się data rozwiązania, wyczuwam jego ekscytację pomimo panującego między nami napięcia. Każdego wieczoru nasłuchuje bicia jej serca dzięki aparatowi do USG dopplerowskiego, który przywiózł ze sobą. To jedyne chwile, kiedy jego napięta twarz łagodnieje i pojawia się na niej szczerzy uśmiech. Nawet jeśli jest na mnie wściekły, to jasne, że żywi ciepłe uczucia do dziecka. W końcu mała jest uosobieniem pracy jego życia. Zamierzam nazwać ją

Abigail Grace, po swojej matce i babci. Myślę, że byłyby ze mnie dumne, widząc, jak zaryzykowałam wszystko, by sprowadzić ją na świat.

W drugim tygodniu pobytu Nasha jestem tak niespokojna, że wstaję, by pozmywać, ale on strofuje mnie, kiedy to widzi.

– Nawet o tym nie myśl – mówi szorstko, prowadząc mnie z powrotem do łóżka. – Nie wolno ci w ogóle chodzić.

Liczę, że może zostanie na poród, mimo zbliżającej się daty rozprawy. Nie rozmawiamy o tym, ale równie dobrze moglibyśmy postawić w domu wielki, głośny zegar odliczający sekundę po sekundzie. Czasami przyłapuję go na nagłych westchnieniach albo widzę, jak krąży po domy niczym tygrys w klatce. Krzywię się na wspomnienie jego słów: „Miałem dobre życie, zanim się pojawiłaś”.

Po szesnastu dniach naszego wspólnego mieszkania wciąż nie zapowiada się, żebym miała niedługo rodzić, a do godziny zero został tylko jeden zaśnieżony wieczór. Jeśli jutro równo o dziewiątej rano Nash nie pojawi się w sądzie federalnym przy Foley Square na Dolnym Manhattanie, zostanie za nim wysłany nakaz aresztowania i rozwieją się wszelkie nadzieje na to, że uniknie poważnej kary.

Czy naprawdę mu tego życzę?

Kiedy wchodzi do mojej sypialni z tacą z jedzeniem, zmuszam się, żeby przemówić.

– Jedź już. Po prostu jedź. Proszę. Nie chcę być odpowiedzialna za zniszczenie ci całego życia.

Nash stawia na łóżku tacę z pieczonym kurczakiem i warzywami na parze.

– Cokolwiek się stanie, to będzie moja decyzja. Koniec, kropka.

– Nic mi nie będzie – zapewniam, choć wcale nie mam pewności. – Na pewno dam radę dotrzeć do szpitala, kiedy nadejdzie właściwa chwila.

– Sądziłem, że wolałabyś tam nie wracać.

To prawda. Gdyby następnym razem ktoś mnie rozpoznał, szpital mógłby powiadomić służby i odebrać mi dziecko. Ale nie zamierzam rodzić sama

w domu. Co by się z nim stało, gdyby został tu, żeby mi pomóc? Czy zostanie oskarżony o obrazę sądu? A może władze wydadzą nakaz jego aresztowania?

– Zrobię, co będzie trzeba – upieram się. – Wszystko, żeby tylko zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Przecież nie możesz nawet wstać z łóżka. I co, sądzisz, że dasz radę sobie coś ugotować? Pozmywać?

– Dam sobie radę.

– To nie jest odpowiedź.

– Poproszę sąsiadkę o pomoc.

– Świetny pomysł. – Nash sarkastycznie unosi kciuki. – Wystarczy przejść się półtora kilometra w śniegu do najbliższego domu.

– Coś wymyślę.

– Claire, potrzebujesz mnie. Przyznaj to wreszcie.

– Mogę zadzwonić do kogoś innego.

Desperacko zastanawiam się, komu dostatecznie ufam i wiem, że ten ktoś rzuciłby wszystko, by mi pomóc. Na Ethana już nie mogę liczyć. Na znajomych z pracy w „Mindset” też nie. Rodzice już dawno nie żyją. Koleżanki z grupy MitoMamy, jak MamaJohna111, znają mnie tylko z internetu. Nawet nie wiem, gdzie mieszkają. A prawdziwi przyjaciele z dzieciństwa i ze studiów rozpierzchli się cichutko jeden po drugim po śmierci Coltona. Zbroja mojej żałoby w końcu odstraszyła wszystkich. Ilość bliskimi relacjami mogę się pochwalić po trzydziestu dziewięciu latach życia?

Odpowiedź odbiera mi mowę.

Nash się krzywi.

– Jeśli zaczniesz krwawić i nie ściągniesz pomocy na czas, to masz przesrane.

– Tak samo jak ty, jeśli nie pojawisz się jutro w sądzie. Ona się wścieknie, jeśli zostawisz ją samą. – Serce zaczyna mi walić w nerwowym rytmie. – Nie wie, gdzie jesteśmy, prawda?

– Nie. Ale to nie ma żadnego znaczenia.

– Jesteś pewien?

- Claire. – Nash dotyka mojej dłoni. – Masz paranoję.
- Wcale nie! – protestuję, wyrywając rękę. On odsuwa się z zaskoczeniem.
- Wow, spokojnie.
- Przepraszam, ja... – Przerywam, żeby uspokoić oddech.
- Co takiego? – pyta Nash, zbity z tropu. – Co się stało?
- Już prawie mu się zwierzam, ale w ostatniej chwili uznaję, że to zły pomysł.
- Nic. Po prostu jej nie ufam.

Nie mogłam nie zauważyć jej jadowitych uśmiechów i ambicji w oczach; Jillian wygląda na kobietę, której przebiegłość nie zna żadnych granic. Do dziś prześladowuje mnie jej deklaracja z naszego spotkania w restauracji Tangled Vine:

„Poznamy to dziecko. Tego może być pani pewna”.

W tej samej chwili maleństwo wierci mi się w macicy, a mnie wypełnia na nowo fala przerażenia.

To także jej dziecko.

TERAZ

**ABBY**

Kiedy tylko tata przywozi mnie w poniedziałek ze szkoły do domu, w biegu mijam mamę leżącą ze skreconą kostką na kanapie i pędzę po schodach na górę.

– Tobie też dzień dobry! – woła za mną. – Jak było w szkole?

– W porządku! – odkrzykuję. – Strasznie muszę do łazienki.

Wpadam do sypialni rodziców, zabieram laptopa mamy i zamykam się z nim na klucz w łazience. Następnie pierwszy raz od wizyty w muzeum loguję się na stronę MapMyDNA starym loginem i hasłem. Kiedy widzę, jak ładuje się pomarańczowo-niebieska strona główna, przez moje ciało przebiega dreszcz podniecenia. Prośba zadziałała! Wciąż mam mapy DNA wszystkich znajomych ze szkoły... i kontakt z nieznajomą, z którą łączą mnie geny: JH0502.

Otwieram skrzynkę, żeby wysłać jej nową wiadomość: piszę szybko, zanim zdążę spanikować i się wycofać.

*Wydaje mi się, że moja mama kłamie na twój temat, ale nie wiem dlaczego.*

Następnie odkręcam wodę pod prysznicem na wypadek, gdyby rodzice zaczęli się zastanawiać, co tu robię tak długo. Gorąca para nie jest jednak zbyt relaksująca. Ekran zaparowuje mi co kilka chwil, podczas gdy odświeżam stronę w oczekiwaniu na odpowiedź. Dla zabicia czasu przewijam zdjęcia na Instagramie, lajkuję śmieszne memy i nowe selfie znajomych.

Właśnie oglądam zdjęcia nowej gitary Tylera, kiedy w skrzynce MapMyDNA pojawia się nowa wiadomość:

*Wszystko ci opowiem, ale czy możemy spotkać się twarzą w twarz, same? Ja przyjadę do ciebie.*

Wow. Same? A to dlaczego? Już widzę, jak rodzice zamykają mnie w pokoju do końca świata za karę.

Ale co mogłoby się stać, gdybym spotkała się z nią w szkole? Przecież nie wsiądę jej do samochodu. Błagam. Kto mógłby być taki głupi? Zauważam zieloną kropką przy jej loginie. To znaczy, że jest teraz online.

*Okej. Możesz przyjechać jutro pod moją szkołę? Podstawówka Garrison Union. Od 12.15 do 13.00 mamy przerwę obiadową.*

Odpowiedź przychodzi szybko:

*Świetnie. Gdzie konkretnie chcesz się spotkać?*

Pospiesznie stukam w klawisze:

*Możemy porozmawiać na ławkach przy parkingu. Nie wolno mi wychodzić poza teren szkoły.*

Przez minutę trwa cisza. Już zaczynam się martwić, że JH0502 nie spodobał się ten plan, ale wtedy pojawia się nowa wiadomość:

*Ok. Ale nie mów mamie, bo inaczej nie usłyszysz mojej wersji tej historii.*

Odpowiadam natychmiast.

*Nie martw się o to. I tak nie zamierzałam.*

PRZEDTEM

**JILLIAN**

*Jeszcze tydzień*

Jest za pięć dziewiąta rano, w zatłoczonej sali sądowej huczy jak w ulu. Nash lada chwila pojawi się w drzwiach – jestem tego pewna. Minęło już siedemnaście dni i dwie godziny, odkąd obudziłam się i odkryłam, że zniknął, a teraz zostało tylko pięć minut. Wszystkie próby kontaktu zawiodły, więc przez ostatnie dwa tygodnie odliczałam sekundy do tej chwili.

Siedzę obok swojego prawnika przy stole obrońców. Wyciągam szyję i spoglądam w stronę wejścia, próbując unikać kontaktu wzrokowego z gapiami, którzy przyszli tu, żeby wytknąć palcami „panią Frankenstein” i popatrzeć na jej upadek. Nie obchodzi ich, że obroniłam doktorat na Harvardzie. Te durne brukowce nie mają nawet dość przyzwoitości, żeby pisać o mnie „dr Frankenstein” – tylko Nash zasłużył na to wątpliwe wyróżnienie. Ja jestem jedynie podwładną, pomocnicą. Gówno prawda. Ludzie, którzy uważają, że seksizm to mit, nigdy nie byli kobietą w świecie nauki.

*Gdzie on się podziewa?*

Jakby tego było mało, jego możliwe miejsce pobytu stało się przedmiotem nieustających plotek i spekulacji: ponoć on i Claire są sekretnymi kochankami, którzy od początku byli ze sobą w konspiracji, żeby wspólnie stworzyć małego mutanta i uciec razem.

Przecież to nie tak, że wybrał ją zamiast mnie. Po prostu nie mógł zignorować zawodowej powinności wobec dziecka. A teraz – zostały dwie minuty do dziewiątej – wejdzie i wszystko wyjaśni. Nawet jeśli nie potwierdził formalnie



związku ze mną, nasza wspólna przyszłość jest czymś bardzo rzeczywistym. Obiecywał to bez słów za każdym razem, kiedy dotykał wargami mojego nagiego ciała. Przetrywamy ten proces razem i nie poddamy się osądom społeczeństwa.

Do moich myśli jednak sączy się toksyczny głos szepczący:

*Dlaczego nie zadzwonił?*

Zamykam oczy i przeklinam swoje wątpliwości.

Łączy nas coś wyjątkowego. Boję się do tego przyznać, ale pierwszy raz się zakochałam.

No tak, oczywiście nie ma jak do mnie zadzwonić. To nie znaczy jeszcze, że celowo mnie unika. Telefon stanowi zagrożenie, mógłby posłużyć do podsłuchania lub wyśledzenia Nasha. Na pewno nie może się doczekać, kiedy znowu mnie zobaczy.

Niech już wejdzie na salę i wszystko będzie dobrze. Minuta do dziewiątej.

– Ej – szepcze mi do ucha prawnik, cienki jak patyczak facet o tłustych włosach. – Nie okazuj zdenerwowania. Sędziowie potrafią wywęszyć w człowieku winę jak psy.

Odrywam wzrok od drzwi akurat na czas, by zobaczyć, jak poważna sędzina wchodzi na salę. Czarna toga zwisa z jej drobnych ramion niczym peleryna czarownicy.

– Proszę wszystkich o powstanie. Sędzia Patricia Clark – ogłasza woźny.

*Już, zaraz przyjdzie.* Znów zerkam na drzwi, ale prawnik trąca mnie stopą pod stołem i wstaję z miejsca, nieuprzejmie czekając o chwilę zbyt długo.

*Gdzie on się podziewa?*

– Sąd rozpoczyna rozprawę. – Sędzia stuka młotkiem, ławnicy przyglądają mi się podejrzliwie, prokurator posyła mściwy uśmiech; ja jednak ledwo ich wszystkich zauważam. Jestem zahipnotyzowana pustym krzesłem obok mnie. Po raz pierwszy dociera do mnie, że Nash może nie przyjechać.

Ta zdzira na pewno go zaszantażowała. Jakby nie dość jeszcze wszystko spierdoliła. Coś cięższego od ołowiu spływa mi do brzucha: furia.

\* \* \*

## CLAIRE

Leżymy oparci na trzech poduszkach i oglądamy początek rozprawy na żywo na moim laptopie. Nash obok mnie splata ramiona za głowę. Mam wrażenie, że wygląda na dziwnie zadowolonego jak na oficjalnego zbiega.

Kiedy prokurator z haczykowatym nosem zaczyna wygłaszać oświadczenie o świętości ludzkiego życia, Nash przewraca oczami.

– Niespecjalnie żałuję, że mnie tam nie ma – mówi.

– Obawiam się, że ona ma inne zdanie na ten temat – odpowiadam. – Zostawiłeś ją na lodzie.

Wściekłość Jillian jest widoczna na pierwszy rzut oka. Jej ponura twarz przybrała czerwony kolor, ramiona ma przygarbione, a ręce założone na piersi. Puste krzesło Nasha jest jak ostentacyjny gest odrzucenia.

– Wiem. Ale nie traktowałiby jej ani odrobinę lepiej, gdybym siedział koło niej.

– Czy między wami... coś było? – Od dawna się nad tym zastanawiałam, ale nie miałam żadnego dobrego pretekstu, żeby zapytać.

Nash się waha.

– Było.

– W czasie przeszłym? – Serce bije mi szybciej. Nie jestem pewna, dlaczego odpowiedź na to pytanie jest dla mnie ważna, ale jest.

– To do niczego nie prowadziło. Nie szukałem niczego poważnego, ale ona chyba tak.

– Szczerze? – Obejmuję swój wielki brzuch i odwracam się w stronę Nasha. – Od pierwszego dnia jej nie ufałam.

– Dlaczego? – pyta z widocznym zaskoczeniem.

– Miałam przecucie. Wydaje mi się, że ona dba tylko o siebie.

– Ale ma wyjątkowy umysł. Możliwe, że to najinteligentniejsza badaczka, z jaką w życiu pracowałam.

– No i? Zaszantażowałyby cię w sekundę.

Nash się krzywi.

– Może i tak.

Prokurator przechadza się przed ławą przysięgłych, wygłaszając oświadczenie. Mężczyzna nagle przystaje.

– Wynika z tego, że wina doktor Hendricks i doktora Nasha jest niepodważalna – oznajmia. – Analitycy kryminalni odkryli skasowane nagranie z telefonu doktor Hendricks, skopiowane na chmurę. Zawierało ono rozmowę między Hendricks a Nashem, w której oskarżeni omawiali ze szczegółami strategię popełnienia przestępstwa i połączenia komórki jajowej pani Abrams z tą należącą do doktor Hendricks. Wszystko jest jasne jak słońce. Proszę o odtworzenie nagrania.

Nashowi zapiera dech. Jego głos rozbrzmiewa z głośników. Jillian jednak patrzy pustym wzrokiem prosto przed siebie. Jej twarz nie zdradza żadnych uczuć.

– Nie wiedziałeś o tym? – pytam.

– Żartujesz? Byliśmy partnerami. Dlaczego miałyby mnie zdradzić?

Nie mogę powstrzymać gorzkiej myśli: „A nie mówiłam”. A przy tym muszę przyznać, że jego wzbierający gniew poprawia mi samopoczucie. Resztki lojalności wobec niej wyparowują z Nasha z sekundy na sekundę.

Kiedy nagranie dobiega końca, prokurator teatralnie odwraca się w stronę ławy przysięgłych, jakby przygotowywał się na wielki finał.

– Szczególnie godny potępienia jest fakt, że ta przeprowadzona z premedytacją ingerencja w ludzkie życie, ten eksperyment z trojgiem rodziców, nie był jakimś nieprzemyślanym impulsem, przeprowadzonym na prośbę zdesperowanej matki. Całe przedsięwzięcie zostało zaplanowane na długo przed

zgłoszeniem się Claire Abrams na ochotniczkę. Od początku była ona niczego nieświadomym trybikiem w całym planie – dodaje prokurator, z niesmakiem wykrzywając wargi.

– O czym on mówi? – pragnę się dowiedzieć.

– Nie mam pojęcia – mamrocze Nash, kiedy prokurator znów zaczyna mówić.

– Szanowni członkowie i członkinie ławy przysięgłych, dane zgromadzone w procesie dochodzenia wykazały, że ta kobieta – prawnik wskazuje na Jillian – założyła konto na internetowej grupie wsparcia „Mamy MitoMaluchów” na rok przed rozpoczęciem eksperymentu, by zdobyć zaufanie kobiet takich jak pani Abrams, matek, których dzieci żyły w cierpieniach spowodowanych chorobą mitochondrialną. Oskarżona umieściła na forum trzydzieści trzy wypowiedzi pod pseudonimem MamaJohna111, zwierając się z choroby swojego nieistniejącego dziecka, by w końcu wykorzystać tę bezbronną społeczność jako platformę rekrutacji wolontariuszek do eksperymentu. Biedna pani Abrams wpadła prosto w pułapkę.

Salę sądową wypełniają szept, a Nash wpatruje się w ekran z otwartymi ustami.

Dopiero po kilku chwilach oszołomionego milczenia jestem w stanie się odezwać.

– Wiedziałaś o tym?

– Nie miałem pojęcia, przysięgam.

Odsuwam się od niego na łóżku.

– A na jakiej podstawie miałabym w to uwierzyć?

– Przecież to ja ci odmówiłem, kiedy spotkaliśmy się w barze, pamiętasz?

Powiedziałem, żebyś poszukała innego lekarza.

Przypominam sobie to piorunujące rozczarowanie w Stone Rose Lounge.

– Rzeczywiście.

– A to nagranie wszystko udowadnia. Prowokowała mnie, nazywała tchórzem, aż w końcu zgodziłem się na twoją propozycję. Pewnie już od dawna

czekała, aż pojawi się ktoś taki jak ty. Liczyła najpierw na twoją desperację, a potem na moją...

– Wow. – Obejmuję się za brzuch, próbując jakoś przyswoić sobie tę ironię, że to, co najzdrowsze u mojego dziecka pochodzi od kogoś tak zepsutego.

Nash jest wyraźnie wstrząśnięty.

– Gdybym wiedział, natychmiast bym ją zwolnił...

Dotykam swojej twarzy. Mam spocone policzki.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś się zgrzała.

– A, właśnie się dowiedziałam, że moja córka dzieli DNA z psychopatką. – Macham dłonią. – Nic wielkiego.

– Nie odziedziczy po niej genów odpowiadających za kształtowanie osobowości.

– Tego nie wiesz – odgryzam się, podnosząc głos. – Interakcja między genami jest tak skomplikowana, że nikt tego jeszcze dobrze nie pojął. Przecież nie mamy precedensu!

Kiedy słyszę jego powolny wydech, aż wzdrygam się ze zdenerwowania. To brzmi jak potwierdzenie mojego lęku. Jego myśli wciąż jednak chyba krążą wokół Jillian.

– Nigdy jej tak naprawdę nie znałem. Tyle czasu spędzonego razem... i nic.

Prokurator tymczasem się rozkręca. Przyspiesza kroku.

– Manipulacja zwykłą osobą byłaby już dostatecznie podłym zagraniem. Claire Abrams jednak należy do zupełnie innej kategorii. Podczas dochodzenia śledczy dotarli do jej historii medycznej. Dowiadujemy się z niej, że kobieta przeżyła załamanie nerwowe po śmierci syna, czemu towarzyszyły halucynacje o charakterze paranoidalnym i napady paniki, przez które musiała spędzić dłuższy czas w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Podczas pobytu w szpitalu Abrams sądziła, że jej syn nadal żyje i często go wołała. To chyba dość jasno pokazuje, że nie mamy do czynienia z osobą, której stan psychiczny pozwalałby na wyrażenie świadomej zgody na udział w jakimkolwiek eksperymencie. Czy to jednak miało jakieś znaczenie dla doktor Hendricks

i doktora Nasha? Nie, oni żerowali na desperacji pacjentki i zmanipulowali ją tak, by wzięła na siebie rolę surogatki. A teraz w wyniku ich działań na świat ma przyjść dziecko chorej psychicznie uciekinierki.

Nagle oczy zachodzą mi mgłą. Mój największy, najpilniej strzeżony sekret został wyjawiony z okrutną nonszalancją. Wstyd, który z takim trudem ukrywałam, został wygrzebany z dna mojej duszy i ciśnięty światu pod ocenę. Przerazona spoglądam na Nasha.

On gapi się na mnie z niedowierzaniem.

– Ja chyba też mam się z czego tłumaczyć – mówię ze słabym, drżącym uśmiechem.

TERAZ

**ABBY**

W poniedziałek przy obiedzie jestem strasznie rozkojarzona. Już jutro spotkam się z JH0502. Czego się od niej dowiem? Co może być tak ważne, żeby jechać się ze mną zobaczyć aż do Garrison? I dlaczego mama nie może się o tym dowiedzieć?

Jeśli rodzice zauważyli, że nie jestem zbyt komunikatywna, nic ich to nie obchodzi. Chyba sami mają jakiś poważny problem. Przez cały weekend prawie ze sobą nie rozmawiali. Musi być naprawdę źle, bo tata włącza telewizję, żeby obejrzeć *Va banque*, a mama w milczeniu nakłada nuggetsy z kurczaka, które odgrzała w mikrofalówce.

Rezygnuję z deseru i oznajmiam, że muszę się dziś wcześniej położyć, bo jutro mam ważny dzień. To akurat nie jest kłamstwo. Oboje całują mnie na dobranoc i idę na górę. To prawie absurdalne, jak bardzo mnie dziś nie dostrzegają.

Myję zęby i szykuję się do spania, ale potem jeszcze długo przewracam się z boku na bok w ciemności, pochłonięta rozmyślaniami o tym, co wydarzy się jutro. Po jakimś czasie poddaję się i schodzę na palcach do kuchni, żeby coś zjeść. W domu panuje mrok, jeśli nie liczyć smugi światła padającej z gabinetu taty. Drzwi są lekko uchylone. Ze środka dobiegają głosy rodziców; nawet z tej odległości słyszę, że to pełna napięcia rozmowa. Owszem, mogłabym zatkać uszy i wrócić do swojego pokoju, ale nagle słyszę coś, co sprawia, że zamieram w bezruchu.

– Nie poślizgnęłam się tak po prostu. Tam wydarzyło się... coś więcej.

Ostrożnie podkradam się bliżej i przyciskam do ściany.

– Jak to? Mówiłaś, że to był wypadek.

– Tak, ale... Znowu pobiegłam za Coltonem.

Ledwo powstrzymuję pisk zaskoczenia. *Co to ma znaczyć?*

– Wiem, że to brzmi jak obłąd – ciągnie mama. – Ale on po prostu... Pojawił się na placu zabaw.

– Kurwa. Właśnie tego się obawiałem.

– A jak myślisz, dlaczego ci nie powiedziałam? Był tak blisko...

– Kotku, nikogo tam nie było. Proszę, powiedz, że to rozumiesz.

Cisza.

– Boże – jęczy tata. – Będziesz musiała wrócić na rysperydon...

– Nie!

– Przecież branie leków to żaden wstyd.

– Nie chcę się faszerować tym gównem!

– Ale co zrobisz, jeśli halucynacje pojawią się, kiedy będziesz prowadzić samochód? To nie jest coś, co można kontrolować!

– Poszukam terapeuty.

– Naprawdę uważam, że najlepiej by było, gdybyś poszła na jakiś czas do szpitala...

– Nie! – krzyczy mama. – Nie dam się znowu zamknąć w Bellevue!

*Znowu?*

– To gdzie indziej...

Słyszę, jak zbliżają się do drzwi, więc kryję się pod schodami. Mogę tam przycupnąć w ciemności i nikt mnie nie zauważy. Rodzice wychodzą z gabinetu, wciąż się sprzecząc. Kiedy ruszają na górę, słyszę skrzypienie schodów nad moją głową.

– Terapia na pewno pomoże – zapewnia mama. – Pozwól mi spróbować.

– Dobrze. Ale musisz mi natychmiast powiedzieć, jeśli coś takiego znów się wydarzy. Dobrze?

Nie słyszę nic więcej, bo ścisząją głosy, kiedy mijają mój pokój.



Nie mogę przestać myśleć o tej okropnej karteczce, którą znalazłam w plecaku: „Moja mama to psycholka”.

Może Sydney miała rację. Może moja mama rzeczywiście jest wariatką.

Nie wiem, czym dokładnie jest Bellevue, ale domyślam się, że mama ukrywa przede mną bardzo dużo faktów ze swojego życia. Może JH0502 będzie wiedziała.

Czuję się tak, jakbym stała na skraju wzgórza i czekała, aż ziemia usunie mi się spod nóg. Tylko że nie widzę najważniejszego: jak daleko w dole jest ziemia?

## PRZEDTEM

# JILLIAN

W sądzie unosi się zapach strachu i zwietrzałej kawy. Kiedy sędzia wchodzi na salę, chwiejnie podnoszę się z krzesła razem z adwokatem.

Następne kilka minut przesądzi o wszystkim. Dziś dowiem się, na jak długo pójdę do więzienia – sama, bo Nash wciąż się nie pojawił. Teraz już wiemy, że Claire jest nie zrównowazona, więc jego decyzja ma większy sens. Nie mogłby zostawić noworodka z wariatką. Nie jestem pewna, kogo bardziej mi żal, siebie czy jego – oboje wpadliśmy w pułapkę.

Przez ten tydzień przeżyłam horror, którego punktem kulminacyjnym był wyrok skazujący – nie żeby kogoś to zaskoczyło. Ława przysięgłych głośno i wyraźnie usłyszała moje nagranie, wygrzebane przez prokuraturę z pomocą oprogramowania do odzyskiwania danych. Wszyscy dowiedzieli się z niego, jak wspólnie z Nashem omówiłam strategiczne szczegóły całej procedury donacji mitochondrialnej oraz kiedy, gdzie i w jaki sposób przeprowadzimy eksperyment. Ława przysięgłych naradzała się tylko przez piętnaście minut, zanim wydała jednogłośnie wyrok.

Jedno pytanie pozostaje jeszcze bez odpowiedzi: jak surowa kara mnie czeka. Sędzia Clark jest ponoć bezlitosna w sprawach o naruszenie dobra dziecka.

Kiedy sędzia zajmuje miejsce na podwyższeniu, wszystkie głosy w dusznym pomieszczeniu natychmiast cichną. Okrągła tarcza ze złotym orłem i napisem SĄD OKRĘGOWY USA w drewnianej oprawie wisi nad jej głową między dwiema amerykańskimi flagami.

Na widok tych oficjalnych symboli tracę trochę wewnętrznej samokontroli. To naprawdę się dzieje. Za chwilę zostanę skazana za przestępstwo, które wcale

nie powinno być traktowane w ten sposób. Zaraz zostanę zaciągnięta do więzienia. Chwytam się mocno stołu, żeby powstrzymać wszechogarniającą chęć ucieczki.

– Otwieram rozprawę przed sądem rejonowym. Sprawie przewodzi sędzia Patricia Clark – oznajmia z kamienną twarzą woźny.

Prawnik trąca mnie stopą pod stołem. Wiem, co mnie teraz czeka. Będę musiała z całej siły starać się zachować spokój, żeby przyjąć karę za największe osiągnięcie swojego życia.

Sędzia Clark świdruje mnie poważnym spojrzeniem.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj, by wydać wyrok w sprawie Jillian Hendricks. Pani Hendricks, ława przysięgłych uznała panią za winną poddania nienarodzonego dziecka eksperymentowi genetycznemu, który może nieść ze sobą trwałe szkody na jego zdrowiu fizycznym i psychicznym, z pogwałceniem federalnego zakazu ingerowania w materiał genetyczny ludzkich zarodków. Czy chciałaby pani wygłosić oficjalne oświadczenie przed ogłoszeniem wyroku?

Odkasłuję. Mam ochotę wrzasnąć: „Idźcie wszyscy do diabła!”. Moja kariera legła w gruzach. Rodzice tak się za mnie wstydzą, że nie odbierają moich telefonów. Mężczyzna mojego życia odszedł, zwiedziony przez kobietę, która zniszczyła mi życie. Co mi pozostało?

– Wysoki sędzie, żałuję szkód, jakie wyrządziłam – mówię, całą sobą zmuszając się do kłamstwa. – Przyjmuję odpowiedzialność za swoje czyny.

Przez twarz sędzi przebiega grymas niezadowolenia.

– To wszystko?

– Tak, wysoki sędzie.

Siadam. Nie jestem w stanie nawiązać kontaktu wzrokowego z adwokatem, od którego aż bije złość.

– Miałaś tylko jedno zadanie – syczy. – Okazać choć odrobinę skruchy.

Ale ja nie jestem aktorką, tylko naukowcem, do kurwy nędzy.

Sędzia otwiera wykrzywione pogardliwie usta.

– Pani Hendricks, zostaje pani skazana na trzydzieści sześć miesięcy pozbawienia wolności oraz na karę trzech lat pozbawienia wolności w zawieszeniu, pod warunkiem że zobowiąże się pani do zaniechania wszelkich badań nad ludzkimi zarodkami na okres dziesięciu lat. W ciągu trzydziestu dni musi pani zgłosić się do federalnego zakładu karnego w Danbury.

Całe powietrze uchodzi mi z płuc.

Mija kilka sekund, może minut, nie jestem pewna; na sali sądowej rozpętuje się chaos i gwar, prawnik mówi coś z przeproszającą miną; ktoś bierze mnie pod ramię.

Ja jednak myślę tylko o jednym: sędzia Clark miała rację. Należy wymierzyć sprawiedliwość. Winni muszą ponieść zasłużoną karę. Kłopot w tym, że system nie działa. Wina została zepchnięta na niewłaściwą osobę. Będę więc musiała wziąć sprawy we własne ręce.

Świeża energia wypełnia mi żyły, trzeszczy i iskrzy. To ambicja, moja dawna przyjaciółka, ożywia mnie nowym poczuciem misji.

Mam cel, którym będę mogła się żywić przez następne trzy lata.

A później...

Myślę o Nashu, Claire i dziecku – moim dziecku. O tym, jak uciekną w jakieś bezpieczne miejsce, jak Claire zmusi ich, by zostali rodziną. A przecież to miała być moja rodzina.

Kiedy to się skończy, przyjdę po was.

\* \* \*

**CLAIRE**

*To już*

O czwartej trzydzięci nad ranem jak zwykle otwieram oczy. Bezsensowność towarzyszy mi ostatnio bez przerwy. Przekręcenie się z boku na bok w łóżku to prawdziwe osiągnięcie, a pęcherz domaga się opróżnienia co godzinę. W domu panuje cisza, przerywana jedynie chrapaniem Nasha dobiegającym z drugiego pokoju.

Teraz, kiedy proces się zakończył i orzeczono o winie – jego oraz Jillian – Nash nie ma dokąd iść. Powrót do domu wiązałby się z pójściem do więzienia. Jesteśmy więc na siebie skazani. Tłumię wyrzuty sumienia. Czy to ja go tu uwięziłam?

Nie. Przyjechał z własnej woli, żeby mi pomóc. Do niczego go nie zmuszałam.

Ale...

Ciąg dalszy tej myśli sprawia, że aż się krzywię. Może gdybym otwarcie przyznała się na samym początku do swoich problemów ze zdrowiem psychicznym, Nash by mi nie zaufał i nic z tego by się nie wydarzyło. Oczywiście właśnie dlatego zachowałam to w sekrecie.

Po tym, jak prokurator brutalnie wyjawiał prawdę, spodziewałam się, że Nash zapagnie się zemścić. Czekałam na jego nieuniknioną wściekłość, podejrzliwość, obrzydzenie.

Przez trzy lata trzymałam to w sekrecie przed przyjaciółmi i znajomymi z pracy, zamknęłam się sama w wieży wstydu. Tylko Ethan o wszystkim wiedział i wspierał moją izolację udawaniem, że życie toczy się zwykłym torem. Pragnął normalności tak bardzo, jakby była całym sensem istnienia. W końcu doszedł do wniosku, że kolejne dziecko mnie uleczy. Prawda boli, ale obawiam się, że nasze małżeństwo rozpadło się całe lata przed tą ciążą. Spłonęło na ołtarzu mojego cierpienia.

„Musisz wstać z łóżka – błagał Ethan. – Nie możemy tak żyć”.

Było mi go szkoda, ale jeszcze bardziej żałowałam samej siebie. Nie miałam zamiaru żyć dalej, jeśli to oznaczało, że musiałabym zostawić pamięć o synku za

sobą. Teraz widzę, jak samotna czułam się przez Ethana, jak bezwartościowa przez to, że nie radziłam sobie z bólem równie dobrze jak on.

Z czasem pojęłam też, że żałoba może współistnieć z powrotem do zdrowia. Jedno nie kończy się z przyjściem drugiego. Zamiast tego podążają równoległymi ścieżkami; czasami na przód wysuwa się jedno, innym razem drugie. Powrót do normalności po śmierci dziecka nie jest możliwy. W najlepszym razie można stawić czoło każdemu kolejnemu dniowi z czystym umysłem i pękniętym sercem.

Sądziłam, że po ujawnieniu przez prokuraturę szokującej informacji Nash będzie mnie traktować z ostrożną podejrzliwością, tak jak Ethan po moim krótkim pobycie na oddziale psychiatrycznym – jakbym w każdej chwili mogła znów zacząć widywać twarz Coltona w każdej grze cieni.

Zamiast tego jednak on podarował mi najcenniejszą możliwą rzecz: współczucie.

– To brzmi strasznie – powiedział bez cienia uprzedzeń w głosie. – Co za koszmar.

– Tak, ciężko to zniosłam. Straciłam kontakt z rzeczywistością. Było ze mną bardzo źle.

Wtedy on zaskoczył mnie jeszcze bardziej, kładąc dłoń na mojej ręce.

– Straciłaś dziecko. Kto mógłby cię winić?

– Należało powiedzieć wam o wszystkim na samym początku. Przepraszam.

– Tak – zgodził się rzeczowo. – Ale jakie to ma teraz znaczenie?

– Nie uważasz, że jestem...? – Nie potrafiłam się zmusić, by dokończyć to zdanie.

– Ludzie robią z żalu różne rzeczy, których nie wolno oceniać – odparł, ściskając mnie za rękę. – Wtedy nie jesteśmy sobą – dodał, zamykając oczy, jakby dopadło go bolesne wspomnienie.

– Coś ci jest?

– Jedenaście lat temu straciłem żonę. Zmarła na guza mózgu.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze.

– Boże, tak mi przykro. Nawet nie wiedziałam, że byłeś żonaty.

– Nigdy o niej nie wspominam.

Przez jakiś czas milczeliśmy, aż wreszcie Nash znów przemówił.

– Właśnie dlatego nie widziałem swojej przyszłości z Jillian na dłuższą metę. Nie potrafiłem zapomnieć.

Czas przeszły zwrócił moją uwagę: czy teraz już zdołał zostawić to za sobą? Głęboko w duchu miałam nadzieję, że tak.

– Nie radziłem sobie zbyt dobrze – ciągnął. – Piłem tak długo, aż w końcu musiałem zapisać się do grupy AA. Na kilka lat zupełnie straciłem nad sobą kontrolę.

Przyglądał mi się uważnie, szukając w mojej twarzy oznak pogardy. Nic takiego jednak się nie pojawiło.

– Robimy, co w naszej mocy, żeby przetrwać – powiedziałam. – Dzięki temu stajemy się silniejsi.

– Właśnie. Dlatego dla mnie ten cały skandal to nie koniec świata. Przeżyłem już gorsze rzeczy. – Zaszklily mu się oczy; zamrugnął pospiesznie. – Po czymś takim ze wszystkim dam sobie radę.

\* \* \*

O czwartej czterdzieści pięć nad ranem leżę w łóżku i rozmyślam o wszystkim, co wydarzyło się między nami od tamtej rozmowy kilka dni wcześniej. Granica między lekarzem a pacjentką jeszcze bardziej się zatarła. Nash zaczął przesiadywać w moim pokoju po posiłkach, zamiast zaszywać się w samotności. Wieczorami leżymy obok siebie i czytamy, dotykając się ramionami. Czasami opowiada mi zabawne wspomnienia o swojej żonie – że zbierała filiżanki z ochroniaczami na wąsy i uwielbiała suche żarty. Ja odwdzięczam się anegdotami o Coltonie. Zwierzyłam mu się, że Colton uwielbiał wymyślać różne historie, a kiedyś stworzyliśmy całą serię przygodową o samotnym kosmicznym robocie o imieniu Melvin. Opowiedziałam mu też o jego ulubionej pielęgniarence

w szpitalu, Lucy, którą nazywał swoją dziewczyną. Pewnego roku Lucy zrobiła mu niespodziankę i przyniosła mu krówki na walentynki. Wtedy już odżywiał się przez kroplówkę, bo jego żołądek przestał prawidłowo funkcjonować, ale lekarze i tak pozwolili mu spróbować słodczy. Możliwe, że to był ostatni wspaniały dzień w jego życiu. Dzielenie się tymi osobistymi wspomnieniami niesamowicie zbliżyło nas do siebie.

Wczoraj przed pójściem spać Nash zamknął laptopa i popatrzył na mnie.

– Wiesz co?

– Co?

– Przyjechałem ze względu na poród, ale nie dlatego nadal tu jestem.

– Nie?

– Jesteś odważna, Claire. Nigdy dotąd nie poznałem nikogo takiego jak ty.

Zaśmiałam się sucho, ignorując łomoczące serce.

– Albo po prostu głupia.

– Nie. Nie w moich oczach.

Wzięłam go za rękę i położyłam ją sobie na brzuchu.

– Kopie. Czujesz?

Kiedy tak siedzieliśmy razem, ciesząc się niewiarygodnymi ruchami dziecka, poczułam z nim niezwykle intymną więź, prawie jakbym zdradzała Ethana. Ale nie byłam już zobowiązana do wierności mężowi, więc pozwoliłam Nashowi dotykać mojego brzucha tak długo, aż poczuliśmy, że już na dobre przekroczyliśmy granice naszych oficjalnych ról i nasza relacja przeistoczyła się w coś zupełnie innego. W coś, co budziło we mnie zupełnie inną energię.

\* \* \*

Teraz jest już piąta, a dziecko znów bezlitośnie kopie mnie w pęcherz. Znowu czas do toalety. Czuję, jak ciepły płyn spływa mi spomiędzy ud. Czyżbym zmoczyła łóżko? Boże, jaki wstyd.



Kiedy z trudem próbuję się podnieść, przezroczysty płyn niekontrolowanie spływa mi spomiędzy nóg. O, szlag. Wstaję, a płyn leje się jeszcze gwałtowniej, jak z kranu, moczy mi majtki, tworzy kałużę na podłodze.

– Wstawaj! – wołam, człapiąc jak najszybciej do jego pokoju. – Chyba odeszły mi wody!

Nash natychmiast zrywa się z łóżka i zapala lampkę.

– Co?

Wskazuję na mokrą bieliznę. Jestem zbyt zszokowana, by odczuwać wstyd. Bolesny skurcz przebiega mi przez dolną część pleców i brzuch. Schylam się z głośnym jękiem.

– Połóż się – nakazuje Nash. Opadam na łóżko, a skurcz ustępuje.

– Sprawdzę, jakie masz rozwarcie. Zaraz wrócę.

Pot skrapla mi się na skroniach. Nash po chwili wraca z rękawiczkami i wkłada we mnie dwa palce.

– Wow. Już cztery centymetry rozwarcia i sto procent skrócenia. Świetna robota!

– Nie dam rady – jęczę w pościel. – Chcę... dostać znieczulenie...

– Dasz radę. – Nash otacza mnie od tyłu ramionami i przyciąga sobie do piersi. – Jesteś o wiele silniejsza, niż ci się wydaje.

Skurcze nie dają mi chwili wytchnienia. Całe szczęście, że natura nie pozwala kobietom się poddawać, bo inaczej nikt by się nigdy nie urodził. Przez wiele godzin – a może dni – atakują mnie falami coraz gorszego bólu, w coraz krótszych odstępach czasu. Miotam się, krzyczę, kołyszę na czworakach. Chodzę po sypialni, tarzam się po podłodze. Tracę poczucie czasu. On obejmuje mnie za każdym razem i szepcze mi do ucha, jak świetnie sobie radzę, nawet kiedy wrzeszczę, że zaraz umrę.

Po jakimś czasie Nash oznajmia, że znów zbada mi szyjkę macicy.

– Masz teraz skurcze co dziewięćdziesiąt sekund – wyjaśnia.

W odpowiedzi tylko dyszę. Nie jestem w stanie sformułować żadnej składnej myśli. Tego bólu nie dałoby się zmierzyć żadną ludzką skalą. Jakby ognista

włócznie wyszarpywała mi macicę, jakby dziecku urosły szpony nasączone kwasem. Jakaś część mojego umysłu zupełnie się oddzieliła, trochę jak aktor w doskonale wyreżyserowanej sztuce. Moje ciało dokładnie wie, co robić, bez żadnej pomocy z mojej strony.

– Claire? – powtarza Nash. – Muszę sprawdzić.

Rzucam się na plecy i rozsuwam nogi, a on znów sprawdza. Każdy ruch jego palców w moim wnętrzu sprawia mi nieznośny ból.

– Już prawie czas! – mówi pogodnym tonem. – Dziewięć centymetrów. Już za chwilę poznamy to cudowne dzieciątko!

Przy kolejnym skurczu głośny jęk wyrywa mi się z ust. Ból osiąga moment kulminacji, przy którym mogę już tylko zgrzytać zębami. Trwa niewypowiedzianie długo, aż wreszcie zaczyna ustępować. Teraz między uderzeniami bólu mam tylko kilka sekund na złapanie oddechu. Pościel jest przesiąknięta śluzem i krwią, ale nie mam siły, żeby się tym przejmować albo zakryć ciało.

– Ile... jeszcze? – dyszę.

– Już prawie. Bardzo szybko ci idzie.

Jego podekscytowany ton trochę mnie uspokaja, choć nigdzie w zasięgu wzroku nie ma monitora czynności serca dziecka, kroplówki czy znieczulenia.

– Jesteś pewien... że nie powinnam jechać... do szpitala? – Wcześniejszy niepokój, że zostanę rozpoznana, teraz wydaje mi się odległy i zupełnie nieważny.

– Nie zdążysz.

Nagle czuję gwałtowną potrzebę parcia, tak silną, że całe ciało samo się napina, niesione falą, której nie jestem w stanie się przeciwstawić.

– Świetnie – kibicuje mi Nash. – Wstrzymaj oddech na dziesięć sekund, będę odliczać. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem. Nie poddawaj się! Przyj!

Jego entuzjazm przebija się przez mój zamglony umysł, zanim kolejna fala skurczów odbiera mi dech. Nash jeszcze raz wkłada we mnie palce w lateksowej rękawiczce, żeby zbadać szyjkę macicy.

– Przyj, przyj, przyj! – krzyczy. – Nie przestawaj! Już czuję dziecko, zaraz...  
– Wtem jego palce sztywnieją.

– Co?

– To nóżka. Przekręciła się.

Nieruchomieję. Wzbiera we mnie kolejny niepowstrzymany skurcz. Nie!

Jeszcze tydzień temu główka była już wstawiona w kanał rodny.

– Przekręciła się – mamrocze Nash. – To pewnie przez to łożysko...

Nieludzki skowyt wydobywa mi się z gardła. Jakbym była konającym dzikim zwierzęciem. Uruchamiam całą pozostałą mi jasność umysłu i wrzeszczę na niego.

– Kurwa, zabierz mnie do szpitala.

On tylko się krzywi i kręci głową.

– W dupie mam policję! Dzwoń pod alarmowy!

– Nie o to chodzi. Ona już zaczęła...

Kolejny wrzask rozsadza mi klatkę piersiową. Czuję, jak najwrażliwsza część mojego ciała się rozrywa, rozszarpując miliony zakończeń nerwowych, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Na chwilę robi mi się ciemno przed oczami.

Nash jest przerażająco spokojny.

– Claire, urodzisz to dziecko. Podczas studiów medycznych uczyłem się, jak przyjmować dziecko w położeniu miednicowym. Przyj tak, jakby zależało od tego twoje życie!

Ogarnia mnie nagła jasność umysłu. Wiem, co muszę zrobić. Zaciskam zęby i kieruję całą swoją siłę w jedno miejsce.

– Świetnie – zachęca Nash, wsuwając mi palce głęboko do pochwy, żeby pomóc dziecku się ułożyć. – Przyj dalej, nóżki już wyszły, pępowina pulsuje, teraz tylko ramiona i główka! Jeszcze raz, porządnie. Dasz radę!

Znów ciemnieje mi przed oczami. To tak porażający wysiłek, że czarne plamy tańczą mi przed twarzą. Mam wrażenie, że za chwilę zemdleję, ale znów prę, jeszcze mocniej, tak mocno, żeby wyrzucić wszystko, co zostało mi jeszcze

w ciele, nawet narządy wewnętrzne. Czuję, jak Nash kawałeczek po kawałeczku porusza dzieckiem, uwalniając jego ramionka uwięzione w sztywnym uścisku kanału rodniego. Następnie jej wielka, okrągła główka przeciska się przeze mnie, a razem z nią wylewa się cały ból, jakby pękła tama. Ogarnia mnie ulga. To takie uczucie, jakby ktoś zabrał głaz, który mnie miażdżył. Jestem lekka jak piórko.

– Udało ci się! – krzyczy Nash.

Otwieram oczy przy akompaniamencie najpiękniejszego dźwięku, jaki kiedykolwiek słyszałam: wściekłego wycia noworodka. Jej ciało jest szare i pokryte białą mazią płodową, ale szybko zmienia kolor na różowy. Nash kładzie mi ją na piersi brzuszkiem do dołu. Sina, pocięta żyłkami pępownina wciąż tętni między nami. Wstrząsa mną spazmatyczny szloch. Leżymy skóra przy skórze. Czuję, jak jej małe serduszko bije razem z moim.

Dałyśmy radę. Od teraz – i już na zawsze – my.

Maleństwo popiskuje, a ja gładzę je delikatnie. Po chwili spogląda na mnie ciemnymi oczkami. W niczym nie przypomina mnie ani Ethana. Jej nosek jest delikatniej zakrzywiony, twarzyczka ma kształt serca, włosy mają rudawy połysk.

Nash nachyla się nad moim ramieniem.

– Jest doskonała.

Z zaskoczeniem zauważam, że on też ma mokre policzki.

– Witaj na świecie, Abigail Grace – szepczę.

Dziewczynka wydyma usta, jakby była głodna, więc przysuwam ją sobie do piersi. Kiedy zaczyna ssać, ogarnia mnie nieopisana wdzięczność. Wszystko było tego warte. Każda strata, każdy trud. Przyglądam się jej spokojnej buzi. Ssie zapamiętałe, oczy ma półprzymknięte z zadowolenia.

Słońce przebija się przez zasłony, rozświetlając jej miedziane włosy. Nagle przypominam sobie o wrogim świecie, który czeka na nas na zewnątrz. A następnie uświadamiam sobie, że to dopiero początek.

Zerkam na Nasha.

– Co teraz zrobimy?

– Jedyne, co nam pozostaje – odpowiada. – Będziemy ją kochać.

# CZĘŚĆ TRZECIA

TERAZ

**ABBY**

Dokładnie za dwie godziny i piętnaście minut, kiedy rozlegnie się dzwonek na przerwę obiadową, wreszcie się z nią spotkam: JH0502. Nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywa. Długo zastanawiałam się nad tymi literami i cyframi, ale nie mają żadnego sensu. W rodzinie aż do dziadków z żadnej strony nie mamy nikogo z nazwiskiem na „H”. A 0502 może oznaczać drugi maja – dzień jej urodzin? – a może po prostu wybrała jakieś przypadkowe cyfry. Tyle pytań bez odpowiedzi.

Pani Miller stoi przy tablicy i wyjaśnia na przykładzie rysunku torów kolejowych, na czym polega trójwymiarowa perspektywa, ale ja nie mogę się skupić. Myślę tylko o tym, co może mi powiedzieć ta nieznajoma, i dlaczego to takie ważne, żeby mama o niczym się nie dowiedziała. Na samą myśl o tym się denerwuję. Mam wrażenie, że mama zawisła na skraju jakiegoś wielkiego załamania. Już zdążyła spaść ze wzgórze w pogoni za duchem mojego zmarłego brata. Przecież to wariactwo.

– Stara – syczy chłopak w ławce za mną. – Obudź się.

– Hmm? – Podnoszę wzrok i zauważam, że pani Miller przygląda mi się ze ściągniętymi brwiami. W wyciągniętej ręce trzyma gruby kawałek kredy.

– Abigail, czy mogłabyś pokazać, jak należy narysować prostopadłościan?

– Oczywiście – przytakuję.

Dzięki Bogu, że to takie łatwe zajęcia.

Po dzwonku Riley i ja idziemy razem do szafek. Opowiadam jej o nadchodzącym spotkaniu.

– Dzisiaj? – Moja przyjaciółka otwiera szeroko oczy. – Wow. To będzie coś niesamowitego.

– No. Chciała przyjść i spotkać się ze mną twarzą w twarz.

– Po co?

– Żeby mi wszystko wyjaśnić. Cokolwiek to znaczy.

– I nie masz zielonego pojęcia, kim ona jest ani jak wygląda?

– Nie.

Riley otwiera swoją szafkę, chowa podręczniki i przygląda mi się spod zmrużonych powiek.

– Abby, nie wiem, czy to taki dobry pomysł.

– Przecież mnie nie porwie – pryham, ale nie przyznaję się do nagłego ucisku w piersi. – Poza tym przecież sama mi powtarzałaś, żebym znów nawiązała z nią kontakt.

– Nie sądziłam, że będzie chciała się z tobą zobaczyć w prawdziwym życiu!

– To jeszcze lepiej. Wreszcie dowiemy się prawdy.

– Tylko uważaj na siebie. – Riley zniża głos, bo na korytarzu zaczyna robić się tłoczno. – Przecież rodzice ci powiedzieli, że to jakaś stalkerka.

– No. – Wzruszam ramionami. – Ale może kłamali.

– Tak czy inaczej – Riley głośno zatrzaskuje szafkę – będę mieć na ciebie oko. Zgoda?

– Niby jak?

– To proste. Spotykasz się z nią przy parkingu, nie? Widzę go z okna w klasie pana Harrisona. Zostanę tam na lunch.

Mam ochotę uściskać moją odważną najlepszą przyjaciółkę, ale nie chcę zdradzić, jak bardzo się denerwuję.

– Dzięki – mówię tylko.

– Spoko. Możesz na mnie liczyć.

\* \* \*



Kiedy rozbrzmiewa dzwonek na przerwę obiadową, wszystkie dzieciaki gnają do stołówki, żeby jak najszybciej ustawić się w kolejce po zapiekankę makaronową z serem, a ja w tym czasie przepycham się pod prąd ku drzwiom wejściowym. Kiedy wreszcie udaje mi się osiągnąć cel, słyszę zza pleców głos pana Harrisona.

– Dzień dobry, Abigail – mówi. Jest taki wielki, brodaty i kudłaty, że wygląda na groźniejszego niż w rzeczywistości.

Pani Miller idzie obok niego. Macha mi na powitanie. Bardzo ładnie wygląda w dopasowanej spódnicy, czarnych szpilkach i jedwabnej bluzce. Uśmiecha się do mnie niezręcznie.

Rany, mają randkę? Nie mogę się doczekać, aż powiem o tym Riley.

– Mama odbiera cię dziś wcześniej? – pyta pan Harrison, kiedy wychodzimy wszyscy razem na dwór.

– Eee, nie. Umówiłam się z... koleżanką.

Gorąco rozlewa mi się po twarzy, chociaż przecież nie mam żadnych powodów do wstydu. Nie zrobiłam nic złego.

– Muszę lecieć – rzucam na pożegnanie i pędzę w stronę ławek przy parkingu dla rodziców.

– Miłej przerwy! – woła za mną nauczyciel.

Odchodzą razem na parking nauczycielski, a ja patrzę z oddali, jak wsiadają każde do swojego samochodu. Czyli to chyba jednak nie randka. No cóż.

Czuję na plecach spojrzenie Riley, choć nie widzę jej przez zaciemnione szyby w szkolnych oknach. Na parkingu panuje ruch. Samochody przyjeżdżają i odjeżdżają, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. Burczy mi w brzuchu, bo zapomniałam zapakować sobie kanapki, ale nie zamierzam ryzykować, że przegapię to spotkanie przez kolejkę na stołówce, więc postanawiam przeczekać głód. Mija pięć minut, potem dziesięć. Przerwa trwa tylko czterdzieści pięć. Gdzie ona jest?

Dreszcz sływa mi po ramieniu. Odwracam się, ale widzę tylko krzaki róż pod oknem klasy.

Podrywam się na dźwięk nadjeżdżającego samochodu.

Nic z tego, tylko mijał szkołę.

Podryguję nogą. Wstaję i znowu siadam. Zeskakuję z ławki i wskakuję, bawię się fidget spinnerem, aż wreszcie patrzę w okna i wzruszam ramionami. Wiem, że Riley pewnie tam siedzi i jest równie zbita z tropu jak ja.

Kiedy mija trzydzieści pięć minut, już wiem, że ta kłamczucha się nie pojawi. A jeśli będę tu siedzieć dłużej, to spóźnię się na klasówkę z matematyki. Niemal słyszę w głowie głos Riley: „Olała cię? Co to ma być?”.

Wstaję sfrustrowana. Czuję rozczarowanie i lekką ulgę zarazem.

Pytania bez odpowiedzi nadal się piętrzą.

Czyżby zmieniła zdanie? A może ma jeszcze inne plany?

TERAZ

## CLAIRE

Nie jestem wariatką. Przez cały weekend kicałam po domu z pulsującą bólem kostką i powtarzałam sobie te słowa jak mantrę. Chciałabym móc w nie uwierzyć.

Najgorsze, że Rob jest przekonany o moim pogarszającym się stanie. A raczej powinnam powiedzieć: Michael. Nawet teraz, po dziesięciu latach życia w kłamstwie, nie nauczyłam się tak do końca nazywać go w myślach tym imieniem ani reagować na własny alias: Lisa.

Ten czas, kiedy brnęliśmy przez niepewne pierwsze miesiące życia Abby wydaje się czymś, przez co przechodziliśmy w innym życiu. Dopiero po dłuższym okresie w ukryciu zdesperowany Rob postanowił zadzwonić do jednej z najbogatszych byłych pacjentek, żony zarządcy funduszy hedgingowych. To dzięki pomocy Roba urodziła bliźnięta po latach niepłodności, więc natychmiast zgodziła się mu pomóc. Załatwiła mu dziesięć tysięcy w kryptowalucie, żeby miał za co kupić nam nowe numery identyfikacyjne i fałszywe paszporty w dark webie, razem z nową tożsamością. Tak zmieniliśmy się w Michaela i Lisę Burke'ów. Dokumenty były wystarczająco wiarygodne, żebyśmy mogli dzięki nim otworzyć konta w banku i wyrobić prawo jazdy, więc nie musieliśmy dłużej żyć z dala od świata.

Ale bez dawnej tożsamości Rob nie mógł już pracować jako lekarz. „Michael Burke” nie miał dowodów wykształcenia medycznego ani dyplomów żadnej specjalizacji. W tych pierwszych miesiącach Rob zamartwiał się myślą, jak ma zarobić na nasze utrzymanie, bo moja kariera dziennikarska też przepadła. „Lisa

Burke” nie miała żadnych kontaktów w mediach ani portfolio, którym mogłaby się pochwalić potencjalnym wydawcom.

Musieliśmy zacząć od zera. Kiedy Abby była niemowlęciem, postanowiłam całą energię skoncentrować na macierzyństwie – po części dlatego, że nie wyobrażałam sobie, jak miałabym zostawić ją na cały dzień, by zająć się jakąkolwiek pracą, a po części ze względu na fakt, że dołożenie kosztów opieki do naszych wydatków było po prostu niemożliwe. Tak więc cała odpowiedzialność finansowa spadła na Roba.

Na początku znalazł pracę na czarno na budowie. Pomagał przy wylewaniu fundamentów pod nowe domy w całej dolinie rzeki Hudson. Ta praca go wykańczała, ale przynajmniej pod koniec dnia dostawał pieniądze do ręki. Wracał do domu z czarnym błotem pod paznokciami, spocony, pełen tęsknoty za dawnymi czasami – za laboratorium, pacjentami, elegancką kliniką z widokiem na Central Park. Ale nawet jeśli nienawidził każdej chwili tego nowego życia, to rzadko na cokolwiek narzekał.

Z czasem stał się całkiem niezły we własnoręcznym tworzeniu różnych rzeczy. Aż pewnego dnia, kiedy Abby miała piętnaście miesięcy i uczyła się chodzić, dość mocno uderzyła się w główkę przy zderzeniu z ostrą krawędzią szklanego stołu w jadalni. Powiedziałam Robowi, że musimy się go pozbyć, ale nie było nas stać na nowy. Wtedy nadal żyliśmy z miesiąca na miesiąc.

– Sam zrobię inny – oznajmił rzeczowym tonem. Tak zaczęła się jego przygoda z pracą w drewnie.

Urządził sobie warsztat w garażu. W weekendy projektował i robił meble. Wydaje mi się, że to pozwalało mu na twórcze działanie, za którym tak tęsknił, gdy stracił możliwość pracy w laboratorium. Z początku jego wyroby wyglądały amatorsko, ale nie dało się zaprzeczyć, że były bardzo stylowe. Wyszukiwał wyjątkowe kawałki drewna z pięknymi bursztynowymi wzorami i zawijasami – takie jak bubinga, topola, orzech czy wiśnia. Nasz dom zaczął wypełniać się wytworami rąk Roba – pojawił się nowy okrągły stół kuchenny, pudełko na zabawki dla Abby, szkatułka na biżuterię dla mnie.

Kiedy Abby skończyła cztery lata, umiejętności Roba weszły już na nowy poziom. Zachęcałam go, żeby wrzucił kilka przedmiotów na Etsy, stronę dla sprzedawców rękodzieła. Zrobiliśmy to dla żartu – mieliśmy nadzieję, że zarobimy kilka dolarów do domowego budżetu – ale efekt przerósł nasze najśmielsze oczekiwania. Zaledwie sześć miesięcy później jego drewniane wyroby zaczęły przynosić więcej pieniędzy niż praca na budowie. Na stoły kuchenne była cała lista oczekujących, gotowych zapłacić tysiąc dolarów za sztukę. Rob uświadomił sobie, że mógłby robić dwa takie stoły tygodniowo, jeśli rzuci dotychczasową robotę, i właśnie tak zrobił. Odkrył też, że nie brakuje chętnych na stoliki kawowe i nocne, biurka oraz drobne przedmioty w sam raz na upominek, takie jak deski do krojenia, podstawki pod iPada i małe szafeczki nocne.

Mieszkaliśmy w naszym skromnym dwupokojowym mieszkanku jeszcze długo po tym, jak zaczęło nas być stać na coś lepszego, bo chcieliśmy zaoszczędzić i w końcu oddać dziesięć tysięcy, które pożyczyli nam nasi wybawcy. Wreszcie, kiedy Abby skończyła osiem lat, poczuliśmy się dość stabilnie, by kupić nasz obecny dom – akr ziemi z oddzielną przestrzenią handlową na podwórku, którą Rob przerobił na nowy warsztat. Jego sklep internetowy nadal świetnie sobie radzi. A najlepsze jest to, że mój partner pokochał swoją pracę i może zarabiać na niej dobre pieniądze na życie – anonimowo, bez wychodzenia z domu. Michael Burke jest dziś weteranem rękodzieła. Ma silne, zakurzone ręce, kilka drzazg wbitych pod skórę i długą listę zadowolonych klientów, których w najmniejszym stopniu nie interesuje jego skomplikowana przeszłość.

Mimo że oficjalnie jesteśmy Michaelem i Lisą już od dziesięciu lat, dla siebie pozostaliśmy Claire i Robem. Nasze prawdziwe imiona stały się prywatnymi czułością, które wyszeptujemy sobie w sypialni po tym, jak Abby już poszła spać.

Teraz jednak już od kilku nocy nie zwrócił się do mnie po imieniu – odkąd wróciłam do domu zapłakana i ubrudzona błotem. Chyba nie powinnam mieć do

niego pretensji. Pewnie rzeczywiście wyszłam na wariatkę.

Gdy tylko zwierzyłam mu się z halucynacji, ziemia pod nami zadrżała, tak jak się tego obawiałam. W jego oczach zamigotała zimna kliniczna analiza lekarza, który ocenia skalę nawrotu mojej choroby. Kiedyś zawsze mi powtarzał, że nie uważa mojej przeszłości w szpitalu za coś złego, ale nigdy mu tak do końca nie uwierzyłam. Owszem, w ciągu tych pierwszych kilku lat szybko się do siebie zbliżyliśmy i rozwinął się między nami romans pomimo – a może właśnie za sprawą – ekstremalnej izolacji, w jakiej musieliśmy żyć. Abby zbliżyła nas do siebie na głębszym poziomie. Wychowanie jej jako dwoje równych partnerów, jako jedyna matka i ojciec, jakich kiedykolwiek znała, przypieczętowało naszą więź na całe życie. Nigdy nie mieliśmy oficjalnej ceremonii, ale od dawna uważamy się za małżeństwo. Szczęśliwe.

A jednak.

Pod wieloma warstwami wyćwiczonej normalności wciąż kryje się stygmat mojego kryzysu psychicznego. Może mam paranoję – a on przecież wszystkiemu zaprzeczył – ale mam wrażenie, że przez te wszystkie lata był czujny, obserwował mnie uważnie w poszukiwaniu niepokojących objawów. Ciężko pracowałam, żeby stłumić w nim ten instynkt i udowodnić, że jestem stabilną partnerką, godną jego zaufania. Przez dziesięć lat dobrze opiekowałam się Abby, dbałam o życie domowe i o zdrowie tak, jak tylko mogłam. Hodowałam nasze własne organiczne warzywa, gotowałam pożywne posiłki, pływałam, medytowałam, ćwiczyłam jogę.

Aż nagle wystarczyła jedna krótka rozmowa w weekend, żeby zmieść wszystkie moje postępy. W kilka strasznych minut zostałam zdegradowana z pozycji żony z powrotem do roli pacjentki.

Muszę jednak przyznać, że te halucynacje mną również wstrząsnęły. Colton w parku wydawał mi się niemożliwie rzeczywisty, tak jak ta wizja kilka miesięcy wcześniej w muzeum. Tamta pierwsza obudziła we mnie osobistą, absorbującą obsesję, w której wyniku oddaliłam się od niego i zaczęłam mieć skoki nastrojów. Każdego dnia przepełnia mnie nieznośna tęsknota. Przeklinam się za

dokarmianie fantazji, za błagania, żeby „on” wrócił. Mam do siebie pretensje o ten ostatni incydent. W chwilach słabości, takich jak moje urodziny kilka tygodni temu – pięćdziesiąte! – marzyłam, żeby wydarzyło się coś takiego. Chciałam jeszcze jeden ostatni raz popatrzeć w oczy Coltona.

I wreszcie rzeczywiście się zmaterializował. W zeszłym tygodniu siedziałam sama w parku, zajęta medytacją. Spojrzałam w dół i zobaczyłam go w oddali. Skakał sobie obok rzędu wysokich jodeł, a wiatr mierzwił jego blond włosy. To była wymarzona wersja Coltona, zdrowe dziecko, którym miał być, lecz nigdy nie został.

To jednak nie był „on”, tylko moje neurony sprzęgające się na starych ścieżkach, których nie powinny już odwiedzać. Ale to chyba dobry znak, że jestem zaniepokojona. To udowadnia, że nie przechodzę epizodu psychotycznego, tylko chwilowe załamanie nerwowe. Rozumiem nawet, skąd to się wzięło. Trauma, jaką przeżyłam, gdy nagle ujrzałam J w muzeum, musiała rozbudzić we mnie uśpiony zespół stresu pourazowego. Po tamtym pierwszym złudzeniu byłam osłabiona, krucha, podatna na kolejny epizod. Drugim bodźcem stała się niedawna wizyta pod naszym domem. Nadal nie wiemy, kto kręcił się na podjeździe w środku nocy. Mój przerażony umysł, karmiony nieracjonalną tęsknotą, wytworzył kolejną halucynację.

Proszę bardzo, to całkiem racjonalne wyjaśnienie. A skoro wciąż myślę racjonalnie, to nie zwariowałam. Bez względu na to, co napisała Abby na tej kartce.

Powtarzam swoją mantrę w pustej kuchni, wyciągając surowego kurczaka z lodówki. Zaczynam przygotowywać tajską zupę na mleku kokosowym – to ulubiona potrawa Abby i Roba. Podtekst ma być taki, że nic mi nie jest. Ale pomimo wysiłków, żeby skoncentrować się na przepisie i zostawić cały ten nonsens za sobą, myślami wciąż wracam do tej magicznej chwili w parku, kiedy na chwilę ujrzałam synka.

\* \* \*

Wspięłam się po stromych schodach na najlepsze miejsce na szczycie wzgórza i usiadłam na betonowej ławce z widokiem na plac zabaw. Rzeka Hudson migotała w oddali, kołysanie drzew uspokajało mnie przed wyprawą do szkoły po Abby. Staralam się medytować, by zakorzenić się w chwili tu i teraz, choć bez przerwy dręczyły mnie lęki: J z pistoletem, J włamująca się do naszego domu, J porywająca Abby. Kiedy osiem lat temu wyszła z więzienia, nagle zaczęły mnie dopadać potworne ataki paniki: dusiłam się, z trudem łykałam powietrze. W desperacji zaczęłam więc ćwiczyć jogę i medytację (i zawsze nosić przy sobie xanax, tak na wszelki wypadek).

Tamtego dnia w parku odpędziłam znajomy zestaw przerażających wizji, korzystając z jedyńych dostępnych narzędzi: natury, piękna, oddechu.

Po jakimś czasie otworzyłam oczy i zobaczyłam, że z gęstniejących czarnych chmur zaczyna mżyć. Powietrze zatrzeszczało, rozległ się grzmot. Wiedziałam, że muszę się stąd zbierać, zanim niebo uwolni deszcz. Abby będzie na mnie czekała. Nie wzięła parasolki do szkoły.

Kiedy wstałam, dostrzegłam jakiś ruch, coś ciemnego przeleciało w pobliżu wielkich drzew u stóp wzgórza. Odwróciłam się, żeby lepiej się temu przyjrzeć...

I aż krzyknęłam z zaskoczenia.

To był mój syn.

Jego włosy były złote jak letnie słońce. Cofnął się w czasie, miał sześć albo siedem lat, wystające kolana i cieniutkie rączki, którymi kiedyś tak się martwiłam. Był strasznym niejadkiem, więc ciągle niepokoiliam się o jego wagę. Koszulka i szorty tak jak dawniej zwisały z chudziutkiego ciała. Ale w przeciwieństwie do prawdziwego Coltona, uwięzionego na wózku, dziecko z mojej fantazji biegało po trawie. Wiedziałam, że to niemożliwe, ale byłam zbyt oczarowana, żeby się czymkolwiek przejmować.

Zawołałam go głośno, żeby przekrzyczeć grzmot wzbierający między chmurami.



– Colton!

To był błąd, ale nie mogłam się powstrzymać.

Nie podniósł głowy. Był zajęty odzieraniami z kory jakiegoś patyka.

– Colton! – wrzasnęłam jeszcze raz, otaczając usta dłońmi.

Ale „on” dalej mnie nie słyszał. Był za daleko.

Przetarłam oczy, uderzona spóźnioną falą zgrozy. Dudniło mi w głowie. Poczułam się słabo, jakbym miała gorączkę. Trzeba było biec prosto do samochodu. Moja prawdziwa, żywa córka na mnie czekała.

A mimo to zignorowałam głos rozsądku i ku własnemu zawstydzeniu podążyłam za fantazją. Prześlizgnęłam się pod barierką i zeszłam na trawiaste zbocze, prowadzące na plac zabaw. Stamtąd mogłabym go już dogonić na otwartym polu.

– Hej! Tutaj! – krzyknęłam.

Na tym stromym wzgórzu przykucnęłam, by się nie przewrócić. Trawa była już mokra i ubłocona, a mżawka przechodziła w ulewę, ale mnie to nie obchodziło. „On” wreszcie mnie zauważył, jakby mój pokręcony umysł nagrodził mnie za to, że uległam.

Kiedy spojrzeliśmy sobie w oczy, chłopiec posłał mi niesamowity uśmiech: „Znam ciebie, a ty mnie”. Następnie popędził w przeciwną stronę, na parking. Czy to jakaś zabawa?

On nie jest prawdziwy, mówiłam sobie – przynajmniej miałam dość rozsądku, żeby zwrócić na to uwagę – ale i tak popędziłam w dół wzgórza.

– Stój! – wołałam. – Dokąd idziesz?

Jego drobna postać się oddalała, przemykała między ogromnymi jodłami, prawie zniknęła. Strugi deszczu zasłoniły go jeszcze bardziej. Poczułam, że jeśli znowu mi zniknie, to chyba zapadnę się w mokrą trawę i rozpuszczę. Nie zostanie ze mnie nic poza błotnistą kałużą żałoby.

– Czeka! – wrzasnęłam jeszcze raz. – Proszę!

Potknęłam się. Na stromym gruncie nie było czego się złapać. Straciłam równowagę i potoczyłam się w dół jak szmaciana lalka, moje kolana tłukły

o siebie, kręciło mi się w głowie, ręce uderzały o ziemię. Nie mogłam się zatrzymać, tylko coraz bardziej przyspieszałam, aż w końcu gdzieś w moim mózgu pojawiła się zupełnie świadoma myśl: „To się nie skończy dobrze”. U stóp wzgórza nie czekało łagodne zejście, które zamortyzowałoby mój upadek, tylko ogrodzenie z metalowym łańcuchem, otaczające plac zabaw. Uderzyłam w nie stopami i usłyszałam okropne chrupnięcie w lewej kostce, któremu zawtórował fajerwerk bólu. Wszystko rozmyło się w deszczu. Przetarłam mocno oczy, żeby nie stracić przytomności.

W ostatniej chwili pomyślałam jeszcze o synku, ale on już zniknął.

\* \* \*

Nie jestem wariatką, powtarzam sobie jeszcze raz. Prawie się duszę z przerażenia, choć przecież jestem już bezpieczna, w ciepłej kuchni. To był tylko przejaw tęsknoty. Oddałam mu na chwilę władzę nad sobą. W przyszłości muszę być silniejsza. Nie mogę zawieść rodziny, nawet jeśli to oznacza, że na zawsze stracę Coltona. Przecież już go straciłam. Chyba o to tu chodzi, prawda?

Serce tłucze mi się o żebra. Czuję, że zbliżam się do skrajności: widzę już jaskrawą granicę między rzeczywistością a mrokiem, z którą żaden człowiek nie powinien się mierzyć. Lęk przed upadkiem w tę otchłań sprawia, że mocno chwytam się kuchennego blatu. Mam kontrolę nad sytuacją.

„Mamo”, odzywa się cichy głosik w mojej głowie.

*Nie!*

– Odejdź! – krzyczę.

„Mamo”, odzywa się znowu. Uświadamiam sobie, że to nie w mojej głowie. Głos dochodzi z innego miejsca, jest gdzieś niedaleko. Gwałtownym ruchem otwieram lodówkę, ale w środku nikogo nie ma.

W domu znów zapada cisza, ale adrenalina niemal huczy mi w uszach. Mam ręce brudne od surowego kurczaka, którego właśnie rozsmarowałam na lodówce. Nie pamiętam, co robiłam przed chwilą, ale widzę, że ściskam w dłoni nóż.

Odkładam go i odsuwam się od blatu.

„Maaamo – woła głos. – Chodź, pobaw się ze mną!”.

Kurwa. To głos Coltona, nie mogę temu zaprzeczyć, nawet gdybym chciała. Jak mogłabym sobie wyobrazić coś tak wyraźnego?

„Chodź na dwór!” – wzywa. Rzeczywiście, głos chyba dobiega od drzwi wejściowych. Ale czy na pewno? Już prawie nie ufam własnym zmysłom. Balansuję na tej granicy, chwieję się, nieważne, jak bardzo staram się trzymać rzeczywistości. Pędzę do drzwi, choć równie dobrze mogłabym po prostu rzucić się w tę przepaść. Moja głowa jest ciężka, jakby zaraz miała stoczyć mi się z ramion.

Wybiegam na bosaka na dwór. Widzę go – to on! – jak biegnie niedaleko zakrętu ulicy, daleko ode mnie. Znów domaga się, żebym zaczęła go gonić. Chce dokończyć tę zabawę z parku. Jestem zahipnotyzowana jego widokiem; kiedy żył, mogłam tylko marzyć, by kiedyś nauczył się biegać. Słyszę klaskanie jego tenisówek na chodniku. Znów znika mi oczu.

Tym razem nie mogę pozwolić, żeby mi uciekł. Pędzę po żwirze na podjeździe, wypadam na gorący chodnik. Skręcona kostka buntuje się przy każdym kroku.

– Colton! Czekaaj!

Bez względu na to, jak szybko biegnę, nie mogę go dogonić; przepadł. Dociera do mnie, że jego nie ograniczają prawa fizycznego świata. Nie jest prawdziwy, więc może zniknąć w każdej chwili.

Ból rozsadza mi płuca, kostka pulsuje. Musi być jakaś przyczyna, dla której znów zaczął mnie odwiedzać. Może chce mi przekazać jakąś wiadomość zza grobu. Ale skoro tak, to dlaczego wciąż mi się wymyka?

– Dokąd poszedłeś?! – krzyczę na pustej ulicy. – Halo?!

Wyteżam słuch w nadziei, że usłyszę jego nawoływanie. Nic.

Zdyszana schylam się na środku jezdni. Podeszwy stóp już mnie palą, ledwo jestem w stanie wciągnąć powietrze. Dociera do mnie, że nigdy go nie dogonię;

na tym to polega. Szloch wstrząsa moim ciałem. Nie jestem pewna, czy się śmieję, czy płaczę i czy to on jest prawdziwy, czy może ja.

Nagle na ulicy pojawia się samochód. Srebrna honda z lekko wgniecionym zderzakiem, zupełnie tak jak w mojej. Nie próbuję zejść z drogi. Dalej, uderz mnie. Skończ moje cierpienia. Prawie mam nadzieję, że naprawdę to zrobi. Kierowca chyba mnie zobaczył, bo zwalnia i zatrzymuje się niedaleko. To rzeczywiście moje auto. Rozpoznam numer rejestracyjny. Boże.

Kryję twarz w dłoniach. Od kwaśnego tłuszczu mięsa z kurczaka przewraca mi się w żołądku. Kiedy Rob i Abby wysiadają z samochodu, jestem w rozsypce. Rozszlochana, spocona, brudna. Przerazenie w ich oczach przypieczętowało całą sprawę: oficjalnie straciłam rozum.

– Mamo? – odzywa się Abby z niedowierzaniem. Otacza mnie szerokim łukiem, jakby mój obłęd był zaraźliwy.

Rob podbiega do mnie.

– Co się stało? Dobrze się czujesz?

– Znowu go widziałam. – Łzy płyną mi z oczu strumieniami. – Wołał mnie.

Mój mąż spuszcza oczy.

– Och, skarbie.

– Przepraszam.

– To nie twoja wina. Ale poprawi ci się, jeśli poddasz się odpowiedniemu programowi leczenia. To tylko kilka tygodni, będziemy mogli cię odwiedzać...

– Nie! – odsuwam się od niego. Instynkt każe mi uciekać, ale nie ma dokąd. Nie mam gdzie się schować. – Nie do szpitala!

Jego oczy są pełne współczucia, ale stanowczy ton chwyta mnie niczym sieć.

– Jutro z samego rana. Zapisuję cię na oddział neuropsychiatryczny w Szpitalu Prezbiteriańskim.

## ABBY

Siedzę w swoim pokoju, zagrzebana pod kołdrą, i próbuję jakoś przetrwać to, co właśnie zobaczyłam: moja matka rzeczywiście zwariowała. Już nie jest na granicy załamania. To naprawdę się dzieje.

Mam ochotę się rozplakać, ale łzy nie płyną.

Czy to ten wielki sekret, który przede mną ukrywała? Jakoś trudno mi w to uwierzyć. A może po prostu nie chcę.

A co z nieznajomą, która mnie olała? Nic już nie rozumiem.

Mam ochotę porozmawiać z tatą, ale jest zbyt zajęty mamą. A ona ma zakrwawione stopy i boi się iść do psychiatryka. W kuchni śmierdzi surowym kurczakiem. Chyba najlepiej będzie nie rzucać im się w oczy.

Podczas gdy rodzice kłócą się w salonie o coś, co brzmi jak „anozozozja”, przemykam się do kuchni i po cichu sprzątam bałagan, którego narobiła wcześniej: szoruję deskę, wycieram blat i lodówkę, odkładam naczynia. Następnie wkładam mrożone lazanie do wciąż nagrzanego piekarnika i wracam na palcach do swojego pokoju, żeby odczekać godzinę do dzwonka, sygnalizującego, że nasz smutny obiad jest już gotowy. Może to nasz ostatni wspólny posiłek na długo. Ta myśl wreszcie rozbija kulę, która utkwiała mi w gardle.

Siedzę sama w pokoju, pociągając nosem, kiedy nagle na telefonie pojawia się nowa wiadomość. To Riley.

„Możesz do mnie przyjść????”

„To nie najlepszy moment”, odpisuję. Nie mam siły wdawać się w szczegóły.

„Dostałaś maila z wynikiem badań próbki twojej mamy”, odpowiada Riley.

No tak, przyszedł do Riley, bo ja mam ograniczony dostęp do internetu.

„O rany!!! Otworzyłaś?”

„Nie, czekam na ciebie!”

„Już jadę”.

\* \* \*

Pokonuję drogę do domu Riley w rekordowym czasie – siedem minut na rowerze. Mama i tata ledwo zauważyli, że wyszłam. Często odrabiam pracę domową u przyjaciółki, więc to nic dziwnego. Wreszcie zamykamy się w jej pokoju, w kilka minut logujemy się do raportu i odnajdujemy nieznaną (JH0502) na platformie społecznościowej strony, a następnie prosimy, żeby udostępniła swoje mapy DNA mojej matce (LB2345).

Kiedy JH przyjmie (miejmy nadzieję) moje zaproszenie, wreszcie przekonamy się, czy rzeczywiście są spokrewnione, i która z nich mnie oszukała. Wysyłamy zaproszenie z konta mamy. Teraz pozostaje nam tylko czekać.

Riley siedzi obok mnie na łóżku. Przyciąga sobie kolana do piersi.

– Nie wytrzymam tego napięcia!

Ekran oświetla jej twarz błękitnym blaskiem. Na zewnątrz zachodzi słońce, niebo zmienia kolor na fioletowy, jak świeży siniak. Wciąż nie powiedziałam przyjaciółce o mamie.

– Zaloguję się na chwilę na swoje konto – oznajmiam.

Udostępniam swoje wyniki mamie, żebyśmy mogła porównać nasze mapy genetyczne. Nie mówię o niczym Riley, ale mam nadzieję, że nie odziedziczyłam problemów psychicznych mamy i znajdę tu tego potwierdzenie. Pociesza mnie fakt, że i tak sporo nas różni. Ona ma brązowe włosy, a ja rude; ona jest niska, ja wysoka. Ale może na jakimś głębszym poziomie genetycznym moim przeznaczeniem i tak jest stać się kimś takim jak ona? Zastanawiam się, czy raport cech genetycznych obejmuje nie tylko takie cechy jak woskowina w uszach i niebieskie oczy, ale też „ryzyko występowania zaburzeń psychicznych”.

– Ej – mamrocze Riley, wrywając mnie z zamyślenia. – Nie powinno się czasem być spokrewnionym z każdym z rodziców dokładnie w pięćdziesięciu

procentach?

Posyłam jej wymowne spojrzenie. Błagam, wszyscy to wiedzą.

Przyjaciółka jednak wskazuje palcem na ekran i ściąga brwi. Moja mapa DNA w zestawieniu z mapą mamy pokazuje, że łączy nas czterdzieści dziewięć i dziewięć dziesiątych procent genów.

Prycham.

– Przecież to błąd.

Riley marszczy nos.

– Ale przecież MapMyDNA to najlepsza firma na rynku.

– Też tak myślałam, ale kto wie?

Teraz jestem już zła, że w ogóle wpakowałyśmy się w ten głupi eksperyment. Ostatnie, czego potrzebowałam, to pomyłki w badaniach.

– To mniej niż jeden procent, więc chyba nie walnęli się aż tak bardzo – odzywa się Riley, próbując mnie pocieszyć.

– Dobra, nieważne. Mam teraz większe problemy.

– Jak to?

Już otwieram usta, żeby opowiedzieć jej o mamie, kiedy nagle w jej skrzynce mailowej pojawia się nowa wiadomość: JH0502 zgodziła się na udostępnienie swoich map DNA użytkownikowi LB2345.

Obie aż piszczymy z podniecenia.

W dziesięć sekund wylogowuję się ze swojego konta i wracam na profil mamy

*Masz nowego znajomego!*

– Otwórz! – poganiam mnie Riley.

Nie mogę się doczekać, aż wreszcie rozwiążemy tę całą tajemnicę. Naciskam na informację, a ekran odświeża się i wyświetla wesołe jaskrawopomarańczowe ogłoszenie:

*Z JH0502 łączy Cię 0% DNA.*

Zaraz, co? Czyżby mama przez cały ten czas mówiła prawdę?

Opadam na łóżko.

– Byłam pewna, że są kuzynkami!

Riley wygląda na rozczarowaną.

– Ale mówiłaś, że mama dziwnie się zachowywała, kiedy ją o to pytałaś?

– Okropnie dziwnie. Byłam pewna, że coś ukrywa.

– Zaraz, jak możesz być spokrewniona z jedną i drugą, skoro one nie są żadną rodziną?

Przez chwilę zastanawiam się nad tą dziwną nową zagadką.

– To znaczy, że JH musi być naszą krewną od strony taty.

– To dlaczego twierdzi, że coś ją łączy z twoją mamą?

– Nie mam pojęcia. – Kręci mi się w głowie jak na kolejce górskiej, myśli krążą w kółko, ale donikąd nie prowadzą. Muszę zejść na ziemię.

– Zobacz. – Riley wskazuje na link pod profilem mamy. – Możemy pobrać jej dane. Wszystkie sekwencje DNA.

Plik jest tak ogromny, że jego zapisanie trwa całą minutę. Po otwarciu naszym oczom ukazują się ciągi niezrozumiałych liter i cyfr.

– Super – wzdycham. – I co teraz?

– Potrzebny ci ktoś, kto to odczyta. I porówna z twoimi danymi.

– No, mogłabym napisać do tego laboratorium...

– Nie, głupolu! – Riley uderza mnie w ramię. – Zabierz to jutro do pana Harrisona!

Myślę o naszym łagodnym, barczystym nauczycielu przyrody, z gęstą brodą i grubymi okularami na nosie. Jeśli ktokolwiek może mi pomóc jakoś to zrozumieć, to właśnie on.

Jest moją jedyną nadzieją.



## CLAIRE

Dotąd zawsze czułam się bezpiecznie, kiedy leżałam w łóżku obok Roba. Dziś jednak jego objęcia nie niosą żadnego pocieszenia. Ucisk ramion męża przypomina mi o ciasnych pętach ograniczeń szpitala psychiatrycznego.

– Spokojnie – szepcze mi do ucha. – Jestem po twojej stronie.

Wtulam się w jego pierś i pozwalam sobie na rozluźnienie. Nie chcę jednak, by uznał, że się uginam.

– Posłuchaj – mówię spokojnym tonem. – Dzisiaj był straszny dzień, ale już czuję się lepiej. Naprawdę nie uważam, żebym musiała dokądś jechać.

– To właśnie jest najtrudniejsze w nawrotach. – Rob wzdycha.

– Co takiego?

– Odzyskiwanie świadomości. To pułapka. I nie oznacza, że nie potrzebujesz pomocy.

Przebiega mnie lodowaty dreszcz. Nie ma nic straszniejszego niż przekonanie, że nie mogę ufać własnym osądom. Moje najcenniejsze fantazje sprzedały mnie szaleństwu.

Zanurzam twarz w szyi Roba, wdycham piżmowy zapach jego skóry. Pachnie domem.

– Dlaczego to się dzieje? Przecież tak długo wszystko było w porządku.

Mąż gładzi mnie po włosach.

– Z powodu jakiejś skłonności genetycznej zestawionej z czynnikiem środowiskowym.

Gwałtownie siadam ma łóżku.

– Do jasnej cholery, przecież wiem, co to za czynnik.

Żadne z nas nie musi wymawiać jej imienia. Gdyby tylko J nie pojawiła się nagle, z tym swoim demonicznym uśmiechem i odrażającą obsesją, nic by się nie wydarzyło.

– Fiksacja w niczym ci nie pomoże – mówi łagodnie Rob. – Postaraj się o niej zapomnieć.

– Ale ona przyszła do naszego domu!

– Nie wiemy tego na pewno. Zresztą co jeszcze moglibyśmy zrobić? Już założyliśmy nowy alarm.

– A jeśli ja pójdę do szpitala i coś wam się wtedy stanie?

– Nic się nie stanie – zapewnia stanowczo mój mąż.

– A jeśli ktoś w szpitalu mnie rozpozna?

– Musimy podjąć to ryzyko. Ale minęło już ponad dziesięć lat...

Krzywię się na samo wyobrażenie, że jakiś gnój mógłby przekazać moje miejsce pobytu prasie, reporterzy wysłedziliby Abby w szkole, wepchnęliby jej mikrofony pod nos, wrzucili jej zdjęcia do internetu: *Dziecko Frankensteina odnalezione!* Rozgłos medialny to szczególnie wstrętny rodzaj tortury. Boże, nawet jeśli nikt mnie nie rozpozna, to i tak możemy wpaść w kłopoty. Jeśli J wie, gdzie jesteśmy, i chce się na nas zemścić, to już i tak wszystko przepadło.

Rob gładzi mnie po plecach.

– Nie martw się niczym i skup tylko na powrocie do zdrowia. Ja zajmę się resztą.

– Ale nie uważasz, że teraz jestem sobą? Naprawdę?

– Skarbie, gdybyś zobaczyła dzisiaj to, co ja, nie próbowałabyś ze mną negocjować. Na lekach będziesz o wiele bardziej zrównowazona.

Nie wiem, co gorsze: otumaniony, zamglony umysł zapchany watą, czy bezbronne życie w ciągłym zagrożeniu halucynacjami, które mogą dopaść mnie w każdej chwili.

– Im dłużej to odwlekasz... – zaczyna Rob.

– Dobrze, dobrze. Rozumiem.

– Więc pojedziesz jutro do szpitala?

– Na to wygląda. Jak myślisz, ile to potrwa?

– Najwyżej trzy tygodnie.

Gula podchodzi mi do gardła. Wyobrażam sobie, jak Abby chodzi spać bez naszego ulubionego rytuału – co wieczór czytam jej na dobranoc rozdział książki.

– Nigdy nie byłam daleko od niej na dłużej niż jedną noc.

– Wiem. Ale teraz ważniejsze jest, żebyś wróciła do zdrowia.

Wracam myślami do tego piekła, które dawno wyparłam z pamięci: do sterylnych łóżek, jęczenia pacjentów, oschłych pielęgniarek, szorstkich piżam, kiepskich pryszniców i kłujących włosów pod pachami, bo przecież na oddział nie wolno wnosić żyletek...

– Nie pozwolę, żeby mnie tam zobaczyła. To zbyt straszne.

– Nie chcesz, żeby cię odwiedziła?

– Nie. Może mnie to zabije, ale wolę być martwa, niż zostawić jej takie wspomnienia.

– W porządku. – Rob kręci głową, jak gdyby kontemplował jakiś zaskakujący fakt.

– Co?

– Nawet w takiej sytuacji robisz wszystko, żeby ją chronić.

Uśmiecham się smutno.

– Przecież na tym polega macierzyństwo.

\* \* \*

Następnego dnia budzę się o świcie, żeby spakować walizkę i pożegnać się z rodziną. Wciąż nie mogę uwierzyć, że życie doprowadziło mnie do czegoś takiego, ale przypominam sobie, jak skręcałam kostkę na ubłoconym wzgórzu i wybiegłam bosa na ulicę. Wiem, że podejmuję właściwą decyzję. Tak nie można żyć. Już raz udało mi się z tego wyjść; będę walczyć, żeby znów zostawić to za sobą.

Kiedy otwieram drzwi do pokoju Abby, ona podrywa się na łóżku, jakby szykowała się na nieprzyjemne starcie. Na pierwszy rzut oka widzę, że boi się ze

mną przebywać.

Przystaję w progu, żeby dać jej przestrzeń.

– Tak mi przykro, kochanie.

– Dlaczego?

– Bo jestem chora. Muszę jechać, żeby wyzdrowieć. To może trochę potrwać.

– Jak długo?

– Kilka tygodni.

– Aha. – Abby powoli kiwa głową. Wygląda na stanowczo zbyt obciążoną sprawami dorosłych jak na jedenastolatkę. Chciałabym ją przytulić z całej siły. Wracam myślami do wspomnienia, kiedy jako trzylatka włąziła mi wesoło na kolana. Boże, tak bardzo tęsknię za tą prostą radością, jaką czułam, kiedy jej drobna rączka ścisnęła mnie za nogę.

Ostrożnie podchodzę do łóżka. Abby się wzdryga, ale nie odsuwa. Zwycięstwo.

– Będę za tobą strasznie tęsknić. Ale kiedy wrócę, będzie już ze mną lepiej.

– Skąd wiesz? – Córka przygląda mi się ze sceptycyzmem, którego nigdy dotąd nie widziałam w jej oczach. To zwątpienie stanowi zapowiedź dorastania.

– Bo będę się starać z całej siły, żeby wyzdrowieć. A kiedy postanawiam, że coś zrobię, to dopinam swego.

Właśnie dlatego w ogóle istniejesz, myślę.

– Okej – mówi Abby bez przekonania. Uświadamiam sobie, że za jej życia nie byłam wzorem wielkich życiowych osiągnięć. Zagrzebałam się w rolach żony i matki; po nieustraszonej dziennikarce nie pozostał nawet ślad.

Przysięgam sobie w duchu, że gdy już wrócę do zdrowia, znów zrobię coś wspaniałego, żeby mogła być ze mnie dumna.

Nie mówię jej tego. Nie wytrzymałabym kolejnego sceptycznego spojrzenia.

– Przecież teraz zachowujesz się normalnie. Na pewno musisz tam jechać?

Przywołuję całą swoją samodyscyplinę. Potrzebuję tego, żeby podzielić się głośno swoim wstydem, choć przecież wiem, że to nie jest moja osobista porażka. Po prostu takie karty dostałam od losu.

– Jest mi ciężko – wyznaję. – Ta... wizja, która mnie czasami nawiedza, to zły znak. Przez to wiem, że jestem chora, nawet jeśli nie zawsze czuję się źle.

– Och, mamusiu. – Abby zaskakuje mnie nagłym przypływem czułości. Rzuca mi się na szyję i obejmuje mocno. – Mam nadzieję, że szybko poczujesz się lepiej.

Przytulam ją do siebie, rozkoszując się ciężarem jej głowy na swoim ramieniu. Kołyszę się z nią łagodnie, wyobrażając sobie, jak cała moja siła i miłość spływa na nią i przygotowuje na te trudne dni i tygodnie, które ją czekają.

Poczucie winy zatrzymuję dla siebie. Porzucenie dziecka przez matkę jest czymś sprzecznym z naturą, nawet jeśli to dla jej dobra – tak jak wszystko, co robię.

## ABBY

Kiedy rano idę przez szkolny parking do szkoły, mijają mnie roześmiane dzieci w towarzystwie przyjaciół. Ja jednak mam serce cięższe niż wszystkie podręczniki w plecaku. Nikt nie wie, że właśnie pożegnałam się z mamą – nie mam pojęcia na jak długo.

Srebrny samochód rodziców cofa się i odjeżdża. Nie chcę beczeć jak małe dziecko, więc schylam głowę i idę na pierwszą lekcję razem ze wszystkimi, ale czuję się dziwnie samotna w tłumie uczniów. Tata wiezie mamę do szpitala w Nowym Jorku. Wróci dopiero wieczorem, więc dziś po raz pierwszy wrócę ze szkoły do pustego domu.

Dzień mija powoli – najpierw plastyka z panią Miller, potem angielski z panem Averym. Lekcje ciągną się w nieskończoność, aż do przyrody z panem Harrisonem. Jedyne, co odciąga moją uwagę od myśli, że mama pojechała do szpitala psychiatrycznego, to chęć rozwiązania zagadki w moim raporcie genetycznym.

Gdy pan Harrison kończy wykład o grawitacji i jabłku Newtona, wszyscy pędzą na lunch. Odczekuję, aż ostatnia osoba wyjdzie z klasy, i siadam na czerwonym plastikowym krzeselku naprzeciwko jego biurka.

– No, hej – mówi pogodnie nauczyciel. – Co słyhać?

– Mógłby mi pan w czymś pomóc?

– Pewnie, jeśli nie przeszkadza ci, że zjem lunch. – Pan Harrison wkłada rękę do brązowej papierowej torby i wyciąga kanapkę zawiniętą w srebrną folię.

Burczy mi w brzuchu, kiedy widzę, jak ją rozpakowuje, ale ta sprawa jest ważniejsza od jedzenia.

– Chodzi o to. – Podaję mu wydruk swojego raportu genetycznego, który przyniosłam w plecaku. Widać na nim, jak moje DNA jest powiązane z mamą i z JH0502, mimo że one nie są ze sobą w żaden sposób spokrewnione. Na raporcie

znajdują się wykresy kołowe i kolorowy rząd par chromosomów od pierwszego do dwudziestego trzeciego.

– O, to z naszego projektu?

– Tak jakby. Po tym teście śliny stało się coś dziwnego. – Wyjaśniam, że jakaś nieznajoma osoba ze strony zaprosiła mnie do znajomych, bo mamy wspólne geny. Opowiadam o wiadomościach, całej tej historii z zaginioną kuzynką i nieudanych spotkaniach. Potem jednak muszę trochę nagiąć fakty.

– Mama też zdecydowała się zrobić test, żeby zbadać swoje pochodzenie – mówię pospiesznie. – Ale z raportu wynika, że ona i ta nieznajoma osoba nie są kuzynkami, mimo że ja jestem spokrewniona z nimi obiema. Więc nie rozumiem, o co chodzi.

Pan Harrison wygląda na zaniepokojonego.

– Mówisz, że ta nieznajoma osoba chciała się z tobą spotkać?

– No.

– Ale nie doszło do tego?

Wracam myślami do naszego umówionego spotkania podczas długiej przerwy. Wystawiła mnie w ostatniej chwili.

– Nie.

– Hmmm. – Nauczyciel zerka na wydruki. – Wygląda na to, że cię oszukała. Nie jest kuzynką twojej matki. Na twoim miejscu byłbym ostrożniejszy, Abigail.

– Jak to?

– To zawsze bardzo podejrzane, kiedy dorosła osoba próbuje umówić się z dzieckiem przez internet. Nie przychodzi mi do głowy ani jeden dobry powód. Mówiłaś o tym rodzicom?

– Tak. Twierdzą, że jej nie znają. Ale to i tak znaczy, że jestem z nią spokrewniona, prawda? Przecież DNA nie kłamie.

– Wszyscy mamy setki dalekich krewnych, więc jakieś niewielkie powiązanie jeszcze nie jest niczym wyjątkowym.

– To dlaczego kłamała, że jest kuzynką mamy? I pytała, czy miałam brata? Zupełnie jakby wiedziała.

Nauczyciel krzywi się z niesmakiem.

– Po pierwsze, zauważ, że połowa społeczeństwa ma braci. I niestety po świecie chodzi wielu złych ludzi, którzy wymyślą cokolwiek, żeby cię oszukać.

Dokładnie to samo powiedzieli mi rodzice. Może jednak należało im uwierzyć.

– Bardzo możliwe, że ta kobieta skontaktowała się z wieloma innymi małoletnimi na tej stronie – ciągnie pan Harrison, przyglądając się wydrukowi. – Znalazła dziesiątki osób, z którymi łączy ją jakiś przypadkowy segment DNA i wszystkim wciskała tę samą historyjkę, zadawała te same pytania, i akurat tak się zdarzyło, że ty...

Nagle przerywa i otwiera szeroko oczy.

– A niech to szlag.

– Co?

– W raporcie twojej mamy jest błąd – wyjaśnia, wskazując palcem na kartkę.  
– Niemożliwe, żebyście miały czterdzieści dziewięć i dziewięć procent wspólnego DNA. To niemożliwe.

– A, tak. – Macham ręką. – Ktoś musiał się pomylić.

– Jezu – mamrocze pan Harrison. – Myślałem, że to porządna firma. Mają akredytację rządową, sprawdziłem przed rozpoczęciem projektu.

– No trudno. – Wyjmuję z plecaka drugi, cięższy plik papierów. – A tutaj są wszystkie informacje o tym, w których miejscach mój raport nakłada się z tą nieznaną. Może pan wytropi, jakie geny mamy wspólne?

Teraz, kiedy już wiem na pewno, że to jakaś walnięta stalkerka, bardzo bym chciała usłyszeć od pana Harrisona, że nie łączy mnie z nią żaden ważny ciąg DNA. Absolutnie nie mam ochoty teraz martwić się tym, czy odziedziczyłam zarówno geny choroby psychicznej, jak i predyspozycje do bycia złym człowiekiem.

Długie ciągi cyfr i liter, takie jak „gs1027” czy „rs12885300 (C; C)”, zużyły cały tusz w drukarce Riley. Dla mnie to bełkot, ale pan Harrison mruży oczy i wpisuje coś do komputera.



– Sprawdzę to na SNPedii – mówi, jakby to wszystko wyjaśniało. – To taka wielka encyklopedia genomiki.

– A, okej.

– Zaraz. Masz z nią wspólne DNA mitochondrialne...?

Nauczyciel milknie. Przez kilka sekund tylko wpatruje się w nasze raporty. Następnie przygląda mi się dziwnie – jakby widział mnie po raz pierwszy. Przyciska dwa palce między brwi, tak jak ja to robię, kiedy boli mnie głowa.

– Wszystko w porządku?

Pan Harrison odkasłuje.

– Tak, przepraszam.

– Co się stało?

– Abigail – odzywa się nauczyciel po kolejnej niezręcznej pauzie. – Czy rozmawiałaś o tym z rodzicami?

– Nie. A powinnam?

– Uważam, że tak.

– A dlaczego?

– Przepraszam, ale nie powinienem się w to wtrącać.

– Eee, okej. – Zrywam się z krzesła, aż krew uderza mi do głowy.

– Zaraz. Proszę, obiecaj mi, że nie będziesz się spotykać z nikim, kogo nie znasz, dobrze? – mówi pan Harrison, wyciągając w moją stronę mały palec. Zahaczam o niego swoim.

– Obiecuję.

\* \* \*

Po szkole zostaję na parkingu i czekam na szkolny autobus. To okropnie długo trwa, bo w naszym kierunku kursuje tylko jeden, a poza tym najpierw zatrzymuje się w liceum. Dwudziestopięciominutowa droga powrotna zajmie mi dobrą godzinę. Riley jest na treningu piłki nożnej, tata nadal w mieście, i nikt z moich

znajomych nie wraca autobusem. Okropnie się czuję, widząc, jak po wszystkich innych przyjeżdżają rodzice.

Mam nadzieję, że z mamą wszystko w porządku. I ze mną. Naprawdę nie wiem już, co o tym wszystkim myśleć. Dlaczego nikt nie chce mi powiedzieć, co się dzieje? Kiedy tylko tata wróci do domu, od razu go zapytam. Zwalę to na pana Harrisona, bo teraz już wiem na pewno, że rodzice coś przede mną ukrywają. Coś niedobrego. Nauczyciel pewnie odkrył w moim DNA jakąś straszną mutację. A rodzice trzymają to w tajemnicy, bo nie chcą, żebym się przestraszyła.

Wczoraj bolała mnie głowa, a do tego jestem ostatnio zmęczona i nie mam apetytu. A co, jeśli jestem chora i wszyscy poza mną o tym wiedzą? A jeśli... Boże, a jeśli ja umieram?

Składam się wpół na ławce, chwytając się za brzuch.

– Abigail? Dobrze się czujesz?

Pani Miller idzie pospiesznie w moją stronę. Poły czarnej marynarki trzepoczą na wietrze, długa spódnica omiata jej kostki.

– Źle wyglądasz – stwierdza. – Potrzebujesz pomocy?

Chciałabym udać, że nic mi nie jest, ale nie mogę.

– Ja... Nie czuję się zbyt dobrze – przyznaję.

– Gdzie są twoi rodzice?

– Wyjechali. Czekam na autobus.

– Podwieźć cię do domu? – pyta, wyciągając z kieszeni kluczyki auta. – To dla mnie żaden kłopot.

– Naprawdę? – Mam ochotę ją objąć. A potem wpełznąć do łóżka i leżeć pod kołdrą, aż tata wróci do domu.

– Pewnie. Chodź.

Wsiadam do jej niebieskiej jetty, w której pachnie tak, jakby dopiero co została wyczyszczona. Podaję nauczycielce swój adres, a ona wprowadza go do nawigacji w telefonie i ruszamy. Nadal płytko oddycham, ale nie chcę

zafundować sobie ataku paniki przed najfajniejszą nauczycielką w całej szkole, więc koncentruję się i próbuję opanować nerwy. Wdech, wydech.

Pani Miller zerka na mnie. Wiem, że widzi, jak się męczę.

– Zawsze możesz ze mną porozmawiać, jeśli chcesz.

– Dziękuję.

Nie dodaję nic więcej, ale ona wciąż obserwuje mnie kątem oka. Udaję, że tego nie zauważam. Na jej wargach pojawia się ledwie dostrzegalny uśmiech. Mam wrażenie, że jest skierowany raczej do niej samej niż do mnie.

Uświadamiam sobie, że nadal mało o niej wiem. Zaczęła pracę w naszej szkole zaledwie sześć tygodni temu, kiedy nasza poprzednia nauczycielka nagle odeszła bez ostrzeżenia. Pewnego dnia pani Blake po prostu zniknęła – dyrektor wyjaśnił, że to jakaś poważna sytuacja rodzinna. Przez dwa kolejne tygodnie mieliśmy różne zastępstwa, aż wreszcie pojawiła się pani Miller i szybko podbiła serca całej klasy – okazała się wyluzowana i wesoła.

– Mieszka pani w mieście? – pytam. Już dawno odkryłam, że rozmowa na niezobowiązujące tematy pomaga się uspokoić. To wymusza na człowieku normalne zachowanie.

– Tak, jakieś pięć minut od szkoły. Nie muszę się męczyć dojazdami.

– Zawsze uczyła pani plastyki?

Nauczycielka zerka na mnie z ukosa.

– Nie, nie zawsze.

– Aha. – Czekam, aż doda coś jeszcze, ale nic z tego. – A co jeszcze pani robiła?

– Różne rzeczy. Ale lubię plastykę. To przyjemny przedmiot, a najlepsze, że nie trzeba na nim robić sprawdzianów. Fajne, nie?

– No. Wszyscy uwielbiają pani lekcje.

– Dziękuję, cieszę się.

Po kilku minutach na końcu wyboistej drogi pojawia się mój dom. Ulice jak zawsze świecą pustkami.

– No to dziękuję za podwózkę.

– Żaden kłopot. – Pani Miller zaczyna cofać samochód z podjazdu, ale coś ją powstrzymuje. – Abigail, na pewno nie przeszkadza ci, że zostaniesz sama?

Im więcej o tym myślę, tym bardziej boję się zostać w pustym domu. Jeśli rzeczywiście umieram, to ile czasu mi zostało? A jeśli zacznę tak szybko oddychać, że stracę przytomność? Kto mi pomoże?

– Wiesz co – odzywa się znów nauczycielka – jeśli chcesz, mogę z tobą poczekać, aż twoi rodzice wrócą do domu.

– Tylko tata dzisiaj wraca. Mama... wyjechała.

– A, w porządku. No, jak wolisz.

– Nie chciałabym sprawiać pani kłopotu...

– Nie wygłupiaj się! Z przyjemnością zostanę.

Z ulgą przyjmuję jej propozycję.

Oprowadzam ją po parterze, nalewam szklanek dietetycznej coli i włączam telewizor w salonie. Siadamy na kanapie i znajdujemy przyjemny program o pieskach na Animal Planet. Wkrótce czuję, że zaczynam się nieco rozluźniać. Obecność ulubionej nauczycielki i widok słodkich szczeniaków w telewizji sprawia, że czuję się niemal normalnie. Ale kiedy tylko tata wróci do domu...

Owijam się ciężką narzutą, którą mama zrobiła na drutach dawno temu, gdy wszyscy byliśmy zdrowi i szczęśliwi. Może w tej poprzecieranej włóczce nadal kryje się trochę tamtej dobrej energii.

Po jakimś czasie zauważam, że pani Miller jest rozkojarzona; co chwilę sprawdza telefon.

– Chce pani pooglądać coś innego?

Nauczycielka ze skruszonym uśmiechem chowa komórkę do kieszeni.

– Nie, nie trzeba.

Kiedy pół godziny później program się kończy, obie robimy się niespokojne. Mną targa świeża obsesja, a ona z widocznym zniecierpliwieniem wygląda przez okno.

– Może pani jechać do domu. Nic mi nie jest, naprawdę.

– Nie, nie. Poczekaam z tobą.

Zmieniamy kanał i trafiamy na jakiś musicalowy program, w którym ludzie okropnie śpiewają i tańczą. To jest tak złe, że aż dobre. Na zmianę śmiejemy się z bohaterów. Moje żarty są głupie, ale jej okazują się zaskakująco złośliwe... i zabawne. Mój własny chichot mnie zaskakuje.

– Dziękuję, że pani ze mną została – mówię. – Naprawdę.

– Nie ma sprawy – odpowiada z szerokim uśmiechem.

W tej samej chwili honda taty wtacza się na podjazd. Obie podrywamy się na dźwięk silnika, choć przecież się go spodziewałyśmy. Natychmiast znów czuję ucisk w piersi. Na zewnątrz już robi się ciemno, a gdy tata wysiada z samochodu, jego sylwetka kryje się w cieniu. Nie widzimy jego wyrazu twarzy.

– No, przyszedł! – mówi pani Miller. – Nareszcie.

Podchodzimy do drzwi. Zauważam, że nauczycielka trzyma się nieco z tyłu.

Otwieram, a tata posyła mi zmęczony uśmiech.

– Hej, skarbie. – Schyla się, żeby mnie przytulić, ale na widok gościa zamiera. Opiera się ciężko o framugę; rozchyła usta, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Zaskoczona robię krok w tył.

– Ty...? – udaje mu się w końcu wykrztusić. – Jak...?

– Przecież to tylko pani Miller – uspokajam. – Ze szkoły. Odwiozła mnie do domu.

Nauczycielka wyłania się z głębi korytarza.

– Proszę, nie gniewaj się – mówi dziwnie napiętym tonem, jakby próbowała się nie rozpłakać. – Tak długo na ciebie czekałam.

# CZĘŚĆ CZWARTA

## JILLIAN

– Wiem, że się mnie nie spodziewałeś, ale zobacz, jak dobrze wszystko się złożyło!

Pozwalam sobie na uśmiech. Nie taki oczywisty. Zastanawiam się, czy on dostrzega, co się w nim kryje: cierpienie przysłaniające radość. Czy widzi, przez co przeszłam? Nie zaskoczyłoby mnie to; upokorzenie i desperacja utkwiły we mnie głęboko jak ostry odłamek pocisku. Najpierw zakład karny dla kobiet – traumatyczne wspomnienie sprzed lat – a następnie nieudane próby wskrzeszenia jakiegokolwiek kariery. Nie wspominając o gorzkiej samotności, jaka kładzie się cieniem na całym życiu dawnej więźniarki, która nie jest już uznawana za wartościową przyjaciółkę, koleżankę z pracy, córkę.

Przez cały ten czas tylko jedno pragnienie dodawało mi sił.

– Ty...? – Rob wskazuje na mnie zszokowany, potem na Abby. – Ty ją znasz? Uśmiecham się szerzej, przełamuję ból.

– Owszem.

Odebrało mu mowę, i to raczej nie ze szczęścia. Złota obrączka migocze w żółtym świetle przedpokoju. Mam ochotę zerwać mu ją z dłoni. Przygotowałam się jednak na to, że nasze spotkanie po latach nie przebiegnie w idealnej harmonii. Nie otrząśnie się z toksycznego wpływu Claire w jeden dzień, nawet kiedy ona już zniknie nam z oczu.

– Ja... – Rob mruga gwałtownie. – Ja nie...

Wszystkie te rzeczy, które pragnę mu powiedzieć, cisną mi się na usta, lecz nie chcą się wydostać, stłumione przez zbyt wiele lat rozpacz i porzucenia. Przez całe moje ciało przechodzi spazm ulgi. Wszystkie te lata rozmyślań, czekania i poszukiwań nie poszły na marne. Z bliska jego twarz wygląda szlachetniej, niż zapamiętałam. Włosy przyprószyła siwizna, twarz stała się bardziej pociągła, zmarszczki wokół oczu się pogłębiły. Nie podobają mi się te

oznaki upływu czasu: przypominają mi o tych dziesięciu latach, które mogły należeć do nas, lecz przepadły bezpowrotnie.

Muszę z całej siły powstrzymać się przed rzuceniem mu się na szyję – już nie znam tego mężczyzny, a mimo to właśnie on dodawał mi sił przez te wszystkie bolesne lata.

On nadal wpatruje się we mnie z przerażeniem.

– Co ty tu...?

– Musiałam was odnaleźć – mówię po prostu. To prawda.

Rob szarpie Abigail za ramię. Dziewczynka jest zbyt zdumiona, żeby się sprzeciwić.

– Tato, co ty...?

Przyciągnął ją mocno do siebie, więc nie może zobaczyć twarzy ojca, na której maluje się wyłącznie opiekuńczy strach. Kocha ją. To oczywiste. Przecież to jego dzieło. Nasze dzieło.

On jednak zasłania ją własnym ciałem tak, jakby spodziewał się ataku. Po chwili już chyba rozumiem: sądzi, że chcę go ukarać za to, jak mnie zostawił. Na samą myśl wybucham głośnym śmiechem. Nie mogłabym mieć odleglejszych intencji.

– Nie bój się, nie przyszłam tu, żeby szukać kłopotów. Już dawno ci wybaczyłam.

Wyciągam dłoń w pojedynczym geście, ale on się odsuwa.

– Jezu, przecież cię nie poparzę.

Wzbiera we mnie złość, ale przypominam sobie, że przecież nie tylko ja zostałam niesprawiedliwie ukarana. On też musiał odrobić swoje – jako więzień nieoficjalnie skazany na lata katorgi z Claire, której musiał bez przerwy pilnować. Utkwił w niewłaściwym życiu, tak jak Abby utkwiła z niewłaściwą matką. Jeszcze nie rozumiem, że przyszłam ich uwolnić.

Rob mruży oczy.

– Przecież ja już cię nawet nie znam.

– Nic się nie zmieniło. Wciąż jestem tą samą Jilly.



To dawne pieszczotliwe imię nie przebija się jednak przez pancierz jego podejrzliwości. Jak bardzo Claire wyprała mu mózg? Może jest zbyt zmanipulowany, by odróżnić dobrą osobę od złej? Ale przecież zawsze był geniuszem. Na pewno gdzieś tam wciąż tli się iskierka intelektu dawnego Roberta Nasha. Muszę tylko do niej dosięgnąć.

– Tato! – Abby wyrywa się z jego objęć. – Co tu się dzieje? Skąd wy się znacie?

– Ona o niczym nie wie, prawda? – zwracam się do Nasha.

Rob spuszcza wzrok.

– Powiedz jej. Zasługuje na to.

– Co powinnam wiedzieć? Czy ja umieram? – dopytuje się dziewczynka.

– Nie! Nie, nic z tych rzeczy. – Nash klęka przed córką i bierze ją za rękę. – Nie tak zamierzałem to zrobić. Ale... – przerywa, oblizuje wargi. – Skarbie, jesteś kimś bardzo wyjątkowym... Bardzo niezwykłym...

Nie mogę dłużej patrzeć, jak on skacze wokół naszego osiągnięcia.

– Nie jestem twoją kuzynką – wyrywa mi się.

Abby odsuwa się ode mnie z przerażeniem.

– Zaraz, co? Pani jest JH0502?

– Owszem. To było najprostsze wytłumaczenie przed spotkaniem i wyjawieniem ci wszystkiego osobiście. Tak naprawdę jestem twoją...

– To moja koleżanka – przerywa mi Nash. – Dawna koleżanka z pracy. Z czasów, zanim się urodziłaś. Wtedy byłem... lekarzem.

Abby wpatruje się w niego z niedowierzaniem.

– Co? Przecież ty robisz meble.

– Cóż. – Nash wzdycha. – Dawno temu, w innym życiu, pomagałem niepłodnym parom zająć w ciążę. I prowadziłem badania we własnym laboratorium.

Abby uśmiecha się z konsternacją, jakby ojciec opowiadał żart, ale zapomniał o puencie.

– Nie rozumiem.

– Mówię poważnie. Dawno temu, zanim się urodziłaś, poszedłem na studia medyczne na Harvardzie, skończyłem z najlepszym wynikiem na roku i zrobiłem doktorat z endokrynologii rozrodu na Uniwersytecie Nowojorskim, a potem otworzyłem własną klinikę i laboratorium w Nowym Jorku.

Abby patrzy to na niego, to na mnie, oniemiała. Widzę, że zaczyna mu wierzyć, ale nic z tego nie ma dla niej sensu.

– Mówiąc krótko – wtrącam – twój tata był kimś bardzo ważnym. Dlatego się u niego zatrudniłam.

– Co? Pracowaliście razem?

Nash kiwa głową.

– Prowadziliśmy badania nad rozwojem człowieka. Chcieliśmy odkryć, jak uniknąć dziedziczenia nieuleczalnych mutacji genetycznych.

– A ty byłaś naszym największym eksperymentem – oznajmiam z dumą. – Twoja matka miała w swoim DNA śmiertelnie niebezpieczny defekt, więc interweniowaliśmy, żebyś urodziła się zdrowa. Daliśmy ci moje mitochondria zamiast jej.

Dziewczynka przygląda mi się bez ruchu. Niemal widzę, jak jej umysł dopasowuje kolejne elementy układanki, próbując sprawić, żeby ich niezwykle kształty zamknęły przepaść między wszystkim, co wie, i tym, o czym nie ma pojęcia.

– Wy mnie... zrobiliście?

– Tak.

Jej wargi zaczynają drżeć.

– Tato! Czy to prawda?

Rob kiwa głową.

– I codziennie, odkąd się urodziłaś, dziękowałem swoim szczęśliwym gwiazdom za to, że jesteś taką zdrową, piękną dziewczynką.

– Szczęście nie miało nic do tego – poprawiam go. – Wiedzieliśmy, co robimy. Chodzi o to, że ty i ja mamy wspólne mitochondria, czyli także DNA przekazywane z matki na dziecko. A to znaczy... – Czekam, aż Nash znowu

przerwie, ale tym razem on pozwala mi dokończyć. – To znaczy, że ja też jestem twoją matką.

Abby wydaje z siebie dziwny odgłos, coś pomiędzy jękiem a prychnięciem. Nash się krzywi. Patrzymy, jak dziewczynka przyswaja sobie tę wiadomość. Mam ochotę nim potrząsnąć i przypomnieć, że to mnie powinien dziękować, a nie jakimś zasranym gwiazdom.

– Żartujecie, prawda? – Abby przyciska dłonie do czoła. – To jakiś wstrętny kawał.

– To prawda. Masz naszą mapę DNA na dowód. Łączy nas trzydzieści siedem genów, kodowanych wyłącznie przez DNA mitochondrialne.

Dziewczynka posyła ojcu wrogie spojrzenie.

– Czyli co, moje całe życie było kłamstwem?

– Nie mów tak! Masz wspaniałe życie!

– To dlaczego nigdy mi o niczym nie powiedzieliście?

– Cóż, narobiliśmy sobie wtedy kłopotów – mówi oględnie Nash. – Więc chcieliśmy utrzymać sprawę w tajemnicy. Dlatego rzadko gdzieś wychodzimy. Chcieliśmy ci zapewnić normalne dzieciństwo.

– A kiedy zamierzaliście mi o wszystkim powiedzieć?

– Kiedy trochę podrośniesz – przyznaje Nash z przeproszającym uśmiechem.

– Ale teraz już wiesz.

– A więc jestem zdrowa, ale mam troje rodziców?

Nash się krzywi. Boi się, że powiem jej o Ethanie. To jednak wywołałoby tylko więcej niechęci z jego strony, jakby już nie było dostatecznie źle. Posyłam mu spojrzenie, którym próbuję powiedzieć: „Nie martw się, jestem po twojej stronie”.

Następnie kucam przed Abby.

– Musiałam cię znaleźć. Twój rodzice przyjechali tu, zanim się urodziłaś, i nigdy nie miałam szansy cię spotkać. Nie mogłam znieść myśli, że w ogóle cię nie poznam.

– A jak ty nas właściwie znalazłaś? – pyta Nash otwarcie wrogim tonem.

Nadal mówię tylko do Abby.

– Zapisałam się na MapMyDNA, bo wiedziałam, że prawie wszyscy uczniowie robią te domowe testy genetyczne. Miałam nadzieję, że ty też. Zaglądałam na tę stronę przez trzy lata, aż wreszcie się pojawiłaś.

– Co?! – krzyczy Abby.

– Kiedy zaczęłyśmy do siebie pisać, bardzo chciałam cię poznać, ale twoja druga matka... nie chciała, żebym była częścią twojego życia. Wygląda na to, że cię oszukiwała i udawała, że w ogóle nigdy nie istniałam.

– To nieuczciwe! – protestuje Nash.

– Co, chcesz porozmawiać o uczciwości? To może zacznijmy od tego, jak odciąłście mnie od jej życia!

Rob milknie. Wie, że mnie wystawił, nawet jeśli to była tylko bierna konsekwencja jego niewoli, a nie celowa decyzja. To zresztą jedyny powód, dla którego mu wybaczyłam. Po własnej trzyletniej odsiadce doskonale rozumiem frustrację, jaką wywołuje niesprawiedliwe potraktowanie. Nie ma nic gorszego, niż stracić szansę na bycie częścią własnej rodziny.

Poza świadomością, że teraz ona należy do kobiety, która mi wszystko ukradła.

Biorę bladą twarz Abby w dłoń.

– Skarbie, jesteś moją córką, której nigdy nie poznałam. Nie wiedziałam nawet, kiedy masz urodziny, więc zamiast tego co roku drugiego maja pisałam do ciebie kartkę.

– Dlaczego drugiego maja? – Abigail marszczy brwi. – Zaraz, czy to nie... 0502... Twoja nazwa użytkownika?

– Owszem. I dzień, w którym cię stworzyliśmy dwanaście lat temu.

Dziewczynka bierze głęboki wdech, a ja rozpinam torebkę i wyciągam ze środka plik kartek, które przewiązałam różową wstążką.

– Zachowałam je wszystkie. Dla ciebie.

Abby drżącymi rękami ciągnie za wstążkę. Kartki rozsypują się jej pod nogami, barwna kupka brokatu i pastelowych kolorów. Ciekawe, gdzie będziemy

w jej następne urodziny. Gdzieś za granicą, razem? Wyobrażam sobie triumf, jaki nas czeka po pokonaniu kilku ostatnich przeszkód. A potem nadejdzie międzynarodowa sława, pieniądze, miejsce na kartach historii.

Bo kiedy Nashowi wróci rozum, będziemy mogli skupić się wreszcie na publikacji wyników naszych badań w którymś międzynarodowym czasopiśmie medycznym. Będzie trzeba zrobić Abby prześwietlenie różnych części ciała, sekwencjonowanie genomu, biopsje tkanek, wszystko po kolei. Dane muszą być równie wyczerpujące jak moje prywatne zapiski.

Ale jeśli nie zadziałamy szybko, będzie za późno. Za granicą naukowcy już się ścigają, żeby powtórzyć nasze przełomowe osiągnięcie, bo inne kraje się obudziły i zrozumiały, że pozwolenie na przekazywanie śmiertelnych chorób genetycznych z pokolenia na pokolenie to grzech. Stany wciąż są zacofane pod tym względem, ale badania podobne do naszych już trwają w Chinach, Japonii i Wielkiej Brytanii. Nikomu jeszcze nie udało się zaprojektować dziecka z trojga rodziców, ale prędzej czy później jakiś zespół naukowców na to wpadnie i zgarnie wszystkie laury. Chyba że pokażemy światu prawdę.

Tama blokująca nasze życie wreszcie ustąpi. Nash i ja będziemy mogli wnioskować o azyl polityczny w kraju, który zaoferuje nam pracę – już widzę tę profesurę, granty naukowe, własne laboratorium – a potem wszyscy rozpoczniemy to wspaniałe życie, na jakie zasługujemy. Lepiej późno niż wcale.

Już nie mogę się doczekać, aż moja matka zobaczy ten wielki powrót. „Pomyliłam się – powie. – Nie zasługiwałaś na to wszystko, co cię spotkało”.

– To dlatego przysłała pani do pracy w mojej szkole? – pyta Abby, wpatrując się we mnie oczami koloru indygo. Takimi samymi jak moje.

– Musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby cię poznać. A ponieważ to jedyna podstawówka w Garrison, uznałam, że w ten sposób zdołamy się spotkać. Chciałam ci powiedzieć wtedy na lunchu, ale... Przestraszyłam się.

– Przez cały ten czas byłaś w jej szkole? – Nash patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Tylko od marca.

– A teraz postanowiłaś się ujawnić, akurat kiedy jej matka poszła do szpitala?

– Przykro mi to słyszeć – odpowiadam bez zająknięcia.

– Gówno prawda! – Nash bierze Abby na ręce i przepycha się koło mnie.

– Tato! Dlaczego jesteś taki niemiły?

– To niebezpieczna osoba – mówi.

Następnie spogląda na mnie.

– Trzymaj się od nas z daleka – syczy. – Zgłoszę to w szkole jutro z samego rana. Powiem, że jesteś oszustką.

Wstawiam stopę w drzwi, zanim zdąży je zatrzaskać.

– Czyżby? Pan Michael Burke zgłosi oszustwo? – Przekrzywiam głowę.

Jego pewna siebie mina natychmiast znika.

– Wspaniale – mówię wesoło. – To teraz wyjaśnijmy sobie, co dalej. Ty i Abby pójdziecie ze mną. Zjemy obiad w moim domu, a potem możecie sobie pójść. Czy to aż takie straszne?

Nash wpatruje się we mnie z niedowierzaniem.

– Co?

– Grozisz mi?

– Nie wygłupiaj się! Po prostu uważam, że potrzebujemy więcej czasu, żeby o wszystkim sobie opowiedzieć.

– Nie możesz tego robić!

– Czego konkretnie? – Uśmiecham się do Abby, żeby pokazać jej, że tata niepotrzebnie się tak stresuje.

On mamrocze pod nosem jakieś przekleństwo, ale postanawiam je zignorować.

– Jeden obiad – mówi powoli. – A potem zostawisz nas w spokoju?

– Jak tylko sobie życzysz. – Posyłam mu niewinny uśmiech. Później, kiedy już wróci mu rozum, będzie dziękował, że wyzwoliłam go z tego koszmaru.

Abby chwyta się jego koszuli.

– Nie chcę tam iść.

– Ja też nie – wtóruje jej ojciec, patrząc na mnie z niechęcią.

– Dajcie spokój. – Bije ze mnie dość entuzjazmu, by obdzielić nim całą naszą trójkę. – Będzie fajnie!

## ABBY

– Pójdę tylko po plecak – mówię, kiedy tata rusza za panią Miller do jej samochodu. – Muszę zabrać podręcznik do historii, mam jutro klasówkę.

– Jaka z ciebie dobra uczennica. – Pani Miller uśmiecha się do mnie przez ramię. – Zupełnie tak jak ja.

Wciąż nie rozumiem, dlaczego tata zgodził się z nią pójść. Wiem tylko, że coś jest nie tak. Tata dziwnie wygląda, odkąd ją zobaczył. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby miał taką minę. Jakby czuł, że został schwytany w pułapkę.

Ale dlaczego zachowuje się tak niezręcznie w towarzystwie pani Miller, która jest ulubioną nauczycielką wszystkich uczniów? No, chyba nie jest prawdziwą nauczycielką. Tyle czasu uczyła nas plastyki, a teraz okazuje się, że była tam tylko ze względu na mnie. Bo jest moją... częściową mamą? A tata lekarzem? Przecież robi stoły i zawsze jest ubrudzony drewnianym pyłem. Nie potrafię sobie go wyobrazić w laboratorium, jak tworzy mnie z niczego.

To jakiś obłąd.

Ale z drugiej strony w całej tej sytuacji widzę pewien sens. Trochę jak w science fiction. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego nie cierpię na tę samą okropną chorobę co Colton. „Miałś więcej szczęścia”, powiedziała mi kiedyś mama.

Ale tak naprawdę wcale nie miałam szczęścia... Po prostu zostałam wytworzona. Nic dziwnego, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz nie poszłam do szkoły, bo byłam chora. Jestem najzdrowszą osobą, jaką znam.

Jeśli pani Miller jest za to po części odpowiedzialna, to dlaczego tata jest na nią taki zły? Dlaczego on i mama udawali, że nigdy nie istniała? Rany, chciałabym, żeby mama teraz tu była.

– Abby! – woła mnie z podjazdu pani Miller. – Idziemy!



Słyszę odgłos zatrzasniwanych drzwi i warkot silnika. Mój plecak leży na podłodze w salonie, tam gdzie rzuciłam go po powrocie do domu. Nie mam jutro żadnej klasówki. Ale mam telefon. Dorośli dużo mnie ostatnio okłamują, więc chyba nie do końca wierzę pani Miller i jej zapewnieniom, że będziemy mogli sobie pójść po obiedzie. W końcu podszywała się pod nauczycielkę plastyki. I to pewnie ona kręciła się wtedy w nocy pod naszym domem. Zaczynam myśleć, że jest przerażająca... A może nawet niebezpieczna.

Tata nigdy nie chce dzwonić po policję, ale jeśli będzie trzeba, sama to zrobię.

\* \* \*

Siadam z tyłu, a tata zajmuje fotel pasażera obok pani Miller i w milczeniu patrzy przez okno. Ona jest równie pogodna jak w szkole. Tylko że teraz jej wesoła energia sprawia, że żołądek ściska mi się tak, jakby ktoś owinął go ciasną gumką recepturką.

– Tak się cieszę, że wpadacie w odwiedziny! – Nauczycielka przyjaźnie klepie tatę w kolano. – Całe szczęście, że kupiłam dużo jedzenia. Nadal lubisz, jak stek jest krwisty?

– Nie jestem głodny – odpowiada tata, wciąż na nią nie patrząc.

– Jeszcze zgłodniejesz.

Samochód skręca i wiezie nas głębiej w las. Na drodze panuje absolutna ciemność, a wysokie drzewa pochylają się nad nami i zasłaniają niebo. Równie dobrze moglibyśmy jechać przez tunel. Pociesza mnie tylko twardy kształt komórki, który wyczuwam pod materiałem plecaka.

– A ty? – Pani Miller spogląda na mnie niebieskimi oczami w lusterku. – Jaki stek jadasz?

– Eee... Nie jemy czerwonego mięsa. Mama go nie rusza, bo w ciąży było jej od tego niedobrze.

Twarz nauczycielki się marszczy. Uświadamiam sobie, że powiedziałam niewłaściwą rzecz.

– Ale spróbuję – dodaję pospiesznie. – Czemu nie?

– A ty? – Kobieta zerka na tatę, wciąż trzymając kierownicę jedną ręką. – Przez tyle lat byłeś pozbawiony ulubionego mięsa? Okropne!

– Nie brakuje mi go – odpowiada, wzruszając ramionami.

– Cóż, dzisiaj wszystko się zmieni. – W jej głosie pobrzmiwa dziwna ekscytacja.

Samochód z warkotem stacza się z ulicy na wyboistą polną drogę. Znajomy gwizdek pociągu Metro-North wyje w oddali. To znaczy, że musimy być w pobliżu torów; prowadzą wzdłuż rzeki Hudson. Pociesza mnie ta myśl, bo las jest tak gęsty i ciemny, że bez tego dźwięku nie zorientowałabym się, gdzie jesteśmy. Nie widzę żadnych domów, tylko drzewa kołyszące się na wietrze.

Wkrótce bierzemy ostry zakręt w lewo i mijamy znak z napisem CHERRY MILL LANE. Pojawia się przed nami mały domek. Wygląda trochę jak z bajki – ma skośny dach, białe ściany i jaskrawoczerwone drzwi, a w dodatku jest ukryty w środku lasu. Przypomina mi się czarownica z *Jasia i Małgosi*. Czy ona tam czasem nie próbowała jeść dzieci?

Parkujemy na podjeździe. Pani Miller wyskakuje z auta i otwiera mi drzwi.

– Zapraszam! – Wyciąga rękę, żeby mi pomóc, i chwyta moją dłoń. Tata pospiesznie wysiada i nas rozdziela.

– Ja ją wezmę – oznajmia i bierze mnie na ręce, jakbym była małym dzieckiem. Plecak zwisa mi z ramienia.

– Mogę iść sama – protestuję, ale mnie nie odstawia.

Pani Miller wchodzi do środka, nucąc jakąś melodię. Tata podąża jej śladem. Cały czas rozgląda się nerwowo, jakby się spodziewał, że zaraz ktoś jeszcze na niego wyskoczy. Przygląda się uważnie krzakom przed wejściem i zerka przez ramię, wciąż mocno mnie ściskając.

– Och, daj już spokój. – Nauczycielka uśmiecha się do nas z progu, ale w jej głosie już pobrzmiwa frustracja. – Przecież was nie ugryzę.

Tata ma obojętną minę. To znaczy, że przeszedł już od złości do czegoś gorszego. Przystaje kilka kroków od niej, waha się. Pani Miller zmienia ton

z poirytowanego na współczujący.

– Tyle musiałeś przeżyć. Naciesz się wieczorem wolnego. Zasługujesz na to.

– Nie potrzebuję wolnego. Muszę się skontaktować z żoną.

Jej oczy nagle stają się zimne jak lód.

– Tak teraz na nią mówisz?

– Dobrze, wystarczy. – Tata podrzuca mnie sobie wyżej na biodrze. – Idziemy stąd. Dzwonię po taksówkę. – Kiedy wyciąga telefon z kieszeni džinsów, przepełnia mnie ulga. To wszystko robi się wyjątkowo dziwne. Pani Miller jest wyraźnie zazdrosna o mamę.

– Nie robiłabym tego na twoim miejscu – ostrzega go lekkim tonem.

– Mówisz poważnie? – Tata posyła jej wściekłe spojrzenie.

– Tyle jedzenia by się zmarnowało. – Nauczycielka puszcza do mnie oko, jakbyśmy miały jakiś wspólny sekret. – Chodźcie, dajcie się nakarmić.

Uderzam tatę w pierś.

– Nie! Chcę do domu!

– Posłuchaj – szepcze mi tata do ucha. Jego słowa niemal ulatują z wiatrem. – Jeśli tam nie wejdziemy, to sprawy mogą się bardzo pogorszyć.

– Dlaczego? – jęczę. – Proszę.

– Zaufaj mi. Już idziemy! – dodaje głośno.

Tata chowa telefon z powrotem do kieszeni i niesie mnie do domu, ściskając mocno, żebym nie mogła zeskoczyć na ziemię i uciec. Zauważam numer dwanaście nad skrzynką na listy.

Kiedy wchodzimy do niepozornej chatki, znów ogarnia mnie panika. Może i nie umieram, ale na pewno nie czuję się bezpiecznie. Chciałabym, żeby mama, Riley, albo w ogóle ktokolwiek wiedział, gdzie jesteśmy.

Życzliwość pani Miller sprawia, że aż kręci mi się w głowie. Mam ochotę nią potrząsnąć. Jestem coraz bardziej zbита z tropu. Nauczycielka oprowadza nas po domu, wskazuje na orientalny dywanik z wyprzedaży, rustykalny drewniany stół, wazon z wzorem w różowe lilie. Sufit jest nisko zawieszony, a domek stary i maleńki – tylko salon, kuchnia, sypialnia i łazienka – ale muszę przyznać, że

kiedy pani Miller zapala drewno w kominku, ciasne pomieszczenie robi się przytulne.

– Siadajcie, siadajcie – zaprasza, wskazując na puszystą brązową kanapę przed kominkiem, i idzie przygotować obiad. Nawet tata zachowuje się spokojnie, kiedy zaczynamy ogrzewać ręce przy ogniu.

Po wejściu do kuchni pani Miller ściąga marynarkę i zarzuca ją na oparcie barowego stołka.

– Czego się napijecie? Czekolady?

– Ma pani pianki?

– No pewnie!

Skoro już tu utkwiałam, to równie dobrze mogę sobie pozwolić na ulubiony napój.

– Dobrze, poproszę.

– Dla mnie woda – mamrocze tata.

– Pellegrino? Z limonką?

Zaskoczony podnosi głowę.

– Pamiętałaś?

– Dziesięć lat to nie aż tak długo – mówi pani Miller, jakby się z nim droczyła. Jej twarz robi się bardziej różowa. Zauważam, że ma doskonały makijaż. Nie za mocny, ale dość wyrazisty, żeby podkreślić kolor oczu i nadać skórze blasku. Jest piękna, zwłaszcza gdy coś ją uszczęśliwia. Nic dziwnego, że wszyscy w szkole ją tak uwielbiają.

Jesteśmy tu zakładnikami czy gośćmi? Nagle nie potrafię tego ocenić.

Na wszelki wypadek wyciągam komórkę z plecaka, kiedy nikt nie patrzy, i chowam ją w kieszeni bluzy. Tata nie odrywa wzroku od pani Miller, a ona kroi warzywa i przechwala się, jak wspaniale nauczyła się gotować.

– Musiałam się nauczyć po... A, nieważne. Abby, lubisz grzyby w sałatce? Tata woli bez.

– Nie, dziękuję. Tylko mama je grzyby.

Kurde, znowu to zrobiłam. Pani Miller ściąga brwi, jakbym ją obraziła podczas lekcji.

– Nie rozmawiajmy o niej dzisiaj. Po co sobie psuć taki wspaniały wieczór?

Tata pociera dłońmi o siebie, ale nic nie mówi. To do niego niepodobne.

– Twoja mama nie zrobiła nic złego – szepcze mi do ucha. – Wszystkie decyzje podejmowała z miłości do ciebie.

– Co proszę? – Pani Miller obchodzi wyspę kuchenną. W dłoni ściska mokrą ścierkę. – Co powiedziałaś?

Tata unosi podbródek.

– Powiedziałem, że jej matka była niewiarygodnie odważna. Nie możesz temu zaprzeczyć bez względu na to, jak bardzo jej nienawidzisz.

W oczach pani Miller płonie furia.

– Czy za pierwszym razem nie wyraziłam się dość jasno? – pyta, trzaskając ścierką o krawędź stołu. – Wystarczy już tego gadania o niej!

Przysuwam się bliżej taty na kanapie, ale to jeszcze bardziej ją wkurza.

– Czekolada ci stygnie! – warczy.

Zrywam się z miejsca i idę za nią do kuchni. Tata zostaje na kanapie i obserwuje mnie ze swojego miejsca. Dlaczego nic nie robi? Nie rozumiem. Przecież kiedy narzekałam na Sydney, to właśnie on mi powiedział, że nie powinnam nigdy słuchać kogoś, kto mnie prześladowa.

Pani Miller znów staje przy kuchence i zabiera się do smażenia steków na maśle. Na blacie stoi już salaterka z sałatką, a w piekarniku grzeją się bataty. Wszystko wspaniale pachnie, ale nie jestem głodna. Kiedy podaje mi kubek z gorącą czekoladą posypaną piankami, wcale nie chcę jej pić, ale wiem, że nie mam wyboru.

– Dobrze? – pyta ostro.

– Pyszne! – zapewniam. – Wspaniale.

Jej zmarszczone czoło znów się wygładza.

– Przepraszam, jeśli się troszkę zirytowałam, dobrze? Chcę tylko, żebyśmy miło spędzili czas.

– Nic nie szkodzi. – Pochyliłam głowę nad kubkiem.

– Pamiętaj, jesteś moją małą córeczką!

Krztuszę się pianką. Nauczycielka poklepuje mnie po plecach.

– Trochę to potrwa, zanim się przyzwyczaisz. Ale wiesz co? – Przysuwa twarz blisko do mojej. – Z niczego nie jestem taka dumna jak z tego, że pomogłam sprowadzić cię na świat.

Zmuszam się do uśmiechu. Dzięki? Nie potrafię sobie wyobrazić siebie jako zlepka komórek w probówce. To równie dziwne jak wizja jej i taty razem w jednym gabinecie. Musi być jakiś powód, dla którego przestała pracować w laboratorium. Przypominają mi się tajemnicze słowa taty: „Narobiliśmy sobie wtedy kłopotów...”.

– Czy pani też miała kłopoty? – pytam.

Jej twarz pochmurnieje.

– Owszem. Przez twoją drugą mamę.

To jasne, że chciała ją obrazić tymi słowami: twoja druga, gorsza mama.

Nie mam pojęcia, co o tym myśleć, ale ona niczego nie wyjaśnia, tylko rozpościera ramiona, żeby mnie przytulić.

– Nie martw się. Dla ciebie warto było przez to przejść.

Pozwalam, żeby mnie objęła, ale jej dotyk znów wzbudza we mnie paniczny lęk. Trzyma mnie za mocno, za długo. Jesteśmy zakładnikami. Ona wie, że nie możemy uciec, bo dokąd? Do lasu? Gdy wreszcie mnie puszcza, ma szkliste oczy. Ja też.

– Tak długo czekałam, żeby to zrobić – mówi. – Dziękuję.

Ocieram czoło.

– Mogę iść do łazienki?

– Oczywiście. Nie musisz pytać, nie jesteśmy w szkole – dodaje, wskazując drzwi w głębi korytarza.

Specjalnie idę powoli i unikam wzroku taty. Nie chcę, by pomyślała, że komunikujemy się za jej plecami. Chciałabym jednak dać jakoś tacie znać, że

przejmuję dowodzenie. Kiedy policja zapuka do drzwi pod numerem dwunastym przy Cherry Mill Lane, na pewno będzie ze mnie dumny.

Z zaskoczeniem odnotowuję, że w drzwiach łazienki nie ma zamka, tylko okrągła dziura w miejscu, gdzie kiedyś się znajdował. No trudno. Odkręcam kran tak, żeby woda leciała jak najgłośniej, i wyciągam telefon. Błagam, niech tu będzie sygnał. Dwie kreski. Wystarczy. Wybieram numer alarmowy.

W tej samej chwili dostrzegam wściekle niebieskie oko, spoglądające na mnie przez dziurę w drzwiach.

Wrzask sam wyrywa mi się z piersi, a drzwi nagle się otwierają.

– Wiedziała! – Pani Miller wyrywa mi telefon z ręki, zanim zdążę wybrać przycisk „zadzwoń”.

– Nie! – krzyczę. – To moje!

Tata pojawia się za nią. Jest wściekły.

– Co ty wyprawiasz? Napadasz ją w łazience?

– Ona mi ukradła telefon! – wołam, czując, jak gorące łzy wzbierają mi pod powiekami. – Proszę mi go oddać, obiecuję, że go nie użyję.

Nauczycielka tylko prychna i podchodzi do regału z książkami w korytarzu. Na górnej półce znajduje się małe pudełko, którego wcześniej nie zauważyłam. Pani Miller naciska je kciukiem i wieko się otwiera. Kiedy kobieta znów odwraca się do nas przodem, na jej palcu kołysze się srebrny pistolet.

Tata gwałtownie wciąga powietrze. Ja chowam się za jego nogą i wreszcie pozwalam sobie na szloch. Jesteśmy uwięzieni.

– To wyłącznie dla bezpieczeństwa – mówi spokojnie pani Miller. – Sami rozumiecie, w końcu mieszkam samotnie w lesie.

– Nie możesz nas wziąć na zakładników! – krzyczy tata, ale ona tylko przewraca oczami.

– Przestań dramatyzować. Chcę tylko mieć miły wieczór bez problemów. – Wyciąga ku niemu otwartą dłoń. – Twój też poproszę.

Puls huczy mi w uszach. Zastanawiam się, czy tata szuka sposobu, żeby ją zaatakować. Napina ramiona; rozgląda się gorączkowo po maleńkim domku

w poszukiwaniu drogi ucieczki, jakiejs broni, czegokolwiek.

– Telefon – powtarza pani Miller ostrym tonem. – Czy za pierwszym razem nie wyraziłam się dość jasno?

– Proszę bardzo. – Tata wyciąga komórkę z kieszeni i rzuca w jej stronę. Kobieta chwyta ją z łatwością i wkłada obie do pudełka na pistolet, a następnie zatrzaskuje wieczko.

– Jeśli tkniesz chociaż włos na jej głowie, to zabiję cię gołymi rękami – ostrzega tata.

– Rany, uspokój się – odpowiada nauczycielka, znów idzie do salonu i odsuwa sobie krzesło u szczytu stołu. Następnie kładzie pistolet obok widelca.

– No, bierzmy się do jedzenia, zanim wszystko wystygnie.



## CLAIRE

Znów przeżywam swój dawny koszmar. Nie ma gorszego miejsca na świecie niż oddział zamknięty w szpitalu psychiatrycznym: czujne pielęgniarki maszerują pospiesznie od sali do sali, sprawdzając popiskujące urządzenia i stan wyjących pacjentów. Wszystko rozmywa się w bieli – pościel, ściany, piżamy – jest sterylne, nieskazitelne, bezosobowe. Straciłam wszelkie przywileje: żadnych ostrych przedmiotów, wszyscy stanowimy zagrożenie dla bezpieczeństwa swojego i innych, stłoczeni w tym miejscu ostatniej szansy. Schizofrenicy są najgłośniejsi; najwięcej gadają, każdy w innym tonie. Psychotycy zachowują się najciszej, ale są najbardziej przerażający ze wszystkich. Kiedy tu przyjechałam, przewieziono mnie obok mężczyzny, który siedział sztywno jak kij na łóżku i bez mrugania spoglądał wrogo na każdego, kto go mijał.

Pierwszy etap przecierpiałam wspólnie z Robem. Najpierw kontrola bezpieczeństwa, podpisanie zgody na badanie i leczenie. Teraz, kiedy po czterogodzinnym oczekiwaniu znalazło się dla mnie miejsce w półprywatnym pokoju, wylądowałam w łóżku ukrytym za cienką niebieską zasłonką. Tylko to dzieli mnie od towarzyszki, również cierpiącej na urojenia. Co jakiś czas, kiedy jej leki przestają działać, szlocha, że telewizor atakuje jej mózg promieniowaniem. Przebywanie w tym miejscu każdego doprowadziłoby do obłądzenia, jeśli już wcześniej nie był wariatem.

I właśnie o tym bez przerwy myślę: nie jestem taka jak oni.

Już nie. Kiedyś, dawno temu, potrzebowałam pobytu w takim miejscu. To ono uratowało mnie od cienia Coltona, prześladowającego mnie nocami, od głosu nakazującego skoczyć z okna, bo synek czeka na dole. Od atakowania personelu, który odmawiał mi spotkania z synem.

Teraz jednak już wiem, że Colton nie żyje. Nie ma go. Nie powinnam go już nigdy więcej widzieć, pomimo niedawnych obłąkańczych epizodów. Może te

chwile świadomości oznaczają, że nawrót urojeń da się łatwo kontrolować lekami i wrócę do domu wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Może za tydzień albo dwa? Na samą myśl o tym, że Abby idzie spać beze mnie, ściska mi się serce. To pierwsza noc w jej życiu, kiedy nie ucałuję jej na dobranoc.

Zamek w drzwiach zgrzyta. Do pokoju wchodzi pielęgniarka. Jej twarz jest ukryta za niebieską maseczką, ale widzę jej uważnie spoglądające oczy, okrążone fioletowymi cieniami. Obserwują mnie ostrożnie. Ona sądzi, że jestem jedną z nich.

Podchodzi do mnie z podkładką z klipsem i z plastikowym kubeczkem z wodą.

– Lisa Burke?

Siadam na łóżku.

– To ja. – Zapisałam się do szpitala pod nowym nazwiskiem, żeby nie wygrzebali starych danych i nie połączyli mojego nazwiska ze sprawą, którą od tyłu lat próbuję ukryć. Rob powiedział im, że to moja pierwsza hospitalizacja w związku z urojeniami wywołanymi depresją i zespołem stresu pourazowego. Nigdy wcześniej nie byłam w tym szpitalu, ale i tak niewykluczone, że ktoś mnie tu rozpozna. Ale nawet jeśli tak się stanie, to nie mają jak tego udowodnić.

Pielęgniarka sprawdza kod na mojej bransoletce i porównuje z tabelką, następnie podaje mi wodę i maleńką białą pigułkę.

– Jeden miligram xanaksu na poprawę snu.

Będę wzorową pacjentką. Wyjdę przed czasem.

– Dziękuję. – Połykam tabletkę. Następnie opieram się o sztywną poduszkę. Ostry zapach detergentu przypomina mi, jak daleko od domu się znalazłam.

– Jak się pani czuje? – pyta kobieta. Trzyma długopis nad kartką, gotowa odnotować mój stan zdrowia. Zauważam, że zrobiła dwa kroki w tył, na wypadek gdybym zamierzała wyrwać jej długopis z dłoni i ją nim dźgnąć. Personel nigdy nie zbliża się za bardzo do dzikiego zwierzęcia w klatce. Działa tu wiele systemów zabezpieczeń, w razie gdyby ktoś potrzebował wsparcia. Wiem, bo dawniej sprawdziłam dokładnie, z czym będą w stanie sobie poradzić.

– W tej chwili czuję się dobrze. Chyba nie będę musiała tu siedzieć zbyt długo.

Kobieta bazgrze coś na kartce, ale jej wyraz twarzy jest nieprzenikniony. Może śmieje się ze mnie w duchu? Założę się, że wszyscy wariaci tutaj opowiadają jej taką samą historyjkę, tak jak więźniowie zapewniający o swojej niewinności. „Jestem tu przez przypadek. To jakaś pomyłka”.

– Dobrze, pani Burke. Zajrzę około północy, żeby sprawdzić pani samopoczucie. – Kobieta cofa się w stronę drzwi, nie odrywając ode mnie wzroku. Ani na chwilę nie opuszcza gardy.

– Przepraszam! Czy mogłabym zadzwonić do męża? Chciałam życzyć mu dobrej nocy.

Brak dostępu do telefonu komórkowego to prawdziwa tortura. Musiałam go oddać przy wejściu.

Kobieta widocznie zastanawia się, jak szczerą jest moja prośba. Jak na razie nie mają na mnie żadnych haków.

– W porządku. Zabiorę panią do sali pod nadzorem. Stamtąd może pani zadzwonić.

Idziemy chwilę przez korytarz, aż docieramy do niewielkiego pokoju otoczonego pleksiglasem. Pomieszczenie znajduje się dokładnie naprzeciwko gwarne go pokoju pielęgniarek. Na drewnianym stole znajdują się dwa czarne telefony stacjonarne, a przed nimi plastikowe krzeselka.

Pospiesznie siadam i wybieram z pamięci numer Roba. Sygnał rozbrzmiewa w nieskończoność, ale bez odpowiedzi. Próbuje jeszcze raz, świadoma, że pielęgniarka obserwuje mnie zza szyby. Czas mi się kończy. Przyciskam telefon do ucha. Po kolejnych trzech sygnałach Rob wreszcie odbiera, ale zamiast zwyczajowego „Hej, skarbie” słyszę dziwnie napięte powitanie.

– Kotku! – woła.

– Co się dzieje?

– Jesteśmy...

Cyk. Połączenie przerwane.

*Kurwa, co się dzieje?*

Dzwonię jeszcze raz, ale odbiera poczta głosowa. Jeszcze raz. Poczta.

Pielęgniarka wtyka głowę do pomieszczenia.

– Skończone?

– Już prawie. – Wybieram numer Abby. Dzwoni w nieskończoność. Poczta głosowa. Nie mamy w domu stacjonarnego. Nie pozostają mi żadne inne sposoby na kontakt z nimi.

Wybiegam z pomieszczenia i prawie zderzam się z lekarką w białym kitlu. Kobieta posyła mi niechętne spojrzenie, a po moich obu stronach natychmiast pojawiają się ochroniarze. Mają złowieszcze miny.

– Halo, czy ktoś może mi pomóc? – krzyczę. – Potrzebuję pomocy!

Pielęgniarka pojawia się obok mojego łokcia. W jej oczach maluje się czysta rozpacz. Ciekawe, czy też desperacko odlicza chwile, kiedy wróci do domu, do dziecka.

– Co się dzieje, pani Burke?

– Obawiam się, że moja rodzina jest w niebezpieczeństwie.

Kobieta wymienia ponure spojrzenia z inną pielęgniarką, która obserwuje mnie z pokoju pielęgniarek. Jeden palec trzyma już na czerwonym przycisku interkomu.

– Naprawdę, nie zwariowałam! Po głosie męża poznałam, że jest bardzo wzburzony.

– Nic mu nie jest. Przyjechała pani tutaj kilka godzin temu, pamięta pani?

Przerażenie rozlewa mi się po żyłach. Chyba nie wymyśliłam sobie jego niepokoju.

– Tak, ale obawiam się, że stało mu się coś złego.

Pielęgniarka próbuje odprowadzić mnie z powrotem do pokoju.

– Paranoja to częsty objaw pani choroby.

– Błagam. – Zapieram się piętami. – Ktoś musi sprawdzić, czy wszystko z nimi w porządku!

Głos pielęgniarki nabiera trzeźwego, stanowczego tonu.

– Pani Burke, musi pani wrócić do swojego pokoju.

– Nie, muszę ich znaleźć! – Wyrywam się jej i pędzę z powrotem do pomieszczenia z telefonami, ale drogę szybko zastępuje mi dwóch ochroniarzy. Kolejne sekundy upływają mi jak we mgle. Mężczyźni unieruchamiają mi dłonie za plecami, a ktoś w tym czasie wbija igłę w udo. Ból jest tak dotkliwy, że opadam na kolana.

Już po chwili ustępuje, a na jego miejscu rozlewa się ciemność.

## JILLIAN

Abby i Rob ponuro wpatrują się w jedzenie.

– To wszystko... – Nash podejrzliwym gestem wskazuje na stół.

Zastanawiam się, jak wiele zapamiętał z tej wyjątkowej letniej nocy dwanaście lat temu, kiedy się zakochaliśmy.

– Nie rozumiem – ciągnie. – Dlaczego przygotowałaś tyle jedzenia, skoro nie wiedziałaś, że przyjedziemy?

Wciąż ma umysł ostry jak brzytwa.

– Tak się składa... – Posyłam Abby smutny uśmiech. – Miałam to dziś zawieźć do pani Schaeffer.

Jej nauczycielka historii cierpi na raka piersi i właśnie zaczęła chemioterapię. Szkoła postanowiła pomóc rodzinie i przywozić jej posiłki.

Abby krzywi się jeszcze mocniej. Z trudem odrywa wzrok od pistoletu przy moim łokciu.

– Nie będą teraz głodni?

– Nie spodziewali się mnie dzisiaj. Pojadę jutro.

Zerkam na Nasha. Muszę mu przypominać, że mam dobre serce i nadal jestem tą kobietą, w której się zakochał, nawet jeśli czasami muszę prowadzić go twardą ręką, żebyśmy osiągnęli swój cel.

Moja szczodrość chyba jednak nie zmiękczyła jego cynizmu. Bawi się kawałkiem mięsa na talerzu, ale nie bierze nic do ust.

– Nadal nie rozumiem – mówi – jakim cudem udało ci się dostać pracę w szkole. Przecież najpierw pobierają odciski palców.

– Nie, jeśli już wcześniej pracowało się w szkole w Nowym Jorku.

– Czyli... Kradzież tożsamości?

– Wielkie umysły myślą podobnie, doktorze Burke.

Widelec Abby nieruchomieje nad sałatką.

– O czym ona mówi?

Rob wzdycha, tak jakbym wyrządziła mu jakąś wielką niesprawiedliwość, zmuszając do szczerości. No ale przynajmniej zbiera się na odwagę, by spojrzeć Abby w oczy.

– Twoja matka i ja musieliśmy ukryć swoją tożsamość, żeby cię chronić. Przyjeliśmy fałszywe imiona i nazwiska – posyła mi niechętnie spojrzenie – ale nie ukradliśmy ich prawdziwej osobie! Nigdy nie ściągnęlibyśmy na nikogo niebezpieczeństwa dla własnych korzyści.

Abby spogląda na niego wybałuszonymi oczami, wciąż zszokowana. Nawet nie wie, że to jeszcze nie koniec trzęsień ziemi na dziś. Kładę dłoń na jej ramieniu, rozkoszując się świadomością, że jako matka mogę ją uspokoić. Wyobrażam sobie nas razem za granicą: trzymam ją za rękę na ruchliwej ulicy w Pradze albo Londynie, a przechodnie podziwiają nasze rude włosy. I nie będzie mieć znaczenia, że nie nosiłam jej w brzuchu; urodziłam ją intelektualnie. Jestem matką, która umożliwiła jej egzystencję.

Dziewczynka wyrywa mi rękę i chowa ją pod stołem.

– Och, proszę cię – odgryzam się Nashowi. – Prawdziwej pani Miller nie stała się żadna krzywda. W zeszłym roku przestała uczyć.

Kiedy już odwaliłam całe poszukiwania nauczycielki plastyki w stanie Nowy Jork, która niedawno zrezygnowała z wykonywania zawodu, reszta była prosta. Wystarczyło posklejać jej CV z informacji zebranych na portalach społecznościowych, zdobyć referencje z poprzedniej szkoły i umówić się z dyrektorem Hastingsem w szkole Garrison Union na rozmowę kwalifikacyjną. To jedyna podstawówka w miasteczku, więc miałam zagwarantowany dostęp do Abby. Stary idiota natychmiast mnie zatrudnił. Jest znany z tego, że faworyzuje ładne kobiety. A poza tym miał kłopot, bo właśnie mieli wakacje. Był zachwycony, że się pojawiłam. Po rozpoczęciu pracy nie znałam imienia i nazwiska Abby, tylko jej login ze strony MapMyDNA – ale zauważyłam ją w muzeum i potem szybko namierzyłam w szkole. Posada nauczycielki dała mi doskonałą pozycję

do obserwowania jej z bliska, podczas gdy opracowywałam długoterminową strategię działania.

Oczywiście tak naprawdę sama stworzyłam sobie miejsce zatrudnienia. Plastyka była doskonała: łatwa do nauczania i nie wymagała uczestnictwa w wywiadówkach, które mogłyby doprowadzić do przedwczesnej konfrontacji. Kiedy już wybrałam nauczycielkę, którą postanowiłam zastąpić, praca szybko się znalazła. Kilka pogroźek w kierunku członków rodziny działa cuda. Ludzie miękną jak plastelina, gdy wydaje im się, że bezpieczeństwo ich najbliższych jest zagrożone – nie żebym naprawdę miała kogoś skrzywdzić, bez przesady. Nie jestem potworem wbrew temu, co najwyraźniej myśli o mnie Nash. Po prostu działałam strategicznie.

– Innymi słowy nic się nie zmieniło – stwierdza Robert.

– Co to ma znaczyć?

On tylko mamrocze jakąś obelgę.

– Słucham?

Nash odkłada sztucce i wbija we mnie rozszerzone spojrzenie.

– Powinienem był to wiedzieć od samego początku.

Serce podskakuje mi w piersi.

– Co takiego?

– Uważasz, że stoisz ponad prawem. Wykorzystujesz każdy słaby punkt, jaki tylko zdołasz znaleźć w człowieku.

– Daj spokój, to nie fair! Żyjemy w niesprawiedliwym świecie, nie możemy zawsze grać według zasad. Akurat ty powinienes to rozumieć.

– Gdybyś nie zdradziła mnie tym nagraniem, do niczego by nie doszło – syczy. – Ale musiałaś spiskować za moimi plecami i zapewnić im twarde dowody.

– Ja tylko próbowałam się zabezpieczyć! – protestuję. – Nie masz pojęcia, jak to jest być młodą kobietą w świecie nauki. Wszędzie czają się ambitni faceci na wysokich stanowiskach, którzy wykorzystują pracę swoich podwładnych. Nie żeby teraz to miało jakieś znaczenie.



On wykrzywia usta w grymasie.

– Nigdy nie zrobiłbym ci czegoś takiego.

– Z czasem to zrozumiałam. Niestety wtedy już było za późno. – Następuje przesycona rozgoryczeniem cisza. To moja szansa. – Przepraszam – oznajmiam. – Żałuję tego bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

Nash kiwa głową – czyżby przyjął moje przeprosiny? Jeśli tak, to być może przebaczenie czeka tuż za zakrętem. On odsuwa krzesło i wstaje.

– Pójdę po lód.

Wskazuję na podajnik na lodowce i biorę łyk wytrawnego caberneta. Alkohol łagodzi stres, rozluźnia napięcie. Szkoda, że on nie pije. Przydałby mu się kieliszek. Strofuję się w myślach – roztrząsanie złych wspomnień jest nieproduktywne. Kiedy już przekroczymy granicę i znajdziemy się w Kanadzie, osiągniemy wiele wspaniałych rzeczy.

Czas zmienić nastrój. Kiedy Rob wraca do stołu ze szklanką pełną lodu, wyławiam z torebki portfel i wyciągam z niego stare zdjęcie w sepii. Wszystkie rogi ma już miękkie i wytarte. Stoimy objęci, roześmiani. Właśnie zeszedliśmy z kolejki górskiej na Coney Island. Zaraz po tym pstryknięciu aparatu Nash przyciągnął mnie mocniej i wyszeptał mi do ucha: „Chcę cię przelecieć, natychmiast”. I zrobił to – na tylnym siedzeniu taksówki w drodze powrotnej na Manhattan. Byliśmy sobą tacy zachwyceni tamtego lata, zanim Claire wszystko zrównała z ziemią.

Przesuwam zdjęcie po stole.

– Pamiętasz?

Mruga zaskoczony, jakby wspomnienie smagnęło go w twarz. Postanawiam okazać dobrą wolę. Zdejmuję pistolet ze stołu i kładę go sobie pod nogami, poza zasięgiem wzroku.

Z ust Abby wyrywa się westchnienie. Nic dziwnego, że prawie się nie odzywa. Mało się nie posikała ze strachu.

– Chcesz zobaczyć, jak wyglądał, zanim się urodziłaś? – mówię. – Proszę.

Dziewczynka w milczeniu bierze ode mnie zdjęcie.

– Przystojny, co? – Uśmiecham się.

Abby kiwa głową. Nash wychyla się nad stołem i zabiera jej fotografię. Przyglądam się uważnie jego oczom, szukając w nich mimowolnego błysku. To niewątpliwie jedno z naszych najszcześniejszych wspólnych wspomnień. Mam wrażenie, że na widok naszej spłowiałej przeszłości po jego twarzy przebiega cień nostalgii.

– Stare dobre czasy – zamyślam się. – Nie zapomniałeś, prawda?

– Nie – przyznaje Rob. – Nie zapomniałem. – Posyła mi ledwie dostrzegalny uśmiech. – Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? Chciałbym cię o coś zapytać.

– Jasne. – Jestem zaciekawiona. I muszę przyznać, że cieszę się na szansę, by spędzić z nim chwilę sam na sam. – Chcesz iść do mojego pokoju?

– Tak. Zaraz wrócimy – mówi do Abby. – Poczekaj tutaj.

Kiedy prowadzę go do wyjścia – pamiętając, by na wszelki wypadek zgarnąć po drodze pistolet – moją uwagę zwraca cichy brzęk. Jest tak słaby, że mogłam go sobie tylko wyobrazić. Odwracam się przez ramię, by sprawdzić, czy Rob za mną idzie. Właśnie minął Abby.

– Co to było? – pytam.

– Co takiego?

– Ten dźwięk.

Oboje patrzą na mnie pustym wzrokiem, ale dziewczynkę zdradza nerwowy tik w kąciku warg.

Cofam się i staję nad nią. Trzyma splecione mocno dłonie na kolanach.

– Pokaż ręce – nakazuję.

Dziewczynka się waha, zerka na ojca.

– Daj spokój. Możemy porozmawiać? – naciska Rob.

– Pokaż ręce! – warczę.

Mała niechętnie rozkłada dłonie. Wypadają z nich moje kluczyki do auta.

– Co to ma, kurwa, być?

Wymierzam pistolet w Roba, a on natychmiast podnosi ręce.

– To moja wina, dobra? Nie jej. Widziałem, jak wkładasz kluczyki do kieszeni, kiedy weszliśmy do środka. – Zerka na moją marynarkę, wciąż przerzuconą przez oparcie stołka, tak jak ją zostawiłam. – Poszedłem po lód i wyjąłem ci je z kieszeni, a potem podałem małej, żeby spróbowała uciec beze mnie. Nawet nie wiedziała, co się dzieje. Proszę, nie rób jej krzywdy.

Biorę ostry wdech. Chciałam, żeby było miło. Staralam się. Teraz jednak jest już za późno; czas na karę. Dla obojga. Odwracam się w stronę Abby.

– Niech pani nie strzela! – błaga dziewczynka. – Zrobię, co tylko pani zechce.

Spokojnie opuszczam pistolet. Wiem, że rana, którą za chwilę zadam, sprawi obojgu większe cierpienie niż pocisk.

– Nie wiesz nic o Ethanie, prawda?

– Kto to jest?

Rob sztywnieje. Udręka maluje się na jego twarzy niczym fizyczny ból.

– Powiedz jej – żądam. – Albo sama to zrobię.

Głośny jęk wyrywa mu się z ust.

– Nie... Jillian, błagam...

Abby kurczy się na krześle.

– Tato, boję się ciebie. Kim jest Ethan?

Nash podnosi powoli głowę, chwytając się ostatnich chwil iluzji, którą podtrzymywał przez dziesięć lat.

Patrzy jej w oczy, a jego napięty głos przerywa ciszę.

– Twoim ojcem.

## ABBY

– To niemożliwe. – Rozpłaszczam się na krześle. Nie mogę odsunąć się już ani o centymetr dalej. – Nie wiem, o czym mówicie.

– To prawda – upiera się Jillian. Przed chwilą groziła, że nas zastrzeli, a teraz jej twarz znów staje się łagodna i życzliwa. Nie mam pojęcia, co tu się dzieje, kim ona jest, kim jest mój tata, ja sama. Ani czy w ogóle wyjdziemy stąd żywi.

Tata porusza ustami, ale nie słyszę jego słów; zamiast głowy mam wielki balon, który zaraz odleci. Kołyszę się na boki, świat się rozmywa, aż nagle dwie silne ręce chwytają mnie za ramiona. Otwieram oczy i widzę go tuż przed sobą – to mój tata, jedyny ojciec, jakiego znam. Jego twarz jest dokładnie taka sama jak minutę temu, a jednak coś w niej się zmieniło na zawsze.

– Kocham cię, Abigail. Zawsze będziesz moją córką, bez względu na wszystko.

Zrywam się z krzesła i biegnę pod przeciwległą ścianę.

– Zostaw mnie. Przez całe życie mnie okłamywałeś! Chcę do mamy!

– Ona też cię okłamała – mówi Jillian, podchodząc do mnie. Jej długa różowa spódnica szeleści przy każdym ruchu. Srebrne bransoletki podzwaniają na nadgarstku. Zaledwie kilka godzin temu podziwiałam je na lekcji. – Przyszłam, żeby powiedzieć ci prawdę.

Gapię się na tego człowieka, którego nawet nie znam z imienia i nazwiska.

– Kiedy zamierzaliście mi o tym powiedzieć?

Jego oczy wypełniają się łzami. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak płacze.

– Nie chcieliśmy cię tym obciążać w tak młodym wieku. – Widzę, że czuje nienawiść do samego siebie, ale jednocześnie stara się mnie przekonać, że nie jest ostatnim dupkiem.

– Nie dotykaj mnie! – krzyczę, kiedy próbuje wziąć mnie za rękę. – Nawet nie wiem, kim jesteś.

– Wszystko ci opowiem – mówi, siadając na podłodze.

Opiera się o ścianę, ale nie za blisko. Jillian zajmuje miejsce pod ścianą naprzeciwko nas i obejmuje kolana ramionami. Przygląda mu się z dziwnym skupieniem, jakby poza nim nikogo tu nie było. Nie mogę oderwać wzroku od pistoletu. Kiedy ona dostrzega mój strach, chowa broń za sobą, żebym jej nie widziała.

– No, dalej – pogania. – Powiedz jej.

On bierze głęboki wdech.

– Kiedyś nazywałem się Robert Nash i byłem lekarzem mamy. Prowadziłem eksperyment, który miał doprowadzić do twojego powstania, żebyś urodziła się zdrowa.

– Nie daj się zwieść jego skromności – wtrąca Jillian. – Rob był najwybitniejszym badaczem płodności naszych czasów.

Po jej niedawnym wybuchu dziwnie się czuję, widząc, jak mu schlebia. Jakby miała obsesję na jego punkcie.

On jednak zupełnie ją ignoruje.

– Twoja mama przyszła do mnie ze swoim... mężem. Ethanem.

Przerywa, żebym mogła przyswoić tę informację. Nie potrafię sobie wyobrazić mamy z nikim innym. To nie ma sensu.

– Chcieli mieć jeszcze jedno dziecko, ale wiesz, co się stało z Coltonem. Bali się, że ciebie czeka to samo.

– Czyli nie jesteś tatą Coltona?

– Nie.

To wyjaśniałoby, dlaczego nigdy nie widziałam ich razem na żadnym zdjęciu. Mamy w domu mnóstwo zdjęć mamy z Coltonem. Zawsze sądziłam, że tata stał po drugiej stronie obiektywu. Nie jakiś inny facet...

– Nie zdążyłem nawet poznać twojego brata. Zmarł, zanim mama i Ethan do mnie przyszli. Właśnie dlatego się ze mną skontaktowali.

– Dlaczego nigdy wcześniej mi o tym nie powiedzieliście?

– Nie chcieliśmy, żebyś czuła się inna niż rówieśnicy. Zwłaszcza w tym wieku, kiedy dzieciom tak bardzo zależy, by pasować do grupy... – dodaje i urywa. – Nie wiem, może należało to zrobić wcześniej. Baliśmy się, że to ci zniszczy dzieciństwo.

– Nie mogę uwierzyć, że byłam szczurem laboratoryjnym, zanim się urodziłam.

– Nie ma się czego wstydzić – wtrąca Jillian. – Masz szczęście. Powinnaś być wdzięczna.

– Daj jej chwilę – ucisza ją tata. – Ma troje rodziców. Jak ty byś się z tym czuła?

– Gdybym dzięki temu urodziła się zdrowa, to zajebicie.

Oboje milkną. Przecieram oczy. Dopada mnie fala wyczerpania, a jednocześnie co pięć sekund sprawdzam, czy Jillian nie sięga znowu po pistolet.

\* \* \*

– Jillian ma rację. – Tata zgrzyta zębami. – Gdybyśmy pozwolili, żeby wszystko przebiegło zgodnie z prawami natury...

– Szkoda tylko, że twoja mama narobiła nam takich kłopotów. – Jillian przeciąga paznokciami po dywanie, zostawiając głębokie bruzdy między włóknami. – Obiecała, że utrzyma wszystko w sekrecie, ale wygadała się Ethanowi, który był szychą od etyki na Uniwersytecie Columbia. A on zgłosił sprawę na policję, że niby popełniliśmy przestępstwo federalne. W tym kraju nie wolno zmieniać komórek jajowych ani zarodków człowieka. Nie podobało mu się, że to zrobiliśmy.

– Ta procedura brzmi trochę strasznie – przyznaję. Wyobrażam sobie, jak schylają się nad naczynkiem z komórkami, które pewnego dnia zmienią się we mnie, jak wyciskają kropelki DNA różnych ludzi i mieszają je ze sobą.

– A dlaczego? – odgryza się Jillian. – Skoro uratowało ci życie?

– Nie wiem. To po prostu wydaje mi się niewłaściwe. – Unoszę brew, spoglądając na tatę.

– Długo się nad tym zastanawiałem. Dlaczego to „wydaje się” niewłaściwe, skoro przecież nasza interwencja pomogła ci uniknąć strasznego losu.

– No i? Dlaczego?

– Ethan wygłosiłby całą filozoficzną tyradę o zabawie w Boga. Ale ja uważam, że po prostu bał się naruszenia *status quo*.

– Nawet jeśli to oznaczałoby, że wiele dzieci umrze straszną śmiercią – wtrąca Jillian ze złością.

– Właśnie. Więc uznaliśmy, że szkody, jakie wyrządziłoby posiadanie trojga biologicznych rodziców, takie jak na przykład problemy z tożsamością, będą o wiele mniej krzywdzące niż urodzenie się jako nieuleczalnie chore dziecko dwóch osób. Dlatego uważaliśmy ten eksperyment za właściwy.

– Ale ja zostałam wysłana za to do więzienia. – Jillian kręci głową, jakby nadal była zaskoczona. – Nienormalny kraj.

Tata wzdycha.

– Tak. A ja uciekłem, żeby pomóc mamie. Nie miała nikogo, kiedy się urodziłaś. Ale musieliśmy potem żyć tak, żeby nie rzucać się w oczy, bo złamaliśmy prawo.

Ledwo mogę oddychać.

– Zaraz, to wy nawet nie jesteście razem? Tylko ze sobą mieszkacie?

Chyba zaraz zwymiotuję. Przypomina mi się, jak tańczyli powoli w salonie, jak rozwiązywali razem krzyżówki w łóżku, siali warzywa w ogrodzie. Jak to wszystko mogło być nieprawdziwe?

– Nie! – protestuje tata. – Nie myśl tak. Może i nie jesteśmy oficjalnie małżeństwem, ale nasz związek jest równie prawdziwy jak każdy inny.

– Bo byliście na siebie skazani?

– Bo ty nas do siebie zbliżyłaś. Pokochaliśmy cię od pierwszej chwili, a potem zakochaliśmy się też w sobie nawzajem.

Żadne z nas nie widzi, jak Jillian przyjmuje te informacje, aż do chwili gdy podnosi się z głośnym prychnięciem.

– On ci wciska jakąś bajkę.

– Wcale nie! Skarbie, mówię prawdę.

Spoglądam to na jedno, to na drugie. Nie wiem, komu mam wierzyć.

Jillian przewraca oczami.

– Tolerował ją przez tyle czasu, bo jest dobrym człowiekiem, i poświęcił dla ciebie wszystko. Ale nie jest jeszcze za późno, żeby to odzyskać. Dlatego wróciłam.

– O czym ty mówisz? – Tata marszczy brwi.

– Przyjechałam was uwolnić.

Uśmiecha się po raz pierwszy od godziny. To prawdziwy uśmiech, pełen nadziei i radosnej ekscytacji. Tata przysuwa się do mnie bliżej, szybko oddycha. Przeraza mnie kontrast między nimi.

– Jutro z samego rana jedziemy do Kanady – oznajmia Jillian. – Kiedy już wyrwiemy się z tego kraju, nie będziesz musiał dłużej żyć w strachu. Będziemy mogli wreszcie opublikować wyniki naszych badań, a potem przyjdzie reszta: praca, pieniądze, sława. – Kobieta uśmiecha się do mnie. – A ty jesteś naszą przepustką do wolności.

Z gardła taty wydobywa się taki odgłos, jakby miał zwymiotować.

– Chyba żartujesz. – Wstaje, podnosi mnie z ziemi i przerzuca sobie przez ramię, tak jak wtedy, kiedy byłam mała i nie chciałam iść spać. – To kompletny obłąd.

– Będziesz dziś spać w moim łóżku – odpowiada Jillian bez wahania. Następnie spogląda na mnie z przepaszającym westchnieniem. – Bardzo mi przykro, ale chyba będzie najlepiej, jeśli pójdziesz spać do piwnicy. Nie chciałabym, żebyś zrobiła coś głupiego i próbowała uciekać. Tylko na jedną noc, okej?

*Ze co?*



– Nie ma mowy! – Przywieram do szyi taty. Obejmuje mnie mocniej, żebym się trochę uspokoiła, ale sam jest wystraszony.

– Nie przejmuj się, jest tam ogrzewanie, leżanka i koc. Nic ci nie będzie. Jutro się przeorganizujemy – mówi Jillian.

Idzie do drzwi w kącie. Sądziłam, że to szafa na płaszcz, ale w środku widzę schody.

Co zrobić? Nie chcę jej znowu wkurzyć, zwłaszcza dopóki ma broń, więc idę za nią, ściskając plecak w dłoniach. Włącza światło, żebym się nie potknęła. Goła żarówka zwisa z sufitu. W piwnicy śmierdzi zbutwiałym drewnem, a w drodze na dół prawie duszę się od kurzu. Chyba od stu lat nikt tu nie wietrzył.

Na betonowej posadzce stoi niewielkie metalowe łóżko przykryte kocem. Do tego okienko pod sufitem, zbiornik na olej opałowy i sterta drewna. Poza małym kręgiem światła nic nie widać. Reszta piwnicy jest pogrążona w całkowitej ciemności. Dreszcz przebiega mi po ramionach. Co jeszcze tutaj mieszka?

– No, to dobranoc! – woła Jillian. Macha do mnie smutno ze szczytu schodów, jakby zamykała mnie tu wbrew sobie. – Widzimy się jutro z samego rana!

Następnie zatrzaskuje drzwi i zamyka na zasuwę.

## CLAIRE

Światło przebija mi się przez powieki. Nie ten miękki, różowy wschód słońca, który wita mnie w domu każdego ranka. Ten sztuczny, ostry blask leje się z sufitu. Mrużę oczy. Pielęgniarka stoi nade mną z podkładką z klipsem w dłoni. Ma na sobie ten sam niebieski uniform co wczoraj, a włosy nadal zebrane w ciasny koczek, ale zamaskowała już cienie pod oczami korektorem. Chyba nastał już nowy dzień.

– Lepiej się pani czuje? – pyta. – Miała pani ciężką noc.

– Słucham?

– Ochrona... Nie pamięta pani?

Wspomnienia wracają w strzępach – ktoś mnie przygwoździł do ziemi, podał leki. Mdli mnie, a w pustym brzuchu burczy mi z głodu.

– Jak długo byłam nieprzytomna?

– Około dwunastu godzin.

– Czy kontaktował się z państwem mój mąż?

– Jeszcze nie. – Pielęgniarka kręci głową. – Przykro mi.

Siadam gwałtownie, ale kręci mi się w głowie, więc znów się kładę. Z przyzwyczajenia sięgam na szafkę nocną po komórkę, ale jej tam nie znajduję.

– Proszę się oszczędzać. Środek na uspokojenie może jeszcze działać.

Nie zamierzam się oszczędzać. Nie obchodzi mnie choroba. Tylko jedna rzecz ma znaczenie, ale nie mogę okazywać paniki, bo znów mnie otumanią lekami.

– Czy mogłabym do niego zadzwonić? – pytam tak spokojnie, jak tylko potrafię. – Proszę.

Kobieta zerka na zegarek z paskiem w obrazki z Myszka Minnie. To jedyny kolorowy akcent w jej nijakim ubiorze. Zastanawiam się, czy też ma córeczkę – czy rozumie, jaką torturą jest rozłąka z dzieckiem.

– Już prawie pora na obchód. Lekarz będzie chciał panią zbadać.

- Bardzo panią proszę. Muszę się tylko upewnić, że córka dotarła do szkoły. Kobieta się waha, jakby próbowała ocenić moją prośbę.
- Ma dzisiaj ważny sprawdzian – kłamię. – Naprawdę mi zależy.
- W porządku. Ale proszę się pospieszyć.
- Dziękuję!

Pielęgniarka prowadzi mnie do telefonu. Na korytarzu mijamy kilkoro pacjentów prowadzonych na terapię grupową. Młody mężczyzna ze zgołoną jedną brwią rozgląda się podejrzliwie na boki. Niechlujna kobieta ucieka przed jakimś wyobrażonym duchem. Przechodzi zbyt blisko mnie; śmierdzi od niej starym potem. Odsuwam się z obrzydzeniem, ale zauważam, że wciąż mam na sobie to samo ubranie, w którym straciłam przytomność, twarz mam tłustą, a zęby pokryte wczorajszym osadem. Może rzeczywiście jestem jedną z nich.

– Ma pani pięć minut – oznajmia pielęgniarka, gdy docieramy do rzędu telefonów. – Nie więcej.

Wybieram numer Roba. Pragnienie usłyszenia jego głosu jest silniejsze niż potrzeba jedzenia, picia czy skorzystania z toalety, ale moje nadzieje okazują się płonne. Natychmiast odzywa się poczta głosowa. Próbuję skontaktować się z Abby, ale tym razem też słyszę nagranie z automatycznej sekretarki. „Hej! Nie ma mnie teraz, ale moja asystentka Alice odbierze twoją wiadomość. Alice?” Następnie rozlega się robotyczny komunikat: „Nagraj wiadomość po sygnale”.

Abby była z siebie taka dumna, kiedy wymyśliła to powitanie. Obie się z tego śmiałyśmy. Teraz jednak nagranie przepełnia mnie strachem.

Rozłączam się i dzwonię do jej szkoły. To jeden z nielicznych numerów, jakie znam na pamięć.

- Dzień dobry, szkoła podstawowa Garrison Union – mówi recepcjonistka.

Wyobrażam sobie pogodną blondynkę, często malującą paznokcie w szkolne barwy, granatowy i różowy. Ona jest jak wata cukrowa: sama słodczy, żadnej wyrazistości.

- Dzień dobry! – odpowiadam wesoło. – Mówi mama Abby.
- Dzień dobry, pani Burke, w czym mogę pomóc?

– Wie pani, musiałam wyjechać z miasta i chciałam się upewnić, że córka dotarła do szkoły na czas. Nie mogę się skontaktować z mężem.

– A, już sprawdzam. – W słuchawce rozlega się wesoła muzyczka. Nie wyobrażam sobie większego kontrastu z nastrojem w tej dusznej budce telefonicznej. Mój czas się kończy.

– Przykro mi, ale Abby nie ma w szkole – odzywa się po chwili Carla przepraszającym tonem. – Rozchorowała się.

– Słucham? Niemożliwe. Ona nigdy nie choruje!

– Przykro mi. Czy mogę coś jeszcze dla pani zrobić?

– Nie, to wszystko. Dziękuję.

Abby jest absurdalnie zdrowa. To zupełne przeciwieństwo Coltona. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz musieliśmy zwolnić ją z lekcji. Fale moich myśli wyrzucają na brzeg tylko jedną literę.

A co jeśli J stoi za tym wszystkim?

To wydaje się niemożliwe – zainstalowaliśmy w domu tyle kamer, nowy system bezpieczeństwa. Jakim cudem drobna kobieta mogłaby się włamać i porwać dorosłego mężczyznę i dziecko? A mimo to nie mogę pozbyć się lęku. Czy to paranoja? Ale z drugiej strony... Przecież pojawiła się pod naszym domem w nocy, a wcześniej zwabiła Abby do muzeum.

Jakaś część umysłu krzyczy na mnie, żebym wzięła się w garść – że zachowuję się nieracjonalnie – ale ją zagłuszam. Zamiast tego poświęcam uwagę temu drugiemu głosowi, który namawia mnie do działania.

Wychodzę z budki.

– Skończone? – pyta pielęgniarka.

– Tak. Wracam dziś do domu.

– Słucham? Przecież nawet nie zaczęła pani leczenia.

– Zapisalam się tu z własnej woli. Nie zagrażam bezpieczeństwu swojemu ani innym, więc nikt nie może mnie powstrzymać przed odejściem.

– Dopiero co miała pani poważny atak paniki. Nie chce pani chociaż poczekać na lekarza?

– Nie mam czasu. Moja rodzina może mieć kłopoty.

– To choroba przemawia teraz przez panią. Proszę chociaż skonsultować się z lekarzem!

Może ma rację, ale prędzej dam się pokroić, niż pozwolę, żeby coś przeszkodziło mi w opiece nad córką. I tak nie poradzę sobie z lękiem i zespołem stresu pourazowego, jeśli nie będę wiedziała, czy z Abby wszystko w porządku. Nie mogę tu zostać.

Posyłam kobiecie zniecierpliwiony uśmiech.

– Dziękuję za troskę, ale chciałabym tylko odebrać swoje rzeczy. I zadzwonić po taksówkę.

– Ale to wbrew zaleceniom medycznym.

– Odda mi pani moje rzeczy czy mam poprosić kogoś innego?

– Po tym, co wydarzyło się wczoraj, lekarz dyżurujący nie zgodzi się, żeby panią wypisać. Nie jest pani gotowa.

– Według prawa nie mogą mnie państwo tu przetrzymywać. Zapisalam się tu z własnej woli.

– Tak, ale szpital może ubiegać się o sądowy nakaz pani hospitalizacji – ostrzega pielęgniarka.

Strach mnie ogarnia. Muszę przekonać tę kobietę, by stanęła po mojej stronie.

– Pani też ma córeczkę, prawda? – pytam, wskazując na jej zegarek z Myszka Minnie.

Spogląda na mnie z zaskoczeniem.

– Tak, ma dziewięć lat.

– Prawie tyle co Abby. Moja córka mnie teraz potrzebuje.

Pielęgniarka wzdycha, jakby mnie zawiodła, ale jednocześnie zdradza, że się poddaje.

– Nikt nie zdołałby mnie przekonać, żebym została – zapewniam. – To nie pani wina.

– No dobrze. – Kiedy dotyka mojego ramienia, uświadamiam sobie, że już nic mi nie grozi z jej strony. Została w niej wyłącznie życzliwość. – Mam nadzieję,

że znajdzie pani to, czego szuka.

## JILLIAN

Nash i ja leżymy w łóżku, oddaleni od siebie na jakiś kilometr. Milczymy. Kiedy zrywa się wiatr, drzewa na dworze szumią, a szyby w oknach dygoczą. W taką ponurą noc pragnę jedynie, żebyśmy użyczyli sobie ciepła swoich ciał. Od tak dawna niczego innego nie pragnę. Zastanawiam się, jak dobrze zapamiętał moje nagie ciało i rzeczy, które sobie robiliśmy.

Jego rozzłoszczony oddech niszczy cały efekt. Nash nie odezwał się ani słowem, odkąd schowałam pistolet do szuflady w szafce nocnej i zgasiłam światło. Co to za zimna wojna? Leżymy pod jedną kołdrą, ale on odsuwał się centymetr po centymetrze, aż dotarł do ściany po przeciwnej stronie łóżka. Jakby sądził, że nie zauważę. Jeśli czeka, aż zasnę pierwsza, to powodzenia. Nie ma szans. Oboje leżymy płasko na plecach i wpatrujemy się w sufit. On rozebrał się do bokserek i koszulki; ja mam na sobie swoją najseksowniejszą jedwabną koszulkę nocną.

On jednak pozostaje nieczuły na moje starania. Założę się, że nadal myśli o niej.

Po cichu gotuję się ze złości, aż w końcu postanawiam przerwać impas. Musimy iść naprzód; od tego zależy nasza przyszłość.

W końcu przesuwam małym palcem po jego udzie.

– Przestań – mówi ostro. – Nie rób tego.

– Och, rozluźnij się trochę. – Przekręcam się na bok, żeby na niego spojrzeć.

Nie rusza się z miejsca.

– Nie mogę uwierzyć, że kazałaś jej spać w piwnicy.

– Inaczej by uciekła.

Nash odrzuca kołdrę.

– Ile?

– Słucham?

– Ile mam ci zapłacić, żebyś zostawiła nas w spokoju? Dziesięć tysięcy?

Dopiero po chwili dociera do mnie ta obelga. Mrugam kilka razy z zaskoczeniem.

– Myślisz, że próbuję wyciągnąć od ciebie kasę?

– A co innego?

– Już ci powiedziałam. Zabieram nas z tego kraju, żebyśmy mogli wrócić do pracy w tym miejscu, w którym ją przerwaliśmy. – Przysuwam się bliżej, choć nadal leżymy na odległość ramienia od siebie. – Zaslługujesz na coś o wiele lepszego.

Prycha.

– Naprawdę, jestem gotów negocjować. Czego chcesz?

– Już ci powiedziałam.

– Daj spokój, każdy ma swoją cenę.

– Dostyc tego. – Mam ochotę dać mu w twarz. – Powinieneś mi dziękować.

– Jasne, jesteś taka wyrozumiała.

Postanawiam zwrócić się do tej racjonalnej części jego osobowości.

– Przecież daję ci furtkę. Czego jeszcze mógłbyś pragnąć?

– A co, jeśli nie chcę jechać?

To nie jego słowa. Ona wsadziła mu je w usta. Ten geniusz, którego znałam, nigdy nie wybrałby miłkiego życia z niezrównoważoną kobietą. Samo wspomnienie o jej wpływie na stan jego umysłu tłumi moją wściekłość. To na pewno jest przejściowe. Samo minie, jak infekcja wirusowa. Dopiero wtedy stanie się naprawdę wolny.

Nash siada na łóżku; pościel szeleści.

– A jeśli to ty jesteś moim największym problemem?

– Rozumiem. Ale kiedy już zaczniemy wszystko od nowa, będziesz mi wdzięczny. Kiedy ostatni raz postawiłeś nogę w laboratorium?

Trudno mi to dostrzec w ciemności, ale wydaje mi się, że przez jego twarz przebiega cień tęsknoty. To dowód na to, że pod tymi wszystkimi warstwami niedoborów i strat wciąż kryje się dawny, prawdziwy on.



– Zapłaciłeś straszliwą cenę – mówię łagodnie. – Ale nie musisz z tym żyć już zawsze.

Odpowiedź przychodzi o chwilę za późno, jakby zbierał się na odwagę, by mi się sprzeciwić.

– Tamta część mojego życia się skończyła. Już dawno poszedłem dalej. I ty też powinnaś.

Jego milczenie wyjawilo mi jednak coś innego.

– Czyżby? – Gładzę koniuszkami palców jego nagą kostkę.

– Jillian. – Nash odsuwa mnie od siebie, ale nie gwałtownie. – Jestem teraz żonaty.

– A czy ona ci tak robi? – Wsuwam dłoń w jego bokserki i bawię się jego jądrami tak, jak lubił najbardziej. To zawsze była najprostsza droga do ekstazy.

Na wpół spodziewam się, że dostanę kolanem w brzuch, ale ku mojej radości okazuje się, że wielkie ryzyko się opłaciło. Jego podkurczone nogi wiotczą, z gardła wyrywa mu się cichy jęk.

– Lubisz to – szepczę, zwijając się w kłębek obok niego. Zaczynam go pieścić. Dyszy, całe jego ciało promieniuje gorącem. Od lat z nikim nie spałam, ale moje dłonie pamiętają cały ten rytuał. Właściwe ruchy wracają natychmiast, to pamięć mięśniowa.

Już po chwili on przygniata mnie swoim ciężarem i chwyta za nadgarstki. Czekam, aż przygwoździ mnie do łóżka i zerznie. Nie przeszkadza mi, że mnie przydusza. Ruch naszych ciał to dla mnie wystarczające źródło tlenu. Wciąż mamy na sobie bieliznę, ale to i tak najgorętsze doznanie, jakie przeżywam od dziesięciu lat.

– Włóż mi go – błagam. – Nie wytrzymam.

– Masz gumkę?

– Nie, nie potrzebuję.

– Czekaj, sprawdzę.

Może to przez ten chętny ton, a może dlatego, że nagle zauważam miękkość jego penisa, kiedy Nash sięga do szafki nocnej, w głowie pojawia mi się wstręt

myśl. Wydaję z siebie głośny wrzask, a on otwiera szufladę i chwyta mój pistolet.

W półmroku próbuje odbezpieczyć broń, a ja rzucam się na niego z całą siłą, jaką udaje mi się zebrać; moja wściekłość podwaja moc ataku.

Rob jest gotowy, ale niewystarczająco. Nie ma czasu ustawić pistoletu, więc ostatecznie tylko zasłania nim twarz, a ja zderzam się z nim i oboje spadamy z łóżka. Unieruchamiam go zręcznym kopniakiem w krocze – łatwy cel. Jemu udaje się uderzyć mnie w ramię, ale nie spodziewał się, że zatopię zęby głęboko w jego uchu.

Zwierzęcy ryk rozdziera powietrze, metaliczny smak krwi rozlewa mi się po języku. Nie mogę powstrzymać odruchu wymiotnego. On jednak zaczyna się wić na podłodze, a uścisk dłoni na pistolecie wiotczeje. Wyrywam mu broń z triumfalnym uśmiechem i celuję w niego z góry.

Nash sięga do lewego ucha.

– Kurwa, co ty...? – Urywa, zauważając, że brakuje mu górnego kawałka małżowiny. Uświadamiam sobie, że wciąż trzymam go w ustach. Wypluwam kawałek mięsa na jego nogę.

– Zapomniałeś, że byłem w więzieniu. Tam człowiek szybko się uczy walki wręcz.

– Proszę cię. – Krew zalewa mu odsłoniętą chrząstkę, ścieka po uchu. – Nie strzelaj. Abby mnie potrzebuje.

– Czy teraz będziesz już współpracować?

– Zrobię wszystko, co każesz.

– Wyjedziesz ze mną?

Jego cierpienie wyraźnie się zwiększa.

– Tak.

– Jutro?

– Tak.

Jestem usatysfakcjonowana tą odpowiedzią. Odsuwam pistolet od jego twarzy.

– Wracaj do łóżka. Muszę ci to opatrzyć.

Nash bez słowa sprzeciwu gramoli się z powrotem na pościel. Krew kapie na białą kołdrę, ale kto by się tym przejmował. Jutro rano już nas tu nie będzie.

Znów zamykam pistolet w nowoczesnym pudełku, które otwiera się tylko na mój odcisk palca. Co za głupi błąd – sądziłam, że zdobędę go seksem. Oczywiście, że nie. Przez tyle lat tkwił w izolacji z Claire w jej skrzywionej rzeczywistości. Możliwe, że będzie potrzebował tygodni na powrót do siebie i zaakceptowanie naszej drugiej szansy. Wiedziałam, że potrzebuje ratunku, ale nie spodziewałam się, że będzie w aż tak złym stanie psychicznym. To potrwa dłużej, niż się spodziewałam, ale już niedługo będziemy mieć tyle czasu, ile dusza zapragnie.

Kiedy Nash leży już pod kołdrą, przynoszę z łazienki ręcznik, szklankę wody i apteczkę, a następnie zabieram się do oczyszczania rany. Przykładam gazik nasączony alkoholem. On krzyczy z bólu, ale ja trzymam go za głowę i szepczę uspokajająco, dopóki nie skończę. Następnie go bandażuję i podaję dwa paracetamole i jeden ibuprofen, żeby mógł zasnąć.

– Nie trzeba – protestuje i odsuwa od siebie leki, ale krzywi się, gdy ucho dotyka poduszki.

– Boli cię. – Wciskam mu pigułki do ręki. – Nie ma sensu, żebyś się męczył. Niechętnie berze wodę i połyka lekarstwo.

– Dobra robota – chwalam go i klepię po kolanie. – A teraz śpij. Jutro wielki dzień.

Nash znów kładzie się w pościeli i zamyka oczy. Po kilku minutach jego niespokojny oddech zwalnia i się uspokaja. Kiedy patrzę, jak zasypia, czuję między nami intymniejszą więź niż podczas seksu; to przywraca siły lepiej niż sen. Rozkoszuję się tą wyjątkową, samotną chwilą razem: jesteśmy we dwoje, a jednocześnie jestem tu sama. Jedyne świadek spokojnego snu ocalonego człowieka.

\* \* \*

Budzę się przed nim, kiedy pierwsze światło poranka przebija się przez zasłony. On śpi jak zabity; usta ma półotwarte, lekko chrapie, plama ze śliny na poduszce. Nie chcę go budzić, ale bandaż jest przesiąknięty krwią, a ręcznik pod jego głową zmienił kolor z białego na jaskrawoczerwony. Mam nadzieję, że nie będzie trzeba zakładać szwów. Nie mam w planach zatrzymywania się na pogotowiu.

Rozważam samodzielne nałożenie szwów, choć nie mam żadnych środków znieczulających. Nagle jednak słyszę dźwięk tłuczonego szkła. Zeskakuję z łóżka, Nash otwiera oczy. W jednej chwili jest zupełnie rozbudzony.

– Gdzie jest Abby?

Szlag. Prawie o niej zapomniałam.

Rob chwiejnie wstaje z łóżka, trzymając się za ucho, ale nie mamy czasu na zmianę opatrunku. Biegniemy przez dom do piwnicy i pędzimy w dół po schodach. Tam jednak odkrywamy, że spełnił się najgorszy z możliwych scenariuszy. Z okna zostało tylko kilka odłamków szkła, zachlapanych białą farbą.

Abby zniknęła.

## ABBY

Staram się nie płakać podczas biegu, ale to bardzo trudne. Nigdy w życiu nie czułam się tak samotna.

Świeże powietrze trochę pomaga. Całe ramiona mam pokryte zadrapaniami, które pieką na wietrze. Gałązki w leśnym poszyciu trzaskają mi pod nogami. Drzewa rozmywają mi się przed oczami. Pędzę w stronę ulicy.

– Wracaj tu! – Z oddali dobiega rozgorączkowany krzyk. To ona.

Nie odwracaj się. Jestem przerażona na samą myśl, że zobaczę pistolet w jej dłoni. Wyobrażam sobie pocisk lecący ku mojej głowie, który zabije mnie na miejscu.

– Czekaaj! – krzyczy Jillian. – Możemy o tym porozmawiać!

Serce tak mi wali, że chyba zaraz eksploduje. *Nie płacz, tylko nie płacz.* Myślę o kulach z pistoletu i biegnę jeszcze szybciej. Mój rozpaczliwy oddech brzmi tak, jakby ktoś się dusił. Jakby umierał. Gnam przed siebie jeszcze szybciej, z całych sił.

Zmuszam się, by zdwoić tempo, cały czas myśląc o nagrodzie – głównej ulicy czekającej za lasem. Nie słyszę wołania taty. Boże, mam nadzieję, że go nie zastrzeliła. O, Jezu.

Mam nad nią na tyle dużą przewagę, że chyba dam radę ją zgubić. Daleko za mną, gdzieś przy domu rozlega się szelest liści, gdy Jillian zaczyna biec, ale ja już widzę przed sobą szerokie pasmo ulicy. Ten widok funduje mi kolejny zastrzyk nadludzkiej energii.

Kiedy wreszcie dosięgam chodnika, bolą mnie stopy, a adidasy mam całe pozdzierane. Plecak ciąży mi tak, jakby był pełen kamieni. Kiedy wreszcie zbieram się na odwagę, by obejrzeć się przez ramię, z ulgą odkrywam, że mnie nie goni. Na ścieżce jest pusto. Nasłuchuję jej kroków w oddali, ale w lesie zapadła cisza.

Czyżbym naprawdę była wolna? A jeśli to tylko kolejna pułapka?

Już sama nie wiem, co myśleć o tym wszystkim.

Na lekcjach zawsze traktowała mnie najlepiej ze wszystkich, a teraz zmieniła się w psychiczną stalkerkę i porywaczkę. Tata zawsze był moim tatą, a teraz jest... Kimś innym.

Mimo to okropnie się czuję, że zostawiłam go samego.

Tata czy nie tata, nie mogę znieść myśli, że tam jest i być może cierpi. Słyszałam wczoraj w nocy, jak się pobili. Rozległ się trzask i łomot, jakby ktoś upadł na ziemię. Nie wiem, czy jej pistolet wystrzelił, ale potem było już cicho. Może i jestem na niego wściekła, ale przecież nie chcę, żeby umarł.

Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby go stamtąd wyciągnąć. Żałuję, że nie mam żadnej cioci ani wujka czy innej rodziny, do której mogłabym się zwrócić po pomoc. Chciałabym iść do mamy, ale ona zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością. To stanowczo zbyt poważna sprawa dla moich przyjaciół, a jeśli poproszę o pomoc w szkole, to zadzwonią na policję. A to byłoby jeszcze gorsze. Aresztowaliby jego, nie ją. Nie ma mowy, nie wciągnę w to policji.

Słońce wspina się coraz wyżej po niebie, a ja idę wzdłuż ulicy i nie mam zielonego pojęcia, dokąd się kieruję. Po mojej lewej rozciąga się las, za nim płynie rzeka. Po drugiej stronie ulicy znajduje się strome wzgórze, a na nim więcej drzew. Burczy mi w brzuchu. Przypominam sobie, że nic nie jadłam od wczorajszego wieczoru, a nawet wtedy ledwo tknęłam obiad Jillian. Język mam suchy jak papier ścierny, szorstki i nierówny. Na samą myśl o wodzie robi się jeszcze bardziej nieprzyjemny. Próbuję przełknąć ślinę, ale jej nie mam.

W oddali rozbrzmiewa niski skowyt pociągu. Linia Metro-North. Kiedy mrużę oczy i patrzę między drzewa, widzę srebrne wagony jadące wzdłuż rzeki Hudson.

Sarkastyczny głos Jillian rozbrzmiewa mi w myślach: „Ethan, szycha od etyki na Uniwersytecie Columbia”.

Zamieram bez ruchu. Pojadę odnaleźć swojego ojca.

\* \* \*

Jakieś pół godziny po tym, jak postanowiłam ruszyć w kierunku dworca – bez mapy, jedzenia i wody – zatrzymuje się koło mnie odrapany ford explorer. Za kierownicą siedzi nastolatka z wielkimi okrągłymi kolczykami w uszach. Dziewczyna otwiera okno.

– Hej, wszystko okej?

Jestem tak głodna i spragniona, że tylko kręcę głową.

– Chcesz, żebym po kogoś zadzwoniła? Może po twoich rodziców?

Odkasłuję.

– Nie, dzięki.

Dziewczyna marszczy brwi. Jej rzęsy są ciężkie od maskary.

– Wyglądasz na młodszą od mojej siostry, a jej nie wolno nawet chodzić samej do szkoły.

– Mnie wolno.

Dziewczyna znów chwyta za kierownicę.

– No dobra, to...

– Słuchaj, a czy mogłabyś mnie podwieźć na stację?

– Jeśli uciekłaś z domu albo coś, to nie...

– Nie, tata mnie odbierze na Manhattanie. Trochę się pokłóciłam.... z macochą. Więc muszę jakoś tam dotrzeć sama.

– A, rodzinne jazdy! – Nastolatka uśmiecha się tak, jak mogłaby to zrobić starsza siostra. – Oj, wiem coś o tym. Wskakuj.

\* \* \*

Podróż zajmuje niecałe dziesięć minut. Moja nowa koleżanka jest tak miła, że dzieli się ze mną batonikiem białkowym i wodą. Jestem jej tak wdzięczna, że mam ochotę się rozplakać. Może to przez to wszystko, co mnie ostatnio spotkało

i poczucie, że nie wiem, komu ufać, ale jej życzliwość trafia mi prosto do serca. Kiedy dorosnę, chcę być taka jak ona i pomagać innym ludziom w potrzebie.

Na zatłoczonym peronie nikt nie zwraca na mnie uwagi. Ludzie w garniturach piszą na telefonach albo czytają coś na tabletach. Kupuję bilet i siadam blisko jakiejś kobiety na ławce, żeby ludziom się wydawało, że jesteśmy razem. W ten sposób nikt nie będzie się zastanawiać, dlaczego jedenastolatka podróżuje sama.

Wkrótce przyjeżdża pociąg, wszyscy chaotycznie wsiadają do przedziałów i szukają wolnych miejsc. Przechodzę przez kilka wagonów, aż wreszcie widzę wolne miejsce obok grubego mężczyzny w garniturze. Guziki marynarki wyglądają tak, jakby zaraz miały na nim pęknąć. Jest łysy, ma białe wąsy i wielki nos. Wygląda trochę jak Święty Mikołaj – gdyby Mikołaj dojeżdżał pociągiem do pracy w Nowym Jorku. Głowę oparł o okno, a oczy zamknął. Mam nadzieję, że nie obudzi się i nie zacznie zadawać zbyt wielu pytań.

Zajmuję miejsce, a pociąg szarpie do przodu. Jedziemy.

Dokąd? Nie wiem, gdzie mieszka Ethan. Nie znam nawet jego nazwiska, słyszałam tylko, że zgłosił eksperyment i narobił mnóstwo kłopotów.

Zaraz. Skoro moi rodzice musieli zmienić nazwiska, ukrywać się i bać rozpoznania, to znaczy, że świat o nich słyszał. A jak ktokolwiek miałby o tym wiedzieć, jeśli nie...?

Mężczyzna obok mnie zaczyna chrapać.

– Przepraszam pana. – Ciągnę go za rękaw. – Bardzo przepraszam, ale czy mogłabym pożyczyć od pana telefon?

Starszy pan przygląda się moim brudnym włosom, spoconemu podkoszulkowi, odrapanym ramionom.

– Spadłam z trampoliny u koleżanki – wyjaśniam szybko. – Ale nic mi nie jest. Tylko zapomniałam telefonu i muszę coś sprawdzić.

– Czy ty... – starszy pan rozgląda się po pasażerach siedzących w pobliżu. – Jesteś tu sama?

– Jadę na Grand Central spotkać się z tatą. To nic wielkiego, zawsze jeżdżę sama.



– W dzisiejszych czasach rzadko widuje się dzieci podróżujące bez opieki – mówi zaskoczony.

– Moi rodzice są spoko – zapewniam, marząc w duchu, żeby to była prawda.

– No cóż, to dobrze.

Mężczyzna podaje mi swój iPhone. Odczekuję, aż znów oprze głowę o szybę. Kiedy wreszcie zamyka oczy, mam ekran tylko dla siebie. Otwieram safari i wpisuję w pasek wyszukiwarki: „Dziecko trojga rodziców Nowy Jork”.

Moim oczom ukazują się ponad trzy tysiące wyników. Otwieram artykuł „New York Timesa” sprzed jedenastu lat:

### *DZIECKO FRANKENSTEINA ZAPOWIADA NOWĄ ERĘ EDYCJI GENÓW ZARODKÓW*

Przecież Frankenstein stworzył potwora?

Nie chcę czytać, ale nie mogę oderwać oczu od telefonu. Prześlizguję się wzrokiem po tekście, jakby w ten sposób słowa miały mniej mnie zranić. Kilka zwrotów szczególnie przykuwa moją uwagę: „nielegalny eksperyment”, „odpowiedzialność karna”, „przekroczenie granic etycznych”, „pierwsze dziecko zmodyfikowane genetycznie”.

Ostatnie zdanie wywołuje we mnie wspomnienie sprzed kilku miesięcy – kiedy pojechaliśmy do Muzeum Historii Naturalnej i mijaliśmy ludzi protestujących przeciwko GMO. Nigdy nie widziałam w Garrison ludzi chodzących z kolorowymi transparentami i krzyczących przeciwko czemukolwiek.

Jeśli tamci ludzie byli oburzeni przez genetycznie modyfikowane jedzenie, to jak by zareagowali na genetycznie zmodyfikowanego człowieka? Czy naprawdę uznaliby, że aż tak się od nich różnię? Do tego stopnia, że byłoby lepiej, gdybym się w ogóle urodziła? Może nikt nie chciałby się ze mną przyjaźnić, gdyby prawda wyszła na jaw?

Przyglądam się swoim palcom. Są długie i kościste, o krótkich, okrągłych paznokciach. Nic wyjątkowego. Dotykam policzka. Jest miękki i gładki, taki sam jak każdy inny. Nie czuję się jak ktoś genetycznie zmodyfikowany,

cokolwiek by to miało oznaczać, tylko jak zupełnie zwyczajna osoba. Ale może w mojej krwi płynie jakaś trucizna.

Po raz pierwszy w życiu zaczynam rozumieć, co stało za frustrującym zachowaniem mamy.

Przez cały ten czas wściekałam się na nią, że przesiaduje w domu i nie pojawia się na moich meczach piłki nożnej i szkolnych koncertach. Tu nie chodziło tylko o to, że sama bała się ujawnienia. Ona nie chciała, żeby ktoś zdemaskował mnie.

Na końcu artykułu pojawia się znajome imię.

*Doktor Ethan Abrams, dyrektor wydziału zdrowia publicznego w katedrze bioetyki na Uniwersytecie Columbia kategorycznie odcina się od wszelkich związków z dzieckiem.*

*„Powie jasno”, oznajmił Abrams w wyłącznym wywiadzie dla „Timesa”, często przerywanym wybuchami emocji. „Zostałem zdradzony przez własną żonę i jej szarlatana. To dziecko powstało bez mojej wiedzy i zgody. Nie miałem z tym nic wspólnego”.*

*Zapytany o dochodzenie w sprawie karnej powiedział: „Ten czyn zburzył normy, jakimi nasz gatunek rządzi się od początku swojego istnienia. Człowiek nie może być wyprodukowany jak samochód i składany z części pochodzących od różnych ludzi. Prawdziwą ofiarą tej sytuacji jest dziecko, które przez całe swoje życie będzie płacić za to cenę – albo swoim zdrowiem, albo wykluczeniem społecznym i obciążeniem psychicznym.*

Ten facet to mój tata?

Auć. Głęboki oddech.

Kiedy wyłączam stronę z artykułem, trzęsą mi się ręce. Po co w ogóle do niego jechać, jeśli nie chce mieć ze mną nic wspólnego?

Rzeka za oknem migocze w słońcu, jakby była pełna diamentów. Jestem rozzłoszczona na spokojne, błękitne niebo i białe chmury. Gdyby świat był normalny, siedziałabym teraz w szkole i wyglądała się z Riley na... plastyce. Uch. Nieważne.

Ważę w myślach wszystkie możliwości: mogłabym jechać do miasta na spotkanie z Ethanem albo wysiąść i wrócić do pustego domu. Chciałabym zadzwonić do mamy, ale w szpitalu zabrali jej komórkę. Mogłabym skontaktować się ze szkołą i poprosić do telefonu Riley, wyjaśnić jej całą sytuację. Ale wtedy ona zadzwoniłaby po rodziców, oni po policję, i znalazłabym się w jeszcze gorszych tarapatach.

Nie. Chyba powinnam zostać w pociągu. Może Ethan zmieni zdanie, kiedy zobaczy, że nie jestem potworem. A może mnie spławi. W najgorszym razie i tak wrócę do domu i wymyślę inny plan na uratowanie „taty”. A w najlepszym Ethan pomoże mi go uwolnić i wspólnie powstrzymamy Jillian raz na zawsze.

\* \* \*

Jest już prawie jedenasta rano, kiedy wysiadam z metra na skrzyżowaniu Broadwayu i Sto Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy, w pobliżu wydziału zdrowia publicznego Uniwersytetu Columbia. Ta okolica w niczym nie przypomina Garrison. Witryny sklepowe są pozasłaniane metalowymi żaluzjami, po ulicy walają się śmieci, a bezdomni kręcą się tu i tam, pobrzękując monetami w kubeczkach. Na rogu stoi podejrzenie wyglądający facet. Przygląda się, jak biegnę do budynku ze stali za Szpitalem Prezbiteriańskim.

Wpadam przez drzwi obrotowe do budynku z kopułowym sklepieniem i bardzo wysokim sufitem. Ulga, że znalazłam się w środku, szybko ustępuje miejsca świeżej fali niepokoju. Z daleka widać, że zupełnie nie pasuję do tego miejsca. W sali za szklaną ścianą uczą się studenci medycyny. Mijają mnie dwie lekarki pogrążone w rozmowie. Ich obcasy postukują na błyszczącej posadzce. Wychwytyuję kilka słów: „interpretacja danych biometrycznych”. To z całą pewnością jest miejsce, w którym dzieją się ważne, dorosłe sprawy. Czuję się jak statystka w niewłaściwym filmie. Rodzice by mnie zabili, gdyby wiedzieli, gdzie jestem.

Recepcjonistka w okularach z grubymi czarnymi oprawkami pyta, dokąd idę. Wyjaśniam, że szukam doktora Abramsa.

Kobieta otwiera szeroko oczy. Ethan chyba rzadko miewa tak młodych gości.

– Spodziewa się ciebie?

– Ee, raczej nie. Nie.

– Zadzwoń i cię zapowiem. Jak masz na imię?

– Abigail. – Przez chwilę się waham. – Jestem jego córką.

– Ojej! Nie widziałam cię tu wcześniej. – Recepcjonistka wskazuje na windy.

– Trzecie piętro, pokój trzysta jeden. Chyba prowadzi teraz wykład, ale niedługo wróci do gabinetu.

– Dziękuję.

Ku mojemu zaskoczeniu winda jedzie w dół zamiast w górę. Opadający grunt pod nogami sprawia, że czuję się wytrącona z równowagi, jakbym kierowała się w niewłaściwą stronę. Wychodzę na cichy korytarz bez okien, mijam kilkoro przeszklonych drzwi, aż wreszcie natrafiam na te właściwe. Zaglądam do środka i odskakuję, kiedy zauważam przy biurku jakiegoś mężczyznę. Czy to mój ojciec?

Nagle ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Nawet nie wiem, czy z moim drugim tatą wszystko w porządku, a teraz spotykam się za jego plecami z nieznajomym, który być może mnie nienawidzi.

Ręce mam mokre od potu, a serce dudni mi w piersi, ale już nie zawrócę. Mam dość życia w kłamstwie.

Zmuszam się, by podejść do drzwi, wstrzymuję oddech i pukam.

## CLAIRE

Kiedy tylko taksówka parkuje przed domem, widzę, że coś się stało. Jest wtorkowy poranek, a mimo to oba samochody stoją na podjeździe. Rob pewnie został w domu, żeby zająć się Abby. Ale dlaczego żadne z nich nie odbiera telefonów?

Może oboje złapali tę samą infekcję. Albo zatrucie pokarmowe. Co chwila muszą biegać do toalety i nie mają jak sięgnąć po komórkę. Próbuję zebrać w sobie energię na złość. Chciałabym wejść do środka, zastać ich oboje chorych i spoconych jak szczury. Wtedy mogłaby zalać mnie fala oburzenia i ulgi. Głównie ulgi.

Zamiast tego w domu wita mnie mroząca krew w żyłach cisza. Wewnątrz unosi się nieświeży zapach, jakby trzeba było wynieść śmieci. Różowe adidas Abby, które zawsze porzuca w przedpokoju, zniknęły. Spodziewam się, że zobaczę na stoliku klucze i portfel Roba, ale nic tam nie ma. A mimo to oba samochody stoją na podjeździe. Czyli oni muszą być w domu.

– Kochanie?! Jesteście na górze?! – krzyczę. Nasłuchuję dźwięku spuszczonej wody, skrzypienia podłogi. Nic. – Halo?! Jest tu ktoś?!

Mój zaniepokojony głos odbija się echem po pustym domu, potwierdzając, że całej tej sytuacji sobie nie wyobraziłam. To nie jakaś paranoidalna fantazja, którą wymyśliłam, żeby uciec ze szpitala. To prawda. Moja rodzina zniknęła.

Ale samochody... Przecież oni muszą być w domu.

Rzucam się do działania, przeszukuję jeden pokój po drugim. Kuchnia, salon, jadalnia, łazienka. Biegnę na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Pokój gościnny, pokój Abby, nasza sypialnia, łazienki. Ani śladu. Zdesperowana zaczynam otwierać drzwi szaf. Różne koszmarnie scenariusze pchają mi się do głowy, ale nie zamierzam ich wpuszczać. Jestem stróżem własnej normalności.

Jeśli nie przepędzę najgorszych myśli, to mnie osaczą i sparaliżują. I jak im wtedy pomogę?

Po sprawdzeniu wszystkich szaf i przeszukaniu podwórka zaglądam pod kanapy i łóżka, za zasłonę prysznicową i do szopy w ogrodzie. Wreszcie przychodzi mi na myśl, żeby przeszukać samochody.

Nasza honda accord jest zamknięta, a ponieważ nie mam do niej kluczyków, zaglądam tylko przez okna. W uchwycie stoi znajomy podróżny kubek na kawę, a na tylnym siedzeniu leży porzucony sweter. Zaledwie wczoraj Rob i ja jechaliśmy tym wozem do szpitala, a naszym największym zmartwieniem było moje zdrowie psychiczne.

Zaglądam pod auto i wtedy coś dostrzegam: brudne niewielkie czarne pudełeczko, przyczepione na pasek magnetyczny do podwozia. Muszę się mocno wysilić, żeby oderwać urządzenie. Na zewnętrznej stronie znajduje się tajemniczy symbol: znaczek wi-fi i niebieska strzałka. Obok miga zielone światełko. Szybko podważam plastikową pokrywkę i wyciągam ze środka dwie baterie AA. Lampka gaśnie.

*Co do...?*

Ktoś śledził nasz samochód.

Jillian. Ta zdzira. To musiała być ona.

Szybko, zanim zdążę się rozmyślić, wybieram na telefonie trzycyfrowy numer, którego od dekady unikałam: dziewięćset jedenaście. Jeśli Rob i ja zostaniemy zatrzymani na mocy zaległych nakazów aresztowania, to trudno. Wolę spędzić resztę życia za kratkami, niż znaleźć męża i córkę w jakimś rowie, bo byłam zbyt ostrożna, by wezwać pomoc.

Kiedy słyszę głos dyspozytorki, zaczynam wykrzykiwać rozgorączkowane, poplątane zdania.

– Proszę zwolnić – mówi kobieta. – Czy jest pani w bezpośrednim niebezpieczeństwie?

– Moja rodzina zniknęła – wyjaśniam, próbując kontrolować urywany oddech. – Znalazłam urządzenie śledzące pod swoim samochodem i wiem, kto je

tam zostawił. Ta osoba jest psychopatką. Musicie ich znaleźć!

– Proszę oddychać. Kiedy ostatni raz ich pani widziała?

– Wczoraj, ale aż do teraz nie było mnie w mieście. A dzisiaj córka nie zjawiała się w szkole, a z mężem nie mogę się skontaktować.

– Czy mogłaby pani ich opisać?

– Mąż jest wysoki i szczupły, ma szpakowate włosy, a córka ma jedenaście lat, falowane rude włosy i piegowatą cerę. Ma na sobie różowe adidas... – Głos mi się załamuje. – Proszę się pospieszyć. Oni mogą być wszędzie.

– A czy może pani jeszcze opisać osobę, która według pani jest w to zamieszana?

Chodzę tam i z powrotem po podjeździe, przy każdym zakręcie kopię kamyki i kurz. Teraz jednak stoję w miejscu, zamykam oczy i wyobrażam sobie Jillian w muzeum.

– Ma chyba około metra sześćdziesięciu pięciu, krótkie rude włosy... Jest bardzo wysportowana... – Przychodzi mi też do głowy słowo „ładna”, ale nie mogę się zmusić, by wypowiedzieć je na głos.

– Dobrze – mówi dyspozytorka. – Przygotuję raport na podstawie pani informacji i wyślę go na komendę policji w Cold Springs, żeby otworzyli tam sprawę.

– Dziękuję – dyszę. – Kiedy się tym zajmą?

– Natychmiast, proszę pani. Przy zaginięciach dzieci nie stosuje się żadnego okresu oczekiwania. Poinformujemy panią, gdy tylko się czegoś dowiemy.

Kiedy się rozłączam, wybucha we mnie czysty jad. Wyobrażam sobie, jak podrzynam Jillian gardło, jak wydrapuję jej oczy, duszę ją gołymi rękami. Jeśli się jeszcze kiedyś spotkamy, nic mnie nie powstrzyma. Zabiję ją.

## JILLIAN

Na widok Abby znikającej w lesie czuję przytłaczający żal. Nie da się z tym nic zrobić. Ale kiedy dziecko znika między drzewami, podejmuję decyzję: musimy pogodzić się ze stratą i działać dalej.

Wracam do domu i zaglądam do piwnicy. Po zniknięciu Abby zagroziłam mu pistoletem i przykułam go do łóżka kajdankami. Teraz siedzi na podłodze i bezradnie szarpie rękami, wyklinając mnie pod nosem. Nadgarstek ma czerwony od wściekłych prób wyrwania się z uwięzi. Widząc, że wracam sama, nieruchomieje, a jego oczy wypełnia świeża panika.

– Uciekła?

– Aha. Musimy się zbierać. Teraz ona stanowi zagrożenie.

– Mówisz poważnie? Może tam zginąć! Nie ma wody, jedzenia, nic!

– Przestań dramatyzować. Jakoś trafi do koleżanki albo coś.

Udaję obojętność, ale zabolęła mnie jej ucieczka. Abby stanowiła istotny element planu. Bez badań i testów krwi nasza praca ucierpi. Ale za sprawą mojego drugiego zestawu danych nadal mamy szansę na światową sławę. Właśnie dlatego pomimo rozczarowania pozwalałam sobie na pewien podziw dla jej ucieczki. Widzę w tej dziewczynce siebie. Zawsze się zastanawiałam: czy będzie głupia i samolubna jak Claire, czy inteligentna i odważna jak ja? A teraz, kiedy poznałam odpowiedź, Abby przepadła.

– Zaraz wracam – mówię. – Idę spakować rzeczy do samochodu.

On znów szarpie kajdankami i wyzywa mnie od najgorszych, ale nie mam czasu się z nim kłócić.

Jeśli Abby pójdzie na policję albo ktoś zadzwoni pod numer alarmowy, widząc dziecko bez opieki, to lada chwila możemy mieć nieproszone gości.

Rob znów wrzeszczy, żebym go uwolniła, ale go ignoruję. Chwytam walizkę, którą przygotowywałam od wielu dni, i wlokę ją do samochodu. Podczas



podróży będziemy musieli się gdzieś zatrzymać i kupić mu kilka najpotrzebniejszych rzeczy. Lepiej nie jechać po nic do jego domu, to zbyt ryzykowne. Policja mogła już znaleźć Abby i zabrać ją do domu.

Po zapakowaniu walizki do bagażnika przygotowuję nam kanapki z indykiem i wkładam je do lodówki turystycznej. Pamiętam, żeby nie dawać za dużo majonezu i dorzucić kilka plasterków ogórka w occie, tak jak lubił. Ale mu ze mną dobrze. Ciekawe, ile czasu mu zajmie odzyskanie rozumu. I mógłby już przestać wrzeszczeć, na litość boską.

Gdy wszystko jest już gotowe do drogi, na moim telefonie pojawia się powiadomienie z aplikacji GPS. Prawie ją ignoruję, bo jestem przyzwyczajona do tych wiadomości. Zawsze, kiedy samochód Claire się przemieszcza, aplikacja podaje mi jego lokalizację z dokładnością do czterech i pół metra dzięki zaawansowanej technologii satelitarnej. A do tego montaż okazał się dziecinnie prosty. Gdy tylko zaczęłam pracę w Garrison, sprawdziłam adres Abby w bazie danych. Następnie zaszłam do nich do domu pewnej nocy i przyczepiłam dyskretne urządzenie śledzące na magnes do każdego samochodu. Wystarczyło sześćdziesiąt sekund i już mnie nie było.

Od tamtej pory mogłam zawsze mieć kontrolę nad każdym ruchem Claire i Roba. To okazało się bardzo przydatne. Już mam odruchowo zamknąć powiadomienie, kiedy przypominam sobie, że przecież Claire jest w psychiatryku. Nie powinnam w ogóle dostawać powiadomień z jej samochodu.

Otwieram aplikację. BRAK ZASILANIA URZĄDZENIA.

*Zaraz, co jest?*

Dwa razy sprawdziłam baterie przed zamontowaniem urządzenia śledzącego. Przecież było nowiutkie, zasilanie miało wystarczyć na pół roku. Minęło dopiero kilka tygodni. Albo sprzedali mi gówniany sprzęt, albo... Ktoś wyłączył urządzenie. Ktoś, kto zauważył, że Rob i Abby zniknęli.

*Kurwa.*

Chwytam pistolet i zbiegam do piwnicy, żeby rozkuć Nasha.

– Czas na nas! – oznajmiam. Rob już ma znów zacząć krzyczeć, ale dostrzega broń i milknie. Muszę mieć pewność, że do niego dotarło; nie możemy sobie pozwolić na żaden bunt z jego strony. Rozpinam mu kajdanki jedną ręką, a w drugiej mocno ściskam pistolet.

Kiedy kajdanki spadają mu z rąk, celuję lufę prosto w jego pierś.

– Ręce do góry – nakazuję.

Nie próbuje nic kombinować.

– Ty pierwszy – poganiam. – Ja za tobą.

Prowadzę go przed sobą do auta. Nie jestem idiotką.

– A co z Abby? – pyta znowu, wpatrując się prosto przed siebie.

– Już ci mówiłam, nic jej nie będzie.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Jestem pewna, że sobie poradzi.

W oddali wyje syrena. To może być ambulans. Albo gliny.

Otwieram mu drzwi od strony pasażera.

– Wsiadaj.

Posłusznie wykonuje polecenia. Zajmuję fotel kierowcy i wkładam pistolet do schowka w drzwiach. Syrena jazgocze głośniej.

– Wyciągnij ręce – nakazuję. – Szybko.

Kiedy podsuwa mi nadgarstki, ponownie skuwam go kajdankami.

– Daj spokój – sprzeciwia się Rob. – Czy to naprawdę konieczne?

Wyjeżdżam z podjazdu, nie zapinając pasów.

– Tak uważam.

– Ej! – woła, kiedy ostro biorę zakręt, aż zarzuca nami w fotelach. Nawet nie oddycham, dopóki nie wyjedziemy z lasu. Mijamy radiowóz na sygnale, pędzący w przeciwną stronę. Nie zwalnia na nasz widok. Jedzie po kogoś innego.

Po chwili znika nam z oczu, a ja wypuszczam powietrze z płuc.

– Udało się.

Uśmiecham się do niego, ale Rob zawzięcie gapi się przez okno. Przysuwa skute ręce do klamki samochodu.

– Co ty wyprawiasz?

– Muszę znaleźć moją córkę. – Ciągnie za klamkę. Zbliżamy się do wjazdu na autostrady; drzwi otwierają się lekko, wiatr wdziera się do środka.

– Przestań! – dociskam gazu, wjeżdżam na rampę. – Będziesz chciał zostać.

– Nigdy – odpowiada Nash, wysuwając jedną nogę.

– Jesteś pewien? – Zerkam na niego. Chcę zobaczyć jego twarz w tej chwili, wiedząc, że zapamiętam ją na zawsze. – Bo tak się składa, że mamy syna.

## ABBY

Nieznajomy człowiek, który jest moim ojcem, podchodzi do przeszklonych drzwi gabinetu. Mężczyzna jest niski, chudy i o wiele starszy, niż się spodziewałam. Ma siwiejące włosy, przygarbione ramiona i zmarszczki wokół oczy. Jego czarny garnitur i błyszczące czarne buty wyglądają jak ubranie kogoś, kto ma władzę. Ale jego twarz jest przystojna i kryje się w niej pewna łagodność, kojarząca mi się z dobrymi bohaterami ze starych filmów. Chcę mu zaufać, ale się boję.

Kiedy wysuwa głowę na zewnątrz, jest wyraźnie zbity z tropu. Rozgląda się po korytarzu, szukając moich rodziców.

– Dzień dobry. Mogę ci w czymś pomóc?

– Eee, dzień dobry. – Niezręcznie macham do niego na powitanie. – Jestem Abigail.

– Miło mi, Abigail. – Jego uśmiech jest uprzejmy, ale niecierpliwy. – Zgubiłaś się czy...?

– Jestempanacórką – mówię tak szybko, jakby to wszystko było jedno słowo, i zaciskam mocno powieki.

Kiedy nic się nie dzieje, otwieram oczy. Ethan gapi się na mnie tak, jakbym była kosmitką, która nawiązała właśnie pierwszy kontakt z Ziemią. Przyglądam się jego twarzy w poszukiwaniu oznak radości, nienawiści, jakiegokolwiek uczucia – ale widzę tylko niedowierzenie.

– Ty... Nie jesteś...?

– Dzieckiem trojga rodziców? No, to ja.

– Boże drogi. – Ethan cofa się i opada na krzesło. – Boże.

Wchodzę do gabinetu, chociaż mnie nie zaprosił.

– Ee, no tak, mama trzymała to w wielkiej tajemnicy. Właściwie to sama dopiero się dowiedziałam.

– Dopiero...? – powtarza, mrugając kilka razy. – Przepraszam, nie spodziewałem się...

– W porządku. – Odkasłuję. – Ja o panu też nie wiedziałam.

Stoję na środku gabinetu, a on dalej się na mnie gapi. Jego wzrok wędruje od moich różowych adidasów przez poszarpane szorty po brudny podkoszulek. Rany, jakie to dziwne. Czego się spodziewałam? Że powie, jak bardzo mu przykro z powodu tych okropnych rzeczy, które powiedział w gazecie, że próbował mnie odnaleźć, że żałuje swojej nieobecności w moim życiu?

No, po cichu rzeczywiście na to liczyłam.

A teraz czuję się jak kretynka. Gorzej – jak niechciana kretynka. Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć. Ruszam w stronę drzwi.

– Jeśli jest pan zajęty, to sobie pójdę.

– Nie, nie! – Ethan podbiega do drugiego fotela i ściąga z niego stertę papierów. – Proszę, siadaj. Wybacz, zupełnie się nie spodziewałem. Nie sądziłem... – Kręci głową, a na jego twarzy po raz pierwszy pojawia się niepewny uśmiech.

Zajmuję miejsce w wielkim fotelu. Nogi dyndają mi w powietrzu.

– Nie sądził pan, że co?

– No cóż, że w ogóle żyjesz.

– Poważnie? – Aż zachłystuję się powietrzem.

– Wtedy wszystko się strasznie skomplikowało. Uznałem, że nauka pewnie nie była gotowa na taki krok i że nie przeżyłaś.

Moje serce nagle staje się lekkie jak piórko. Nie szukał mnie, bo sądził, że nie żyję.

– No... – Uśmiecham się nieśmiało. A jednak tu jestem.

– I co, wszystko z tobą w porządku? Jesteś... normalna?

– Chyba tak. – Śmieję się. – Jeśli nie liczyć mojej obsesji na punkcie One Direction.

– Wow. – Ethan odchyła się w fotelu, nadal nie odrywając ode mnie wzroku.  
– A fizycznie?

– Od lat nie chorowałam.

– Naprawdę? – mruczy, marszcząc brwi. – Czyli może ten łachudra rzeczywiście wiedział, co robi? – dodaje, podnosząc głos, jakby sam nie ufał odpowiedzi.

Wypinam pierś.

– Ten łachudra mnie wychował. – Cała złość na tatę na chwilę ustępuje. To jedyny ojciec, jakiego znam.

Ethan z zaskoczenia aż otwiera usta.

– On z tobą mieszka? Gdzie?

– W Garrison, przez całe życie. Jest z moją mamą.

Ta informacja chyba nim wstrząsnęła. Wbija wzrok w przestrzeń gdzieś przed sobą, jego wargi wyginają się ku dołowi.

– Przyjechałam tu, bo potrzebuję pańskiej pomocy.

– W czym?

– Tata jest w strasznych kłopotach, ale nie mogę zadzwonić na policję, więc przyjechałam tutaj, bo pomyślałam, że może pan zgodzi się mi pomóc. Skoro jest pan moim prawdziwym tatą?

Na słowo „tata” przechodzi mnie dreszcz. Jestem pewna, że on czuje to samo. Jesteśmy dwojgiem zupełnie obcych ludzi, połączonych ze sobą w najgłębszy możliwy sposób. Szukam jakiegoś fizycznego dowodu naszego pokrewieństwa, czegoś, co odziedziczyłam po nim, ale jak dotąd nic nie dostrzegłam. On ma brązowe oczy, a moje są niebieskie; ma oliwkową skórę, nie bladą. I nie ma dołeczka w brodzie, tak jak ja.

– Co to za kłopoty? Czy mama nie może wam pomóc?

– Nie. Jest w szpitalu.

Ethan gwałtownie wciąga powietrze.

– Co się stało?

– Miała problemy psychiczne i musiała wczoraj jechać na leczenie. A potem tata i ja zostaliśmy porwani przez tę kobietę, która pomogła mi stworzyć, panią Mi... Jillian.

Słyszając to imię, Ethan pochmurnieje.

– Dobrze ją pamiętam – mamrocze.

– Zmusiła nas, żebyśmy pojechali z nią do jej domu. Zakradłam się do łazienki, ale ona zabrała mi telefon, zanim zdążyłam zadzwonić po policję. A potem zamknęła mnie na całą noc w piwnicy.

– Mówisz poważnie? To jakiś obłąd!

– Wiem. Ale udało mi się uciec i kiedy dowiedziałam się o panu, przyjechałam tutaj. – Znów myślę o podsłuchanej wczoraj kłótni. – Ona mogła mu zrobić krzywdę. Ma pistolet.

– Jezu. – Ethan zerka na zadrapania na moich rękach i ramionach, powoli zmieniające się już w strupy. – Dlatego jesteś taka poharatana?

– Tak. Wybiłam okno. Pomoże mi pan go uratować? Jeśli pójdę na policję, to możliwe, że go aresztują. – Z trudem przełykam ślinę, wyobrażając sobie tatę uwięzionego z Jillian w tym okropnym domu. – Nie wiem, kogo jeszcze mogłabym poprosić o pomoc.

– Zdajesz sobie sprawę, że to ja domagałem się kiedyś jego aresztowania, prawda?

Gorąco rozlewa mi się po karku. Zastanawiam się, czy nie popełniłam strasznego błędu.

– Proszę. – Łza wymyka mi się spod powieki pomimo starań, żeby się nie rozplakać. – Przecież nie zasłużył sobie na karę za to, że się urodziłam. Prawda?

Ethan nie odpowiada. Jego milczenie może oznaczać tylko jedno.

– Wielkie dzięki. – Ze złością zeskakuję z fotela. – Nieważne.

– Zaczekaj. – Jego głos zatrzymuje mnie przy wyjściu. – Wezmę samochód. Zabiorę cię tam.

– Żeby mógł pan go oddać policji?

– Nie. Żeby mu pomóc.

– Dlaczego? Przecież uważa pan, że nie powinnam w ogóle istnieć.

Wypadam na korytarz, z całych sił próbując nie wybuchnąć szlochem.

– Abigail, zaczekaj.

– Niby na co? – pryham. – Może pan zapomnieć o całej sprawie.

– Przepraszam. Może kiedyś rzeczywiście tak myślałem, ale teraz już nie. Nie po tym, jak cię poznałem.

Waham się. Tak bardzo chciałabym mu uwierzyć.

– Co się stało, to się nie odstanie – ciągnie Ethan. – Nie wiem już, kto ma rację, a kto się myli, ale ty jesteś moim dzieckiem, potrzebujesz mojej pomocy, i nie chcę znów się od ciebie odwrócić.

Nadal nie jestem pewna, czy mogę mu zaufać, ale nie mam zbyt wielu innych opcji, więc przyjmuję tę propozycję. Ethan odwołuje popołudniowe zajęcia, tłumacząc to „rodzinnym wypadkiem” i dziesięć minut później już jedziemy jego toyotą camry, którą trzyma w garażu na weekendowe wycieczki. Nawigacja w telefonie Ethana mówi, że droga do domu Jillian zajmie nam pięćdziesiąt pięć minut. Mam nadzieję, że nie będzie za późno. W głowie mam cały pokaz różnych okropnych scen, jakie mogą się tam teraz rozgrywać. A jeśli on się wykrwawia? Albo Jillian go torturuje i faszeruje lekami, a potem pakuje go do swojego samochodu...

Kiedy Ethan wjeżdża na Palisades Parkway, otwieram okno, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Mógłby pan jechać trochę szybciej? – Na szczęście na drodze nie ma wielkiego ruchu.

– Tak lepiej? – Ethan trochę przyspiesza, ale nie tak bardzo, jak bym chciała. To będzie prawdziwy cud, jeśli w drodze na miejsce nie dopadnie mnie atak paniki. Czy wtedy uznałyby mnie za nienormalną? Zmieniłby zdanie?

Staram się skoncentrować na czekającym nas zadaniu.

– Co zrobimy, kiedy już dotrzemy na miejsce?

– Właśnie myślałem o tym samym. – Nie odrywając wzroku od jezdni, otwiera schowek. – Widzisz, co tam jest?

Wyciągam ze środka czarną puszkę z czerwoną końcówką rozpylacza.

– Gaz pieprzowy – wyjaśnia Ethan. – Noszę go ze sobą podczas wycieczek w góry. To całkiem niezła broń, jeśli przeciwnik się jej nie spodziewa.



– Czyli że co, tak po prostu pan sobie wejdzie i pryśnie w nią gazem?

– Najpierw wybadam sprawę. Ale jeśli zdołam ją szybko rozbroić, to Nash mógłby uciec, a my zadzwonilibyśmy po policję. W końcu ta kobieta cię porwała. To ona powinna zostać aresztowana.

– Okej. – Super w brzuchu trochę mi się rozluźnia. Opracowaliśmy jakiś plan. Mam po swojej stronie dorosłego, a przynajmniej tak mi się wydaje. Nie muszę robić tego wszystkiego sama.

Nagle dopada mnie dotkliwe ukłucie tęsknoty za mamą. Kiedy myślę o tym, jak siedzi w szpitalu, przypominam sobie o Coltonie... Który przecież też był dzieckiem Ethana. Dziwnie się czuję z myślą, że mama była jego żoną, miała z nim dziecko, całą rodzinę przed moim przyjściem na świat.

Zastanawiam się, czy śmierć Coltona zdruzgotała Ethana tak samo jak mamę.

– Jaki był mój brat? – pytam.

Ethan wciąga ostro powietrze, jakbym powiedziała coś zakazanego.

– Przepraszam, nie musimy o nim rozmawiać.

– Nie, w porządku – zapewnia, posyłając mi powściągliwy uśmiech. – Po prostu od wielu lat nikt mnie o niego nie pytał. Wszyscy już się otrząsnęli.

– Nieprawda, mama nie. Właśnie przez to jest teraz w szpitalu.

Jego uśmiech znika.

– Przykro mi to słyszeć. – Wzdycha.

Nie ma obrączki na lewej dłoni. Może nigdy więcej się nie ożenił.

– Dalej jej pan nienawidzi?

Nie wiem, dlaczego odpowiedź ma dla mnie znaczenie, ale ma.

Ethan wzdycha, przesuwając rękami po kierownicy.

– To skomplikowane.

– Co to znaczy?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Wzruszam ramionami, ale tak w zasadzie umieram z ciekawości.

– Twoja matka złamała mi serce – mówi sucho Ethan. – Nie spodziewałem się, że ją też stracę.

Siedzimy w ciszy. Czuję się jak na pogrzebie. Ludzie są razem, ale nikt nic nie mówi, żeby nie przerywać komuś drogocennych wspomnień.

W końcu Ethan bierze powolny wdech i wydech, jakby wyrzucał z siebie trochę starego żalu. Następnie lekki uśmiech rozciąga mu kąciki ust.

– Colton był niewiarygodnie pełen życia. Na tym polegała cała ironia.

– To znaczy? – pytam z zainteresowaniem.

– Uwielbiał zwierzęta i naturę. Chętnie przebywał na dworze i mógłby ci powiedzieć wszystko o kosmosie. Bez przerwy czytał. I ciągle wymyślał własne historie. – Ethan milknie. – Wszystkie jego fantazje miały jedną wspólną cechę.

– Jaką?

– Zawsze w jakiś sposób obracały się wokół tematu dziecka, które odkrywa inny świat. Na obcej planecie, pod wodą albo nawet na własnym podwórku.

– A miały szczęśliwe zakończenia?

– Tak. Wszystko zawsze dobrze się kończyło.

– Nie tak jak w prawdziwym życiu.

– Ano – zgadza się cicho Ethan.

– Przykro mi, że nigdy go nie poznałam – mówię, sama siebie zaskakując tym wyznaniem. Przez bardzo długi czas byłam o niego zazdrosna i bałam się, że mama zawsze będzie myśleć tylko o nim. Często się zastanawiałam, dlaczego kocha go bardziej ode mnie. Ale teraz, kiedy to słyszę... Wydaje mi się, że bym go polubiła.

– Ile masz lat? – pyta Ethan. – Koło jedenastu?

– Skończyłam jedenaście w lutym.

– Niesamowite. Żyjesz już trzy lata dłużej od niego.

Żadne z nas nie mówi tego na głos, ale oboje myślimy to samo: to dzięki mojemu tacie. Temu jedynemu, jakiego miałam aż do dzisiaj.

\* \* \*

Kiedy wracamy na polną drogę prowadzącą do domu Jillian, znów ogarnia mnie przerażenie. Słońce wisi wysoko na niebie, powietrze jest ciepłe, a mimo to, kiedy Ethan parkuje na podjeździe, cała dygoczę. Dopiero po chwili zauważam, że jej auto zniknęło.

– Już pojechali. – Szloch wzbiera mi w gardle. – Spóźniliśmy się.

– Jesteś pewna? – Ethan gasi silnik i wychodzi z auta, ściskając gaz pieprzowy w dłoni. – Zostań tutaj.

Przyglądam się, jak okrąża dom, zagląda przez okna, naciska klamkę. W środku jest ciemno. Po powrocie napomyka o okienku w piwnicy, które wybiłam rano.

– To jedyne wejście, ale wszędzie wokół jest mnóstwo szkła.

– Nie wejdem tam znowu. Przecież widać, że pojechali.

– Tak. – Ethan wraca do auta. – I co teraz?

Próbuję wymyślić jakiś nowy plan. Jedyne miejsce, jakie przychodzi mi do głowy, to nasz dom. Jillian nie wróciłaby do szkoły, ale może zawiozła tatę do domu, żeby zabrać jakieś jego rzeczy przed wyjazdem w inne miejsce. Proponuję to Ethanowi, a on się zgadza. Lepsze to niż nic.

Poza tym umieram z głodu i od dwóch dni chodzę w tym samym ubraniu. Jeśli nie uda się nam osiągnąć nic więcej, to przynajmniej wezmę szybki prysznic i złapię coś do jedzenia.

Podróż do domu trwa dziesięć minut. Kiedy podjeżdżamy pod wejście, widzę oba samochody rodziców. Wszystko wygląda tak normalnie, że trudno mi uwierzyć, jak bardzo wymknęło się spod kontroli.

Ethan parkuje przy krawężniku i idziemy do garażu. Wprowadzam kod na panelu zabezpieczającym przed bramą.

Drzwi do garażu poruszają się z jękiem. Prześlizguję się pod szczeliną, nie czekając, aż kłapa podniesie się do końca.

W ciemności słyszę znajome skrzypnięcie.

Drzwi łączące garaż z domem też się otwierają.

*Boże.*

Natychmiast padam na ziemię, spodziewając się konfrontacji z Jillian i jej pistoletem.

Zapala się światło, a sekundę później rozlega się radosny krzyk.

To mama.

## CLAIRE

Z początku boję się, że córka okaże się tylko kolejną fantazją wytworzoną przez mój skrzywiony umysł. Jak inaczej wyjaśnić jej nagłe pojawienie się tutaj?

Abby jednak kuli się przerażona, zakrywa twarz, ramiona ma podrapane. Żadne z moich złudzeń nie było tak mroczne.

Abby się krzywi, zerka spomiędzy palców.

– Mamo?

Podbiegam, podnoszę ją z ziemi, przytulam.

– Och, skarbie. – Gładzę ją po włosach. – Spokojnie, to tylko ja.

Wściekłość rozpala mi żyły. Ta wariatka skrzywdziła moją córeczkę.

Abby kryje twarz w mojej szyi.

– Myślałam, że jesteś w szpitalu!

– Już nie. Martwiłam się o ciebie.

Chcę zapytać o zadrapania, ale nagle ktoś w pobliżu kaszle. Jakiś mężczyzna. Podnoszę wzrok, spodziewając się ujrzeć męża. Teraz jednak chyba naprawdę mam halucynacje.

To Ethan.

Obraz rozmywa mi się przed oczami. Mam wrażenie, że płynę pod prąd, każdy ruch przychodzi mi z wysiłkiem, oddech więźnie w płucach. Powietrze ściga mnie na dno jak prąd. Puls huczy mi w uszach.

Mrugam kilka razy i odstawiam Abby na ziemię. On nadal tu jest. Nie rozumiem, skąd się wziął w moim garażu, obok pudeł ze starymi zeszytami i rysunkami Abby – to wspomnienia, o których istnieniu on nawet nie ma pojęcia. Mierzę go wzrokiem. Nie wiem, czy nadal jesteśmy wrogami, czy może już tylko dwojgiem starszych, bardziej zmęczonych ludzi, których kiedyś łączyło tragiczne wspólne życie.

Dopiero po chwili odzyskuję głos.

– Co ty tu robisz?

– Ja go znalazłam – odzywa się Abby.

Odwracam się gwałtownie w jej stronę.

– Słucham?

Ethan podchodzi bliżej, ale zatrzymuje się kilka kroków przed nami i składa dłonie. To wygląda jak gest szacunku.

– Przyszła dziś rano do mnie do pracy. To był niezły szok – dodaje, kręcąc głową. Na jego twarzy pojawia się słaby uśmiech, który gasi mój lęk.

Widzę, że Ethanowi już nie przeszkadza istnienie Abby. Dawna mściwość ustąpiła miejsca czemuś innemu. Jest w nim jakiś łagodny spokój, choć może wcale nie mniej bolesny. W jego oczach maluje się coś podobnego do smutku.

– Powiedziałaś mu, co się stało – wyjaśnia Abby. – I zgodził się pomóc. No bo wiesz, to mój prawdziwy tata. – W jej głosie pobrzmiwa kąśliwa oskarżycielska nuta, ale postanawiam ją zignorować.

– Jak się o nim dowiedziałas? – naciskam.

– Wczoraj mi powiedzieli.

– Kto ci powiedział? Co się stało? – Zimny strach zbiera mi się w dole brzucha. Szybko rozglądam się po garażu i podjeździe za Ethanem, ale nigdzie nie widzę Roba.

Abby opowiada, jak Jillian porwała wczoraj ich oboje, podszywając się pod nauczycielkę plastyki z jej szkoły, i zabrała ich do swojego domu.

Ogarnia mnie zgroza. Jillian znów mnie przechytrzyła. Zwykle włamanie byłoby za proste, godne pospolitego przestępcy. Jej ulubioną bronią jest manipulacja. To prawdziwa wirtuozka. Sterowała nami wszystkimi.

– To było okropne. – Głos Abby drży. – Nie myślałam, że w ogóle kiedyś się stamtąd wydostanę.

– Kochanie, tak mi przykro. – Mój gniew narasta jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe. – Dlaczego tata cię nie obronił?

– Bo ona miała pistolet.

– O nie. – Przerazenie ściąga mnie na kolana. – Nie.

Ethan podchodzi bliżej i schyla się nade mną.

– Posłuchaj, czy mogę coś dla was zrobić...? Słyszałem, że znów jesteś chora.

– Nie musisz z nami zostawać. Ale dziękuję, że przywiozłeś ją do domu.

– Zostanę. Potrzebujecie pomocy.

– Ale przecież ty nas nienawidzisz – protestuję, nie mogąc powstrzymać podejrzliwej nuty w głosie. – Dlaczego miałbyś nam pomagać? – Ostatni raz słyszałam o Ethanie dziewięć albo dziesięć lat temu. Wtedy wciąż domagał się naszego aresztowania i próbował ożywić zaniechane przez władze polowanie na czarownice.

– To było dawno temu. Wiele się zmieniło. Mogę to wyjaśnić...

Przez chwilę się waham. Zostało między nami tyle niedokończonych spraw, że nawet nie wiem, od czego zacząć. Ale teraz nie czas na spory o dawne krzywdy. Mężczyźnie, którego kocham, grozi niebezpieczeństwo. Nic nie ma znaczenia, dopóki nie sprowadzę go całego i zdrowego do domu.

– Leć po mój telefon – proszę Abby. – Leży na blacie w kuchni.

Kiedy córka biegnie do domu, znów przenoszę uwagę na Ethana i zakładam ręce na piersi.

– Podaj mi jeden powód, dla którego powinnam ci zaufać.

– Bo nigdy nie przestałem cię kochać.

Odejmuje mi mowę. Ethan odwraca wzrok, czekając, aż przerwę ciszę.

– Mhm. – Odkasłuję. – Tego się nie spodziewałam.

– Wiem. Ale ja przez te wszystkie lata zastanawiałem się, co się z tobą stało, a teraz wiem, że to głównie dzięki niemu przetrwałaś.

– Wyłącznie dzięki niemu – poprawiam.

Ethan się uśmiecha.

– Nie mogę uwierzyć, że mamy córkę. Jeszcze kilka godzin temu sądziłem, że to niemożliwe.

Abby wraca do garażu, ściskając moją komórkę w dłoni.

– Proszę. Zadzwonisz po policję?

– Mam lepszy pomysł.

– Naprawdę? – Na jej twarzy pojawia się cień zwątpienia. Jestem w stanie to zrozumieć, biorąc pod uwagę moje niedawne kłopoty. Abby nie wie jednak, że zanim się urodziła, byłam najlepszą dziennikarką śledczą w tej części kraju. Wciąż pamiętam jedną z branżowych sztuczek: korzystaj z istniejącego zaufania. Informacje same przyjdą.

Dzwonię do szkoły, myśląc o Carli, miłej i pogodnej sekretarce, którą znam, odkąd Abby chodziła do przedszkola. Słyszac sygnał, wyobrażam sobie niezdarne akwarelowe malunki, porozwieszane na ścianach sekretariatu niczym drogocenne dzieła sztuki. Carla jest otoczona wizerunkami niewinności. To może podziałać na moją korzyść.

– Szkoła podstawowa Garrison Union, w czym mogę pomóc?

Jej melodyjny głos kontrastuje z moim poważnym tonem.

– Dzień dobry, z tej strony mama Abby.

– O, dzień dobry. – Sekretarka również zniża głos. – Martwimy się o Abby.

– Byłam za miastem, ale wróciłam do domu i dowiedziałam się, że córka jest chora.

– Bardzo mi przykro. Czy możemy coś dla pani zrobić?

– Właściwie to tak. Wczoraj wieczorem Abby jadła kolację z waszą nową nauczycielką plastyki, panią Miller. Chyba obie się czymś zatręły. Są odwodnione i ciągle wymiotują. Chyba zabierzemy je do szpitala.

– O rany, coś okropnego! Rzeczywiście, pani Miller wzięła dziś zwolnienie. Musieliśmy na ostatnią chwilę szukać zastępstwa.

– Nie ma pani kontaktu do kogoś bliskiego pani Miller, kogo moglibyśmy powiadomić o sytuacji?

– Chwileczkę, sprawdzę w jej teczce. – W słuchawce rozlega się muzyka klasyczna. Abby i Ethan przyglądają się, jak chodzę tam i z powrotem po garażu, z telefonem ustawionym na tryb głośnomówiący. No, dalej.

Wreszcie Carla wraca na linię.



– Tak, podała kontakt. Pani Sharon Hendricks, Akademia River Road. Mogę dyktować numer?

– Słucham.

Carla dyktuje, a Ethan zapisuje w telefonie.

– No, powodzenia! – żegna się Carla. – Mam nadzieję, że niedługo poczują się lepiej!

– Ja też. Bardzo dziękuję.

Kiedy się rozłączam, Abby marszczy nos.

– Co to jest ta Akademia River Road?

– Chyba jakieś elitarne liceum. Ethan, mógłbyś to sprawdzić?

Mój były mąż wpisuje hasło w pasek wyszukiwarki. Po chwili pokazuje nam stronę internetową z wizerunkiem wielkiej kolonialnej rezydencji otoczonej rozległym trawnikiem.

– „Światowej klasy instytucja edukacyjna poświęcona kształtowaniu kolejnego pokolenia pionierów świata nauki i polityki”... Może jej siostra tam pracuje?

– Rzeczywiście. – Sharon ma na nazwisko tak samo jak Jillian.

– Zadzwoń do nich. – Ethan podaje mi swój iPhone, na którym już przygotował numer szkoły. Znów włączam tryb głośnomówiący.

– Dzień dobry – witam się z recepcjonistką. – Czy mogłabym rozmawiać z panią Sharon Hendricks?

– Pani dyrektor jest teraz na spotkaniu. Chce pani zostawić wiadomość?

– Ojej. Czy mogłaby jej pani przekazać, że to nagła sprawa rodzinna?

Strzelam na ślepo, ale chyba podziałało.

– Proszę się nie rozłączać.

Czekamy pełną minutę. Wreszcie rozlega się nowy głos. Na to nie byłam przygotowana.

– Halo? – kobieta mówi ochryple, z brytyjskim akcentem. Brzmi, jakby była dużo starsza od Jillian. Czyli jednak nie siostra. – Kto dzwoni?

Odkasuję.

– Dzień dobry, jestem przyjaciółką Jillian.

– Moja córka nie ma przyjaciół.

Słowo „córka” mnie zaskoczyło. Jillian jest samotnym wilkiem, do tego z wściekliwością. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby miała być czyjąś córką.

– Cóż, niestety zaginęła – wyjaśniam. – I bardzo pilnie muszę ją odnaleźć. Czy byłaby pani w stanie mi pomóc?

– To chyba jakieś nieporozumienie, dopiero co z nią rozmawiałam. Właśnie do mnie jedzie.

– Ach, w porządku. Przepraszam za kłopot.

Kończę rozmowę i oddaję Ethanowi telefon.

– Jedziemy.

Pędzę przez dom i chwytam torebkę.

– Ta szkoła jest w Rhinebeck, godzinę drogi stąd – woła Ethan. – Nie powinniśmy najpierw powiadomić policji?

– Nie! – Gnam z powrotem, ściskając już w dłoni kluczyki. – Jeśli dotrą tam przed nami, ona może się w ogóle nie zatrzymać. Będzie jechać dalej.

– I co wtedy? – woła Abby. – Nie mamy pojęcia, dokąd pojedą później!

– Chodźcie! – Biegnę do auta. Od miesięcy nie czułam takiego przypływu energii.

– Czekaj. – Ethan dogania mnie przy samochodzie. – Może powinienem... Chciałabyś, żebym...? – Zatraskany wskazuje na kluczyki. Rozumiem. Nie możemy ignorować mojego stanu zdrowia. Jeśli halucynacje dopadną mnie podczas jazdy, skutki mogą okazać się tragiczne.

Niechętnie oddaję mu kluczyki. Kiedy ruszamy w stronę drogi stanowej 9 North, wyobrażam sobie Roba gdzieś przed nami na tej samej autostradzie, skazanego na kaprysy Jillian, która wiezie go ku jakiemuś koszmarnemu przeznaczeniu.

– Szybciej – błagam Ethana. – Możliwe, że już jesteśmy daleko za nimi.

– Co wtedy? – dopytuje Abby, wciskając się między przednie siedzenia.

– Zapnij pasy! Coś wymyślimy.

Nie mówię jej tego, co naprawdę myślę: niewykluczone, że już nigdy go nie zobaczymy.

## JILLIAN

– Jak to „mamy syna”? – Twarz Roba staje się chorobliwie blada.

Wyciągam rękę nad skrzynią biegów i chwytam go za spoconą dłoń w metalowej obręczy kajdanek.

– Ma na imię Charlie. Charles Robert. Po tobie.

– Byłaś w ciąży, kiedy odszedłem? – Jego poczucie winy jest zbyt przyjemne, żeby je od razu odpędzić, więc milczę. Pozwalam, by jego zgroza jeszcze wzrosła. Niech pomyśli, że porzucił własne dziecko, kiedy mnie zostawił. Żałuję, że nie zrobiłam sobie z nim wtedy dziecka: ciężarna, porzucona i niesprawiedliwie zamknięta w więzieniu. Czy ktoś mógłby zasługiwać na większe współczucie?

– Zaraz. – Nash krzywi się ze wstrętu do samego siebie, uznając mój brak odpowiedzi za potwierdzenie. – Poważnie? Byłaś w ciąży, a ja nawet o tym nie wiedziałem?

– Nie – przyznaję. Charlie jest za mały, by uchodzić za jedenastolatka. – Urodziłam go później.

Ulga wygładza mu czoło.

– W takim razie nie jest mój. To niemożliwe.

– Tak się składa, że możliwe.

Rob przewraca oczami.

– Ty naprawdę jesteś oderwana od rzeczywistości, co?

Ignoruję przytyk.

– Pamiętasz, jak odkryliśmy, że mąż Claire ma taką beznadziejną spermę? I cały eksperyment zawisł na włosku, bo nie wiedzieliśmy, czy zdołamy stworzyć zdrowe zarodki?

– No... – Rob jest wyraźnie zdezorientowany.

Przy tej prędkości jazdy nie mogę się dobrze przyjrzeć jego twarzy, ale nie szkodzi. Nie chcę patrzeć mu w oczy, kiedy wyznam mu swój największy sekret z przeszłości, który zmienił całe moje życie.

– Zastanawiałeś się kiedyś, jakim cudem powstały aż dwa?

– Szanse były niewielkie, ale to nie jest niemożliwe.

– Widzisz, tamtej nocy, kiedy wróciłeś ze mną do mieszkania... – Odczekuję chwilę, by pamięć podsunęła mu resztę wspomnień. Rob wierci się niespokojnie w fotelu.

– No?

– No, zachowałam sobie gumkę i zabrałam ją do laboratorium, kiedy ode mnie wyszedłeś. Twoja sperma była jeszcze świeża i okazało się, że jest fantastycznej jakości.

Kiedy zauważam, że zbiera mu się na wymioty, jest już za późno. Fala żółci wyrzywa mu się z ust, zaskakując nas oboje. Zalewa mu kolana i wypełnia samochód smrodem.

– Niech to szlag – mamroczę pod nosem. Trudno w aucie wytrzymać. Dostrzegam zjazd z autostrady i skręcam, a on opuszcza okno i wychyla głowę najdalej, jak tylko się da. Z pobocza wzywają nas złote łuki McDonalda. Podjeżdżam pod okienko drive-thru i proszę o kilka serwetek, a następnie parkuję i zaczynam sprzątać w aucie. Rob jest zbyt oszołomiony, żeby się ruszyć. Nie odezwał się jeszcze ani słowem.

Pomimo jego awersji do mojego dotyku zauważam, że czuję z nim zaskakującą bliskość, kiedy wycieram mu usta i nogi. Bandaż na jego uchu wciąż jest straszliwie zakrwawiony, bo od wczoraj nie zdążyłam się nim zająć. Wyjmuję z bagażnika apteczkę i starannie zmieniam opatrunek, a on wpatruje się wściekły w jakiś punkt za szybą.

– Lepiej? – pytam, skończywszy pracę.

Kiedy Nash otwiera usta, tym razem zamiast żółci wylewa się z nich furia.

– Kurwa mać, ukradłeś moją spermę.

– Zrobiłam to dla ciebie. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale to prawda.

– Czy ty jesteś chora psychicznie?

– Wiem, jak to wygląda, ale za ciężko pracowaliśmy, żeby to wszystko poszło na marne. – Desperacko próbuję sprawić, żeby mnie zrozumiał. Tylko wtedy mamy szansę na wspólną przyszłość. – Gdyby żaden z zarodków nie przeżył, cały projekt ległby w gruzach. Ale ty nigdy byś się na to nie zdecydował, bo jesteś zbyt uczciwy. Więc zrobiłam to za ciebie. I podziękuję.

Jego twarz wygląda jak wykuta z kamienia.

– A ja zabezpieczyłem drugi zarodek.

– No właśnie. Kiedy zniknąłeś, poszłam do kriobanku i zapłaciłam z góry za długoterminowe przechowanie. Potem mnie zamknęli, a kilka lat później wróciłam, zabrałam zarodek w termosie z płynnym azotem do pobliskiej kliniki leczenia niepłodności i zaszłam w ciążę. Charlie urodził się jedenaście miesięcy po moim wyjściu z więzienia.

– Dlaczego zrobiłaś coś takiego? – Rob wreszcie na mnie patrzy. – Po co ci było dziecko?

– To skomplikowane. – Jak mam mu wyjaśnić pewność, którą poczułam wiele lat temu, kiedy zrozumiałam, że moim zadaniem jest dać życie naszemu ostatniemu zarodkowi? Z początku to przekonanie wyrastało z ambicji i buntu, bo widziałam jakąś poetycką sprawiedliwość w kontynuowaniu eksperymentu, za który zostałam ukarana. Ale kiedy tylko zaszłam w ciążę, te uczucia przeistoczyły się w coś głębszego i czystszego: ogarnęło mnie palące pragnienie zostania matką. Miałam dwadzieścia siedem lat i byłam zupełnie sama – on mnie zostawił, kariera przepadła, rodzice odrzucili, nie mogąc znieść wstydu, jaki im przyniosłam. Chciałam kogoś kochać i być kochana. Potrzebowałam nowego sensu życia i kogoś, kto mnie nigdy nie zostawi.

– Jest cudownym dzieckiem – mówię tylko. – To najlepsza decyzja, jaką podjęłam.

To uproszczenie, ale brzmi lepiej niż prawda. Oczywiście, że Kocham Charliego, ale czasami jego niesamowite podobieństwo do Claire i jej syna sprawia, że aż przewraca mi się w żołądku. Poza tym samotne macierzyństwo

okazało się dalekie od milutkiego obrazka, jakiego oczekiwałam. Przeżyłam lata opieki nad dzieckiem, bezsenne noce, brak pomocy i ciągłe wysiłki mające na celu związanie końca z końcem – musiałam dorywczo uczyć online, bo nikt nie chciał zatrudnić kobiety z wyrokiem. To sprawiło, że nawet w najlepsze dni miałam nerwy w strzępach.

Kiedy Charlie miał dwa lata, mój ojciec zmarł na zawał, a mama tak ciężko przeżyła samotną żałobę, że zdołała częściowo stłumić złość na mnie i pozwoliła nam zamieszkać z nią w Rhinebeck, gdzie spędziliśmy kolejne pięć lat. Na plus można liczyć to, że Charlie za darmo uczęszcza do prestiżowej prywatnej szkoły należącej do mojej rodziny. Przepadlibyśmy bez wsparcia matki, rzecz jasna nie pozwala nam choć na chwilę o tym zapomnieć.

Charlie gorzej zniesie pożegnanie z babcią, ale przecież po przeprowadzce do Kanady czeka nas jeszcze lepsze życie. Tam będziemy mogli opublikować nasze przełomowe osiągnięcie bez lęku przed konsekwencjami prawnymi. Badania okresowe Charliego, testy genetyczne i biopsje wykazały, że jest wyjątkowo zdrowy – to żywy dowód naszego sukcesu.

– Zaraz. – Rob nagle podrywa głowę. – Czy to znaczy, że Abby też jest moja? Posyłam mu triumfalny uśmiech.

– Nie ma za co.

– Ale dlaczego w takim razie kazałaś mi powiedzieć jej o Ethanie?

Wzruszam ramionami.

– Tak naprawdę musiałbyś przebadać oboje, żeby mieć całkowitą pewność. Wiem tylko, że zatrzymałam dwie hybrydy jajeczek po procedurze, tak na wszelki wypadek, gdyby mój plan zadziałał i udałoby mi się ciebie uwieść. Powiedziałam ci, że je uszkodziłam, ale tak naprawdę tylko odłożyłam je na bok, żeby spróbować je zapłodnić twoją spermą z tamtej nocy. Musiałam spróbować, bo przecież wiedzieliśmy, że z plemników Ethana prawdopodobnie nic nie wyjdzie. Postanowiłam pozbyć się dwóch preparatów i zastąpić je twoimi w inkubatorze, żeby zostało ich tyle samo. A potem zacząłeś je badać i pozamieniałeś wszystkie miejscami, więc już nie wiedziałam, który jest który.

No i proszę bardzo, wyszły nam dwa idealne zarodki. Więc nie mogę powiedzieć, że oba na pewno były twoje, ale to chyba dość prawdopodobne?

– To jakiś obłąd. – Rob jest na skraju łez. – Nawet nie wiemy, co się dzieje z Abby.

– Nic jej nie będzie. Chociaż żałuję, że nie przyjechała poznać się z bratem.

– To tam jedziemy?

– Zawsze powtarzałam Charliemu, że pewnego dnia, kiedy znajdę jego ojca, zaczniemy razem nowe życie. Ciągłe o ciebie pyta.

– Pyta o mnie? – Rob jest oszołomiony.

– Owszem. – Ogarnia mnie nerwowe podniecenie, jakbym była w liceum i zbierała się na odwagę, żeby zaprosić chłopaka na randkę. – Jesteś gotów na spotkanie z synem?

\* \* \*

Akademia River Road znajduje się na ogromnej działce, którą otaczają łagodne wzgórza, bujne drzewa i perfekcyjnie przystrzyżone trawniki. Szkoła stanowi prawdziwy klejnot doliny rzeki Hudson – to dziecięcy odpowiednik Harvardu, w rękach mojej rodziny od trzech pokoleń. Od czasu śmierci ojca matka prowadzi akademię sama. Nazwa tej szkoły to w tej części kraju synonim prestiżu, ambicji i sukcesu. Sama jestem jej absolwentką – nic dziwnego, że mam takie wysokie aspiracje. Nie zniosłabym niczego poza byciem najlepszą.

Kiedy podjeżdżamy pod wejście, akurat trwa przerwa dla młodszych uczniów. Po drugiej stronie ogrodzenia widzimy setkę dzieci w granatowych mundurkach i białych tenisówkach. Biegają po rozległym boisku, kopią piłki i siedzą przy stołach piknikowych.

Wreszcie rozpinam kajdanki na nadgarstkach Roba.

– Tylko nie próbuj robić nic głupiego – ostrzegam, kiedy wysiadamy z auta. – Ochrona obserwuje cały teren na ośmiu ekranach jednocześnie.

Nash kiwa głową i rozciera obolałe ręce.



Na świeżym powietrzu śmiech dzieci rozbrzmiewa niczym wiatrowe dzwoneczki. Natychmiast dostrzegam Charliego. Krąży obok bramki, gotów do strzału, i krzyczy do kolegi, by podał mu piłkę.

Wskazuję na niego, kiedy podchodzimy do bramy.

– Tam jest nasz synek.

Oboje stoimy i przyglądamy się, jak odbiera piłkę, manewruje wokół obrońcy i posyła ją prosto w siatkę. Z szerokim uśmiechem wyrzuca pięść w powietrze, a koledzy pokrzykują i przybijają mu piątkę.

Moją dumę przebija ukłucie wyrzutów sumienia. Za chwilę wyrwę go z tego bezpiecznego, zalanego słońcem życia i pociągnę w nieznane. Ale przecież to dla naszego dobra. Rob i ja nie mamy tu szans na karierę. Przecież nie można wiecznie poświęcać się dla dziecka, prawda?

– To on? – Rob dotyka plecionego ogrodzenia. Widzę, że miękną mu kolana.

– To mój syn?

Zamiast radości, jakiej się spodziewałam, Rob ciężko oddycha. Odsuwa się od płotu – i ode mnie.

– Co się stało.

– W ogóle mnie nie przypomina – stwierdza, osłaniając zmrużone oczy dłonią. – Wygląda zupełnie jak pierwsze dziecko Claire.

– No i? – fukam zirytowana. Ani na chwilę o tym nie zapomniałam. – Dlaczego wszystko zawsze musi się kręcić wokół Claire?

On robi jeszcze krok w tył, jakbym była niedźwiedziem, szykującym się do walki.

– Wykorzystałaś to dziecko, żeby ją dręczyć, prawda? Aby pomyślała, że jest wariatką?

– Dobra, teraz ty gadasz jak świr. – Zakładam ręce na piersi.

– Chciałaś się jej pozbyć i dopiero wtedy nas dopaść. Jezu, sam ją zawiozłem do szpitala psychiatrycznego. Jeszcze na to nalegałem.

– Błagam cię. Jakby ona od początku nie była walnięta.

– Jak go namówiłaś, żeby ją wabił i uciekał? – Jego głos jest ciężki od pogardy. – Przekupiłaś go czy co?

Przewracam oczami, choć w rzeczywistości jego oskarżenie nie jest dalekie od prawdy. Charlie uwielbia zabawę w chowanego. A potem za każdym razem zabierałam go na lody.

Rob odrywa wzrok od mojej twarzy i zaczyna się rozglądać po terenie. Może szuka drogi ucieczki, ale otaczają nas hektary trawy. Na szczycie wzgórza stoi biały budynek szkoły. Wygląda jak zamek, złożony z wielu skrzydeł, kopuł i pięt. Za nami rozciąga się parking, prowadzący przez rzędy drzew do autostrady wzdłuż rzeki Hudson.

– Masz dwa wyjścia – oznajmiam. – Pojedziesz do Kanady ze mną i z Charliem, tam opublikujemy wyniki badań, wskrzesimy karierę i będziemy wolni. Albo zrobi się nieprzyjemnie. Na pewno chciałbyś przeżyć. Wybór zależy od ciebie.

Widzę, że robi mu się słabo. Nie mogę znieść jego rozpacz, więc ruszam do budki ochroniarza przy wejściu. Macham do Harolda, który pracuje tu od dawna. Strażnik mnie rozpoznaje i otwiera bramę.

– On też wchodzi – mówię, wskazując na Roba. – Pospiesz się – syczę.

Niechętnie podąża za mną. Wchodzę na boisko i kieruję się prosto ku Charliemu, przecinając drogę chłopcu z piłką. Dzieciaki zamierają w połowie rozgrywki.

– Mamo? – Charlie jest zażenowany. Nie umknęło mi, że nie rzuca mi się już w ramiona. Zamiast tego trzyma się z kolegami. – Eee, jesteśmy zajęci...

– Idziemy. Zbieraj się.

– Teraz? – Synek wysuwa dolną wargę. – Dlaczego? Przerwa jeszcze się nie skończyła!

– Jedziemy na wycieczkę. Przykro mi, ale musimy.

– W środku dnia? – Jego głos przybiera marudny ton.

– Aha. Pożegnaj się ze wszystkimi.

Charlie niedbale macha do kolegów i obrażony podchodzi do mnie. Wtedy zauważa Roba przy linii bocznej.

– A to kto? – pyta, marszcząc nos.

Rozumiem obrzydzenie mojego syna. Biała koszula i dżinsy Roba są poplamione, bandaż na uchu znów nasiąkł krwią, a przetłuszczone kręcone włosy sterczą mu na wszystkie strony jak u szaleńca. A mimo to w moich oczach nadal jest przystojny.

– To mój przyjaciel – wyjaśniam. – Opowiem ci, kiedy wsiądziemy do samochodu.

– On jedzie z nami? – Charlie jest zaskoczony. Nikt poza moją matką nigdzie z nami nie jeździ.

– Tak.

Kiedy się zbliżamy, Rob przygląda się chłopcu spod zmrużonych powiek. Trudno mi stwierdzić, czy próbuje powstrzymać emocje, czy tylko razi go słońce.

– Cześć – mówi nieporadnie, wyciągając rękę.

– Hej – odpowiada Charlie, ale zamiast ucisnąć podaną dłoń, przybija Robowi żółwika.

– Rob, Charlie. Charlie, Rob – wtrącam.

Rob wygląda na nieprzyjemnie zaskoczonego, że użyłam jego imienia zamiast słowa „tata”, ale nie protestuje. W tych okolicznościach wielkie wyznania byłyby nie na miejscu. Charlie na pewno byłby rozczarowany – całe życie słyszał, że jego ojciec jest genialnym naukowcem. Jeszcze przyjdzie czas na szczerść.

– Chodź, pożegnamy się z babcią – mówię. – Rob, idziesz z nami. – Nie chcę zostawiać go samego na wypadek, gdyby zechciał spróbować ucieczki.

Całą trójką przecinamy trawnik i ruszamy po stromym wzgórzu do szkoły. Wchodzimy do wyłożonego marmurem foyer, a następnie prowadzę Roba i Charliego do gabinetu mojej matki, z oknami wychodzącymi na zieleń przed szkołą. Charlie powłóczy nogami. Strofuję go, żeby przestał. Rob współpracuje

bez sprzeciwu, ale nie podoba mi się błysk w jego oczach, a w ruchach dostrzegam zapowiedź nieposłuszeństwa.

Wchodzimy do poczekalni przed gabinetem matki. Znajduje się tu czarna skórzana kanapa i kilka drewnianych krzeseł o prostych oparciach. Nakazuję Robowi usiąść. Będę mogła go obserwować przez przeszkloną ścianę w gabinecie. No i Denise, jej sekretarka zajmująca miejsce za biurkiem w poczekalni, będzie mieć na niego oko. Witam się z nią, gdy mijamy jej stanowisko, ale po chwili wracam.

– Denise, czy mogłabyś zrobić mojemu koledze kawę? – pytam, zniżając głos. – Muszę porozmawiać z mamą.

Teraz nie ma szans, żeby wymknął się niepostrzeżenie.

Kiedy wchodzimy do gabinetu, matka wstaje zza biurka. Niby taki z niego dojrzały siedmiolatek, a jednak do niej chętnie się przytula. Babcia przykuca, żeby w pełni przyjąć wybuch uczuć wnuka. O dziwo stała się jedną z najlepszych przyjaciółek Charliego. Grają razem w planszówki, budują wieże z lego, oglądają na żywo starty rakiet w internecie, jeżdżą do parków koparek, robią razem wszystko. Jeśli Charliego coś zainteresuje, moja matka reaguje na to z takim samym entuzjazmem. Od pierwszego dnia zawiązała się między nimi prosta, naturalna więź. Ona nie wie, skąd tak naprawdę wziął się Charlie. Powiedziałam jej tylko, że miałam romans z jego ojcem, który mnie później zostawił.

– Co się dzieje? – rzuca w moją stronę zamiast powitania. Jej wysokie kości policzkowe, delikatne zmarszczki i zgrabna figura upodabniają ją raczej do emerytowanej tancerki niż do dyrektorki prestiżowej placówki. Kiedy poszłam do więzienia, a ojciec zmarł, mama wpadła w głęboką depresję, ale przez ostatnie pięć lat niewiarygodnie odżyła. Po tym, jak pojawił się Charlie, na nowo odkryła radość życia.

Czuję ucisk w gardle. Przez lata wielokrotnie ścierałyśmy się z matką, ale nie mogę zaprzeczyć, że ona i Charlie są dla siebie wszystkim. A my ją teraz zostawiamy na dobre.

– Mam pracę na północy – mówię oględnie. – To duża szansa. Ale musimy wyjechać natychmiast.

– W tej chwili? – Matka marszczy brwi.

– Tak.

Charlie kryje buzię w jej sukience.

– Nie chcę jechać!

– Jillian, Charlie musi dokończyć rok szkolny. Cokolwiek to jest, chyba może poczekać jeszcze kilka tygodni do wakacji.

– Nie, nie może.

– W takim razie jedź, a ja zajmę się nim do twojego powrotu, tak jak do tej pory. Nie mam nic przeciwko temu.

– Hurra! – krzyczy Charlie, zrywa się z miejsca i pędzi z powrotem na przerwę.

Kiedy przebiega obok mnie, chwytam go za ramię.

– Nie.

Przez okno do poczekalni widzę, jak Rob przyjmuje od Denise filiżankę z kawą, ale jednocześnie ją o coś pyta, a ona wskazuje na korytarz, w stronę toalet. On odstawia kawę i wychodzi.

– Musimy lecieć – oznajmiam. – Przykro mi, mamó. Zajrzę do domu, żeby zabrać jego ubrania.

– Nie! – protestuje Charlie. – Nie chcę jechać!

Biorę go na ręce – dwadzieścia sześć kilogramów wijącego się ciała – i idę do poczekalni.

– Zadzwoń do ciebie! – rzucam jeszcze do matki przez ramię. Nadchodzący smutek chwilowo ustępuje o wiele pilniejszej sprawie: dokąd polazł Rob?

– Nie możesz tak po prostu wyjechać! – krzyczy za mną mama. – Dokąd go zabierasz?

Rob stoi na korytarzu i prosi właśnie jakąś nastoletnią uczennicę, żeby pożyczyła mu telefon. Przerwywam im i odciągam go na bok, podczas gdy Charlie nadal piszczy i tłucze mnie w pierś, a moja matka wrzeszczy, żebyśmy na nią

zaczekali. Wychodzi za nami na zewnątrz, więc zaczynam biec i ciągnę Roba za łokieć ze sobą.

– Przepraszam! – krzyczę do niej. Następnie już ciszej zwracam się do Roba:  
– Pospiesz się albo cię rozpozna. Nadal obwinia cię o wszystko, co się ze mną stało.

Nash z jękiem przyspiesza i pędzi obok mnie w dół wzgórza, przez boisko, w stronę parkingu. Wreszcie, kiedy jesteśmy już dość daleko i widzę, że matka się poddała, Rob przystaje i posyła mi uśmiech – pierwszy od naszego ponownego spotkania.

– Słuchaj – mówi takim tonem, jakby właśnie wpadł na genialny pomysł. – A gdybyś tak opublikowała to badanie sama? Nie potrzebujesz mnie! Możesz przypisać sobie całą zasługę!

Wzdycham, mijając Harolda przy bramie.

– Nie rozumiesz?

– Czego?

– Przecież mamy być rodziną.

Charlie, do tej pory wciąż szarpiący mi się na rękach, nagle wiotczeje.

– Czekaj, to jest... Ty jesteś moim tatą?

Rob się wzdryga.

–Eee, chyba tak?

Raczej nie muszę dodawać, że nie tak sobie wyobrażałam ten czuły moment.

Nie mam jednak czasu na poprawienie niekorzystnego wrażenia, bo na parking wtacza się srebrna honda accord. Na przednim zderzaku ma niewielkie wgniecenie. Auto wygląda dokładnie tak jak to, które od tygodni śledziłam przez aplikację GPS.

To samochód Claire.

## CLAIRE

To, co widzę przed sobą, nie może być prawdą. W pierwszej chwili mam ochotę przekląć się za opuszczenie szpitala, bo właśnie oficjalnie straciłam rozum. Wcześniej byłam jeszcze gotowa się tego wypierać, ale teraz muszę ustąpić.

Jakieś pięć metrów przede mną na chodniku stoi Rob i rozmawia z Jillian. Nie wiem, czy powinnam czuć ulgę, widząc, że mój mąż żyje, czy raczej sceptycznie traktować cały ten miraż, bo w jej ramionach widzę Coltona z moich fantazji.

Kilka razy mrugam. Złote włosy chłopca lśnią w słońcu. Dziecko siedzi jej na biodrze i obejmuje ją za szyję, jakby to było coś zupełnie naturalnego. Rob ma zabandażowane ucho, jest brudny i rozczochrany, ale poza tym chyba nic mu nie jest. Jillian jako pierwsza zauważa nasze auto. Patrzy w przednią szybę z nieskrywaną zgrozą, a jej wargi składają się w nieme „O”.

Abby z piskiem otwiera okno.

– Tato!

Kiedy tylko Ethan parkuje, nasza córka wyskakuje i pędzi do ojca. Nigdy nie widziałam na jego twarzy takiej euforii. Ze śmiechem ją podnosi. A więc to prawda. On rzeczywiście tu jest. Żyje. Dzięki Bogu. Zauważa mnie w samochodzie i posyła mi zaskoczony uśmiech.

Jillian przerzuca sobie chłopca na drugie biodro, a może tylko mi się wydaje. Koncentruję się na jego pulchnych policzkach, rozkoszując się tą znajomą halucynacją, lecz jednocześnie błagam swój umysł, żeby ją zakończył. Ale bez względu na to, jak mocno przecierałam oczy, wizja nie znika.

– Czy tylko mi się wydaje – odzywa się Ethan – czy to dziecko naprawdę wygląda identycznie jak nasz syn?

– Słucham?

– No wiesz, jest niewiarygodnie podobny.

Coś w mojej głowie przeskakuje na właściwe miejsce i każe mi natychmiast wyplątać się z pasów i wyskoczyć z samochodu. Ogarnia mnie nieposkromione pragnienie, by dotknąć tego niesamowitego sobowtóra, zweryfikować jego istnienie i własne zdrowie psychiczne, nawet jeśli to oznaczałoby konfrontację z kobietą, której wystrzegałam się przez dziesięć lat.

– Odsuń się! – wrzeszczy Jillian, kiedy biegnę w ich stronę, lecz jej głos brzmi pusto i słabo. Mam przy sobie rodzinę. Niczego nie muszę się już bać.

Kiedy tylko patrzę chłopcu w oczy, natychmiast uświadamiam sobie dwie rzeczy: po pierwsze to nie Colton, bo jego błękitne oczy mają jaśniejszy odcień, jak u Abby. A po drugie – on w ogóle mnie nie poznaje. Widząc, jak się zbliżam, kuli się, a Jillian odskakuje, jakbym miała go jej wyrwać.

Tak huczy mi w uszach, że ledwo słyszę jej krzyki. Jak mam pojąć tę nową rzeczywistość, w której istnieje takie dziecko? Widok jego twarzy z bliska jest jak powrót do domu, a przecież nawet nie wiem, jak ma na imię.

Oniemiała ze zdumienia spoglądam na Roba.

On kiwa głową, zaciskając mocno wargi, w geście milczących przeprosin. Jednak nie zwariowałam. W jego oczach dostrzegam jeszcze coś, czego nie rozumiem. Jakieś wahanie, milczący niepokój.

Przyciąga mnie do siebie, nie puszczając ani na chwilę Abby.

– Boże drogi – mamrocze. – Myślałem, że już was nigdy nie zobaczę.

Nad jego ramieniem widzę Jillian. Kobieta przygląda się nam nienawistnie. Chłopiec domaga się, żeby postawiła go na ziemię, ale ona zamiast tego rzuca się biegiem przez parking.

– Czeka! – krzyczę, wrywając się z objęć Roba, i ruszam za nimi. Z jakiegoś powodu nie mogę znieść myśli, że to dziecko miało by znów mi się wymknąć.

– Harold! – wrzeszczy Jillian, wymachując wolną ręką. – Pomóż mi! – Wskazuje gorączkowo w moim kierunku. – Szybko!

Rozglądam się, nie wiedząc, co się dzieje. Czerstwy ochroniarz wypada z budki i rusza w moim kierunku.



– Stać! – woła.

Ja jednak nie mogę się zatrzymać. Nie zrobię tego, bo Jillian już dobiega do samochodu i otwiera drzwi od strony pasażera. Niech strażnik strzela, jeśli się ośmieli. Gnam w stronę Jillian. Ona wsadza chłopca do auta i zapina mu pasy, ale kiedy ma już zatrzasknąć drzwi, zachodzę jej drogę i rzucam się ku dziecku.

Jillian chwyta mnie mocno za włosy i szarpie w tył.

– Odsuń się od niego!

Ostry ból przeszywa mi kark. Chwieję się na nogach, a tymczasem para dużo większych rąk bierze mnie pod pachy i odciąga na bok. Szarpie się i kopię, ale bezskutecznie; ochroniarz jest o wiele silniejszy ode mnie. Unieruchamia mi ręce i ściąga na kolana. Zimne kajdanki zamykają mi się na nadgarstkach. W tej samej chwili tubalny głos Roba wzbija się ponad chaos i szamotaninę.

– Proszę ją zostawić!

Widzę, jak biegnie ku nam z rękami w górze.

– Nie! – wrzeszczy Jillian. – Ona napadła mojego syna!

– To mój syn – mówi Rob. Nic z tego nie rozumiem. – A to nie jest jego prawdziwa matka – dodaje, wskazując na Jillian.

– Więc kto nią jest? – pyta oszołomiony strażnik.

Mąż spogląda mi prosto w oczy.

– Ty nią jesteś – mówi do mnie.

## JILLIAN

Oglądam się przez ramię. Claire chwieje się i opada na kolana. Harold z wahaniem spogląda na kajdanki.

– Eee... W takim razie chyba nie powinienem się w to mieszać.

– Harold! – Serce wali mi jak oszalałe. – Przecież mnie znasz!

Rob klęka przed Claire.

– On jest twój. Dlatego tak przypomina Coltona.

– Nie rozumiem. – Claire szarpie za kajdanki, a Harold bezmyślnie ją rozkuwa. Rob pomaga jej wstać. Zdezorientowana rusza w moją stronę. – Muszę go zobaczyć.

W pierwszej chwili instynkt każe mi uciekać, ale gdy znów odwracam się do samochodu, widzę, że Charlie pełźnie na siedzenie kierowcy, żeby uciec drugą stronę.

– Wracaj tu! – Chwytam go za kostkę akurat w chwili, kiedy sięga do klamki.

– Nie chcę jechać! – piszczy z przerażeniem.

Claire pędzi w naszą stronę. Tym razem nikt jej nie powstrzymuje. Jeszcze raz ciągnę Charliego za nogę. W tym samym momencie dostrzegam srebrną kolbę, wystającą ze schowka w drzwiach. Mój pistolet. Prawie o nim zapomniałam.

Nachylam się nad Charliem, chwytam broń i wyłaniam się z auta, staję mocno na nogach i celuję w Claire.

Kilka rzeczy dzieje się jednocześnie. Rozpędzona Claire zatrzymuje się jakieś trzy metry przede mną i podnosi ręce. Rozlegają się wielotonowe protesty: ona krzyczy z zaskoczenia, Rob coś woła, Abby płacze.

– Rzuć broń! – woła Harold, mierząc we mnie z czarnego rewolweru.

Patrzemy sobie w oczy nad wylotem lufy. Nikt się nie rusza.

Opuszczam pistolet, tak by pomyślał, że się poddaję. Następnie schylam się po Charliego, który kuli się na siedzeniu, i biorę go na ręce. On wydaje z siebie przerażony szloch i próbuje mnie odepchnąć.

– Trzymaj się – nakazuję surowo. – Nie zrobię ci krzywdy.

Synek z popiskiwaniami oplata moje biodra nogami i opiera mi głowę na ramieniu.

– Grzeczny chłopiec – mamroczę. Czuję, jak dygocze mi przy piersi jak koliber. Wiem, że Harold nie odważy się strzelić do dziecka. Biedny stary Harold. Przez dwadzieścia lat pracy w River Road nigdy nie musiał odbijać zakładnika.

Ochroniarz z nerwów odsłania zęby. Pot cieknie mu po skroniach. Opuszcza nieco rewolwer. A ja znów celuję w Claire.

Spodziewam się, że padnie na kolana i zacznie błagać, ale ona tylko bardziej się prostuje, jakby chciała mnie sprowokować. Kiedy otwiera usta, każde jej słowo ocieka obrzydzeniem.

– I ty masz czelność nazywać się matką.

Już mam nacisnąć spust, kiedy Rob rzuca się ku mnie z wysoko podniesionymi rękami.

– Czekaj! – krzyczy. – Pojadę z wami!

Wciąż trzymam mocno broń.

– Jedźmy do Kanady – dyszy. – Zaczniemy razem od nowa.

– Spierdalaj. – Ściskam mocniej Charliego. – Wiem, że tylko próbujesz ją chronić.

On otwiera tylne drzwi i wkłada jedną nogę do środka.

– Przecież właśnie tak miało być. Nasza rodzina – wskazuje na mnie i Charliego – i ich. – Spogląda na Claire, wciąż stojącą nieruchomo na asfalcie, i Abby z Ethanem, którzy obserwują nas ze strachem kawałek dalej, obok hondy Claire.

– Nie mówisz poważnie – prychnam.

Charlie drży od tłumionego szlochu. Ramię mam już mokre od łez.

– Daj mi go – żąda Rob. – Nie widzisz, że jest przerażony?

Wyciąga ręce ze swojego miejsca w samochodzie, a Charlie, mimo że go nie zna, natychmiast wychyla się ku ojcu. Na ten widok budzi się we mnie głęboka tęsknota. Rozluźniam uścisk, a Charlie natychmiast rzuca się w ramiona ojca. Już nic mnie nie chroni.

– Rzuć broń! – krzyczy Harold, znów celując prosto we mnie.

Nie odrywając od niego wzroku, opuszczam pistolet.

– Na ziemię! – nakazuje ochroniarz.

Waham się. A co, jeśli w chwili, kiedy się poddam, Rob przekaże Charliego prosto w ręce Claire?

On jednak zachowuje się tak, jakby czytał mi w myślach. Sadza chłopca na tylnym siedzeniu i zapina mu pasy.

– Jedźmy – zwraca się do mnie, siada obok synka i zamyka drzwi.

– Nie! – Abby wyrywa się Ethanowi, który próbuje ją powstrzymać. – Nie jedź!

– Rzuć broń! – wrzeszczy znowu Harold. – Masz pięć sekund!

Claire jednak nie krzyczy, nie ucieka. Tylko przygląda się mojej tablicy rejestracyjnej.

– Pięć... – zaczyna zdesperowany ochroniarz.

Nagle wszystko do mnie dociera. Jeśli wsiądę do auta i odjadę, ona zadzwoni po policję i zostaniemy namierzeni. Potem powie, że porwałam jej syna, a test DNA potwierdzi jej wersję i da jej przewagę. Władze zabiorą mi Charliego, a ja zostanę z niczym.

– Cztery...

Żadnej rodziny, żadnej zemsty. Poddanie Roberta to tylko zmyłka. Pewnie jest gotów oddać się w ręce policji, żeby tylko ją ocalić.

– Trzy... – Harold wpatruje się w mnie błagalnym wzrokiem.

Ale przecież każdej akcji towarzyszy równa, lecz przeciwnie zwrócona reakcja.

– Dwa...

Zanim podniosę pistolet po raz ostatni, ogarnia mnie poczucie czystej wolności: nie mam już o co walczyć, czego się bać. Wyzwoliłam się z więzienia ambicji i pozostała we mnie tylko chęć zniszczenia.

Kiedy naciskam spust, rozlega się jej krzyk.

\* \* \*

## CLAIRE

Wystrzałowi towarzyszy potworny huk. Rzucam się na ziemię, ale pocisk wbija mi się w prawe biodro. Uderzam w asfalt, a oddech więźnie mi w gardle z bólu. Niemal w tej samej chwili rozlega się kolejny strzał, ale prawie tego nie zauważam. Palące uczucie rozlewające się po całym boku mojego ciała wgryza się głębiej niż mięśnie, głębiej niż kość. Ból rozrywa mnie na kawałki. Gdy przyciskam dłoń do rany, palce zapadają mi się w zagłębienie poszarpanej tkanki. Krew leje się strumieniem. Już przemoczyła mi bluzkę, już zbiera się pode mną gorąca kałuża.

Wtedy uświadamiam sobie, że drugi pocisk nie trafił we mnie. Dzwoni mi w uszach; powieki mi opadają, ale nie chcę tracić kontaktu z rzeczywistością. Zmuszam się, by zachować świadomość w czarnym tunelu, pochłaniającym świat przed moimi oczami. W ostatnim przeblysku dostrzegam Jillian na chodniku – leży twarzą w dół, z rozrzuconymi na boki kończynami. Jest zupełnie, absolutnie nieruchoma.

\* \* \*

## ABBY

– Mamo! – Natychmiast rzucam się ku niej. – Mamo!

Biegnę najszybciej, jak potrafię, ale ona już straciła przytomność – albo jeszcze gorzej, nie wiem. Ochroniarz, Ethan i tata też pędzą w jej stronę. Widok krwi jest przerażający; ma tak ciemnoczerwony kolor, że jest prawie czarna. Mimo to nie mogę odwrócić wzroku. Chcę jej dotknąć, ale boję się, co mogłabym odkryć. Leży z policzkiem przy ziemi, oczy ma zamknięte, wargi rozchylone.

Tata dotyka jej szyi, tuż pod szczęką.

– Żyje. Dzwońcie po pogotowie!

Ochroniarz sięga po walkie-talkie i wzywa pomoc.

Następne minuty są najdłuższe w całym moim życiu. Tata ściąga koszulę i obwiązuje nią mamę w pasie, żeby zatamować krwawienie, Ethan gładzi ją po czole, a ja ściskam jej wiotką dłoń. Kiedy wreszcie przyjeżdża karetka na sygnale, mogę się tylko odsunąć i pozwolić, żeby wsadzili ją na nosze i zabrali do środka. Tata rusza za nią, ale chwytam go za rękaw.

– Czy ona umrze?

– Nie – odpowiada stanowczo. – Nie pod moją opieką. – Całuje mnie w czubek głowy i wskakuje do karetki.

– Chodź, pojedziemy za nimi do szpitala! – woła mnie Ethan.

Już mam wsiąść do jego auta, ale mijając samochód Jillian, zauważam ciemną sylwetkę chłopca, wciąż skulonego na tylnym siedzeniu. Starsza kobieta, która wybiegła ze szkoły po strzelaninie, teraz błaga go, żeby wyszedł.

– Niech pan zaczeka – mówię do Ethana.

Podchodzę do samochodu, osłaniając oczy przed widokiem ciała na ziemi. Pocisk wystrzelony przez ochroniarza trafił ją prosto w głowę, zabijając na miejscu. Widok mózgu rozbryzganego na asfalcie to ostatnie, czego mi teraz trzeba.

Starsza pani już do połowy weszła do samochodu i wciąż perswaduje coś chłopcu. Stukam ją lekko w nogę, a ona się wysuwa. Twarz ma całą mokrą od łez; ociera policzki rękawem.

– Jest zbyt przerażony, żeby się ruszyć.

– Proszę dać mi spróbować.

Wpełzam do środka. Chłopiec kołysze się w przód i w tył, obejmując kolana ramionami. Spogląda na mnie przerażonymi niebieskimi oczami. Mają taki sam kolor jak moje.

– Hej – mówię. – Jestem Abby.

On przygląda mi się w milczeniu.

– Już możesz wyjść. – Wyciągam do niego rękę. – Pójdiesz ze mną?

– Nawet cię nie znam.

– Ale niedługo poznasz – zapewniam. – Okazało się, że jestem twoją starszą siostrą.

## CLAIRE

Kiedy znów otwieram oczy, stoją przy mnie trzy ciemne sylwetki.

Mrugam kilka razy, aż postacie się wyostają. Widzę moją kochaną córeczkę – jest blada, ale uśmiechnięta. Obok niej Rob, prawie nie do poznania z kilkudniowym zarostem i spuchniętymi oczami. A nieco dalej, za nimi, Ethan, dawnym zwyczajem przygryzający nerwowo wargę.

Abby bierze mnie za rękę, podpiętą do kroplówki. Mam też drugą igłę w łokciu i kilka białych opasek na nadgarstkach. Gdzieś nad moją głową rozlega się ciche pischczenie jakiegoś urządzenia, a ciało mam przykryte cienką kołdrą. Czuję się ciężka i sztywna, jakby całe moje ciało było zrobione z wielkich kłód.

– Mamo? – odzywa się Abby nieco zbyt głośno. – Słyszysz mnie?

Mam sucho w ustach, więc tylko kiwam głową. Dręczy mnie jakaś ważna myśl, ale nie mogę jej dobrze uchwycić.

– Cześć, skarbie – mówi Rob, głaszcząc moją drugą rękę. – Dałaś radę.

– Co... się stało? – Zaskakuje mnie brzmienie własnego głosu; jest niski i ochryply, jak zaraz po przebudzeniu, tylko o wiele gorzej.

– Miałaś operację – wyrywa się Abby.

Panika dudni mi w piersi, ale Rob jest spokojny.

– Pocisk złamał ci kość miednicy i przedziurawił jelito cienkie – wyjaśnia rzeczowo. – Przeszłaś operację, która zakończyła się sukcesem, i miałaś dwie transfuzje krwi, ale twój stan jest już stabilny. Wrócisz do zdrowia.

Jego słowa wślizgują mi się do uszu, ale tak naprawdę ich nie słyszę. Nadal jestem słaba i otumaniona. Nie pamiętam, jak tu trafiłam. Ostatnie, co pamiętam, to... Nie jestem pewna... Dotarliśmy do szkoły, a potem zobaczyłam Jillian z...

– Gdzie jest mój syn? – pytam, rozglądając się za blond główką. To jego mi tu brakowało.



– W domu, z matką Jillian – wyjaśnia Rob. – Musimy ustalić, co należy teraz zrobić.

– Jillian nie żyje – ogłasza Abby. – Strażnik ją zastrzelił.

Rob ściąga wargi.

– Już nigdy nie będziemy musieli się nią przejmować.

Wyrazisty obraz rozpala mi się w pamięci: mój synek trzymany jako zakładnik, żywa tarcza. Ten strach na jego twarzy i moja bezsilność w tej sytuacji będą mnie prześladować do końca życia.

– Ale wszystko z nim dobrze? – pytam z niepokojem. – Jest bezpieczny?

– Tak, nic mu się nie stało. Właściwie to babcia go wychowała, więc jest w dobrych rękach.

– Nawet nie wiem, jak ma na imię.

– Charlie – mówi Rob. – Ma siedem lat.

Istnieje tylko jedno wyjaśnienie, jakim cudem mógłby być moim dzieckiem.

– Czyli to ten drugi zarodek...?

– No. Przechowała go sobie.

Powoli docierają do mnie następstwa, jakie niesie ta absurdalna sytuacja. Patrzę Ethanowi prosto w oczy.

– A więc on też jest... twój?

– Cóż. – Rob odkasłuje. – Tamtego dnia, kiedy stworzyliśmy zarodki, natrafiliśmy na pewną przeszkodę. Okazało się, że Jillian zrobiła coś bardzo nieetycznego, żeby zaradzić tej sytuacji, a ja dowiedziałem się o tym zaledwie kilka dni temu. – Bierze głęboki wdech i spogląda na Abby. – Bardzo możliwe, że jednak jestem twoim ojcem. Nie wiemy tego na pewno.

Zaskoczony westchnienie samo wyrwa mi się z ust. Natychmiast dopasowuję do siebie wszystkie elementy układanki. Kiedyś sama martwiłam się o niską liczbę plemników Ethana po przelotnym zapaleniu gruczołu krokowego. Jeśli to przysporzyło problemów, Jillian na pewno znalazła sposób, żeby to obejść. Miała romans z Robem i nie obciążał jej żaden kompas moralny. Nie zawahałaby się przed niczym, by stworzyć możliwe do utrzymania zarodki.

Abby marszczy brwi. Te dorosłe machinacje są dla niej nie do pojęcia.

– Nie rozumiem.

Twarz Roba z chwili na chwilę coraz bardziej różowieje.

– Powiedzmy, że zrobiła coś za moimi plecami w bardzo ważnej sytuacji...

Tak że każdy z nas – wskazuje głową na Ethana – może okazać się twoim ojcem, tak samo z Charliem. Jedyne sposoby, żeby dowiedzieć się na pewno, to wykonanie testów na rodzicielstwo.

– Ja jestem za – zgłasza się Ethan. – Czemu nie?

– Skarbie... – Rob patrzy na Abby. – Jak się z tym czujesz?

– Chcę poznać prawdę – oznajmia nasza córka, kiwając głową.

Nic nie mówię, ale kolejny element układanki wpada na właściwe miejsce: Abby musiała odziedziczyć swoje tajemnicze rude włosy po którymś z irlandzkich przodków Roba, nie po Jillian, która przekazała jej tak mały fragment swojego DNA. Kiedy patrzę na nią i jej dwóch ewentualnych ojców, nagle staje się oczywiste, że zupełnie nie przypomina Ethana. Jej jasna cera i wysokie kości policzkowe są zbliżone do wyglądu mężczyzny, który wychował ją jak własne dziecko, nie wiedząc, że faktycznie nim jest.

– W takim razie zorganizuję testy – oznajmia Rob. – Już wyjaśniłem sytuację pani Hendricks. Zgodziła się na zbadanie Charliego. Była oburzona, kiedy dowiedziała się o jego pochodzeniu, więc teraz chce ustalić, kto jest ojcem chłopca, a kto matką. Jillian pewnie ją okłamała, że zaszła w ciążę po jakimś przelotnym romansie.

– Niewiarygodne – mamrocze z sarkazmem.

Próbuję usiąść na łóżku, ale wściekły ból w prawym boku mnie powstrzymuje.

– Nie ruszaj się – strofuje mnie Rob. – Czego potrzebujesz?

*Nowego ciała. Wakacji do końca życia.*

– Mocnego drinka – mówię tylko.

Uśmiecha się w odpowiedzi.

– Cóż, masz kroplówkę pełną petydyny, a to jeszcze lepsze.

– Jak długo będę musiała tu siedzieć?

– Co najmniej kilka dni, żeby wykluczyć ryzyko zakażenia. Przypuszczam, że w weekend już wrócimy do domu.

– To nie tak źle! – ozywiam się.

– No, ale trochę czasu spędzisz na wózku. Nie będę cię okłamywał, do pełnego wyzdrowienia jeszcze daleka droga. Wiele wizyt u lekarzy, fizjoterapia, kolejna operacja... Chcę, żebyś była na to gotowa.

Zapadam się głębiej w poduszki. Dociera do mnie, że zamieniłam chorobę psychiczną na fizyczną; nie jestem pewna, co gorsze.

– Ale będę znowu chodzić, prawda? – upewniam się. – Kiedyś?

– No jasne! – zapewnia Abby z lekką histerią w głosie. – Nie zostaniesz na zawsze na wózku! – Zerka na Roba, jakby pytała: „Prawda?”.

On posyła jej pocieszający uśmiech.

– Znając twoją matkę, to do Bożego Narodzenia będzie już biegać.

Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Nie pozwolę, żeby Jillian ukradła mi nogi.

– Zobaczycie, że tak będzie – zapewniam.

Abby to wystarcza.

– A co z Charliem? Kiedy go znowu zobaczymy? – pyta.

– Nie jestem pewien. – Rob wzrusza ramionami i zerka na Ethana. – Wiele zależy od testów na rodzicielstwo.

– Mogę do niego zadzwonić? Chcę zobaczyć, jak się czuje.

– Abby, nie przeszkadzajmy im. Przeżywają teraz ciężkie chwile.

– Proszę? – Córka nie daje za wygraną. – Tylko na pięć minut. Przecież to mój brat, prawda?

– Och, pozwól jej – mówię do Roba. Nasze biedne dziecko wystarczająco dużo przeszło. Zrobiłabym wszystko, żeby dać jej kilka minut radości. – Może się ucieszy, że się do niego odezwała.

Rob zastanawia się nad tym przez chwilę.

– W porządku. Wyjdziemy na korytarz i zadzwonimy z mojego telefonu.

– Super! – piszczy Abby.

Kiedy oboje wychodzą z pokoju, Ethan i ja zostajemy sami. On przystaje w nogach łóżka i wskazuje na pobliskie krzesło.

– Czy mam...? A może wolisz, żebym...?

– Siadaj.

Ethan podsuwa sobie krzesło. Zapada ciężkie milczenie. Nie przebywaliśmy ze sobą sam na sam od dnia, kiedy się rozstaliśmy – tak dawno, jakby to było w innym życiu.

Po chwili cisza staje się nie do zniesienia.

– Mogłeś wrócić do Nowego Jorku – mówię. – Nie musiałeś tu zostawać.

Wzrusza ramionami.

– Policja i tak chciała mnie przesłuchać, więc zostałem. A poza tym chciałem się upewnić, że z tobą wszystko w porządku.

Znów wracam myślami do widoku Charliego, uczeplonego kurczowo Jillian wymachującej pistoletem. Nawet sobie nie wyobrażam, jaką traumę przechodzi teraz to dziecko. Myśl, że nie mogę go pocieszyć ani nawet być przy nim, stanowi kolejny wymiar tortury.

Ethan tymczasem jest pochłonięty własnymi wspomnieniami.

– Nie mogę zapomnieć tego widoku.

– Wiem. Ale przynajmniej nikomu nic się nie stało. No, poza nią.

– Ona się nie liczy. – Ethan się krzywi. – Nie rozmawiajmy o niej.

– Dobrze. – Wiedziona nagłym impulsem zmieniam temat. – Jak się czujesz z myślą, że możesz mieć dwójkę dzieci?

Kiedy tylko to mówię, znów ogarnia mnie niepokój. A co jeśli Ethan jest ojcem jednego lub obojga dzieci? Czy będzie próbował je nam odebrać? Nie mogę ryzykować batalii sądowej, w której zostałabym zdemaskowana, więc stoję na przegranej pozycji.

– Zobaczmy, co się okaże. Ale nie przejmuj się tym za bardzo. Nie jestem już w takiej sytuacji, żeby wychowywać dziecko.

– Nie? – Staram się nie okazywać ulgi, jaka mnie ogarnęła.

– W przyszłym roku przechodzę na emeryturę. Zamierzam wybrać się w podróż po świecie. Pamiętasz, jak kiedyś myśleliśmy o przeprowadzce do Florencji albo do Rzymu?

– Tak, ale Colton był tak chory, że...

Oboje milkniemy. W tej chwili jest coś dziwnie intymnego.

– To nie znaczy, że w ogóle nie chcę być częścią ich życia – dodaje Ethan po chwili. – Ale bardziej jako wujek albo ktoś w tym rodzaju.

– Podoba mi się ten pomysł. – Uśmiecham się do niego.

– A ty... – Przerywa. – Ty i Rob... jesteście szczęśliwi?

Zastanawiam się, jak powiedzieć prawdę, nie raniąc go przy tym.

– Pasujemy do siebie.

– To dobrze. – Ethan przełyka ślinę i odwraca wzrok. – Przykro mi, że tak to się między nami skończyło.

– Mnie też. – Nie chcę kłótni, ale w moim głosie i tak pobrzmiwa teraz twarda nuta. – I co, nagle nie masz nic przeciwko niemu? Po tym, jak starałeś się nas zniszczyć?

– Wcześniej tego nie rozumiałem – przyznaje Ethan. – Naprawdę nie rozumiałem.

– Czego? – Chcę, żeby powiedział to na głos.

– Kiedy tylko poznałem Abby, wszystko się zmieniło – wyjaśnia, patrząc w przestrzeń. – Zawsze wierzyłem w absolutny zakaz edycji ludzkich zarodków, ale przecież ona nie powstała po to, żeby być lepszą czy inteligentniejszą od innych, tylko żeby mieć normalne życie. Kto wie, czy w przeciwnym razie w ogóle jeszcze by żyła?

– Wow, nie żebym kiedykolwiek próbowała ci to wytłumaczyć.

– Wiesz, chyba musiałem to zobaczyć na własne oczy. A teraz będę musiał zweryfikować część swoich poglądów. To dla mnie bardzo dziwna sytuacja, jeśli mam być szczery.

– Jakoś mi cię nie żal. – Wskazuję na swoje unieruchomione nogi.

Ethan się krzywi.

– No jasne. Czy moglibyśmy zacząć od początku? Nawiązać przyjazne stosunki?

– To nie takie proste. – Wzdycham. – Zniszczyłeś nam życie. Wciąż płacimy za to wysoką cenę.

– Przez nakaz aresztowania?

– Tak. Kiedy wspomniałeś wcześniej o policji, przestraszyłam się, ale chyba niczego nie podejrzewają. Jeszcze.

– W zeznaniu podałem wasze fałszywe dane – wyjaśnia Ethan ku mojemu zaskoczeniu. – Michael i Lisa Burke'owie, tak?

Jeśli to nie jest gest dobrej woli, to nie wiem, co mogłoby nim być.

– Skąd wiedziałeś?

– Abby mi powiedziała.

– Dziękuję. Naprawdę. To wiele dla mnie znaczy.

– Wiesz, dla mnie wciąż jesteście rodziną. – Ethan uśmiecha się smutno. – To chyba już się nigdy nie zmieni.

\* \* \*

Tydzień później jestem już w domu z Abby i Robem, ale życie nadal jest dalekie od normalności. Pomimo moich nowych fizycznych ograniczeń na wiele sposobów się poprawiło. Już nie żyję w ciągłej paranoi, że pojawi się Jillian. Nie boję się złudzeń i halucynacji, a Rob znów uwierzył, że jestem zrównoważona emocjonalnie. Zamiast jeżyć się z niepokoju, znów mówi do mnie jak do swojej żony. Całuje mnie szczerze i z uwagą. Odzyskaliśmy dawną stabilność.

A co najlepsze, test DNA potwierdził moje przypuszczenia: rzeczywiście jest ojcem Abby. Nie posiadaliśmy się ze szczęścia, kiedy otworzyliśmy list ze szpitala. Nie żebyśmy potrzebowali dodatkowych potwierdzeń; jesteśmy rodziną i nic tego nie zmieni.

Badanie Charliego potwierdziło, że jest moim dzieckiem i, o dziwo, Ethana. Nic dziwnego, że tak bardzo przypomina Coltona. Ethan był zachwycony;

wyznał, że po przejściu na emeryturę w przyszłym roku rozważy przeprowadzkę poza Nowy Jork, żeby być bliżej nas.

Niestety nadal jednak nie miałam okazji zobaczyć się z Charliem. Umówiliśmy się z panią Hendricks, że z niczym nie będziemy się spieszyć. Nie chcemy zmuszać chłopca do spotkania, dopóki nie będzie na nie gotowy.

Gdy rozmawiałam z matką Jillian przez telefon, przypomniała mi, że przecież Charlie właśnie stracił matkę.

– To znaczy... – zawahała się. – Wie pani, o co mi chodzi.

Cierpienie w jej głosie dało się wychwycić natychmiast. Jillian była jej małą dziewczynką, nawet jeśli wyrosła na tak niszczycielską osobę.

– Rozumiem – zapewniłam. – I współczuję pani z powodu tej straty. – Bez względu na okoliczności, śmierć dziecka to tragedia, jakiej nie powinien przechodzić żaden rodzic.

– Dziękuję – odparła. – I przepraszam za wszystko, co zrobiła.

– To nie pani wina. Bardzo bym chciała spotkać się znowu z Charliem, kiedy nadejdzie odpowiedni czas... – zaczęłam, próbując nie okazywać desperacji. – Ale zgadzam się, że nie powinniśmy na niego naciskać.

No i teraz tkwimy w tym stanie zawieszenia, który równie dobrze może trwać wiecznie.

A ja czuję się jak starsza pani z litanią utyskiwań na rozmaite dolegliwości. Odkąd poruszam się na wózku, mój świat skurczył się do tych kilku pomieszczeń w naszym domu, po których mogę się przemieszczać bez wchodzenia na górę. Śpię na wysuwanej kanapie w salonie. Potrzebuję pomocy w korzystaniu z toalety i prysznic. Przyjmuję opioidy, żeby jakoś wytrzymać ciągły ból w biodrze. Do tego dochodzą też poważne problemy żołądkowe: człowiek nie wie, czym są wzdęcia, dopóki nie przeszedł operacji jelit. Jak na razie jestem w stanie jeść tylko przecier jabłkowy i tofu.

Abby wspaniale reaguje na moje ograniczenia. Bez żadnych próśb przynosi mi rano herbatę, a popołudniami odrabia przy mnie pracę domową. Wiem, że cieszy się z powrotu do szkoły, do Riley i Tylera, i już nie może się doczekać

wycieczki klasowej, ale widzę też, że chętnie przebywa w domu. Teraz w mojej obecności prawie nie korzysta z telefonu i już nie zamyka się tak często w swoim pokoju. Przeżycia z ostatnich tygodni nadały naszej relacji nowe znaczenie. Czas spędzany razem jest zbyt cenny, by go marnować.

Właśnie dlatego w sobotni poranek wołam ją, żeby przyszła do mnie na kanapę, kiedy skończy jeść cheeriosy w kuchni. Musimy szczerze porozmawiać. Nie chcę się już dłużej ukrywać – jeśli nie przed światem, to przynajmniej przed własną córką. Rob siedzi w warsztacie, więc mamy chwilę tylko dla siebie. Córka siada przy mnie i sięga po pilota.

– Kreskówki? – pyta. – Czy jakiś film? Nie skończyłyśmy oglądać *Nie wierzcie bliźniaczkom*.

– Za chwilę. – Poprawiam poduszki tak, by siedzieć twarzą do niej. Krzywię się, gdy ból rozlewa mi się po biodrze. – Musimy wyjaśnić sobie kilka rzeczy.

– Mam kłopoty? – Abby marszczy twarz w wyrazie konsternacji.

– Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu jestem ci winna przeprosiny. Należało ci wcześniej powiedzieć o twojej przeszłości. Przepraszam, że trzymałam to w sekrecie.

– W ogóle nigdy mi nic nie powiedziałaś – poprawia córka, krzywiąc się.

– Wiem. Źle zrobiłam, że cię tak okłamywałam.

– Zgadza się. – Abby na chwilę milknie, zastanawia się nad czymś. – Wiesz, co jest naprawdę okropne, skoro już tak szczerze rozmawiamy?

– Powiedz.

– Że co roku jeździsz na urodziny Coltona aż do Nowego Jorku, ale nigdy nie przyszałaś na żaden mój mecz.

– Och, skarbie. – Jej przygnębienie napełnia mnie bólem, jakiego nie złagodzi żaden lek. – Nie zrozumiałaś. Colton dostaje jeden dzień w roku. Pozostałe trzysta sześćdziesiąt cztery są dla ciebie.

Abby jest wyraźnie zbита z tropu.

– Jak to?



– Gdybym pojawiała się u ciebie w szkole, ktoś mógłby dodać dwa do dwóch. Matki tych dzieciaków uwielbiają plotkować. A to zaszkodziłoby nam wszystkim. Ktoś mógłby zadzwonić na policję... – Urywam, nie chcąc zbyt mocno rozbudzać w niej takich obaw. – Nawet nie wiesz, jak mi przykro, że nie mogę się tam pojawiać.

– Ale tata czasami przychodzi – kontruje Abby. – Dlaczego?

– Bo to moja twarz pojawiała się we wszystkich gazetach. Byłam mamą dziecka Frankensteina, ciężarną uciekiniarką. – Przewracam oczami. – Tę rzadko ktoś pokazywał.

Abby długo milczy.

– A ty myślisz, że jestem dziwadłem? Albo jakimś potworem?

Aż odbiera mi dech.

– Oczywiście, że nie! Jak mogłaś pomyśleć coś takiego?

– Pamiętasz tę kartkę? Wiesz, z napisem, że jesteś psycholką. Nie napisałam tego, ale mi nie uwierzyłaś.

Wspomnienie tego incydentu napęnia mnie wstydem.

– Masz rację. Nie wierzyłam ci. Strasznie mi wstyd się do tego przyznawać, ale martwiłam się, że może odziedziczyłaś jakieś podłe skłonności po Jillian. Przysięgam, że już tak nie myślę.

– O rany. – Abby otwiera szeroko oczy. – To nie Sydney mi ją podrzuciła. To była ona.

– Słucham?

– Kartki do rodziców były rozdawane na plastyce. A ona przecież była o ciebie strasznie zazdrosna.

Znów czuję przypływ znajomej mieszanki obrzydzenia i niedowierzania.

– Wiedziałam, że szukała sposobu, by narobić nam kłopotów. Właśnie dlatego tak się nad tobą trzęsłam.

Moje mądre dziecko ma jednak bardzo istotne spostrzeżenie na ten temat.

– Ale i tak jej nie powstrzymałaś, prawda?

– Prawda – przyznaję. – Nie powstrzymałam.

– No i? – Abby unosi wyczekująco brwi. Dostrzegam w niej przeblysłk nastoletniej osobowości, która niedługo ukaże się w pełnej okazałości.

– Dobrze, dobrze. – Wzdycham. – Postaram się bardziej wyluzować. Chyba i tak nie zdołam tego uniknąć. Pewnego dnia zrobisz prawo jazdy, pójdiesz na studia, aż w końcu w ogóle nie będę wiedziała, co się z tobą dzieje. Będę miała szczęście, jeśli zadzwonisz do mnie kilka razy w tygodniu.

Uśmiecham się, by podkreślić, że to żart, ale w moim głosie i tak pobrzmiwa cichy żal. A za nim wyłaniają się inne moje lęki – że pewnego dnia świat dowie się o niej i o Charliem. Czy moje dzieci zdołają odeprzeć ataki ze strony otoczenia i prasy? Jak wytrzymają życie pod ciągłą obserwacją? A co się stanie, kiedy Abby będzie miała własne dzieci, które też odziedziczą DNA z mitochondriów Jillian?

– Maamo – jęczy Abby. – Przecież nie jestem jeszcze nawet w piątej klasie. I nie pozwalasz mi korzystać z Instagrama!

Śmieję się z rozbawieniem. Moja córka ma rację. Nie mogę teraz rozwiązać żadnych problemów z przyszłości.

– Proszę bardzo, korzystaj sobie do woli. Tylko nie rozmawiaj z nieznajomymi!

– Zgoda. – Abby wyciąga do mnie rękę w oficjalnym geście. Ściskam ją z równą powagą.

– Wiesz co, zawsze mi się wydawało, że w byciu matką najtrudniejsze jest to, żeby cię chronić. Teraz widzę, że się myliłam. Najtrudniej jest odpuścić.

– Nic mi nie będzie. – Uśmiech Abby promienieje wiarą we własną niezniszczalność, tak właściwą młodości. – Nie martw się o mnie.

– Postaram się – obiecuję, powstrzymując łzy. – Po prostu nigdy wcześniej nie miałam dorastającego dziecka.

# EPILOG

## *Trzy miesiące później*

Wrzesień jak zawsze podkradł się niezauważenie. Rześkie powietrze i kompletowanie szkolnej wyprawki przypominają, że leniwe letnie dni dobiegają końca. Ale ten długi weekend z okazji Święta Pracy jest wyjątkowy – wreszcie możemy zerwać z izolacją. Po raz pierwszy zorganizowaliśmy rodzinnego grilla.

Ethan, Abby i Rob stoją przy grillu, a Charlie i jego babcia lada chwila do nas dołączą, przynajmniej mam taką nadzieję. Przez całe lato czekałam na spotkanie z synem, więc teraz nie mogłam się oprzeć i skorzystałam z okazji, by zadzwonić do pani Hendricks i zaprosić ją na spotkanie. Powiedziała, że porozmawia z Charliem – wnuk uwielbia hot dogi – ale nie może zagwarantować, że się pojawią.

Oczywiście na wszelki wypadek kupiłam trzy rodzaje hot dogów i tort lodowy z oreo, bo chyba wszystkie dzieci uwielbiają oreo. W sklepie wydawało mi się, że to dobry pomysł, ale gdy zobaczyłam deser w zamrażarce dziś rano, uświadomiłam sobie, że tak naprawdę w ogóle nie znam własnego dziecka. Nie mam pojęcia, co lubi jeść na lunch, jaka jest jego ulubiona książka, jak nazywają się jego przyjaciele. Jestem wygłodniała tej wiedzy, którą można zdobyć jedynie poprzez codzienny rodzicielski kontakt.

Słońce wspina się po niebie, przypominając mi, że Charlie i jego babcia się spóźniają – jeżeli w ogóle się pojawią. Za każdym razem, gdy zerkam z leżaka w stronę bramy, moja desperacja rośnie o kreskę.

Abby właśnie zajada hot doga w drodze do basenu, a Ethan i Rob jedzą burgery przy stole na patio, prawdopodobnie zajęci rozmową o interesach.

W zeszłym miesiącu Ethan zadzwonił do nas z szokującą wiadomością. Jako przewodniczący prezydenckiej komisji doradczej do spraw bioetyki ma dostęp

do rozmów o regulacjach badań naukowych na najwyższym szczeblu. Nowa pani prezydent narzekała przed podwładnymi na to, że Stany pozostają w tyle za Chinami i Wielką Brytanią w zakresie modyfikacji genetycznej zarodków w celu unikania chorób dziedzicznych. Nie tylko postanowiła znieść panujące obecnie restrykcje, ale też zdecydowała o założeniu nowego centrum badań w Narodowym Instytucie Zdrowia, by zachęcić naukowców do działań w tym kierunku. Rob jest zainteresowany pracą w charakterze konsultanta, a Ethan stara się mu w tym pomóc. A najlepsze, że mój były mąż pociągnął za kilka sznurków wśród starych znajomych w Departamencie Sprawiedliwości. Jego kolegom zależy na przypochlebianiu się nowej administracji, więc nasze nakazy aresztowania zostały anulowane.

Nie musimy już dłużej żyć w kłamstwie. Koniec z chowaniem się w domu, opuszczaniem meczów i występów Abby, koniec paniki za każdym razem, kiedy jedzie za nami radiowóz. Gdy pod koniec roku otworzy się Centrum Terapii Genetycznej Komórek i Zarodków, Rob będzie raz w miesiącu dojeżdżać do Waszyngtonu, a ja zamierzam się udzielać w radzie rodziców w szkole Abby. Chciałabym też znów pisać – może zacznę od wspomnień, żeby przedstawić światu prawdziwą wersję wydarzeń.

Nagły zgrzyt bramki sprawia, że serce podskakuje mi w piersi.

To oni. Pani Hendricks otwiera furtkę Charliemu. Nie mogę uwierzyć, że widzę go na trawniku – jego potargane blond włosy, opaloną skórę, chude ciało. Mam ochotę zatrzymać czas i po prostu rozkoszować się tym widokiem. Chłopiec niepewnie wchodzi do środka. Ma na sobie czerwone szorty do pływania we wzorek z małych rekinków. Abby wyskakuje z basenu i biegnie im na powitanie. Ja też wchodzę na trawę i ruszam w ich stronę, podpierając się ciężko na lasce.

– Hej! – piszczy Abby i przybija Charliemu piątkę.

On ostrożnie klepie jej dłoń, ale to nie tłumi euforii Abby.

– Chcesz się ze mną przejechać na zjeżdżalni wodnej? – Wskazuje na piętnastometrową niebieską ślizgawkę, którą zamontowaliśmy jej na pagórku

przy płocie. – Jest super!

Charlie wzrusza ramionami.

– Okej.

– Super! Odkręcę wąż!

Kiedy się zbliżam, córka pędzi w stronę ślizgawki.

– Bardzo się cieszę, że was widzę – mówię, opierając się chęci objęcia Charliego. Jeszcze za wcześnie na takie gesty z mojej strony.

Pani Hendricks nagradza moją powściągliwość uśmiechem.

– Dziękujemy za zaproszenie. Charlie o was pytał. Chciał tu dzisiaj przyjść.

Przyklękam przed chłopcem, ledwo zauważając ukłucie w biodrze. Nie przeszkadza mi, że jesteśmy nieznajomymi, którzy zaczynają wszystko od zera, ani że może minąć sporo czasu – kto wie, czy nie wiele lat – zanim poczujemy się jak prawdziwa rodzina. W tej chwili odczuwam wyłącznie radość.

– Cześć, skarbie. Co u ciebie?

On przygląda mi się nieśmiało.

– Dobrze.

– Jesteś głodny? Może zrobić ci hot doga?

Chłopiec zerka w stronę grilla. Rob i Ethan machają do nas, żebyśmy podeszli bliżej.

– Tak – ośmiela się nieco. – Poproszę.

– Z keczupem i ogórkiem kiszonym, bez musztardy?

Jego twarz rozjaśnia nagły przyływ radości.

– Skąd wiedziałaś?

Uśmiecham się, myśląc o jego bracie, którego nigdy nie poznał.

– Zgadłam.

Kiedy podchodzimy do grilla, Ethan wstaje powoli. Oczy ma szkliste, a dłonie splecione razem, jak żołnierz, który wreszcie wrócił do domu.

Wyciągam dłoń do Charliego.

– Gotowy na spotkanie z tatą?

On podaje mi drobną rączkę.

– Chodźmy.

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej agentce Erice Silverman z Trident Media Group, jej zawdzięczam najwięcej ze wszystkich osób, które pracowały nad tą książką. Erica szczerze porozmawiała ze mną o wczesnej wersji maszynopisu i zasugerowała, żebym go gruntownie przerobiła. To właśnie jej porady przetarły mi szlaki do napisania o wiele lepszej książki. Erica jest surową krytyczką, ale też moją największą popieczniczką. Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo jestem jej wdzięczna za to, że mnie wspiera razem ze swoimi współpracownikami: Robertem Gottliebem, Nicole Robson, Caitlin O’Beirne, Kristin Cipollą i Lucindą Karter.

Z całego serca dziękuję Mattowi Martzowi i Jenny Chen z wydawnictwa Crooked Lane za to, że postanowili wydać tę książkę i poprowadzili mnie przez kolejny etap przeróbek, a potem – jak się pewnie domyślacie – jeszcze jeden. To właśnie ich niezłomność pomogła mi dotrzeć do linii mety, kiedy siły zaczęły mi się wyczerpywać, a ich mądre rady nadały powieści zupełnie nową jakość. Dziękuję też całemu zespołowi z Crooked Lane za to, że stworzyli fantastyczny produkt i zanieśli go w świat: Sarah Pope, Melanie Sun, Jennifer Canzone, Ashley Di Dio, a także moim korektorom i sprzedawcom, których nigdy nie poznam, co jednak wcale nie umniejsza mojej wdzięczności za ich pracę. I oczywiście nie mogłabym pominąć tu mojej genialnej ekspertki od promocji, Meryl Moss.

Dziękuję wszystkim ekspertom, którzy nie tylko mnie zainspirowali, ale też wyposażyli w wiedzę z zakresu leczenia płodności – doktorom Markowi Sauerowi i Ericowi J. Formanowi. Jestem też wdzięczna Robertowi Klitzmanowi i innym wykładowcom bioetyki z Uniwersytetu Columbia za to, że dzięki nim mogłam kształcić się na światowym poziomie.

Rodzinie i przyjaciołom dziękuję za słowa zachęty i za wsparcie podczas tych trudnych lat, kiedy pracowałam nad ukończeniem tej książki, zajmując się jednocześnie własnym nowo narodzonym dzieckiem – a szczególnie moim rodzicom, Leonardowi i Cynthii, za niezachwianą wiarę w moje umiejętności pisarskie, oraz Rosalie i Alanowi Beilison za to, że mi kibicowali i zapewniali niezliczone godziny kochającej opieki nad dzieckiem. Rzeczywiście potrzebna jest cała wioska, by wychować dziecko – i żeby napisać książkę.

Mój mąż Matt zasługuje na medal dla najbardziej wspierającego partnera na świecie. Przez wiele miesięcy cierpliwie znosił mój harmonogram wieczornego i weekendowego pisania, a poza tym często i chętnie rozmawiał ze mną do późnej nocy o najnowszym problemie fabularnym. Jego uwagi były równie celne jak bezlitosne, a książka dzięki temu stała się nieporównanie lepsza.

Nie mogłabym pisać o ciąży, porodzie i miłości matki do dziecka, gdybym sama tego wszystkiego nie doświadczyła. Tak się złożyło, że zaczęłam pisać tę książkę tydzień przed odkryciem, że zaszłam w ciążę, a skończyłam, gdy mój syn skończył dwa lata. Ta historia jest dziełem fikcji, ale emocje, w jakie wyposażyłam Claire, okazały się bardzo bliskie prawdy. Zachary, zrobiłabym absolutnie wszystko, żeby mieć pewność, że będziesz zdrowy i szczęśliwy – a pewnego dnia, kiedy będziesz o wiele starszy, ja też spróbuję pozwolić Ci iść własną drogą. Ta książka jest dla Ciebie.



# Przypisy końcowe

1. Fraza z wiersza walijskiego poety Thomasa Dylana „Do not go gentle into this good night”; tu w znaczeniu: Nie odpuszczę tak łatwo, będę walczyć. [\[wróć\]](#)